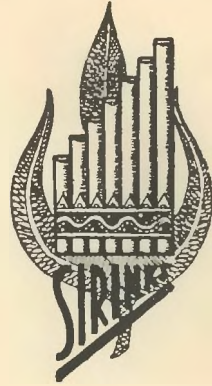


EMIL ZEGADŁOWICZ

MOTORY



MOTORY

STEFAN ŻECHOWSKI

MOTORY

ILUSTRACJE
TOM DRUGI



MCMXXXVIII
WYDAWNICTWO „SIRINKS“
KRAKÓW — WARSZAWA — LWÓW

EMIL ZEGADŁOWICZ

MOTORY

POWIEŚĆ
TOM DRUGI



MCMXXXVIII
WYDAWNICTWO „SIRINKS“
KRAKÓW — WARSZAWA — LWÓW



159498

=====
 Druk książki niniejszej
 =====
 ukonczono w październiku tysiąc dziewięćset
 trzydziestego siódmego roku czcionkami
 drukarni literackiej w Krakowie przy placu
 Zgody L. 4. pod zarządkiem Romana Beera, skła-
 dał Bolesław Iglicki, tłoczył Mieczysław
 Dziedzic. Godło wydawnictwa, przerywniki
 na stronicach tytułowych, inicjały — ry-
 sował Stefan Żechowski. Klisze zdobnicze
 i ilustracje wykonała firma Fotocynk, Kra-
 ków, Mikołajska L. 6.

=====
 Σ ό π λ ο τ
 =====

WSZELKIE PRAWA PRZEDRUKU, TŁUMACZENIA
 I PRZERÓBKI ZASTRZEŻONE NA WSZYSKIE KRAJE.
 COPYRIGHT BY EMIL ZEGADŁOWICZ

1 9 3 7



88v.3.

MS

0905

11571



*Marianowi Ruzamskiemu
z serdeczną przyjaźnią
przypisują swą pracę
S. Ż. E. Z.*

„...pytałeś mnie, cobym uczynił, a czegobym nie uczynił. Powiem ci więc, co będę czynił, a czego nie będę czynił. Nie będę służył rzeczy, w którą przestanę wierzyć, bez względu na to, czy będzie się zwała domem, ojczyzną, czy kościołem: i będę się starał o wyrażenie siebie w życiu i sztuce tak nieskrępowanie, jak tylko potrafię i tak całkowicie, jak tylko zdołam...”

JAMES JOYCE

(„Portret Artysty”)

„...o męczeńnicy godności własnej, nie dorastam wyżyn waszych!...”

ROMAIN ROLLAND

(„Colas Breynon”)





gluszający szum wodospadu prze-
rzucał się z pośród wyrw skal-
nych, rwał i walił opętanie przez
oślizgłe kondygnacje głązów, ol-
brzymim łukiem spadał w ka-
mienne dno przepaści i rozpry-
skiwał się w pianę i mgłę. Sam

szum, sama melodia gwałtu i żywiołu.

Krajobraz jak w tle Monny Lizy, zimny i fan-
tastyczny, zmontowany według praw krystalizacji zło-
dowaciałego światła księżycowego: promieniowanie
umarłych.

Pustka i przerażenie zastępywały powietrze.

Brak tchu i ustawiczny zawrót głowy i cpo-
chwila przeraźliwe spadanie w ciemną otchłań. Za
każdym razem zasuwala się na cały obraz, który prze-
cież był jedyną wątłą i nadpróchniałą platformą, na
której z trudem utrzymywała się świadomość — gę-
stą stęchlizną nasycona, czarna zasłona; to był zapach
grobu; i to była nicość. Trwała wieki.

W jednym z takich wybłyśnieć — ponad urwi-
skiem szczytu górskiego, poza umierającym pono-
wkiem — zamajczyła jak w prostopadłej tafli lodu

na międzyplanetarnym mrozie — olbrzymia, w nieskończoność umykająca sirinks: niewieście, sfinksowe twarze — dziewięć rozmglonych piszczal — — zamajaczyła, zadrżała, skruszyla się — w migocie szczerb gwiazdnych zagasła...

Lodowaty wiatr nawiewał z jądra wiecznej nocy bezmiar chmur i oparów; wszystko, co jeszcze było najwątleszym bodaj istnieniem, pogrążało się i zatapiało w mlecznej, rozwodnionej, sinej ciszy; stąd, nie z dna, bo go nie było, z głębi więc, ledwo przy najwyższym natężeniu słuchu można dosłyszeć cośkolwiek.

Mętna pamięć liczb — liczenie — huk!

Obroty tysięcy tęczowych kół — rozprysk — huk!

Olbrzymia szklana wieża nasycona rudym światłem — chwieje się — nachyla — okręca wokół swojej osi jak człowiek ugodzony kulą w serce — pada — roztrzaskuje w szczerby i żwir — chwila martwej ciszy — a potem — jak trzeci sygnał — huk!

Teraz znów daleki szum (on jednak jest najważniejszą realnością) zaświadczył o istnieniu.

Szum wzmagal się, rósł, potężniał — aż ogłusający loskot spadających mas wodnych wyrwa resztki istnienia z przepaści i rzuca jak rybę głębinową na brzeg posępnego krajobrazu.

Na widnokregu zarysowuje się coraz wyraźniej pasmo Kaukazu; owe niebotyczne góry, które nie są niczym innym, jak tylko męką ludzką, kamiennym wycierpieniem za tę iskrę zbawczego ognia skradzioną bogom, aby ludziom było jaśniej i cieplej.

Podniecony fenomenalnymi projektami Cyprjanowego sprawozdania — wydział plastyki wypracował projekt zdobnictwa broni, przede wszystkim armat. Na posiedzeniu międzywydziałowym uzasadniał swą sprawę sam pan Eligiusz i przemawiał namiętnie, że rzemiosło jako artyzm, że ludwisarstwo i płatnerstwo, że przecież, spójrzcie, w dawnych wiekach lufy armat to dzieła sztuki, że Benvenuto Cellini wiedziałby co z tym fantem zrobić — że słowem, trzeba i koniec. Cyprjan kontrował, oponował, wskazywał na to, że przecież w epoce, którą wyprzedza swymi sprawozdaniami, nie będzie wojen, że rządy wyzbędą się chęci grabieży i mordy, że to i owo! — Adwersarz zauważył ironicznie, że tylko poeta może tak bredzić, na to Cyprjan wstał i krzyknął: „Co? powtórz pan to!“ — więc i Eligiusz wstał, wyrzucił rękę od piersi ku dłoni Cyprjana i rzekł: „Przepraszam!“ — Na to wszystko znów przewodniczący sekretarz stanu pełen chryпки i niepokoju: „Ależ panowie!“ Tedy pan Eligiusz snuł swe uzasadnienia dalej, popadł w egzaltację i somnambulizm—wszyscy zebrani wokół okrągłego stołu w gabinecie ministra dojrzeli w krwawej mgłę ostatnie dni świata zuniifikowane w tym sensie, że cała ludzkość wyginęła w ostatniej wojnie pozadziejowej i pozahistorycznej, bo już nikt jej opisać nie będzie mógł, jako że wszyscy padli na polu chwały. Wszyscy wyróżnili wszystkich. Na olbrzymim pobojuwisku świata zostały tylko zwaly trupów, a ponad nimi zwycięsko podniesione czarne cielska armat; we wspaniałych płaskorzeźbach ich luf odbijał się krwawy zachód słońca. — Melancholijnie przysłuchiwał się tej wspaniałej wizji piękny

drewniany akt młodej dziewczyny stojącej na postumencie empirowym pomiędzy oknami; z cichym szeslestem zsypywała się zwiewna pastel z obrazów Wysockiego.

Uczestnicy konferencji siedzieli bladzi i drżący — źrenice zasłyły im za powieki; martwymi białkami ujrzeli szczytny finał rządów, państw i narodów. — —

Takie milieu — tu, milieu, uważacie, ministerialne, urzędowe więc, wysokourzędowe; a drugie maleńkie, prywatne — w pensjonacie przy ulicy Osobnej u tej zabawnej nieco pani Schoenowej, wypłowiałej widminy z ostrym, długim, wężącym po wszędy nosem, na którym pobłyskują ruchliwe szkła bez oprawy, nie okulary bynajmniej, „ćwiker“ — za nim dalekie, małe, pogubione oczka; i tak w ogóle i w szczególności cała do niczego; aniby człowiekowi na myśl nie przyszło; ech; a tu dowiadujesz się, że trzech braci Schoenów kochało się w niej; i to jak! — proszę: za najstarszego wyszła — umarł; zwyczajnie; troje po nim dzieciak, niewinnych; za drugiego — pomarł; czworo dzieci; już mamy razem siedem; szczęśliwa liczba; — wraca z wojny trzeci, najmłodszy — spojrzął, westchnął i — buch przed nią na kolana: kocham cię od dziecka; tak powiada; — wzruszona do samej głębi — wyszła za niego; będzie temu teraz pół roku; z wysokim już chodzi brzuszkiem; — ułan to jest ten trzeci najmłodszy pan Schoen, o niskim, zarosłym czole i wyszczerzonych, nigdy wargami nie pokrytych, rozstawnych zębach, pod sumiastym, sarmackim wąsem — ot i zęby naprzód jak strzecha — nie domkną się wargi nigdy;

trochę więc: człowiek śmiechu, tyle, że bez Wiktora Hugo; więc i bez pretensji do historii. — Ostrogami wielkimi i wiszącym na długich rapciach pałaszem brzęczał, szczękał i hałasował okrutnie po domu, na schodach, na ulicy, w kawiarniach i t. zw. lokalach publicznych; obstał zdatnie za całą kompanię; taki rumor wokół siebie czynił. Zuch.

Teraz to już sporo rozmaitych ludzi mieszkało w tym pensjonacie; z kresów zwłaszcza dalekich. Sprowadzali się na kilka dni, na tygodnie, na miesiące i na dłużej. Wszyscy oni bez wyjątku zostawili niezmierne majątki „po drugiej stronie“ — gdyby się tak pobieżnie zliczyło co tam jeden z drugim z tych żubrów i żubrzyc miał dominiów, latyfundi, obszarów, kluczów, majoratów, włók, dziesięcin — całej, za przeproszeniem, Rosji — by nie starczyło; a to kraj spory, rozległy; wielka ta Rosja. — Wszyscy tylko: Ryga, Odessa, Pitr, Moskwa, Kijów, Charków — a potem już tylko Paryż; mniej nie, zaboga! — Wszyscy teraz z poczuciem należności zabiegali o posady w ministerstwach; umieli wszystko, na wszystkim się znali, posiadali wszystkie talenty i lekko, bez wysiłku wykonywać obiecywali prace bez względu czy się na niej znali czy nie; kresowe poczucie władania i bezkrytycyzm płynący z zarozumiałości; szlachta. — O aktualnych lub przewidywanych ministrach mówili: kochany nasz Władzio, Antosio, Zenoncio, Janeczek — i, że to dobrze, że Ignasz jest, owszem, premierem, bo kuzyn mojego szwagra to krewny brata mlecznego męża jego szwagierki; trzebaż wiedzieć, że ci z kresów byli wszyscy z sobą spokrewnieni, powinowaci, famliia.

Stanisław Rzykowski też tu mieszkał w tym pensjonacie przy ulicy Osobnej — i on to naraił gospodynię Cyprjanowi, a Cyprjanowi gospodynię.

Pokoik Fałna był na szóstym, licząc od dołu, piętrze; było jeszcze siódme — i tam też był pensjonat, ale taki podejrzany, co to można na godziny pokoje odnajmować i przyjść z kim się chce i jak się chce; kwestia forsy; baraszkowanie. — Stamtąd to nieprzerwanym szeregiem bez liczenia się z porą roku lub dnia wędrowały w dół ku szóstemu piętru zawsze żywotne, głodne, rozmnażające się, zaborcze pluskwy. Cały dom uważały za kolonie. Były niedowytępienia; wciąż napływały nowe; bezustanna wędrownka rudych plemion; bramą narodów były okna i klatka schodowa; ideały ich były rasistowskie.

Okno Cyprjanowej klitki patrzyło z otepiającą jednostajnością w ocembrowaną oficynami studnię podwórzową — wprost: na ściany o martwych oknach, wdół w odmęt studni, na której dnie popieleły się nieruchomo cztery kuliste akacje, zasypywane kurzem i pyłem wytłukiwanym co rano z dywanów, chodników, kilimów, betów i ubrań, — gdy oko ku górze spojrzęło, zachwytywało nieco szaryzny gęstej lub strzępka gramolącej się niezdarnie w mazi zgniłego nieba chmury. Beznadziejnie.

Pensjonariuszami primo, secundo i tercio voto pani Schoenowej byli także państwo Powołowicze herbu Litawor (ze strzałą!), dobra Porohokotycze, stacja Stołpce (toż poczta). — Pan Marian, Alojzy Powołowicz tęgi, zażywny (dobrze odżywiony, tuczny), czerstwy, czerwony na pucółowatej gębie; z lekkiem zezem; wąsy krótkie (lecz nie przycięte), pie-

czołowicie rozdzielone; zawsze ubrany w czymś takim, przypominającym mundur, niby „czynny członek starzy obywatelskiej“, bluza więc (wycięte w nawias klapki przy kieszeniach), portki („briczesy“) wpuszczone w lśniące, lakierowe cholewy butów; na lewym przegubie gruba, złota branzoletka z wisior-kiem przedstawiającym konia wyścigowego rasy angielskiej; jakaś odznaka na piersiach, diabli wiedzą co oznaczająca, ale duża, bardzo duża, widoczna na sto metrów; — wiadomo więc już, że pyszałek i zarozumiałczuch; i że nic; poprostu dureń; co zresztą nie przeszkadzało mu uchodzić w swoim gronie familijno-sąsiedzkiem za pięknego mężczyznę i takiego co to i do tańca i do różańca, i że, panie, statysta, jakby przyszło co do czego. Chód miał, pan Marian Alojzy taki przyhuśtały w górę-wdół, w górę-wdół — nazbyt kolana przyginał, a nogi stanowczo za cienkie — bo to i brzuch wydatne i w piersiach wypukły, w ramionach rozrosły — do takiego kadłuba nogi trzeba jak słupy, a on jak patyki te nóżęta, laskie. — Uśmiech u niego otwarty, miły owszem, zęby duże, równe, białe, jak na ogłoszeniach firmy Odol; a wogóle zdrowy jak byk. Rozmowa z nim to już tylko o wyścigach, rysakach, jak to wyciągniętym kłusem, i że w Rosji, a Carskie Sioło cud-miejscowość, o polowaniach, pudła, duple, cietrzewie, głuszce, łosie zdarzają się, ale rzadko, bo to już na wymarcu jak i te żubry — żubrówka ha, ha, ha — i tym podobne poślednie perypetie — a lubił rozpariszy się gadać, bardzo lubił; więc tak:

— jaż sobie na te błota wybierając się — buty sprawił nowe eleganckie; już przy wkładaniu widzę:

ciasne; ale rozchodzą się, myślę; tak ja z fuzją w pole ku tym błotom; gniotły, owszem, ale do wytrzymania, w łydce tylko ściskają ostro. Połaziwszy po błotach z satysfakcją bo duble się darzą raz po raz — po godzinach conajmniej pięciu ja nuż wracać do domu; teraz czuję z butami coraz gorzej; w domu, a już w sieni wołam lokaja: Maciej! — co jaśnie panie, pytaż on, a ja: zdejmuj buty; przysadził się przodem — ciągnie, myślę, nogę wyrwie, tak ciągnie — a mój but ani trunie; więc Maciej do mnie tyłem — najlepszy sposób: on ciągnie, a ja się od jego grzbietu drugą nogą odpycham; na nic wszystko; ku zadziwieniu, ale na nic; Maciej mówi: jaśnie panie może stangret; wal po stangreta — a miałem takiego olbrzyma na dwa metry, gdy jeszcze paniczem byłem, pomnę, gdy mi coś nie na gust—ja go po mordzie — to musiałem podskakiwać; raz to nieboszczyk ojciec zobaczył, jak nie huknie na niego: Szczepanie, psiawiaro, to panicz ma się męczyć? — jak chce ci w mordę dać to się schyl śmierdziuchu, zrozumiałość?, Szczepan odrzekł: tak jest panie dziedzicu jaśnie, zrozumiałem; taki Szczepan przyszedł — ale! — na nic! — Myślałem, że się wścieknę; chcę ich kijem, sobaków, przepędzić, ale już teraz ani rusz; noga boli, zapuchła widać, czy co; jak nie wrzasnę: Maciej! nóż! i rznij cholewę! — uskuteczniło rozkaz stare Maciejisko a ja w ten sposób nogi zwolnił ale buty i nowe postradał; a pierwszy raz, bogiem się klnę, na nogach je miałem; ot niewarto za ciasne buty, lepiej szerokie. — Serdecznie się sam tą historią ubawił, historią istotnie śmieszna.

Pan Marian, dwojga imion, Alojzy studiował



specyficzny. Oczy małe, nijakiego koloru, głowa kształtna; brunetka.

Fałn, człowiek o zawsze nieobyczajnych myślach nazwał ją z punktu „gidia“; nie w tym ostatnie złego; gidia to nie jest wyrażenie obraźliwe lecz stwierdzające.

W tej chwili, obracając się na lewy bok, ku ścianie, powiada Cyprjan do Fałna:

— bohater ty to jesteś, powieściowy oczywiście, ale, między nami mówiąc sporo też i w tobie priapa--

— czy to obniża „bohatera“? skąd zresztą to przypuszczenie — ? —

— a zapiski? — razem je robiliśmy, chyba wiesz —

— zapiski? — tego nie tykaj —

— a widzisz! — przypomnij sobie ile tam uwag i zauważeń niecenzuralnych i nieobyczajowych; ejże, gdybyś je wydał zarazby prokuratoria cap! — orzekłaby, że takieto a takie „ustępy stanowią przestępstwo z art. 214 K. K. — w ustępach tych wyrażenia i opisy przeżyć seksualnych mające charakter wybitnie pornograficzny, zdążają do wywołania pobudliwości płciowej i naruszają niewątpliwie poczucie wstydlivości przeciętnego czytelnika“ —

— a nieprzeciętnego — ? —

— o takim się nie mówi —

— co dalej — ? —

— dalej? — proszę: „ustępy inne wyszydzają dogmaty, wierzenia i obrzędy prawnie uznanych wyznań chrześcijańskich, znieważają przedmioty ich czci religijnej i wyczerpują przez to znamiona przestępstwa, przewidzianego w art. 173 K. K.“

— świetnie! doskonałą masz pamięć!
 — a mam! — jeszcze ci dwa passusy przytoczę:
 „ustępy inne publicznie ubliżają bóstwu Jezusa Chrystusa, co stanowi istotę przestępstwa z art. 172 K. K.“
 — i co jeszcze? —
 — to jeszcze: „wreszcie inne ustępy...
 — ciągle te ustępy —
 — to wyrażenie sądowe —
 — ach, tak! —
 — no właśnie; lecz nie przeszkadzaj, otóż „inne ustępy publicznie wyszydzą i wystawiają na pośmiewisko powszechnie naród, znieważając i oszkażając pojęcie ojczyzny, co wyczerpuje wszelkie znamiona ustawowe przestępstwa z art. 152 K. K.“ — i co ty na to?

— nic, przeciwstawić temu mógłbym chyba zdanie Goethego — ale ta moja obrona przypomina mi obronę Wilde'a, powołującego się na Zeusa i Ganimeda — jest zarówno decydująca jak i śmieszna —

— wiem, wiem, to zdanie zapisane w kalendarzu —: „dzieło sztuki, może mieć i ma następstwa moralne, ale żądać moralnych celów od artysty, znaczy psuć jego powołanie“ —

Cyprjan znów odczuł nieznośny ból w tętnicy, ogarniał go nagły niepokój, niedobry, kąśliwy niepokój.

Wrócił do pensjonatu: — pomyślał byś „gidia“ i zaraz sobie wyobraził pp. Powołowiczów wykonujących nago i przepisowo akt płciowy; — plastyczna i skrupulatna w szczegółach wyobraźnia reprodukowała ten obraz nieomylnie i drobiazgowo; w ten sposób dość prymitywny 1) dawał folgę swej zawsze

obecnej żywotności seksualnej, 2) bronił się przed nieśmiałością, napadającą go w pierwszych zwłaszcza chwilach poznania się z obcymi ludźmi, 3) — w tej chwili zagłuszał niepokój i dręczącą niepewność, że coś się stanie, coś nad wyraz bolesnego i przejmującego.

Rozmowa przy obiedzie pierożyńskowata, „taka sobie“; premierowa.

Wszyscy się dowiadywali skąd, kto, co i jak i gdzie; że to właśnie Powolowicze, i że Porohokotyche i właśnie Podlibliszki też. I Petersburg! — piękne miasto, bardzo piękne; było, bo już nie jest; bo Petersburg to stolica wielkiego państwa, więc dwór i to wszystko; — co za szerokie ulice; perspektywy; białe noce; nigdzie takich zabaw, takiego przepychu jak tam; pamiętają, jak raz w karnawale... napewno tam wrócą — śmieje się zdrowo i miło i lekko zezując pan Marian Alojzy — jak tylko bolszewicy padną; a to już-już, z dnia na dzień; przecież nie sposób, żeby taka hołota niegramotna mogła się długo utrzymać, i tak nadspodziewanie to długo trwa; rewolucjonery sobaźcel!

Nato Rzykowski, trzęsąc olbrzymią dolną szczęką, a to tak zawsze gdy był wzruszony, a znów wzruszony był zawsze, pasjonat i neurastenik, że i jego aktorzy to też rewolucjonery i sowiciniacy, a najgorszy to Zelwerowicz, że gdyby przyszło co do czego u nas, ale to na szczęście niemożliwe, to on ten Zelwer byłby prowodyrem i komisarzem zapewne, taki czerwony, to agitator bolszewicki po prostu; najgorsze, że zwolenników ma dużo, bo tak antre nous, aktorzy to straszna banda, tak jak to pan

słusznie powiedział, rewolucjonery. Zdziwili się państwo na Porohokotyczach i Podlibliskach bardzo; pan Marian Alojzy, pokazując w uśmiechu wspaniałe uzębienie, rzekł: no, mybyśmy ich nauczylim i podglądził węża; żebym miał z fuzją... i oparł się o poręcz krzesła, był bowiem zadowolony i syty; Pani Irena wyżłobiona w pasie, z podanymi naprzód cycuszkami, z wypukle przylegającym do stołka za deczkiem, wyraziła się, że pasja bierze, gdy się o tym pomyśli. Tu Rzykowski agitkę maleńką zastosował, mówiąc, że w kraju pracować trzeba, i żeby się stanętepede zapisali do endecji, bo to jest przyszłość narodu, wszystko inne funta kłaków nie warte. Obiecali to zrobić, gdy się tylko trochę w kraju ustali, bo trzeba się kierować zdrową zasadą, aby pomagać rządowi, jakiby nie był, ale jest polski, czy więc przypuszcza pan Rzykowski, że enćecy dorwą się władzy? — naturalnie! z całą pewnością; a, w takim razie trzeba pomyśleć o wstąpieniu do partii; jeszcze się poinformują Władziunia, ten ma nos i wie co w trawie piszczy, to nasz człowiek, żubrowa dusza nasza słodka, krajan prawy, ech, bo to i święta prawda: kto poddanymi rządzić umie i za pysk trzynać, ten i krajem rządzić potrafi, taki niedopusci, żeby sie hołota panoszyła. Zgodzili się. Cyprjan pomyślał ordynarnie: dobrze wiedzieć, tacy wy jesteście? o, dranie! i jadł powoli galaretkę owocową. Też się zgadało właśnie, że się na Pokuciu rodził; Irena, pani Irena wyprostowała się i zaśpiewała, że to bardzo ciekawe rodzić się na Pokuciu; mówiła tak, bo nie wiedziała gdzie to jest to Pokucie. Gdy gospodyni przeszła przez pokój, zapytawszy uprzejmie,

czy państwu smakowało? i ucieszona tym, że tak, wyszła do kuchni, skwapliwie ją i jej jadłodajnię opłotkowano; zdrowe jedzenie, kuchnia domowa, nie można powiedzieć, ale mało stanowczo, porcje takie do niczego, w Petersburgu, ech! — tam się ja dało, tanio i dużo; gdzie te czasy, bardzo się wszystko zmieniło, ale to wróci! — Gdy weszła zarządzająca, miła panna Hanka z czarną kawą, rozmowa zmieniła bieg. Pan Marian Alojzy pozezował skośnie na zgrabną figurę panny Hanki i zatrzymał się dłużej na dziewczynskich wypukłościach; to mu widać coś przypomniało, bo rzekł, że pilne dzisiaj posiedzenie, sam minister ma być, kto wie kiedy się to skończy, bo Polacy lubią gadać, taka już ich wada narodowa; zauważenie to podkreślił uśmiechem przy czym zatoczywszy oczami łuk po kształtach panny Hanki przeniósł je na branzoletkę, w której, jak się okazało, było wprawione małe lusterko. A potem poprzez zapach kawy czarnej słyszał Cyprjan już tylko „Rośja“, „kośćjum“, „penśja“ — i patrzył urzeczony na skład warg pani — — momentalnie kreował „swoje“ imiona — — więc: pani Ruśki; mówiła lewą połową ust, prawa była nieruchoma; a że wargi zawsze identyfikował z „narzędziem płciowym“, pomyślał: „tam też musi mieć jakiś sakramencko uroczy mankament“; pomyślał tak i rzekł:

— państwo już dawno w Warszawie? —

— z Rośji wyjechawszy pół roku bezmała, tak my w stolicy cztery miesiące z okładem —

Cudnie mówisz Ruśko; i wszystko ma głęboki sens; oczywiście inny niż przypuszczasz ty i ten twój

byczek; nie wiem krasulko coś odpowiedziała, ale, ale — no właśnie: ale —

W tej chwili pielęgniarka panna Zosia — jaka ona dziś blada i przemęczona! — przyniosła kilka listów i zaanonsowała, że jeden pan chce się widzieć —

— kto? — był już tu? —

— nie, pierwszy raz go widzę, myślałam, że to chory do nas na salę, tak źle wygląda, mówił, że zna się z panem dobrze, nazywa się Łukasz Wypiszczyk —

— Łukasz Wypiszczyk? — o dobrze —

Tak bywa czasem, akurat się myślało o kimś, a ten się zjawia; z dziesięć lat się nie widzieli; gdzieś tam dziesięć — w dwudziestym — teraz trzydzieści szósty — szesnaście lat!

Wszedł, raczej przywiął go przeciąg, bo drzwi otwarte, to zawsze tak ciągnie — w tuzurku czarnym — chyba ten sam co wtedy, gdy nim straszyl w ministerstwie — chudy okropnie, to coś przerażającego! — wymizerowany, oczy jeszcze bardziej wybałuszone, dłoń wapnista, zimna, lepka — — trupek zaschnięty na urlopie, doprawdy, jak można żyć z takim wyglądem! —

— dowiedziałem się, że chorujesz, więc przyszedłem cię odwiedzić — ; — mówi, a swoim zwyczajem głowę w lewo przekręca tak, że trzy czwarte twarzy zwraca do interlokutora, przez co gały musi ustawić w kącinie — tak więc przemawia i patrzy na ciebie z boku.

— zdrowieję już po prawdzie; czwarty miesiąc —

— świetnie wyglądasz — i odmłodziłeś —

— dziękuję ci — wydelikatniałem, tyle miesięcy w łóżku —

— świetnie, świetnie — przycmokiwał Łukasz; —

— nie mógłbym tego o tobie powiedzieć, Kochany; — rzekł tak, bo wiedział, że Łukasz szczył się swym wyglądem i bardzo zawsze raduje, gdy mu kto powie, że źle wygląda. Rozśmiał się też Wypiszczyk spalonymi wargami — odsłonił kilka luźnych zębów żółtych i spróchniałych — poza nimi czarna otchłań —

— pomogło do emerytury; ja wyjątkowo źle wyglądam, jak głodomór, rekordowo, ja wiem, lecz zdrów jestem jak tryk —

— już na emeryturze jesteś? — Nagła nuda, okropna! i niecierpliwość: listy! — kiedyż on pójdzie?! — kiedy — kiedy —

— dziewięćdziesiąt pięć procent niezdolności, zdrowie, uważasz, zdarte w służbie zawodowej — wogóle komisja chciała mi dorózkę zafundować; ale ja pieszo i prosto na wódkę —

(— co mnie to obchodzi! — zniecierpliwienie ogarnęło cały organizm; porusza pod koldrą nogami jak na rowerze —)

— tyś zawsze taki śpasowny; i pijesz wciąż? —

— ha, pytasz! — ojciec mój był kainerem; mam to we krwi — i ten mój wygląd — ojciec mnie zrobił nad ranem, bo kiedyżby? — Kiedy indziej czasu nie miał, dziś jest związek zawodowy, ale

wtedy? — noc w noc, dzień w dzień — — ja jestem całe życie jak ojciec nad ranem w nocnej zadymionej knajpie dla dorożkarzy; — wszystkie pory roku i dnia są dla mnie jedne: ja jestem stale nad ranem—

Cyprjan uśmiecha się serdecznie — nawet to trafne co mówi — i patrzy przenikliwie temu „nad-rannemu“ między oczy; myśli intenzywnie: odejdz — odejdz — odejdz — no, prędeż, no — ; — gdyby się odwrócił i gdybym mu to mógł nakazać w kark—zarazby poszedł; wypróbowany sposób; ale taki się nie obróci! — akurat dzisiaj się wybrał, gdy taki (bał się powiedzieć: niepokój; z dużym wysiłkiem przeplatał to słowo innymi); — będę go między oczy sugerował, ale to już mniej skuteczne —

— co też ty! — a jej, jej —

— co? —

— no pantofle nosami do łóżka —

— to źle — ? —

— bardzo! — to odznaka pewnej choroby idącej do ciebie — fatalny prognostyk —; jak można, jak można! —

Schylił się i poprawił jak ma być — nosami na pokój.

— Zobaczysz, zaraz zdrów będziesz —

Po chwili:

— przyniosłem ci mój nowy tomik poezyj —

(—prawda! — przecież on też pisze, dobry ry-sownik, to mu się nie chce, tylko właśnie pisać! psia-jegomać — no, to się tak prędko nie skończy — wydałeś — ? — zapytał ze skwapliwą radością —)

— wydałem— to już drugi — pierwszy znasz?—

— naturalnie, jak jeszcze — ; — na oczy tego pierwszego tomu nie widział; nie wiedział nawet! —

— no i co? — zainteresował się galwanicznie Łukasz —

— świetnie! nie przypuszczałem nawet, na prawdę —

— a który wiersz ci się najlepiej podobał? —

(— Cyprjan oka nie spuszcza z tego miejsca pomiędzy brwiami —)

— właściwie wszystkie —

(— już w tych listach będzie coś straszniego!)

— a ten o „stróżu nocnym“ — co to o szarym świecie zamiata trotuar — ? —

— wiem, pamiętam, kapitalny! — trochę może pod koniec rozwlekły —

— przecież to krótki wiersz —

— ja wiem; mnie nie idzie o długość formalną, tylko, wiesz, o takie nagłe spięcie — jabym to, wiesz, jednym słowem, albo wykrzyknikiem —

(— to przecież wtedy spotkałem pierwszy raz Miłę, gdy wracałem od Łukasza — była bez kapełusza, włosy zwichrzone zakrywały jej pół twarzy; — i oczy! najpiękniejsze na świecie! —)

Wypiszczyk mówi, że to ciekawa uwaga; żeby on to był pierwaj wiedział! nawet miał taki zamiar pierwotnie — rozstrzelone: stróż — s osobno, t osobno, r osobno — kreski między literami, na końcu wykrzyknik; straszliwym głosem, wychrypia:

— str—ó—ó—ż —

Cyprjan powtarza mechanicznie:

— str—óż —

— nie, nie tak, upiera się Łukasz — to tak trzeba:

— st—ró—óz!! —

— ach, już wiem! —:

— st—ró—óz!! —

Poraz trzeci razem tę pointę wykrzyknęli:

— st—ró—óz!! —

— tak powinienem był zrobić — psiakość, że cię też wtedy nie spotkałem, psiakość! —

(— raz jeden później spotkałem Miłę na wykładzie kochanego Noaka — jak on wspaniale na tablicy, i jak momentalnie rysował style, przemiany — ona to pilnie przerysowywała — dostałem od niej ten zeszyt po... trzynastu latach! — ona wtedy tylko: ojczyzna, marszałek, wojna — zawsze tylko z oficerami — — to była zmora! — jeden taki niski zwłaszcza, przystojny oficer — — a potem! —) — mówi:

— pokaże ten swój nowy tomik —

Gmera w olbrzymiej wyświechtanej tece (czarnej oczywiście!) — wyciąga podłużną książeczkę —

— o, proszę cię, — to są poezje sportowe, coś jak „Laur olimpijski“ lecz bardziej współczesne, awangarda w sporcie, rozumiesz? —

— rozumiem —

— zresztą epoka Nurmiego i Kusocińskiego to przebrzmiałe rzeczy, nie? —

— oczywiście; — ciekawie to ujmujesz — awangarda w sporcie, powiadasz?

Kartkuje tomik, ani jedno słowo nie dociera do świadomości; — najśłodziej:

— ale, ale — portretu swego tu nie umieściłeś —

— ty kpiarzu weredny —

— właściwie powinienes swój akt — o, naprzykład skok o tyczce — byle tyczka bardzo cienka, bo by się myliło —

— a co ty sobie rachujesz? — że niby co? — chudy jestem, kościak, to jest prawda — ale, wiesz, gdy o to chodzi — to taki! — zwinął dłoń w pięść i naznaczył po łokiec — i nakazał jeszcze:

— o, popatrz, taki —

— gratuluję —

— żenię się, żonie pogratuluj —

(— odejdz — odejdz — odejdz — odejdz — zamawia i czaruje Cyrprjan; ten już stąd dziś nie wyjdzie; wogóle, gdy świnić poczyna to posiedzi jeszcze pięć godzin — — listy! — wogóle go stąd nie wypuszczą, pomyślą, że ktoś w agonii oszalał i wieje ze szpitala na smętarz — direction Friedhof — jakby rzekł zugsfirer Jerzabek —); z zainteresowaniem wiśielczym:

— rozwiodłeś się — ? —

— dawno! — coż se myślisz —

(— a chodziła do ministerstwa ta babcia; z siędemdziesiątkę miała, no, może sześćdziesiąt osiem; to była pani Wypiszczykowa, żona Łukasza Wypiszczyka oficjała „tam i z powrotem“. A zazdrosna była! to coś okropnego! —)

— teraz mam młodziutką narzeczoną — dwadzieścia jeden lat, pulchniutka — kocha mnie szalenie! ja ją też, ale z rezerwą, żeby mnie za łeb nie wzięła, trza się strzec; dużo teraz maluję i piszę —

(— a więc przecież maluje! — i to teraz, gdy ten napływ hormonalny — wszystko się tu zawsze

spotyka; — choćbyście mi nie wiem co gadali, że to przesada, jednostronność i bzik — to jednak fakty będą przemawiały za tym bzikiem, a nie za waszą eunuszą filozofijką, wykastrowanym światopoglądem; — ale teraz to już odejdz — odejdz — odejdz — odejdz — ; — niecierpliwe palce wyczuły szelest listów pod poduszką — listy! od Mili jest, i od Maury jest i od przyjaciół dwu drogich, osobiście nieznanych (może tym droższych? któż to wie!) od Pawła (nie mieszać, do diabła, z Pawelkiem Szpasiem) i od Mariana (chyba nikomu na myśl nie przyjdzie, żeby to mógł być Marian Alojzy Powołowicz; pamiętajcie!!) — — przeczytać, przeczytać — — a ten tu o takich racjach fizykach, że Kaśka niema butów — idź już, wyjdz! — idź już, wyjdz! — niech cię szlak trafi! —).

Ostatecznie po godzinie odszedł; (— to sugero-
wanie między oczy to bujda! —); zostawił tomik poezji „Słoneczny rajd“, dodatkowo plik wierszy na maszynie przepisanych, dodatkowo dramat w rękopisie: „na konkurs go pisałem; konkurs na dramat ludowy; po roku mi odpisało sławetne jury, że na ludowe sceny zaartystyczne i zaskomplikowane; więc ja z tym do teatru prawdziwego, wysłałem polecenie — po dwóch latach odpisało też sławetne kierownictwo literackie, że za mało artystyczne i nazbyt uproszczone; — ja ci tu poprzypinałem spinaczami całą tę korespondencję, recepty etc., zorientujesz się; — ale pech — co?“, „istotnie pech“ —)

I jeszcze:

— a Dorę pamiętasz — ? —

— no, jakże —

— mizguśka — ha — ? —

— ba!

Na tym się skończyło. Nareszcie!

Cyprian zmęczył się tą wizytą jak ciężką pracą; czoło miał obficie spocone. Zaraz po wyjściu Łukasza (choć to w gruncie rzeczy dobry chłop, tylko tak wlaźł nie w porę!) chciał tę całą potrójną pakę papierysk rzucić o ścianę, o sufit, o podłogę, o piec, lecz poukladał je równo, pedantycznie odwinął rulon, przewalkował zwitek w stronę przeciwną aby się arkusze wygładziły — ułożył je na stołku powoli, spokojnie — palcami wyrównał raz jeszcze, i jeszcze raz, żeby nigdzie nic nie wystawało.

(— potem gdy się znów wojna poczęła, poszła Miła na front jako sanitariuszka i dopiero po trzy-nastu latach — — ileż razy ją spotkał? — raz, dwa — trzy razy, nie, cztery, bo jeszcze wtedy na Tamce, na tych schodach właściwie, od Ordynackiej w dół — „pan nie w wojsku?“ — zaraz się zirytował: „to ma być początek rozmowy inteligentnych ludzi?“ — nie pamięta co odpowiedziała, tylko oczy, pamięta, jak odbicie nieba w głębokiej wodzie — urzekły mnie wtedy te oczy! —)

— teraz już te papiery Łukaszowe ślicznie ułożone, chyba on sam tak nie dba o swoje rękopisy; bo właśnie to on jest trochę niechluj; na spodzie ten dramat, potem wiersze, na samym wierzchu „Słoneczny raid“ —

(— Miło! — źle jest! — wiem to napewno! —)

— „Słoneczny raid“, „Raid słoneczny“, „Słoneczny raid“ — położę na to wszystko papierosnicę, żeby mi kto tego nie zmierzwił —

Ręka lewa, niewygodnie podgięta leży pod poduszką na listach — palce widzą: ten szorstki to od Pawła, ten w dużej kopercie od Mariana, ten podłużny to on, od Mili, czwarty od Maury — więc ten najpierw — ten podłużny — — od Mili list —
Inżynier znów postękuje; znów te bóle —

— mówiłem panu, panie inżynierze, że ten system diety Laubego i alukol to pewniejsza kuracja; niech pan swojemu lekarzowi powie, że pan to chce — on się upiera przy swoim, a bóle jak pan miał, tak pan ma —

— za dużo chodziłem po kurytarzu i stąd te bóle —
— niema to jak temu, jak mu tam, Nering, wagaruje diasek całymi dniami. —

Gdzieś się zapodział scyzoryk, więc delikatnie paznokciami — trzeba oderwać wąski sznurek papieru od góry koperty — i nie wyrzucać tego, lecz do koperty z powrotem; kolekcjomania! — niechże będzie; — — naścibione jak zawsze, urodzona miśniaturzystka —:

— — — — —
Jest rozpaczliwie smutno i źle (podkreślone).

Powody i psychicznej i fizycznej — tak bardzo fizycznej natury! (podkreślone).

Przekleństwo jakież wlecze się za mną... (podkreślone).

Czyje?

Chyba tej kobiety, która uważa się za skrzywdzoną przezemnie. A czy w rzeczywistości jest ona przezemnie skrzywdzoną?

An mnie kocha. Ja Kocham Ana.

An jej nie kocha. Ona też go nie kocha, może nawet nienawidzi.

Mimo to An ją nazywa swą żoną i z nią mieszka, z nią mieszka, a mnie tylko czasem okruczeństwo czasu poświęci i jestem tylko jego kochanką...

A więc to ja raczej jestem skrzywdzona!
Ja wciąż tak strasznie cierpię.

Cierpię, że go widzę tak rzadko, choć go tak straszliwie kocham, choć mi jest tak potrzebnym do życia jak słońce i powietrze i chleb i woda.

Cierpię, że nie mogę dzielić z nim życia, być mu w pracy pomocną, w smutkach pociechą, w całym życiu Jego osłodą i nagrodą i radością i promieniem.

Cierpię, że nie wolno mi go jeszcze nazwać najśłodszym imieniem Męża... że jak złodzieje kryć się musimy z każdym najśłodszym i najświętszym pocałunkiem naszym...

I jeszcze cierpię... oh jak bardzo, przez to, że my — że my, co tylko dobra chcemy dla wszystkich, co się oburzamy na każdą nieprawość i na każdą krzywdę — że my raz wraz zabijać musimy nasze, stające się w nas życie... życie, co tak koniecznie, tak żywiołowo, tak nieodwołalnie — chce powstać z naszych na śmierć i życie złączonych miłosnych ciał...

Cierpię... oh jak cierpię, że nie wolno mi dać mu dzieciny — naszego synka...

Dlatego, że on miał dzieci z inną, obcą kobietą —

Dlatego, że ja miałam dzieci z innym, obcym mężczyzną —

Dlatego nie wolno nam teraz mieć naszego własnego, właściuteńkiego, najdroższego, najjedyńszego synka, którego ja tak strasznie mieć pragnę.

O Boże, jakżebym go kochala! Jakżebym ich obu kochala! Ana za to, że jest ojcem tego synka, najdroższego, syneczka za to, że jest Ana mego najdroższego synkiem!

Wybacz mi An; puste mam ręce, nie mam nic! — z jakim więc dobrem do Ciebie przyjdę! — An! —

— — — — —
Więc smutno! — a tym beznadziejniej, że wy czuwa to w sensie mijania, w dokonaniu nicowości — sama zaś postać, sprawa Mili jest na tym planie — nie dalszym lecz bocznym raczej — na którym jest może aż, może aż dyzgust zwłaszcza spowodu tego „on mnie“, „ja jego“ i tego (najgorsze zapewne!): „najsłodszym imieniem Męża“ (— zważ Cyprjanie, cyniku, oto napisano je, to słowo, przez duże „M“ —); — a przecież, jakże ją kochałem! — i nic tu ten czas przeszły nie znaczy, nie jest nie czym, formą tylko gramatyczną — bo kocham nieustannie poprzez wszelki czas i wszelkie zdarzenia — wszystkie motory olbrzymiej maszyny życia, wieczyście czynnej fizyki istnienia w tym nieugiętym przeswiadczeniu, że jedne są prawa myśli, współzycia, ładu społecznego, jedne i te same, które odczytujemy z warstw geologicznych i z ekliptyk gwiazd. Lecz ty i ty i ty — wy pytacie o co innego, o tęsknotę pytacie; to uczucie jest dla was decydujące; — dla mnie ważniejszy tu obraz nowej podróży: wypoczynku i przygód; morza i lądy, których nie znam; — zielone wyspy i pustynie żółte; oazy, palmy wysokie

i giętkie — chłodne, srebrne źródła i ten rozgizany wypaloną gliną ziemi puls drżącego powietrza: — Mau—ra, Mau—ra, Mau—ra; — ona ma ten sam puls jeno gorętszy więc i przyspieszony zarazem, szeleszczący jak krople wody ściekające na żwir: Cyr — Cyr—Cyr; jednotonowe u niej; u mnie dwutonowe: Mau—ra, Mau—ra, Mau—ra — —

Cyprjanie Fałnie bardzo ci się już psuje wzrok — jakże daleko, na wyciąg ręki prawie trzymać musisz ten list — ; — odpowiadam sobie: im bardziej wzruszony jestem, tym gorzej widzę; ach, więc wzruszenie? — tak jest, wzruszenie.

List od Maury — — — gdy się tak daleko list od siebie trzyma, to poza prostokątem listowego papieru, który jest oknem otwartym na wielki przypływ i halny wiatr, na szum, w którym rozróżnić można brzęk i natężony ton pędzącej wokół słońca ziemi, z tym pobuczaniem jak u frygi — a to jest obrót globu wokół siebie —: poza ramami listu: mgli się trzęsący kontur pieca, szklanych drzwi i kawałka szaro-pokostowanej ściany: doczesność wszelka — —:

— powiedziałaś w liście swym (tak dawnym!): schody, i raz jeszcze użyłaś tego słowa: schody, i jeszcze raz. Więc: „schody“! — ? — Czy takie, którymi wspinamy się w górę, czy też takie zwyczajne, po których i na dół się schodzi? — Czy schody jak we śnie Jakóba, który po szczeblach dociera do samego Jehowy, a za tę senną bliskość miano otrzymał „Izrael“? — Czy to „schody“ wiodące począwszy od wierzchołków drzew, poprzez szczyty wysokich gór aż do stratosfery, do tego nowego jestestwa, tylko

nielicznym, wybranym znanego? — Cyr! jesteś otchłanią; gdy w nią zaglądam w głąb ku dnu — do staję zawrotu. — Coraz intensywniej — coraz silniej — dniem i nocą — dniem i nocą — huczą i warczą motory mych myśli, mego serca, mych myśli, mego serca — zarzucam pasy transmisyjne na wszystkie zdarzenia, na wszystkie godziny —: tętni i warkoce aparat życia, maszyna sprawna, rozległa, mocna — — o Cyr!! — —

— — — — —
Tak jest: to znaczy jest tak: to wszystko co od przełomu trwa i rozwija się — znachodzi tę niezmiernie ważną pożywkę — nową hormonizację — — przerwa trzymiesięczna, tak zwany luźny kontakt — cóż to znaczy? nic! — Te sprawy dokonują się i dojrzewają wewnątrz; tam układają się dokładnie, tam jest wiadome wszystko, zanim wogóle jest wiadome — w tym etapie, tym dalszym! — i znów powraca i rozkoszą się staje stan zapłodnionej macicy, ciężarny się staje myślami, kształtuje się morula, wizjom rosną członki i rozwijają się — zapłodniony, ciężarny, porodzę!

Kiedyś napomknął o tym, za ledwie muśnięciem napomknął w liście do miłego przyjaciela — a ten wiernie odzwięknął jak czuła struna; jakże ochoczo i radośnie drżą litery twego porządnie pisanego listu; przyjacielu, temperatura twego organizmu myślowego jest harmonijna:

— — — — —
— te parę słów, które mi pan przesłał w zaufaniu o nowej pracy swojej to wielka myśl. Ależ tak: hormonizacja, tonizacja, czy jak się to zwie, czy

zwało. Konieczność, chleb powszedni, świętych obcowanie naskórka wybranego z drugim naskórkiem. Poematy pisać na ten temat! Przecie to są rewelacje. Tylko, że kretyny i zwyrodnialcy najróżniejsi zapaskudzili te rzeczy i pozyskali dla siebie policjantów, iżby nie pozwolili o nich mówić i pisać publicznie. Grzech! Pan bóg nie chce, żeby ludziom było dobrze, żeby się sobą cieszyli i uzdrawiali i potęgowali w sobie siły. Niech pan przeczyta, co wypisuje i wypisuje taki kretyn Mauriac w „conscuspiscence“, jak gdyby ta conscuspiscence nie była najlepszą częścią człowieka, samca psiakrew! Czy pomyślał pan już kiedy o tym, że wielcy twórcy religii i moralności wszelkich to kawaleria, unikająca kobiet, troszeczkę, powiedzmy inwersyjnie czy perwersyjnie usposobiona i narzucająca swe chore perwersje ludziom zdrowym, jako moralność? Nietzsche zrozumiał kłamstwo tej moralności. — — — — —

— otóż siedziałem kiedyś nad robotą. Łeb był pusty, wie pan, jak piec, który nie ma „cugu“. Robotą była pilna, terminowa. Palila się na biurku mała lampka, byłem odwrócony do drzwi tyłem. Nie dośłyszałem, że podeszła do mnie przyjaciółka żony (byłem w domu sam!). Wyciągnąłem ramię, objąłem to, co przy mnie stało, tak jakoś na odczepne: nie przeszkadzajcie, idźcie sobie z bogiem. Ale ramię jakoś spostrzegło inny kształt, inny gatunek marmuru, czy czegoś tam, zagarnęło mocno, przycisnęło do siebie poza świadomością, pieszczotnie, czysto i grzecznie, jakieś usta wilgotne znalazły się przy moich i w następnej chwili uciekły, wystraszone. Ale, miły boże, jak cudownie ruszyło wszystko

z kopyta! Jak ślicznie zadudniła krew w żyłach, jak pojaśniało w głowie! Pisało się odrazu jak wszyscy diabli, a potem przyszła refleksja, że we wszystkich Babilonach, Rzymach i Paryżach, gdzie tętniła wysoko myśl, gdzie sztukę rozsądzało uczucie, tam była też „rozpusta“ jak zwyrodniała banda moralistów zwykła to nazywać. Czytałem potem listy Abelarda i Heloizy i dziwiłem się szczerości mniszki, że nawet podczas mszy świętej przepowiadała sobie w duchu i w ciele to wszystko, co przeżywała z kochankiem Abelardem, zanim go trzebieńcy wytrzebili. Hormonizacja?! tak! to jest wielka myśl! (— tu zdanie zbyt pochlebne przeczytał Cyprjan szeptem myśli —). Tylko walić w te zmurszałe mury jerychońskie, niech się to wali i niech ludzie w Polsce zrozumieją wreszcie, że nic niema piękniejszego nad prawdę! —

— — — — —
A cóż wtedy było prawdą? — tu jednak jasność pamięci nieco zawodzi; przez gąszcz trzeba się przedzierać — — na widnokregu retrospektywnym jest nieco jaśniej — — więc: przez autentyzm ku syntezie — — właśnie w tej chwili, godzina popołudniowa, idzie do tej Irki, wyprowadziła się z pensjonatu; drogo, mówiła, zdzierają; ciągle tylko portmonetkę w ręce trzymaj; mąż dostał nowy przydział z ramienia ministerstwa do Kalisza; niby inspektor; od koni; czy coś w tym guście. A ona na Służkiej mieszkała. — — Tak mimochodem; kiedyś urzynał się Cyprjan z Wypiszczykiem (ciągle on!); wsmarowali się rzetelnie; zwierali się sobie bardzo głośno przez bardzo gęsty opar — jeden drugiego prawie

nie widział — co się twarz bliźniego swego tępym uporem znalazło już się mgliła, rozlewała, ginęła, nie było na to żadnej rozumnej rady — Łukasz opowiadał, że we wczesnej młodości z kurami, mieli takie ładne kury, ojciec je do restauracji sprzedawał i tuczył najpierw potem sprzedawał, duże, ładne kury, to te kury Łukaszek chwycił, do drewnitni z nimi i tam dopiero w te kury; — bardzo się temu wybrykowi sprzeciwiał Cyprjan, że co to w pierze, sensu niema, wariactwo czyste; jak już sodomia, to żeby choć coś w futrze — pantera dajmy na to; to i owszem, ale żadne ptaki — — nie pogodzili się, każdy przy swoim obstawał, więc wypili jeszcze kilka kieliszków, mieli dość, a potem poszli do notorycznej znajomej Łukasza, kurewki tego rewiru, pięknej Dory Lichtenstein; niezwykle zmysłowa jej uroda; zębami zgrzytać! — wargi twarde, wydęte; piersi duże, jędrne na sztorc; spód brzucha fenomenalny; pośladki — bić i wyć! — Ale po pijanemu na nic; przynajmniej Cyprjan; — czarną kawę pił i patrzył — siedziała naga, wspaniała, wampirowa, lubieżna — każdy ruch jej ciała krzyczał: rozkosz! — Jak tam od tej Dory wyszli tego już nie pamięta; lecz pamięć płciowa zapamiętała sobie uroczą samicę; tę Dorę; trwała; była obecną; dzień i noc; chociaż się o tym nie wiedziało; niema tu zresztą nic „do wiedzenia“; to zupełnie co innego; w innym miejscu. Gdy się szło na tę ulicę Ślucką zawsze się wpadało na Dorę, na jej wabiące oczy, na ten psiakrew, wypięty kuper. — Cyprjan zachodził często od ulicy Piękną na tę Ślucką; na Piękną mieszkają przez jakiś czas niebieskie, czarowne oczy: Mila. Spotykał ją rzadko i zawsze w towarzystwie

oficerów; tyle tylko, żeby w mijaniu powolnym zapamiętać tę twarz, odpomnieć: oczy, usta, zęby; poza tym była zbyt zwiewna i tylko ta zwiewność odbiła się na kliszy — nieco bezkształtna i nazbyt dziewaczyńska, typu: mimoza, wogóle coś nierealnego.

A realnością w tej chwili, rozległą biodrzastą realnością była Irka; nazywał ją też Świtcz. Wyzdradził kiedyś to przezwisko Rzykowskiemu — naco tenże opryskliwie i z wzmożonym drzeniem dolnej szczęki syknął:

— chciałby pan zamaczać palec w tej Świtczy —
— może —

Rzykowski trzasnął książką w stół, odwrócił się, wyjął z kieszeni grzebyk i począł przed okrągłym lustrem zawieszonym przy oknie zaczesywać skrupulatnie przedział na środku głowy.

Irka całe popołudnie, gdy tylko z biura wróciła, leżała na otomanie (przeważnie w białej sukni); siadał więc przy niej; gadali; to były bzdury. Stale opowiadała o jakiejś maskaradzie, że na niej była przebrana za marchew, słowo daję taki kośćtium — ruda peruka, zielona suknia na tym gipiura i to takie strzępiaste jak właśnie liść marchwi; że jej było ślicznie, cudnie! i wogóle było ślicznie na tej reducie. Potem o przyjaciółkach petersburskich — jakiś pułkownik Mikołaj Taratjew straszył wciąż, wszędzie go było pełno; piękny Niko. I tak tym trybem. I takie też nazwiska się jej tylko trzymały, z kiepskich wiecie, powieści, bo już ten Taratjew jest dobry i że Mikołaj i że pułkownik; a zaś przyjaciółka: jedna: Pelagia Kokoszkiewicz, druga: Eulalia Tuczeńska; inne podobnie; słowo honoru trzeba dać, że to praw-

da; nawet się znużył zapewniać ciągle, że naprawdę i, że się nie żartuje. Sporo też Mickiewiczów; to już poważniejsza afera; — ale znów Tabaćkiewicz, Koziebrodzki, Polskadroga, Białapani, ten to na imię miał Abraham (jak Lincoln), a potem roje Komarów i masę Żab; miszmasz; — a co kilkanaście zdań. jeśli ktoś czymś niesympatyczny to „żulik“. — A gdy ktoś wieczorem n. p. ten Tabaczkiewicz (Leonard) zaszedł i przyłasił się o kieliszek gorzałki (deputatowy spirytus) to:

— perswaduję w ręce pańskie —

— bynajmniej —

To było zdumiewające; i to miało specyficzny dźwięk.

Podczas nadciągającej burzy — pierwszej, rozpromienionej burzy wiosennej, uklękł nagle Cyprjan przy szeszlangu (pomyślał: „znów głupstwo! i poco ja to robię? cóż za idiotyzm!“) — Irka jak zwykle leżała i jak zwykle w białej sukni — począł obcałowywać jej ręce i — ku wargom! ciągnęły tą nieforemną asymetrycznością, a ona: „nie wolno!“; — wycalowali się gorąco i długo; w szczelinę przerw wbijała klinik szeptu: „nie wolno“. Więc znów się całowali. Taki był początek. Odtąd nazywało się „nie wolno“ lub „burza idzie“ — ; — no i co? i na co? — bez sensu i bez celu i wbrew rozsądkowi; wszystko w niej było mu obce; same przeciwieństwa; antypatyczne wszystkie; bo i ta jej kresowa, rozrzutna ojczyźnianość, i uwielbienie Rosji carskiej, pyszałkowaty arystokratyzm, pogarda dla chłopów, to był motłoch, to było bydło, to były „hady“; —

przy niej konstruowały się myśli myślom jej przeciwnie, wrogie i kłótniwe; przysłuchując się jej zdaniom i wywodom, patrzył na jej denerwujący układ warg, uśmiechał się do nich, mrużył oczy pieszczotliwie, a wewnątrz w mózgu roily się obelżywe sądy: jakaś ty głupia, jakaś ty bezdennie głupia, chyba najgłupsza na świecie! — Czasem sam coś mówił; rzadko; wstydział się każdego zwrotu śmielszego, do ciekliwszego zdania; mówił pusto i głupio, bez jakiegokolwiek władzy, bez cienia wiary, że to do niej trafia, że rozumie, że to może jakiś wpływ na nią wywrzeć; była nieinteligentna, uparta, konserwatywna w drobiazgach; poza drobiazgami zaczynało się dla niej groźne i znieawidzone libertyństwo, sankiulotyzm, jakobinizm; dekabryści i bandyci to dla niej pojęcie jedno! — więc: to nie jest do wytrzymania! — Poezji nie cierpiała; dla poetów żywiła pełną pogardę; uznawała tylko tych, którzy byli z brązu; nie wierzyła, żeby żyli żywi, — że i ci z brązu musieli kiedyś żyć? — to tak dawno! Kto to wie jak to tam było! — Cyprjan nie czytał jej nigdy nic; tyle delikatności dla siebie miał! — Pisał teraz dużo; pełno w nim było obrazów — nadawał im kształt; pracował, uczciwie pracował. Stała się dlań Irka wspańiałą muzą; muzą kontrowersji i kontradycji. Była uosobieniem wszystkiego dlań niemożliwego i antypatycznego; działała przez konieczność zaprzeczenia i przeciwstawiania się; abominacja podniecona seksualizmem stawała się elementem twórczym. Wszystko czego nie znosił i nie cierpiał: miastowość, mieszczańskość, płycizna, wizyteczki, bywania, idejki na miarę modniarki — skupiało się w niej w sposób

doskonały i nieodwołalny. — Żył i tworzył przeciw niej!

Seksualnie była cudakiem; do stosunku fizycznego miała obrzydzenie. Lubiła tylko pieszczoty w ubraniu; bez odsłaniań się; — to było obraźliwe i denerwujące; po prostu lubiła wzajemną onanię w formie ocierania się o siebie. Można i tak; bycie nie długo, W tych igraszkach ceniło jej ciało zmianę miejsca; bywało, że cały tydzień ani jej tknąć, dopiero w sobotę (angielską), do Wilanowa; tym roztrzęsionym niesamowicie natłoczonym, pełnym zirytowanych, niecierpliwych ludzi, samowarkiem: do Wilanowa. Ścisk, to był jej żywioł; to jasne! — I tam, w tym rozrosłym pałacu wskrzydlonym w szpalery i wirydarze — gdzieś między biurkiem ofiarowanym przez papieża Janowi Trzeciemu za defiladę pod murami Wiednia, a jakimś czaprakiem tureckim — przy ścianie — wzajemne obmacywania, prędkie, na chybicka, mimiczna wersja obłapki — lecz zawsze ze skutkiem; gdy się oparła mocno pośladkami o ścianę — orgazm następował u niej szybko. — Cała ta historia miała z jego strony charakter pociągu zaciętego i zawziętego: wyodrębnienie (niejako) witalizmu; dla niej było to, zepchniętą na dalszy plan, funkcją, jak kichnięcie; jak swędzenie, którego się trzeba pozbyć podrapaniem; było w niej coś ptasiego w tym wszystkim; szybko; w przelocie z gałązki na gałązkę; potem strzepnąć nasrożonymi piórkami i już: ćwierk, ćwierk; tak też otrzepywała i wyglądała suknię, obciągała bluzkę, poprawiała fałdy i już: stworzona jestem na panią takiego pałacu; może byłam kiedyś królową Marysienką? na

pewno byłam! — To były jej manie — ; — kiedyś zimą pojechali sankami przez Ujazdowskie do Łazienek; trochę wzmówienia, a była szlichtada; rysaki; dzwonki; oszronione siatki na koniach; on w szubie; ona w szubce i kołpaczku! hoc — hoc! Kulig i t. d. dzień — dzień — dzień; jej się marzyło: Kmicic i Cleńka; on obliczał ile ten potwornie gruby dorożkarz z żelaznym numerkiem na plecach 348 — trzy plus cztery plus osiem równa się piętnaście — taka liczba nic nie mówi — a taki drań to zaraz amory wywęszy i płąć, a taksy dawno diabli wzięli, miliardy przecie! — ; w Łazienkach spacerowali po zaśnieżonych ścieżkach — przed pałacykiem przystanęła Irka obok rzeźby fauna — wsparła się romantycznie o cokół i wychuchała (bardzo było zimno); „dusza moja czuje się tu jak u siebie w domu; ja napewno tu mieszkałam; już wiem: byłam panią Grabowską“. Poprosiła go, żeby odszedł pod pałac i po chwili wyszedł ku niej jako król Staś. Większe dla kobiet robi się głupstwa. Zrobił czego żądała. Pomyślał: wariatka; i dodał: ale to nic. Po chwili wyszedł sprzed bramy — rozglądał się wokoło: gdzie jest ta Grabowska? — szuka jej oczami — ach! jest! uradował się, uśmiechnął; przyspieszył kroku — wyciągnął ku niej ręce i zaszeptał namiętnie: pani! a Irka Grabowska ukloniła się dwornie i rzekła: czekam na ciebie, najjaśniejszy panie; król Cyprjan: maleństwo moje bardzo zmarzło? — sprawy państwa zabrały mi tyle czasu; Irka Grabowska: serce mnie grzało. Król Staś pomyślał: ten dorożkarz czeka, to ważniejsze, że on czeka — ile se taka cholera każe zapłacić? — Istotnie kazał sobie zapłacić masę pieniędzy: kilka milio-

nów. Gdyby Cyprjan nie miał wrodzonej nienawiści do „tyranów“, byłby jej nabrał tego dnia mroźnego.

Tęsknił bardzo do Wisi — myśl o niej była wytchnieniem, to była myśl wygodna i zaciszna; poddawał się chętnie omamieniu — wiedział przecież, że zbliska wszystko jest inaczej, świadom więc był stanów zapalnych, które wybuchały zawsze i wszędzie na pograniczu imaginacji i powszedniości zjawisk. W strefie tej zakażnej był Cyprjan napewno człowiekiem chorym. — Od pewnego czasu pełen osamotnienia i depresji, zmęczony pracą nikomu w tej chwili na nic zdatną, jego tylko udręczającą wzlotami i upadkami, egzaltacją i niepewnością, wiarą i pychą, znikomością, poczuciem nicości, brakiem wszelkiej ufności w potrzebę i wartość tych myśli, tych strof, tych kart, tych fragmentów — — wchodził schodami, niemożliwymi schodami na piętro, na drugie, na trzecie, na czwarte, na piąte, — do Irki — odczytywał i namawiał te stopnie nieprzyjazne; na jednym mówił Wi na drugim sia — ; tak szedł: wi—sia. wi—sia — na piąte, strome, bezużyteczne piętro. — Pod chłód wieczora wносиła Irka lisie boa na balkon do wywietrzenia — „tyle tu tych molí wszędzie“; — tedy wisiał rudy puszysty ochłap żywego, sprężonego, leśnego życia; żałośnie zwisał ogon i łapki płaskie i pyszczek, który stał się już tylko mechanizmem, zatraskiem, utrzymującym kształt należy na ramionach samicy dwunożnego zwierzęcia; samice pitekantropa łączą w sobie harmonijnie bezmyślność z okrucieństwem; są to samice złe; głupie. — Smrodliwy, pylny wiew miejski srożył

włosy zdartego z mięśni futra i wypłaszał resztki leśnego, żywicznego, dzikiego zapachu; skóra była już zupełnie trupia, cuchnęła naftaliną i kloacznością miejską. — „Piękne futro? prawda?, to lis z Litwy, do każdego kostjumu się nada i zawsze jest twarżowy i awantażowy“ — tak rzekła Irka. Cyrprjan wsparty o balustradę przewycięzał gwałtowny lęk przestrzeni, z trudem mógł patrzeć z tak wysoka; nie odpowiadał. Irce teraz przyszedł zabawny pomysł do głowy, coby to było, gdyby ludzie mieli ogon — to byłaby komedia istna i heca, nieprawdaż?, różne byłyby mody, toby się go nosiło wysoko, to znów na ręce z gracją, raz z kokardkami, raz bez. — Rudy zachód skośnie wcinający się w kanion ulicy wydłużał niepomierne cienie. Na przeciwległym trotuarze leżał płasko ten balkon z dwoma postaciami i lisim między nimi futrem. Ta część miasta była ciemną norą, kamienną; wiał nią przeraźliwy smutek; bolesna, wyjąca żalność. Irka wycofała się ku ścianie; unikała słońca; bała się piegów. — Nieprawdaż, mówiła, a coby w wojsku robiono z ogonami? czy też by musztra była jaka: ogon w prawo! — śmiała się głośno i też tak tą prawą stroną ust — w szerokim rozwarciu warg widać było czarny otwór, brak jej było dwu tylnych zębów, tak tego nie było widac, dopiero gdy rżała śmiechem; nieprawdaż, zakochani mogliby się porozumiewać ogonami — ? — Dnem kanionu przeszła w tej chwili, wypięta piersiami i tyłkiem, szybko, sprężyste urocza Dora, jurna, chutliwa menada — każdym ruchem ciała siała żądę i pewność piekielnej, zatraconej rozkoszy. — Kroczyła ku temu cieniowi balkonu i już w tej chwili

w Petersburgu (Leningrad dopiero się robił) agromię; specjalność: hodowla tytoniu. Z tą też wiedzą przyjechał do Polski, aby za protekcją Władzienia (wpływowy już wtedy krewniak, późniejszy minister) posadkę intratną załapać; z tym Władziszuzniem tośmy, opowiadał, niejedną białą petersburską noc przebalowali, elegancki człowiek, tancerz znakomity! — przypomnę mu jak my przez Newski Prospekt rysakami — hulaj dusza! — ech, było życie w Pitrze, było.

Tam to nad znaną z licznych i pięknych opisów Newą — poznał córkę dostawcy Jego Cesarskiej Mości — u ojca praktykującą i pięknocią swą będącą specialite de la mezone sławnego — w dworskich sferach *établissement* kosmetycznego; szlachta to była znamienita, majątek rodzinny posiadali jeszcze, słupy graniczne i kopce Porohokotyceńskie były również kopcami i słupami Podlibliszek — a to była właśnie wieś ojca pięknej Irki, ale to na nią padało, jedynaczkę. Oboje byli skuzynowani ze sobą, poza tym oboje, oczywiście, krewni Mickiewicza, ten po mieczu, a ta po kądzieli; czy też odwrotnie; ale to wszystko jedno; zresztą „kądziel“ to zgrabne i obrazowe wyrażenie, miecz natomiast ani jedno, ani drugie; za ostre to. — Poznawszy się bliżej — po brali się młodzi. Dobrze im się działo — lato na wsi we wspólnych dobrach raz w Porohokotycach, raz w Podlibliskach — zima obowiązkowo w Petersburgu. — Aż tu, psiakrew, bolszewicy; — wszystko jak w kronikach owoczesnej burżuacji, więc i jedno hasło: wiać! — wiać do Polski, matki rodzonej, ojczyzny naszej, kochanej; ona wierna przytuli, da

papu i dziniei — Brylanty powyłupywali z czego ino: z pierścionków, branzolet, broszek, szpil, diademów i poukrywali gdzie się tylko dało — on, romantyk (Farys-Tadź Ulfchr Rzewuski to też ich krewny!) połknął swój przydział, ona ukryła w tajnikach bielizny i swego — jakże pięknego — ciałka; do wieźli; żyli z tego; zresztą majątki im nie przepadły, były po tej stronie — tyle, że zrujnowane, spalone, zniszczone przez znieawidzonych „hadów“. — Kręcili się i wiercili, państwo Powołowicze, za posiadkami; dreptali, uśmiechali się, wyliczali kto gdzie kogo kiedy rodził; ten powinowaty, tamten kuzyn, a znów tu i tam chrzestny i chrzestna — no i posadę oboje dostali, w różnych coprawda ministerstwach, on w ministerstwie rolnictwa, ona sprawiedliwości (języki znała ekspedite); ale pieniądz był ten sam; dużo tego pieniądza, kupy, masy, zalew! — zdewaluowane marki — miliony, miliardy! — ludzkość żyła w astronomicznych odurzeniach; fajnie było czasy! raz jeden w życiu było się milionerem!

Państwo Powołowicze mieszkali u tej pani Schoenowej o ostrym nosie, małych oczkach i obwisłych piersiach.

Znajomość zawiązała się luźno przy obiedzie, w okresie, gdy już oboje — i pan Marian Alojzy i pani Irena mieli w ministerstwach posadę — więc też razem o godzinie czwartej obiad jedli i z tymi tam: Rzykowskim i Cyprjanem.

Pani Irena była wcale wysoka, właśnie raczej wysoka, smukła; charakterystyczny był jej chód: cała postać skośnie pochylona ku przodowi — wysunięte więc piersi, wypięty kuper; wdzięk w tym

ku głowie cyprjanowej; na odłam sekundy znalazła się ona pomiędzy przekraczającymi ją stopami tej wspaniałej, rubensowskiej dziewczki. Cyprjan poczuł silny zawrót we łbie; lęk przestrzeni kazał mu zejść z balkonu. Teraz już tylko skóra lisia rzucała cień na mur przeciwległy. Powietrze było coraz czerniejsze.

Nastawienie pisarskie Cyprjana układało się w tej epoce prawem wszystkich kontrastów po stronie przyrody, ziemi, prostoty, pokory franciszkańskich biedaczyn. Równocześnie poezja rozpałała się groźnie i żarzyła jak lont w olbrzymiej prochowni pod wszystkimi miastami. Podminowane metropolie świata:

*proch i dynamit pod wami!
materializmu kres!!
— zerwie się wichur i burza
w ogniu się serce unurza
w rewolucji!
w bezdeń bezwrotną upadnie
dziś wasze głowy tak ładnie
zdobiący żelazny kask —
— upadną feudalne blanki,
kościoty kupczące i banki
krzyczące klombami róż —
rotszyldy, upiory i trądy
dzień wtóry wezwie na sądy
na sądy
i pośle na szafot
pod gilotyny nóż — —*

Wymowa nieba i ziemi, drzew i łąk stawała się decydująca; rzucała urok, szaleniznę, zatracenie się w tym miłosnę do ostatka. Przyroda jako jedność — człowiek jako zjawisko przyrodnicze — poeta: mowa i muzyka globu!

Poematy, które wydawał zwracały uwagę niespodzianą świeżością; pisał je jako odetchnięcie głębokie, jako samolecznictwo — nocami je pisał po powrocie od Irki. — Złość, gniew, powściągliwość drażniącą, nonsensy i głupoty — to wszystko zostawało u niej, z nią, w niej. — Wracał lekki, radosny, unoszący się i świetlisty; był poetą poza sobą, poza człowiekiem w sobie (— jeśli to możliwe —) — —

— ale pan to otrzymuje tych listów, poza zdrościć —

(trzy listy otwarte leżą na nocnym stole)

— owszem dość sporo —

Nering stał w drzwiach — i te nogi takie, ku sobie, jak zawsze — i uśmiech sfinksowy też ten sam. — Niechce się teraz gadać; więc ten czwarty list od dalekiego podsandomierskiego przyjaciela, od Mariana, teraz właściwie należy przeczytać. To całe rozprawy te listy; pierwszorzędna lektura; listy, które są zawsze wyczekiwaniem i radością. I czuć też tak. Po kilku zdaniach osobistej natury: „ślę dziś panu kilka fantastycznych stron” — pandany do „Wieści z Nikąd” (Morrisa):

LEKCJA HISTORII DLA DZIECI W ROKU 5047

Posłuchajcie dzieci o przeszłości dawnej, bardzo odległej od nas. Powiem wam coś o epoce ustro-

ju kapitalistycznego i strasznych rzeziach ludzkich zwanych wojnami. Były to początki wieku dwudziestego, zwanego przełomowym lub zwrotnym. Przejdźmy do biblioteki i oglądajmy ówczesne obrazy — dźwiękowe. Przypatrzcie się temu: to nazywało się rewią wojskową. —

— a czemu oni wszyscy jednakowi i ruszają się jak zęby maszyny do strzyżenia? —

— to dlatego, że byli tak tresowani w pewnym wieku i nosili tak zwane mundury —

— a nie było im to niewygodne, tyle żelaza na sobie nosić i takiej ilości guzików? —

— zapewne, jednak niektórzy byli w tym rozmiłowani i im więcej widzieli ludzi jednakowo poruszających się, tym większą okazywali radość —

— a poco ich tak ubierali i tresowali? —

— na to, by zabijali się wzajemnie —

— niemożliwe!! —

— tak było, bo ludzie dzielili się na narody i państwa, wzajemnie się nienawidzące i dążące do zguby wszystkich, oprócz siebie —

— to oni byli chorzy —

— chorzy i to ciężko na chciwość, manię wielkości i chęć rządzenia innymi —

— a ci co stoją na boku, inaczej ubrani, kto to? —

— ci nazywali się publicznością cywilną i byli w pogardzie u mundurowców —

— a dlaczego ten człowiek na plecach jest skrzywiony? —

— takich nazywano garbusami i śmiano się z nich, przez co stawali się złośliwi. Nieznano wtedy

racjonalnego kierowania życiem, przez co ludzie w większości ogromnej byli nieszczęśliwi i nawet sami sobie zadawali śmierć. Nieliczni posiadali wielkie zapasy środków życiowych nagromadzone, by rządzić innymi, którzy tych środków byli pozbawieni —

— a poco im to było potrzebne? —

— na to, by mogli sami używać wyszukanych a przez to nudzących ich uciech, które trzeba było ciągle zmieniać i nowe dla nich wyszukiwać, a także by im oddawano cześć i honory odpowiednie do ilości posiadanych środków życiowych —

— i za to ich czczono? —

— tak, bo chcieli nieposiadający otrzymać w ten sposób, choć małą część stworzonych przez siebie środków życiowych, od posiadacza kapitalisty, zabierającego im wszystko i przymuszającego ich do nadmiernego wysiłku, by tych środków dostarczyli —

— a czemu się oni na to zgodzali? —

— bo musieli. Istniały uzbrojone armie i rządy ludzi pysznych a głupich, które czuwały, by ogół był stale w nędzy, peniewierany i zastraszany a garstka ludzi złych, chciwych, przewrotnych, by miała wszystkiego za dużo —

— a tu co to stoi za dziecko z nóżkami w kółko wykrzywionymi? —

— to przez zaniedbanie i nędzę, takich dzieci było wiele — inne okropnie wyglądały. Nie znano wtedy naszych mieszkań w powietrzu, z możliwością regulowania wysokości, ani naszego słońca w ilości każdemu dostatecznej — brak było pokarmu dla dzieci i dorosłych. Dorośli i dzieci zjadali jeszcze

wtedy ciała zabijanych okrutnie zwierząt. Nie znano jak obecnie milionów odmian owoców i kwiatów, jakie nas otaczają. Nie umiano kierować prądów życiowych w ciełe ludzkim, ani budować życia fizycznego i psychicznego. Zdane były losy człowieka na przypadek, głupotę i złą wolę innych ludzi. Wtedy istniało słowo zachwycające ludzi i odurzające, dziś nieznane, zwało się szczęściem, przeciwstawne niieszczęściu, biedzie, cierpieniu, które dziś też są dla nas niezrozumiałe, bo już dawno wyszły z użycia. Nasze zwierzęta są o wiele w lepszym położeniu życiowym i zadowoleniu, jak ówcześni ludzie, którzy niewolili zwierzęta, zamęczając je i wyzyskując. Patrzcie jak zwierzęta wtedy wyglądały. Widzicie to niezdarne na czterech kołach pudło, do którego przywiązany rzemieniami koń. Musiał ciągnąć pod razami bata, niedokarmiony, chory aż upadał i zdychał zamęczony —

— to niemożliwe, by ludzie byli tak niemądrzy. Przecież dziś mamy tyle zwierząt i tak o nie dbamy, o ich mieszkanie, ruch, wygląd, pożywienie i wcale ich nie zabijamy ani męczymy. Niektóre już mówią, umieją się ubierać i obchodzić z naszymi urządzeniami. I nam i im z nami dobrze —

— choć to nieprawdopodobne, jednak byli ludzie tak nierozsądni, oprócz wyjątków. Wtedy ludzie i zwierzęta w ich niewoli, chorowali. To był stan zupełnego zaniedbania życia. Dziś w wypadkach zaniedbania, możemy w małych rozmiarach to obserwować przez moment, dopóki nie ureguluje się prądów. Wtedy ludzie umierali często w dziecięcym wieku, nagle, z powodu wypadków a także masami wzajemnie siebie zabijając, lub ginąc od mi-

krobów, albo wylewów rzek, z którymi nie umieli sobie radzić, podobnie jak z burzami w powietrzu i na morzu. Uzależniali te rzeczy od tak zwanego boga, któremu stawiali murowane domy, większe od swoich i ozdabiali wewnątrz złotem. My dziś zajmujemy się sprawami planet i życiem na nich, więcej i skuteczniej, niż wówczas zajmowano się losem ludzi. Co więcej głoszono bezmyślnie, że ludzie zawsze zostaną równie dzicy jak wtedy. Spisywano wówczas jako najważniejsze wypadki, wymordowania wzajemne setek tysięcy ludzi, zwane wojnami; uważano że gnębienie oraz zakres i szerokość terenów gnębienia ludzi, stanowią fakty najważniejsze. Nazywali to historią, łącząc ją z zapisywaniem dat różnych okrucieństw i nazwisk ludzi, którzy je dokonali. Największym okrutnikom i ciemnocą stawiali z kamienia i brązu (epoka brązowa) pomniki, pomni ich okrucieństw. Ale już wówczas a nawet dawniej, zjawiali się wśród ludzi osobnicy szczególnie, przeciwstawiający się głupocie i okrucieństwu ludzkiemu i tych ogół mordował ze szczególną zawziętością i nienawiścią. Takich zwano poetami lub prorokami. Dziś ten typ ludzki hodowany umiejętnie i czczony, spełnia swą piękną rolę posuwania sprawy światów. I dziś różnią się poeci od innych ludzi, lecz nie muszą znosić prześladowań. Widzą i słyszą rzeczy, innym niedostępne. Dawniej w dwudziestym jeszcze wieku, przypisywano te rzeczy religii i uważano, że powinny być w zaćmieniu i mroku. Dziś, gdy je znamy z praktyki dnia powszedniego, nie możemy się nadziwić, tej ignorancji, lekceważeniu, niechęci, wrogości, z jakimi nasi przodkowie odnosili

się do powstającej wówczas nauki, zwanej metapsychiką. — Istnieli wówczas wielcy odkrywcy, lecz z ich odkryć robiono użytek najniewłaściwszy. W XIX-ym wieku Darwin spostrzegł zjawisko walki o byt w przyrodzie. Zaraz głupcy schwycili się tego odkrycia, by wysnuć z prawdy poznawczej, prawdę moralną, głupią i fałszywą. Twierdzili, że walka o byt obowiązuje jako zasada moralna. Zapomnieli, że obok walki o byt, istnieje prawo współdziałania w przyrodzie, bez którego życie chwili by nawet nie mogło istnieć. Z dwu biegunów formy życia, wybrali jeden, walkę i uświęcili. Był później inny wielki umysł, który zwrócił uwagę na względność stosunków między pojęciami. Zaraz durnie poczęli głośić, że wszystko jest względne a zatem nic pewnego. Inny podpatrzył mechanizm psychiczny podświadomości i trochę pobujał budując swą teorię skomplikowaną. Uczniowie przeszli mistrza. Chemia i technika bardzo się wtedy rozwinęły, na to by służyć panującym okrutnikom do gnębienia i możliwości mordowania gazami trującymi lub bombami ludów cywilizowanych i pierwotnych. Zbrojono się w panicznym strachu człowieka przed człowiekiem. Zakopywano się w ziemię głęboko, kosztowne budując twierdzę, oszukiwano się wzajemnie traktatami. Aż musiało to ludzkie szaleństwo pęknąć, zalewając wszystkich krwią. Nastąpił nowy ład a właściwie bezład. Chciwość osobista w odbieraniu jednym a przydzielaniu drugim, wystąpiła taka sama jak za kapitalizmu i dopiero po wielkich cierpieniach i ofiarach, wyzbyło się jej, pod wpływem poetów, pierwszych którzy rozumieli, że wyzbycie się chęci posia-

dania, zadaje śmierć walce o własność. Dziś nie znamy już słowa własność — zniknęły też słowa: wspólnota i komunizm. Pojęcie rządzenie znikło a z nim i słowo anarchia, tak straszące ówczesnych ludzi. Komuż dziś chciałoby się rządzić kimś, oprócz siebie? — Było wtedy coś zupełnie niezrozumiałego, że pewien minerał wzbudzał chciwość. Złoto, dziś wytwarzane w dowolnej ilości dla celów technicznych, powodowało wojny. Jakieś kamyki lśniące przez oszlifowanie, działały na wyobraźnię pierwotną tak, że za jeden wielkości orzecha, poświęcano tysiące istnień ludzkich. Ponad wszystko zapanowały znaki, uprawniające do nabywania środków życiowych a nawet, co najszczególniejsze, do zdrowia, życia, niemalże całego człowieka — stały się wszechwładne, zaborcze, wszechmocne, jakieś magiczne talizmany hipnotyzujące i paralizujące człowieka — nazywało się to pieniędzmi. Przed niszczycielską ich władzą można było ochronić się tylko człowiekowi-dziecku, wolnemu od chęci posiadania. Dziś, gdy istnienia inne od czuwa się również silnie jak własne, jest to nie do pojęcia, co za obłąd spowodził na ludzi pieniądz i jego panowanie. Hindusi nie czcili wówczas pieniędzy, lecz krowy i stali przez to o wiele wyżej od reszty świata — wydali Gandhiego. Czymże były nagromadzone po miastach hinduskich stopy łajen krowich, wobec straszliwie śmierdzących składów łajna, zwanych wtedy w Europie bankami i giełdą. Z tych kloak czerpali śmierdzący handlarze pieniądze na fabrykację broni, by ludzie wzajemnie się wyniszczyli a im handlarzom śmierci, łajna w bankach przybywało. Kierowanie zniszczeniem i śmiercią ludzi, zwano po-

lityką. Politycy byli wówczas najdoskonalszym wyrazem głupoty powszechnej. Wybory były idealnym narzędziem zabezpieczającym, by nikt uczciwy ani rozumny nie dostał się do polityki. — W tych czasach istniały ponure budowle zwane więzieniami. Zamykano tam zbrodniarzy cywilnych, za karę — zbrodniarzom wojskowym, jako masowym, dawano nagrody i odznaczenia. Przystępstwem nazywało się nieposiadanie pieniędzy i za to karano więzieniem. Ludzie nie mający pieniędzy a przymuszani do pracy, mieszkali gorzej od zwierząt, głodowali, byli brudni i okryci łachmanami. Był wówczas kraj żyzny w Europie, gdzie dzieci dwudziestu milionów ludzi, nie znały cukru, dobrego słowa i uśmiechu. Cukrem wyprodukowanym w tym kraju, karmiono świnie w innym kraju zamorskim. W krajach sąsiednich dziesiątkowano ludzi, na ludzi i nie ludzi, zależnie od pochodzenia. Tych nie ludzi torturowano, mówiąc że to potrzebne dla idei. Mimo głodu w różnych częściach świata, środki żywności, jak zboże i owoce, przy wielkim ich urodzaju, palono, by cenę podnieść. Ludzie mieszkali w dymnych chatach razem ze zwierzętami, a wielu wogóle mieszkań nie miało —

— dziwni byli wówczas ludzie, ani o siebie, ani o zwierzęta nie dbali —

— zato wyznawali naukę Chrystusa o miłości, z której nic nie rozumieli, fałszywymi objaśnieniami wypaczając jej treść. Przytym skłóceni byli od wieków o formy oddawania czci Chrystusowi, zajmując się głównie handlem tej czci —

— a co to jest handel? —

— dość trudno będzie ci to wytłumaczyć. Pamiętaj co mówiłam o panowaniu pieniądza. Otóż zamienianie na pieniądze wszystkich wartości bez wyjątku i określanie przy pomocy ilości pieniędzy, stopnia wartości, nazywało się wówczas handlem —

— to ówcześni ludzie niczego dawać sobie wzajemnie, bez pieniędzy, nie umieli? —

— niestety, nie. Trzeba było na to strasznych doświadczeń, zwanych rewolucjami, aby się tego pozwili nauczyć. Ale o tym opowiem wam innym razem. —

(d. c. n. zależnie od zainteresowania czytelnika)

Raz jeszcze odczytał Neringowi na głos ten list. — Z radością wsłuchiwali się w stąpania kroków po dalekich gościńcach bitych marzeniem, brukowanych wiarą. Lecz tylko takie gościńce materializują się.

No to — dziękuję ci panie Marianie.

Ulżyło!

Dnia któregoś pojechał Cyprjan niezmiernie rozklekotanym pociągiem do domu. Popędzał lokomotywę, lecz to niewiele pomagało. Ale dojechał. Zawsze się dojedzie. Wisia jak zwykle, jak teraz już zawsze: apatyczna, pochmurna, milcząca. — Lecz dookoła niej i domu i obejścia: ziemia! — Głos jej pełen archaicznych dźwięków dochodził do jego chciwych uszu: rozumiał go coraz lepiej; dotykał palcami jej ciepłego, rodzącego organizmu porośłego trawami i mchem —: wyczuwał drzenie jej ekstatycznego pędu i krążenia planetarnego, radował się, że jego świadomość

mość przejmując w siebie jej falowanie, że jest oto: człowiek, cząstka ziemi ożywionej na moment mały, że szuka sposobów barwnych i dźwięcznych, aby w krótkim istnieniu swą planetarność w świetle bliższych i dalszych gwiazd wyśpiewać i zająć za pieśń swą i znów z ziemią się złączyć na pokarm dla drzew i ziół —: zakwitnąć wiosną, a pszczoły zbiorą z kwiatów słodycz ziemi, zbiorą pył kwiatowy: plemnikową tajemnicę wiecznego życia.

Urlop był krótki, trzydniowy; trzeba wracać. — Przez te dni unikał pani Kle; — przed dniem wyjazdu późnym wieczorem mijał cieniem alei akacjowej stary lamus; w oplocie suchych sznurów dzikiego wina — był smutny i opuszczony. Pani Kle stała na werandzie ręką oparta o filar, posąg zastygłej rozpaczy; posiwiiała znacznie; zaczęła już budzić szacunek; to jest moment śmierci dla kobiety —

— murzyniátko mnie nawet nie odwiedzi —?—

(aż nim otrząsło, gdy to nazwanie zasłyszał; tak było dalekie; zapomniał już)

— znużony byłem, urlop krótki, jadę już jutro o świcie —

— wstąpić choć na chwilę, z córkami się przywitaj, Krysia się często pyta o pana Cyrprjana, Genia nie, mruk z niej —

W pokoju przy lampie naftowej nisko nad stołem zwisającej, uczyły się dwie panienki. Krysia wyrosła i wyladniała, Genia nalana i żółta, raczej zbrzydła, rękę miała zimną i wilgotną.

Pogadał chwilę; pożegnał się. Pani Kle odprowadziła go na werandę.

— kiedy znów przyjedziesz ? —

- nie wiem —
- bawisz się dobrze w Warszawie —
- bawisz? — bardzo mi to słowo obce —
- wiesz co myślę — — kobiety —

Zanim zdążył odpowiedzieć, zbladła śmiertelnie, w mroku rozbliła jej twarz jakby pokryta warstwą fosforu — górna warga poczęła drżeć i wydłużać się; klęknęła szybko z gorączkową sprawnością wyłuskała go z zapieć i warstw bielizny — poczęła jęcząc całować wnętrzem ust; palcami wpiła się w łydki — po chwili z chrapliwym zawodzeniem mokra i lepka, poczołgała się na kolanach ku drzwiom; zanim dotknęła klamki zciemniała nagle, wydłużyła się, ciało jej stało się walcowate i śliskie, z głowy jej wyrosły periskopy ruchliwych ocz—pełnie olbrzymi połyskujący gęstym śluzem ślimak — Cyprjan uciekł; w przebiegu zamajaczył mu w prostokącie opromienionego okna cień Geni przyciśnięty do szyb; oczy rozwarłe, nieruchome i nieprzytomne; palce lewej ręki weszła w usta i zaciskała zęby, gryzła, krople krwi ściekały z wargi ku brodzie, — prawa była opuszczona. Obraz ten natychmiast zasnuł się skorupiastą masą — dom zaczął kurczyć się i wydymać w kształt ślimaczego domu — — Cyprjan biegł szybko aleją — za nim posuwał się po żwirze drogi z monotonnym szelestem olbrzymi ślimak z kopcem skorupy na grzbiecie.

Ze zwichrzoną, wirami nakropkowaną siłą napiera na biegnącego strach specyficzny — zaułkowy, miejski strach... latarnia samotna — pustka — dalekie bielmiste okna kamienic... a to kłamstwo! nieprawda!... to tylko sto pięćdziesiąt kroków aleją

parku wiejskiego zasnutego rozdartą koronką liści klonowych...

Jak w czas naglej, skośnej ulewy — nakrył głowę płaszczem i biegnie z cieniem na wyprzodki — węszące periskopy oczu ślimaczych raz po raz uderzają w kark jak wrzące tętno wybluzgującej z rany krwi...

Dobiegł do domu zdyszany — zatrzasnął z hukiem drzwi i zamknął zgrzytliwym kluczem; — gęsta noc z szumem pełzającego czarnego zalewu okrążała dom; ocierała się o węgły i ściany.

Tych kilka godzin do wczesnego świtu spędził u Wisi; spał z nią w brudnym, boleśnie zakurczonym łóżku. Dopiero po zgaszeniu światła zdołał rozgrzać siebie i ją. Poomacku.

W Krakowie zatrzymał się godzinę; odwiedził synka; Jurek rozwijał się dobrze, rósł i sprytniał.

Po południu był już Cyprjan w Warszawie. Irka wyjechała równocześnie z nim z komisją (komisją) jakąś — wtedy, przed trzema dniami; dzisiaj miała wrócić; umówili się, że zajdzie do niej o ósmej.

W pensjonacie, w pokoju swym poczuł jakiś obcy zapach; perfumy, puder, mydło kwiatowe — kobieta tu była niezawodnie. Istotnie tak; — na te trzy noce zakwaterowała się nowa pensjonariuszka do pani Schoenowej; akurat nie było wolnego pokoju; dziś już będzie; żona jednego z byłych ministrów; rozwodzą się; dlatego ona tutaj, w pensjonacie, pan rozumie, kroki rozwodowe. — Spotkali się w kurytarzu; prześliczna! smukła, rosła blondyna; trzydziestka; najwyżej; cera równa, matowa; rumieńce. — Opowiedziała mu to, że właśnie nie było

pokoju, że to dawna z tą miłą Schoenową znajomość, więc wołała tu; przeprosiła, bardzo przeprosiła; ależ, cóż znowu, cała przyjemność po jego stronie, na prawdę, cały pokój nią teraz pachnie; ale ze mną to będzie gorzej; rozśmiała się mu blisko: figlarz! — i czy może jeszcze wejść do pokoju, zostawiła droż białgi; na chwileczkę; proszę; jeśli by nie było jeszcze pokoju wolnego; bardzo proszę rozporządzać moim — jest? — szkoda; — zabrała flaszeczki i mydło z umywalni, teraz przechyliła się poprzez łóżko, gmerała pod poduszkami: chusteczka i jakieś listy. Pozycja — wyprężone nogi, spad grzbietu ku nisko schylonej głowie, odsłonięty kark żywy i prężny — pełna gwałtownych pokus. Dotknął, pogłaskał nogi, kark — zaplątał palce we włosach jasnych i sypkich. Bardzo niskim basowym prawie głosem powiedziała całkiem spokojnie — tylko ten głos właśnie nagle przygrubiał z głębi krtani, od przepony, z tamtąd, z pomiędzy nóg —: no to chodź, prędzej! tylko mocno! — Dużo rozkoszy dała ta niespodziana, radosna przygoda. — Gdy się nieco ogarnęła, położyła się na łóżku nawznak; wypoczywała. Usiadł obok i całował jej oczy i usta, uwieczniał dłońmi jej wspaniałe kształty. Po długim duszącym pocałunku, przechyliła głowę sennym gestem i rzekła:

— ładny jesteś, taki smagły — zamknij drzwi — rozbierz się —

Spełnił skwapliwie życzenie. Podczas zrzucania koszuli — tym niezręcznym ruchem przez głowę — zamglil się nikły zarodek wiersza:

— pokoik taki maleńki
(lub: pokoik taki nieduży)



trzy kroki wzdłuż, trzy wszere
(tu niewiadomo jeszcze co),

— najlepiej ty o tym wiesz —

Wspaniały akt! — w kunszcie miłosnym pomysłowa, świadoma, dionizyjska. Nie mówili wiele — całkowicie pogrążeni w czynności ciał — porozumiewali się oczami, gestem, słowem zwięzłym, najpożrebniejszym.

Po paru godzinach przypomniał sobie, że przecież Irka czeka — o ósmej! — Zapytał odniechcenia:

— która to właściwie godzina — ? —

Miała zegarek fosforyzujący na ręce —:

— dziewięta —

— wyjdę jeszcze na chwilę — muszę, umówiłem się —

— ale wrócisz? —

— naturalnie — za jakąś godzinkę —

— pamiętaj, czekam; tu się sprowadzili jacyś tacy dwaj — sztrabancle — oblegają mnie od dwu dni, ale ja ciebie chce, całą noc chcę dziś być z tobą — pamiętaj numer pokoju dwanaście —

Przyrzekł.

Irka leżała w łóżku. Była zmęczona. Czekwała godzinę; przed chwilą położyła się. Opóźnienie było łatwo wytłumaczyć, koleje przecież kursowały tak nieregularnie! — Ucałował ją fingując nieco entuzjazm — poczym rozebrał się szybko (szkoda się dzisiaj wogóle ubierać, pomyślał, taki dzień) i bez zbytnich preludjów położył się na niej; nadspodziewanie chętnie przyjęła go w siebie; dlaczego dziś właśnie, a nigdy przedtem? — niewiadomo. Natychmiast zsunęła nogi i wyprężyła się pod nim jak

struna; ręce trzymała na piersiach — nie chciała ich odsłonić, wogóle koszulę zesunęła jaknajniżej się dało; nagość ją nie pociągała, drażniła raczej. Dość osobliwa pozycja dogadzała jej widać: kobiecość swą miała wysoko i nieco skośno (te wargi jej!); przylegała do niego ciasno i zwarcie. Ponieważ Cyprjan był zmęczony, pieszczota trwała bardzo długo; kilka też razy zachodziły jej oczy mgłą; w tych momentach podrzucała się bardzo szybko, nierytmicznie z wyraźną dbałością tylko o siebie. Trzeba było do brze uważać, żeby nie wypaść z siodła.

Leżąc pod nim zasnęła.

Zsunął się cicho, odział i na palcach wyszedł z pokoju. Długo musiał czekać w ponurej sieni na stróża; więc było już po dziewiątej? jedynasta już chyba — — dwadzieścia cztery godziny temu — — pełzała noc, olbrzymi ślimak czarny lśniący — — obrzydliwość! — — raz jeszcze zadzwonił raptownie — w głębi podwórzy rozległo się terkotliwe dzwońnienie — poczym skrzyp drzwi, człaplliwe stąpania; nareszcie! —

Na ulicy — na zbiegu dojrzał Dorę.

Szła podzwaniając obcasami sprężyste o flizy kamienne. Jakby wszystkie przygody miłosne tych dwudziestu kilku godzin były tylko pożądliwością myśli i snu, podnieceniem, pragnieniem; jakby nie było kobiet innych na świecie — tylko ta jedną, którą się chce, którą się musi mieć! — poczuł nagłą szaloną żądzę, natychmiastową, niecierpliwą erekcję — — Dora! — nie widział jej nawet całej — tylko te duże trzęsące się pod koszulą piersi, tylko

ten wydatny, odsadzony tyłek — ponad tym wszystkim, jakby w powietrzu, czerwoną ranę ust.

— dobry wieczór — mówi ta rana chropowato, bo to „r“ —

— dobry wieczór —

(gdyby ją można zaraz wziąć — tu — w zagłębie niu bramy, na ulicy, w rynsztoku)

— pan pewnie do mnie —

— naturalnie — dokogóżby —

— to proszę —

Wsunęła rękę pod ramię; łokieć dotknął kulistej rozkoszy i przycisnął się silniej.

— daleko pani mieszka — ? —

— ach, skądże, blisko bardzo (— chrr —)

Mijali ulice i domy.

(— jakaż wspaniała kobieta; pamięć odtworzyła ściśle jej kształty —)

Weszli w bardziej ożywioną dzielnicę.

(— dorodny owoc ziemi, żrały i soczysty —)

Zatrzymał się przed straganem; zdziwiła się Dora; co?; kupił dużo czerwonych jabłek, kilka olbrzymich pomarańcz i gruszek. Spora paka.

Potem już tylko na prawo; zaułek; brama; sień; wysoki parter. Pokoik wcale schludny, trochę zawodowy i hotelowy zarazem; właścicielka kocha się w kolorze czerwonym: narzuta na otomanie, kapa na łóżku, kilim nad nim — czerwone wszystko; i lampa w czerwonym abażurze.

— pan już był u mnie —

— może pani po niemiecku —

Ucieszyła się.

— bleiben sie die ganze Nacht —

— drobiazg. Zobaczymy —

Wyszczerzyła zęby z poza czerwonych warg. szczebiotała, gadała, pyskowała wesoło, ucieszenie; w przerwach zdań zrzucała z siebie część ubrań — a przestankowania te były jak duże opadające kwiaty: słonecznik koszuli, bladuróżowy gladiolus majtek, strąki akacyjne pończoch, czarne irysy opanków

Stała już przed nim naga, świetnie związana, smagła, zwalista nieco i zasobnie rubensowska, ziemiska i zdrowa — duże, jędrne piersi z ciemną sutką; silnie owłoszona; wydzielala zapach dziki nieco i zwierzęcy.

Chodziła swobodnie po pokoju, kołysząc się w sutych biodrach; pośladki wypukłe, naprężone, lśniły różowym odbłaskiem lampy.

Cyprjan patrzył zachwycony i odurzony przepychem jej kobiecości. Rzeczywistość odstrychnęła się od niego — odpadły miesiące i lata: wraca zagubiony dzień mitologiczny: szal i żywioł. Bez treści, bez obyczajności, bez komplikacji — pierwotność samal

Przypomniała sobie owoce. Zrozumiała to tak, że ten nieco dziwny i odmienny od innych pan, kocha się w kontakcie z owocami; różnych już fetyszystów znała. — Wyszukała za parawanem (czerwonym) dużą, lśniącą tacę — wspaniała na nią jabłka, pomarańcze i gruszki — ułożyła odpowiednio i podsunąwszy sobie tacę pod piersi podała mu je wśród owoców — najpiękniejsze owoce; wziął je do rąk, wypełniał ich boskim kształtem dłonie; głaskał i ugniatł — wsysał w siebie czar ciemnych malin, pasł wargi i zęby na śniadych wzgórzach pachnących zdro-

wym potem i żrałą kobiecością. — Radowała się jego smakiem na nią.

Obrała pomarańczę, wzięła kawałek do ust i karmiła go wśród ociekających sokiem pocałunków — resztę miazgi wycisnęła na siebie — ciało już stało się słodkie i pachnące.

Więc już całował ją całą.

Począł zrzucać z siebie ubranie — pomagała mu zręcznie — ułożyła go w łóżku.

— a teraz nic się nie ruszać — ja wszystko sama — Dorcia jest sławna z tego, że tak to umie, jak żadna — ty sobie leż spokojnie — a jak ci dobrze będzie krzycz, skucz i wyj — — ja to lubię, mnie to podnieca i robie jeszcze lepiej aż mi samej zrobi się, wiesz? —

Tak. Dora umiała dawać rozkosz z samego dna trzewi, z głębi żył i mózgu, rozkosz obłądną, kapłańską. Szaleńcza i zarazem hieratyczna ofiara u stóp Dionizosa.

Było pełno, radośnie, odprężająco. Zjawisko przyrodnicze o najwyższym natężeniu.

Uraz wielu nużących godzin zrodzony w owej nocnej ślimaczej chwili — odpadł, szaleństwa i głupstwa nocy i dnia były — przecież to teraz jasne! — wyzwaniem się; lecz wyzwoleniem była ta służka ciała, bachantka Dora.

Wyszedł od niej o szarym świtaniu. Kazała sobie raz jeszcze powtórzyć, że było „bardzo dobrze“ —

— pa, kochanku, słodki, pamiętaj, że byłeś u Dory, która jest nauczycielką i postrachem głupich żon i durnych panien na wydaniu — powinny mnie angażować na profesorską gaźę —

Śmiała się i klepała po pośladkach.

Nie chciało mu się wracać do domu. Powoli poszedł w stronę Krakowskiego Przedmieścia, na stare miasto, na Kanonę. Tam teraz na poddaszu mieszkały najpiękniejsze oczy świata; były własnością Mili; wiadomo. Miły zaciszny placyk, jedyne miejsce, które lubił w tym mieście; w szarej matowości przedrannej — wydają się teraz te dwa okienka jeszcze wyżej, pod samymi chmurami. Śni teraz ślicznym snem dziewczęńskim — marzy się piękna bajka o pięknym oficerze, co poszedł na bój za ojczyznę miłą z jej barwami na sercu. — Orotowa panienko z Kanonii śnij dalej — śnij do końca — zrozum się i spłoń i niespokojnie skercz pod dziewiczą kołderką pikowaną, bo oto piękny porucznik — twój mąż, twój mąż — dziwy z tobą zawstydzające wyprawia, między wiotkie nożęta się pcha — lecz nie broń się, nie, przecież to on i mąż twój i bohater, a jakże; — — a teraz, jak ten czas leci, sama jesteś matką sześciu oficerów — a to już czwarte pokolenie wykluło się, z pomiędzy twych ud — czwarte, albo i piąte, jeśli i napoleońskie wojny wliczyć — a potem pradziad w 31-szym, a dziad w 63-cim, a ojciec w 14-tym — — a twoi, piękna pani o modrych oczach, synowie — oficerowie będą znów marzyć o wojenkach, bo jakże to tak bez wojny? ani się czymś wsławić, ani odznaczyć, i z awansami zgoła żółwio — ot i źle wojownikowi bez wojny — ej! jak to na wojence la!lnie! — poezja! poezja! — — Uśmiechasz się orotowska panienko przez sen; — a ja tu mizerny, podły cywil, stoję na Starym Mieście, na placyku tym, na Kanonii i śpiewam ci balladę przed ranną godziną. Dobra-

noc! — Miłoby było pójść teraz z tobą za miasto obce i wrogie i mówić ci o sprawach naprawdę pięknych i dobrych — zobaczyć jak od tych „wieści z nikąd“ żrenice twe modre rozszerzają się i napęniają całą twarz, całą ziemię, całe niebo cudownym blaskiem zachwytu i entuzjazmu. Miłoby tak było pójść z tobą ścieżką wśród łąk oroszonych ku szumiącym lasom; i jakże byłoby szczęśliwie! Byłaby: wspólność, jedność i harmonia, której szukam na próżno, której nie znajdę nigdy — — więc: dobra noc Milo! Oby tobie było dobrze i najlepiej! —

Wracał zaludniającymi się powoli gromadkami robotników ulicami. Szli posępni i znużeni; wymieniali krótkie i zarwane zdania o wojnie dalekiej w tej chwili; lecz w myślach i powiedzeniach czaił się niepokój. Coś nie-coś już wiedziano.

— może przepowiednia moja a propos jej synów-oficerów ziści się pierwej w moim jeszcze pokoleniu —

Brama na Osobnej była już otwarta.

Wszedł cicho i uważnie aby nie budzić pięknej ministrowej. Zapomniał jak jej na imię. — Rozdziawszy się poszedł do łazienki na ranny prysznic. W drzwiach szklanych spotkał się z nią, już wychodziła po gorącej kąpieli; obsypała go niesłychanymi wymówkami: czekała godzinę jedną, drugą, do północy czekała, rozpalona, aż zębami szczękała, tak się jej chciało, tak ją te ich pieszczoty podnieciły — jak się zorientowała, że gdzieś się zawieruszył — wpuściła jednego z tych sztrabancli, co się do niej przylewali, do łóżka, tego młodszego; no, owszem — — tu rozcapierzyła palce lewej ręki, a z prawej dodała

jednego — — ale on mi się nie podoba; — teraz dopiero wyraźnie spojrzęła w twarz Cyprjana; była biała i wymizerowana; dwie noce bez snu i to wszystko; nie dziwota; zrozumiała i powiedziała:

— a ty jesteś świnia —

— słusznie mówisz, moje dziecko —

— ja zawsze mam szczęście do lajdusów —

— tak jak i ja —

— bezczelny też jesteś —

— nie; miałem na myśli to, że dużo z sobą samym przestaję —

— co robisz dzisiaj w nocy — ? —

— wyjeżdżam —

— szkoda — ten drugi sztrabancel całkiem mi się nie podoba —

— bardzo żałuję —

— obejdzie się! —

Pożegnali się bez zbytej czułości.

Po ochlapaniu się rześkim napisał dwa listy; jeden do Wisi bardzo czuły i rozkochany; dużo było o „gniazdku“ i „słowiku“ (to był ich żargon erotyczny), dużo też zapewnień miłości i wierności. I to była jego wewnętrzna, autentyczna prawda. Drugi list wysłał za pośrednictwem miłej panny Hanki do ministerstwa „na ręce pana wiceministra, sekretarza stanu“; donosił w nim, że wrócił z urlopu, lecz przeziębził się w drodze i że dwa dni musi poleżeć w domu.

Późnym wieczorem tego dnia, wyspany i wy poczęty uciekł do hoteliku, a raczej do dzikiego zajazdu na polnych krańcach Pragi. Pracował przez trzydzieści godzin z rzędu. Napisał poemat, który

od pół roku dojrzewał w nim; poemat, pieśń, hymn, witający dzień wielkiego wyrównania, chwalcę Dzień wspólnej, uzwyżającej pracy, wyzwolonej z wszelkiej niewoli, nakazu i wycisku, pracy wolnego, świadomego człowieka —

— dzień!

*Zapachem żywicznym przybliź horyzont,
wprowadź go w aleje spryskane nasieniem słońca
przesianego skroś listowia*

— *aż tą drogą przyjdzie człowiek
uśmiechnięty, muskularny i pełen zdrowia.*

— — — — —
Wracał; — była, tak jak i teraz noc, ciemna noc; przez matowe szkło sący się malignowe światło lampki nocnej, a to jest samotna latarnia przy drewnianej bramie; — dookoła płot z desek, obskurny — przeraźliwy fragment przygnębiających krajobrazów podmiejskich: smutek, rozpacz, nienawiść, bunt —; — a od tej bramy (z wewnętrzną skrzypiącą, niską furtką), więc raczej z tego przeciągłego skrzyżu cień się ludzki wypruwa (— ten parkan haniebny otacza podwórze fabryczne, to się wie z lazęgi dziennej —) — przechodzi, mija, przystaje, wraca —

— Cyprian! tutaj? — no; idziecie w stronę mostu? — no, to razem —

Wyjmuje z pod gabardynowego płaszcza papierośnicę; — załśnił gors białej koszuli, krawatka czarna, motyl; — przystaje, nasuwa kapelusz na oczy; odwraca się, trzask zapalniczki; potem papierosa na sposób sztubacki w kufaku trzyma — przy zaciąganiu się neonują czerwono kraje palców — wtedy

wokoło ściemnia się bardzo — obrzask ten sygnalizuje i urzeka — więc pamięta się tę pięść rozświecającą i gasnącą — — z ponad niej głos nachylony i powiewny: — z frontu wiadomości, hm, haniebne, a nawet, powiedzmy po prostu, horendalne — a ja, Cyprjanie, mam co się zowie dobre wiadomości, dokładne, gadam przecie: pozagazeciarskie, e, pozasztabowe, — komunikaty oficjalne z frontu, cóż, rozumie się — —

Cyprjan patrzy przed siebie w tę daleką wygórażką latarnię: partyjnik, myśli; z nielicznych jeszcze wtedy; — — ja tu na prawo — mówi nowa pięść; słycać plusk; wodę czuć; i cytrynę czuć od gabardynowego płaszczu; ziąb ciągnie od nóg — —
— przyjdziecie — ?

Znikł w zgęszczonym cieniu, na prawo, w ulicy pustej.

— — — — —
W małej kawiarence przy placu Trzech Dębów — z tajnymi drzwiami do drugiego, zakonspirowanego lokalu — schodzili się wtedy zwolennicy nowego ładu, bystrzy wyznawcy ery człowieka, która, z szaleństwa, z oparów krwi i czadu zgłiszcz starożytnego świata, rodziła się urodziwa, młoda i pracowita. — Właścicielem kawiarni był ormianin, partyjnik zagorzały, człowiek zaufany i stokroć pewny; pracował w jednym z banków; był tam wysokim urzędnikiem; wieczorami i nocami prowadził ten zakonspirowany interes. — Za wysokim bufetem było to wejście zamaskowane, a drugie z sieni z poza załomu klatki schodowej; tam stała kulawa i ochwieirutana szafa na narzędzia zwyczajne, porządkowe:

miotły, grace, polewaczki; to to wejście właśnie. Pokój dość spory, bez okien, z cichym wentylatorem pod sufitem; żadnych portretów, żadnych gazet; portrety kaźden z tu przychodzących miał w źrenicach, bibułę w kieszeni; lepiej wogóle nie; stołki tylko, stoły, popielniczki i nieużywane karty, że niby palarnia, gdyby co. — Na długim kantorku suszył tu, pod ścianą, właściciel, skórki cytrynowe, drobno poszatkowane; to była jego robota; dawała mu jakieś tam korzyści i dawała równowagę, spokój i szybką orientację. — Przez cały czas trwania kawiarni nie było szkodliwych rewizji i nie było wyspy. Pan Teodor — tak się zwał, nic więcej, tylko: towarzysz pan Teodor, sam o sobie mówił: pan Teodor, mały, czarny, cygański typ, zawsze w smokingu (do biura chadzał w szmatławym i pomiętym ubraniu) — czuwał i stróżował; miał wzrok i węch. Pod jego opatrnością ciowym okiem, jarzącym, węglowym, chytrym schodzili się podziemni działacze. W ostatnich czasach ruch był wzmożony. Komentowano siły; trzeba było być na wszystko przygotowanym; instrukcje były jasne, pewne, kategoryczne, tworzył się nowy rząd; częściowo poza granicami, szedł z armią; częściowo w kraju; funkcje były rozdzielone, pozycje, zakres działania. Ci z partii czekali z dnia na dzień, z godziny na godzinę; lada chwila i o kaźdej porze mogło paść hasło; moment był co się zowie poważny.

Cyprjan zachodził od czasu do czasu do tego ogniska przedwczesnej konstytuanty.

Widział. Obserwował przychylnie. Ufano mu. Lecz:

— nie wierzę aby to się teraz stało —

— wierzyć? — Cyprjanie — chcemy i musimy —

(ktoś trzeci):

— a pragnieniu fakty historyczne wychodzą naprzeciw z zachętą i otuchą —

— jest niezmiernie ładząco —

— czyż nie? — front przełamany —

— szczerbiec wraca do skarbcza —

— kto to mówi? — ach, to ty —

Od stolika z pod ściany głos się wydymia i wije mleczno-błękitnawym oparem — głowa ładna, chłopięca prawie; z pod długiej nawisłej czupryny bieli się gładkie czoło szerokie, niskie — jaśniejsze, od reszty twarzy więc jakby opaska płócienna; — pod ciemnymi brwiami oczy niepatrzące, widzące w sobie obrazy i wyświelające je, promieniejące:

— strach! — ludzki, nagły strach! — wszystko cofa się i ucieka w panice; masa, chora masa; epidemia; — na drogach i w fosach głodne i bezradne działa i baterie — z chrzęstem i pluskiem pada do rowów, w zastoiny zgnilej wody karabin na karabin, broń wszelka — pośpiech — gwałt — ucieczka — — bo tam już następują — —

— ciszej! — wyczernia się z pod przyszczyżonego wąsa nad białym gorse —

Więc stłumia się głos tokujący hipnotycznie:

— pali się! — psychoza — — poszczególne oddziały, grupy i jednostki — z trwogą w rozwartych, bezsnnem przekrwionych oczach — w łachach, które się ledwie ciała trzymają — na poharatanych, obrzękłych stopach, znacząc krwawymi ropami szosy, dro-

gi, lasy, łąki, trzęsawiska, mijają się biegiem — zło-
wrogo i nienawistnie — kto prędeży! — usta otwarte,
suche i spieczone łapią w rozdęte płuca powietrze —
serce wali boleśnie — pęknie! pęknie! — — już gra-
nica — miasta — wsie — stolica — dalej, dalej, da-
lej — dniem i nocą, dniem i nocą — przez rzeki i lasy,
łany i piachy — i dalej, i dalej — — aż gdzieś w za-
kamarku ziemi, który wreszcie stał się schroniskiem
bezpiecznym i nieznanym t a m t y m — przylegli
śmiertelnie zgonieni w norach, opłotach, zastodolach,
gliniankach, wertepach — i już tylko spać, spać,
spać — —

Obok — duża, nalana twarz przechyliła się
na ramię — skłaniająca się widocznie ku temu wi-
zyjnemu spaniu —

Poczyna inny kąt — z pod zawilgoconego od
spodu zbiegu ścian —:

— za tym wszystkim gna w posępny pośpie-
chu tamto drugie rojowisko —

— w nędzy też i w poniewierce —

— lecz z czymś nowym i dobrym w zanadrzu —

— ta sama bieda — jednakie zgonienia — jedna
niewola —

— z wyrównaniem sprawiedliwości! —

— jakżeż okrutną bywa sprawiedliwość —

— z zakonem nowych praw człowieka —

— jedno jest tylko: miłość człowieka, zrów-
nanie go w losach, wzwyżenie etyczne, podnoszenie
ustawiczne — a to wszystko jest jedność, to wszyst-
ko jest mądrość i dobroć, a to też jest jedność —

— ziści się sens miłości bliźniego zagubiony

w zachłannych wyznaniowościach i zaborczościach państwowości —

— sens ten otaczają zmije i gady jadowite w koronach i tiarach, w zbrodniach i trucicielstwach wszelkich —

(nagły, stłumiony głos; groźny):

— ognie straszne, ognie żrące, ognie niszczy-
cielskie — wiekowy posiew krwi wszędzie w swej straszliwości —

(i znów ten głos z pod długiej, nawisłej czu-
pryny):

— z mgławic ogniowych rodzą się nowe słońca
i nowe konstelacje —

Szyderstwo jak śmignięcie w pysk:

— poeta! —

Tu przycichło; a teraz zwyraźniały skądinąd sło-
wa zacięte:

— rozgrywka dziejowa idzie o to, czy w przy-
szłości iść nam na tyłach ciurzych kapitalistycznymi-
litarnego koncernu, czy w pierwszym szeregu apos-
tolstwa nowej ery —

— mogłoby jeszcze być — oponuje dyszkant
czyjś — konstruowanie własnej struktury spo-
łecznej —

— kto — ? — oburza się poprzedni — my
naród zanasmyślicieli! —

Teodor? — tak, to chyba Teodor:

— stanie się jak się stanie; owoce dziejów doj-
rzewają jak owoce drzew, o swej, o wyznaczonej
porze —

— rozpaczliwe zaklęcia wywołują z przedmie-
ści, z fabryk i wsi ochotnicze mrowie —

— przeleje się chłopska i robotnicza krew za
czyją sprawę, za czyją — ? — — — — —
— za ojczyznę? — za jaką? — za czyją —?—
— — — — — — — — — — —

I znów rozpoczęły się zawstydzające ceregiele. Cyprjan już chyba poraz 20^{ty} w tej epoce od czter^{nastego} pokazywał swą zamyśloną nagość komisjom poborowym; taksowano go po polsku, po niemiecku, po czesku, po kroacku, po żydowsku, i znów po polsku; zawsze: ubojowo, rytualnie. Zawsze musiał, i teraz musiał, teraz to nawet specjalnie: jakżebo ukryć swą mizerną osobę? — to szło połaciami, dzielnicami, urzędami, ministerstwami, ulicami, kamienicami, mieszkaniem, sypialniami. — Opinię tworzyły „panie“ i służące; kobiety; dla nich przecież wszelka wojna jest anamnetycznym wyobrażeniem walki samców; wojna jest dla kobiet problemem seksualnym; jest nim zresztą istotnie.

Mimo „ochotniczego“ zgłoszenia się do służby wojskowej w imię obrony najświętszych praw ojczyzny — komisja nie uznała Cyprjana za zdolnego do służby frontowej; bardzo też o tę łaskę bohaterstwa nie błagał. To, tamto, owo — w sumie cherlak. Wy^{pisano} mu na klatce piersiowej lapisem: wysokość, wagę, kategorię i przydział.

Nie dały się te pieczęcie niewolnictwa niczym zmyć; były wypalone; parzyły; trwały kilka tygodni.

Przez jakiś czas (stricte: dwa tygodnie) pracował w kancelarii głównej komendy ochotniczej; przydział: artykuły agitacyjne, wiersze niecące zapał, i ha^{śla} w tym duchu: „jeśli nie chcesz, żeby ci matkę zgwałcono idź na front“ lub: „horda wrogów roz-

pruje brzuch twej żonie — dzieciom twym roztrząska głowy o mur — unikniesz tego jeśli pójdziesz na front i odeprzesz barbarzyńskiego najeźdźcę". Mile i szlachetne zajęcie; psiakrew. — Przełożeni i współtowarzysze: poeci i artyści, dziennikarze i redaktorzy — to była socjeta całkiem niedorzeczna: dno reakcji; — malowano, rysowano, pisano; „zakwitły nam piersi jak róże“ — aluzja do dużych kard ochotniczych, po których poznawano siłę zapachu i wielkości ducha rycerskiego; utworzył się jakiś C. K. P. (— centralny komitet propagandowy —) — należący doń mieli na ramieniu pięknie wyhaftowane naszywki w formie tarcz z tymi właśnie trzema literami (złotymi!); (— tu i ówdzie poniewierają się po dziś dzień w salonikach stołecznych serwetki z owych tarcz zszyte; pamiątki owych dni; nadają się pod flakony, wazoniki z kwiatami żywymi i sztucznymi, pod ekrituary, posążki, szkatułki, popielniczki, wyroby pacykowskie i ćmielowskie i t. p. —). Od czasu zainteresowania się historią narodu przez C. K. P. — szło się ulicami wylepionymi afiszami pełnymi okropności, okrucieństw i fanatycznej makabry, stępało się tylko po wielkich imperatywach i hasłach — bowiem wszystkie płyty chodników zapisane były zwrotkami pełnymi krzepy, chęci odwetu i ludożerczych apetytów; ba wszystkie słupy, parkany, płoty, ogrodzenia, pnie drzew — agitowały groźnie, wskazywały palcem, rozkazywały. Niebywała, jedyna, powszechna prosperite grafomanii; hasła to jednak najłatwiejsza rzecz.

Cała ta gromada hałaśliwych obijaczy była umundurowana czysto i świeżo; z pod igły, szydła.

dratwy. Jakieżże to w owoczesnej stolicy sławy zażywały szykowne, glansowne, korcelowe buty; ach śliczne! — Radość była popatrzeć na nie! — Zażywany, szykownie wyekwipowany, pełen wojackiego anis muszu poeta słał kochanym żołnierzynom słowa otuchy i zachęty bohaterskiej, walczyć kochane chłopa, nie dajcie się, my z wami! — I tylko żałośnie żalił się, że, powiada, golec, niczym nie może przyjść z pomocą żołnierzowi-bratu:

*— więc chciałem ci me buty dać,
by okryć twoją stawę,
lecz taki los mój — psia go mać!
i moje są dziurawe.*

Istotnie, piękne i drogie poetowe buty miały olbrzymie — każdy poszczególnie — dziury, przez które, nędzny i zrezygnowany aż po straceńcze nasermater, wkładał znękaną nogę, przyodziałą w posdłą jedwabną pończochę; cholera z takim życiem! i — czy to wogóle życie?! — A takby się chciało tym kochanym obrońcom ojczystych dzierżaw, tym szczytnym fragmentom przedmurza chrześcijaństwa, tym kruszącym się w krwawych zmaganiach i niepogodach nielitościwej aury (te błota polskie — ej!) bożym cegielkom gmachu chwały narodowej — takby się chciało pomóc — cóż, psi los nie pozwala! — ból, tęsknica-osmętnica, bracie, rozpacz! Polska!!

Munduromania feeryczna i febryczna zarazem ogarnęła t. zw. „szerokie warstwy“ — ba, widywało się zaprzysięgłych pacyfistów w szykownych mundurach wojskowych; w tramwajach, w teatrach, w kawiarniach, w szaletach; wszędzie. Wołontariusze! —

Reszta, to znaczy: „tłum“, „masy“, „lud“ oraz i „męty“, przemieniała tymczasem zwyczajne pola na pola chwały; nawoziła sobą; taki bowiem jest tu przepis agronomiczny.

Ostatecznie — świat strojnisiów patriotycznych w porównaniu ze światem z knajpy pana Teodora był obosiecznie złowróbnym memento.

Równocześnie ze znikającymi śladami barbarzyństwa na piersiach lapisem wypalonymi skończyła się ta makabryczna udręka; Cyprjan musiał wrócić do ministerstwa; taki był rozkaz rady ministrów; tylko „frontowo zdolni“ urzędnicy mieli prawo zamienić biurka na rowy; niefrontowi tego prawa nie mieli.

Irka była w pierwszych szeregach agitatorek — była szczerze przekonana, że idzie zagłada wszelka, zniszczenie kultury, nędza i gwałt; przypadną Porożokotycze i Podlibliszki! no i nie będzie Polski! — Jeździła na zebrania, posiedzenia obywatelskie, do sal domów robotniczych i czytelń, do koszar i obozów — przemawiała, agitowała, przekonywała i zawstydziała; zaczepiała cywilów na ulicy, w kawiarni, w teatrze, w restauracjach i kinach — pytała ze wzgardą i obrzydzeniem: „pan jeszcze nie w wojsku? — ojczyzna pana woła“. Gdy raz rozwiana, rozpędzona wpadła do ministerstwa za jakimś interesem: „ach, co tu cywilów, a polskie kresy krwawią“ — szepnęła Mikołaj drząc pod pledem, choć wogóle było skwarno, do Cyprjana: „piękna to pani, prawdziwa Nike z Samosraki“.

Przez te tygodnie, w których Fałn pracował w pocie czoła w kancelarii propagandy wojennej —

oddawała mu się Irka codziennie; cyfry i znaki na jego ciele podniecały ją; kazała sobie mocno przyciskać piersi (zakryte koszulą) jego żołnierskim torsem. Pieszczoty jej były pospolite i nierozumne; denerwowały nieporadnością, nudziły jednostajnością. — Niewątpliwie cała ta ich sprawa miała się ku końcowi. — I wszystko miało się ku końcowi. — Rozpacz nakazywała już w imię Chrystusa — tej ostatniej instancji się czepiano... że więc cud! Cud! — Więc: krzyżem leżeć — i z krzyżem na „hordy“! — Tak to przez pełne zazdrości kontrowersje i przewidywania agitacyjne — umniejszono z miejsca wszelką wielkość wysiłku strategicznego, zasępioną troskę o przyszłe dzieje i bohaterstwo autentyczne chłopów i robotników.

Było beznadziejnie i pusto.

Dwa okna na facjatce, na kanonii, zasłonięte storami, oślepy. Mila wyjechała na front, jako sanitariuszka; modre jej oczy dodawały ducha oficerom i żołnierzom; ułatwiały znakomicie bohaterską śmierć w imię wielkich hasel.

Owego dnia, gdy decydująca bitwa rozgrywała się wprost na przedpolach stolicy, przyjechał z Kalisza niespodziewanie (nawet bez telegraficznego zaświadczenia!) mąż Irki pan Marian Alojzy. Czerstwy, czerwony, pobłyskujący bransoletką (z tym lusterekiem!) i zębami; wypoczęty, tłustszy niż przed rokiem, brzuchacz już, więc się cienkie nogi uginają bardziej — idąc po prostu przysiada. Fantastyczny mundur na nim urzędniczo-oficersko-sobieszty i czapka tegoż kształtu; z pod daszka zezują ślepka pełne pychy i samochwalstwa. — Zaraz na dworcu

po przywitaniu przykucnął na laskich nóżkach i oburącz poklepał Irkę po tyłku; zarechotał przy tym głośno, aż się ludzie oglądali. Zadowolony wykrzykiwał głośno, że pierzemy bolszewików siarczyście, dranie myślały kraj zająć, hoho! nie łatwo to! — my się, powiada, nie damy! — jakby była potrzeba to nawet onby poszedł, ale nie potrzeba, dadzą sobie bez niego rady, a on jest urzędnik niecodzowny. I tak tam plół przez całą drogę, że się niedobrze robiło.

Nocy tej miał Cyprjan spać u Irki. A tu: nie! zajęte! — Aż dziw, że go to tak przejęło; lecz musiał przed sobą przyznać, że go jasna cholera bierze. — W ciągu dnia, przy nadarzonej sposobności, przyszło z Irką do scysji —

— jakto u ciebie będzie spać — ? —

— no, a gdzie, przecież mąż —

— taki byk! — zresztą kocham cię i... za narzeczoną cię miałem — (wyplatał duby smalone — chociaż...)

Nagle mu się jej zachciało! Koniecznie! — a ona:

— wiedziałeś, że ot mężatka jestem —

— wiedziałem, wiedziałem, ale nie wiedziałem, że się z nim obłapiać chcesz —

— jakiś czas to i nie chciałam, to on powiedział, że nie jest żadnym eunuchem.

— więc? —

— no cóż, no cóż — (źle nawet udawała to zmartwienie) —

Cyprjana rozsadzała zazdrość. Przez cały dzień. Z godziny na godzinę — coraz gorzej; pod wieczór już niedowytężenia. I te kontrowersje głupie: rozsądek mówi, że usrać się na to! — a on, ten instynkt

płciowy skowycze i wścieka się; — cóż się dzieje? — nic się nie dzieje, że ktoś tam inny włoży, zaraz z tego takie hece! — e, dajno, bracie, spokój, miłe to nie jest; potem taka ociekająca cudzą spermą; — świnia — ; — przypomnij no sobie; gleiches recht für alle — tyś niby co? — nie kuś, nie powiem, że to „całkiem co innego“ — i wogóle nic tu nie wyrozumujemy, po prostu chcę ją i jego, tego byka, zabić; i wtedyby mi ulżyło — — Cyprjan tak oto sam z sobą militarnie, sprośnie i ordynarnie rozmawia, bo jest urzęnięty; wódką; nie pomogło wiele, właściwie nic; ciągle widział ten obskurny obraz; ją nawznak z podniesioną po pępek koszulą, rozkraczoną i ten przytłaczający ją, fantastycznie rozległy zad „tego byka“ — — wypił jeszcze literatkę monopolki haustem; — klnąc i bajdurząc wytoczył się z baru na ulicę; szedł wzdłuż muru — wódka i gniew copo chwila szorowały nim ściany — szedł przed siebie i wciąż głupstwa mamrotał i pięści zaciskał. — To obijanie się jakoś ustało — ano, bo stoi plecami o mur wsparty; zorientował się, że stoi naprzeciw jej domu — tam, na szóstym piętrze — te dwa okna — świeci się w nich — tam na lewo jest łóżko — ; — komicznie mknęły przed nim jak gwałtowna powódź — domy, lampy, przechodnie; wszystko drżało, hojdało się, dwoiło i troiło; — ulica nagle zapadała się, przeskakiwała w dół — już mknęła jak na pasach transmisyjnych w górę, wysoko (— zimno!) już runęła w dół — ; — kamienice płąsały wedle tej ruchliwości terenu — były z jakiejś masy elastycznej — nie rozpadały się — rozszerzone dołem, wąskie górą — zmieniały nagle wymiary i pozycje — kauczuk — —

ponad rwącą powodzią jarzyły się okna, dwa okna —
te dwa okna — nic, psiakrew, tylko te dwa okna —

Nagle odrzuciło go od ściany, a zaraz potem
grzmotło nim z powrotem — pienieł się, wygrażał
pięścią, mamrotał — aż z całych sił krzyknął:

— Irko — ! — Irko — ! — ty kurwo! — ty
kurwo! —

W prawym oknie wygasło światło; drugie za-
różowiło się mgliście — — aha, to ta lampka na noc-
nym stoliku — — coś zamajaczyło w szybie — to
ona — już w koszuli, tej niebieskiej; widać ramiączka
wąskie na gołych ramionach — ; — i znów ku tej
goliźnie wrzasnął: — ty kurwo! — ty kurwo! —

Ktoś go mityguje; posterunkowy! Panie poste-
runkowy złociutki idź pan do jasnej cholery; —
że krzyczę? — przepraszam; proszę mnie puścić, sam
pójdę; legitymacja? — proszę, o! he?, no właśnie! —
tak, zgadza się, referent do usług; — pewnie, że
wstyd, ale taka, uważasz złociutki, okoliczność; hi-
storia bardzo przykra; racja; do domu? — e, czas
jeszcze, nie będę już pił — usiąść — bardzo jestem
zmęczony —

Więc kilka godzin łążęgi: czarna kawa, jeszcze
czarna kawa; wciąż; serce wali, nogi bolą; łeb pęka.

Późną nocą powlókł się do domu.

Ulice były puste; rzadkich przechodniów za-
trzymywały patrole; trzeba było mieć zezwolenie na
łożenie o tak późnej godzinie. Wojna! — — Z da-
leka dudniało ponad dachami ciemne powietrze.
Armaty! — — buumm! — cisza... Płoną wsie... ta-
rzają się w agonii ciała ludzkie... jęki... przekleństwa...
długie konania... buumm! — —

Wytrzeźwiał.

Buumm —

Okute buty zbliżają się z bocznej ulicy. Pewnie znów patrol. — Coraz bliżej. — Nie — to żołnierz; — ale dziwny jakiś; buty — bluza — ale te spodnie — cóż takie szerokie? — no bo to spodnica. Ochotniczka więc. Było tego też sporo w owych czasach; okrucieństwo tych lat nie miało granic.

Zrównali się przy węgle. — Już ją ma minąć — spojrzal: — pod furazerką żółta matowa twarz, oczy rybie, sino podkute, wargi blade, spękane, w kątach krople pienistej śliny — ; — wzdrygnął się —:

— Genia! — panno Geniu — pani tu —

Popatrzyła na niego jak z za dymu lub mgły — źrenice od wewnątrz zwichrzone i samożywe wizjami i obłędem — wszelkie zjawiska zewnętrzne służą tylko do potrącenia, do wprowadzenia w ruch na tręctw i maniackich zwidzeń; takie te oczy. — Za trzymała się. W tym źle skrojonym, szorstkim mundurze jeszcze niezgrabniejsza, zniekształcona fatalnie.

Zrobiło się nagle bardzo nieprzyjemnie, dziko.

Buumm — —

— zaciągnęła się pani do wojska — — Nie pytanie nawet, rozpaczliwe wymijanie na wąskim torze, żeby uniknąć zderzenia, bo koniec —

Genia przybliżyła się do niego powoli, z uciążliwym skrzywieniem — zmięły się i sfaldiry woskowe policzki obcym, nijakiem uśmiechem —

— pan Cyprjan —

Chce jej podać dłoń, wyciąga rękę — ale ona jakby na baczność stoi, nieruchomo —

— a pani Kle. mama — ? —

Uśmiech zwiął się, spelzł, spadł.

Zbliża się — krok jeszcze — już stoi przy nim
tuż —

Buumm — —

(— ten strzał jakoby dalszy —)

Rozszerzają się przed nim oczy, oczy przerażone, straszne, jakby mętym, dymiącym światłem pelgające — — obłędne! — — Wargi wyrzucają gardlane słowa, opryskują śliną:

— tak — uciekłam do wojska — bo — — jak ty na mnie patrzysz — murzyniátko (— rechoce krótko i zarwanie; czkawka —) — chcesz mnie? — wszyscy mnie chcą i ja chcę wszystkich —

— Genia, co ty mówisz —

A ona rękę wyciąga do jego spodni — obmacuje i miętosi —:

— choć pod bramę — — czemu mnie zaczepiasz? — ja cię nie znam — ktoś ty? — wszystko jedno — —

Buumm — —

(— znów bliższy, przeciągły grzmot —)

— Geniu — opamiętaj się — co ty — —

— no, co tam gadasz, choć prędzej — (— gniewna, nagła, brutalna —) — dawaj go zaraz — tu do muru — przyciśnij po — —

Podzwania krokami chodnik kamienny; zbliża się patrol; oficer i dwóch żonierzy.

Spojrzała w ich stronę. — Nagle inna i spokojna; opuszcza rękę; szeptem, modlitewnie prawie — nawet dłonie założyła na piersi —:

— matka to tak, że klękała — ja wiem, ja wszystko wiedziałam — a potem cała, ona, pokoje,

dom, ogród i las — tym czuć było — — wtedy osza-
lałam —

Zanim zdołał cokolwiek rzec, ogłuszony, za-
mącony, przerażony do głębi — — odwróciła się
powoli — —

Patrol wszedł w boczną ulicę.

Poszła za tym patrolem. Chwilę — tupot bu-
tów. Coraz szybszy. — Cisza; — — a potem obłą-
kany śmiech napelnił ulicę trwogą i szaleństwem.

Uciekać!

Śmiech wydłużył się w skowyt i płacz.

Podudniający nad dachami grzmot zsuł się
gradem twardym w kanion ulicy — zagłuszył tę opę-
taną mękę.

Cyprjan biegiem dopadł do bramy.

Nareszcie pokój! — okno otwarte — — usiadł
na parapecie.

Straszne spotkanie! — obłąkana?, ojciec alko-
holik?, ninfomania? — i cóż za znaczenie mają te
leksykonowe słowa wobec drżącego grozą powietrza,
rozsadzającego ulice?! — — przerażający rozkład
młodego mózgu — potępieńczy krzyk; groza ostat-
nia — ; — i cała ta dzisiejsza noc! Ostatnia w mieś-
cie tym noc — bo cóż to? — i co? — i jak — ? —
Myśli przestały sprawnie zająć się w siebie; nawet
ich energetyczny automatyzm przestał działać.

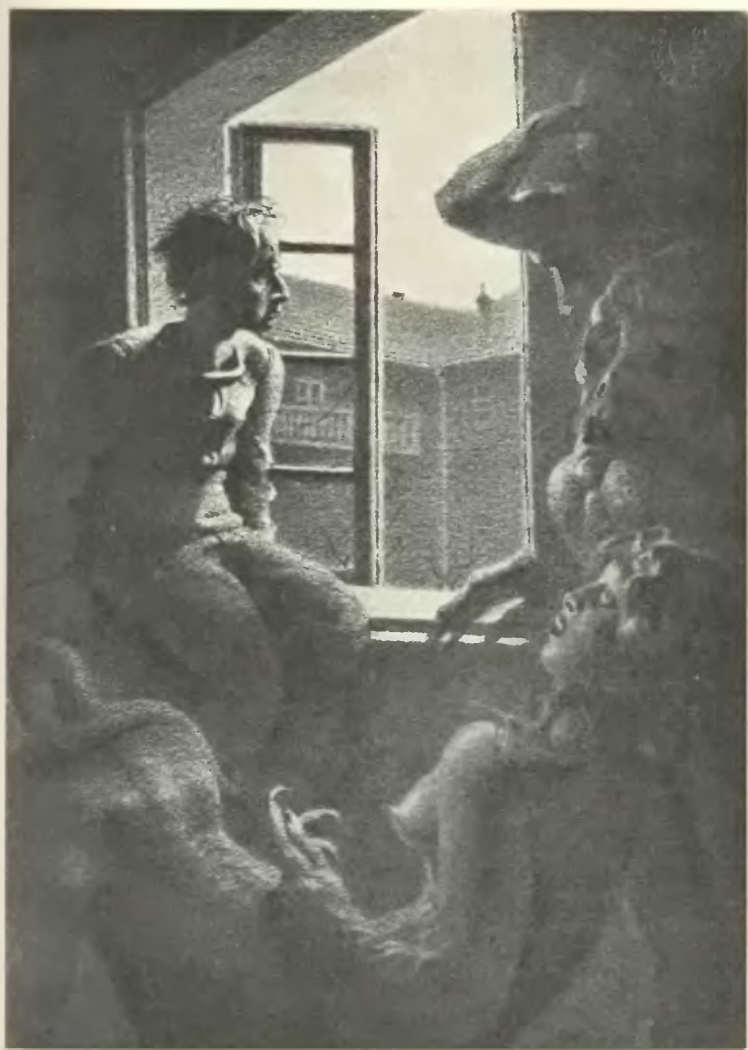
Cyprjan stracił rachunek zdarzeń i czasu.

A krótka już noc; — ponad dachami szarzeje —
— Irka i cała ta sprawa zubożyła mu zupełnie;
przestała istnieć.

Z oddali gęste odgłosy strzałów armatnich —
coraz dalsze i bardziej stłumione —

Część myśli zmaterializowana w kącie pokoju obok szafy z książkami — nastęcza się zbolalym, cierpiącym źrenicom w formie rozmaitej, niezdecydowanej; raz jest to sfinks lubieżna, pomrukująca jak kot, rozwierająca i zaciskająca po kociemu kście lwich łap, z których copochwila wyblyskują ostre, lśniące kindzały pazurów — to znów jest to nędzna postać ludzka bez płci i wieku, w złowrogie przyodziana łachmany — policzki zapadłe, wyschnięte głodem i nędzą, oczy lśniące, zgorączkowane — nagle już obce, kocie, okrągłe, z soczewką czyhajacej źrenicy — a teraz to już złoty posąg młodego robotnika — lewa ręka nakrywa daszkiem oczy wpatrzone w dalekość, w przyszłość, w widnokrąg obramiony lśniącą wstęgą światła — — zasuwiają się te postacie za siebie, mgłą i zatapiają konturami — w rezultacie są ruchliwą, wirującą masą cieni i światel, rąk, pazurów, źrenic i kształtów — i są wyodrębnionym szeptem i domawianiem, wypowiedzią i szyderstwem, maligną i druzgocącym, kamieniejącym niepokojem — ; — szept jak wyostrzony lancet, jak zmijowski, nagły świder wbija się w ucho i mózg — i już to jest jakiś narząd z snu inkwizycyjnego — lejek wirujący, przez który sypie się ostry żwir i piasek — pęka czaszka pod naporem upiornego zsyypiska — mózg bulgocącą masą przecieka przez szczelinę — sączy się krwawymi płatami, gorący i ohydny opada na okno — ścieka murem — wilgotnym kłaśnieciem rozpryskuje się o betonowe dno śmietniska — czaszkę pustą i parującą napelnia kłujący żwir i szorstki piasek — — ten szept:

— były już bliżej, i bardzo blisko były —



— no tak —

— więc: nie dziś, nie dziś, nie dziś jeszcze —

— tym razem przegraliśmy — nędzarze, spo-
niewierani — ; — to mówi ta postać ludzka bez płci
i wieku, w złowrogię przyodziana łachmany; a po-
sąg złoty wzdryga się gwałtownie i cichym brzękiem
uderza: — nie na długo — wstaje świt nowego dnia—
czerstwe jest we spiżowe ciało w chłodzie poranka,
czerstwe i żadne wielkiego wysiłku — ; — sypkim
trzaskiem naelektryzowanego futra podsuwa łasząco
Sfinks: — nie trzeba być znachorem, żeby wiedzieć,
że ucisk nadejdzie tym sroższy i tępszy na dziesięć,
piętnaście, dwadzieścia lat! może i dłużej! — Pod-
niosła lwią łapę, rozpazurzyła i poczęła ją lizać od
spodu.

Z szarości świtowej pełza stłumiona czerwień,
gramoli się, wyzwala z trudem jak drżący motyl
z poczwarki — — tężeje ognistą luną wschodzącego
dnia —

I znów poczynają szeptane zdania wyłuskiwać
te trzy postacie zachodzące wciąż za siebie jak karty
w szybkiej wolcie:

— mogła się była stać ta czerwień początkiem —
początkiem — początkiem —

— nie stanie się —

— ledwo już słyhać odgłosy strzałów jak zci-
chające za górami grzmoty —

Głodomorskie, spalone, wklęsłe wargi wspo-
minkują nieszpornie:

— na wsiach mówią w takich razach: „prze-
szło bokiem“ — na wsiach ubogich zawsze, zaharo-
wanych na śmierć —

— tak jest istotnie —

W oknie całym, na całym błamie nieba, które tu widać w wykroju marnym nad posępną jak więzienie studnią podwórzową — czerwień, zakrzepła, spalona zła czerwień —

— i pocóż tu siedzisz poeto, na tym oknie—?—

— ślęczysz, wypatrujesz —

— cóż wyślęczysz, cóż wypatrzysz — ? —

— samobójstwo? — z piątego piętra na łeb — na beton — ? —

— czemuż bledniesz? — daj spokój idiotyzmom —

I znów te wywody głodomora:

— dookoła martwe szkliwa szyb, jak stosowczewkowe oczy muchy — — oczy ślepe, jak moje wypłakane nad niedolą oczy, oczy milionów pokoleń niewolnych, poddańczych, sponiewieranych, wyzyskiwanych — — oczy nijakich, powszednich domów, w których czają się troski, choroby, nieszczęścia i tragedie ludzkie, domy kołyski przeklinane, domy trumny nieubłagane — —

— czy tym wypatrywaniem — —

— czego? —

— pogody, ładu; szczęścia pospólnego —

— no — ? —

— pytam: czy tym wypatrywaniem teraz czerwone — ? — czy tak — ? — czy to tylko zwyczajne zjawisko przyrodnicze, ot: odbija się zorza w szybach, no to i czerwone — takie sobie, powtarzam, zjawisko przyrodnicze ani okrutne, ani jakieś tam, obojętne

tylko jak przyroda właśnie, której człowiek nałogowo radości swe i smutki sugeruje — ? —

— poeta! — tanto i to jest tylko refleksem świadomości ludzkiej, która się szamoce w nieustannej walce o dobro, o piękno, o sprawiedliwość, o radość, o szczęście, zwyczajne powszechne szczęście bytowania —

— świadomość! — śmieszna i tragiczna —

— może, lecz nieustanną nadzieją żywa —

Lubieżna Sfinks gładzi się lwiami łapami po dużych, jędrnych piersiach, zadrapuje pazurem koło lewej sutki—drobne krople krwi ściekają z białego, gładkiego wzgórza; — śmieje się szeroko, i bez poruszenia warg — gardłem i językiem grucha —:

— Irka — —

(— podkreśla sens tego słowa nieprzyzwoitym gestem —)

— czymże w złowrogiej ciszy obramowanej rudą czerwienią świtu, czymże teraz! teraz! — po przegranej stawce jest twój rajfurski podszept, że jedna z samic z innym samcem — ? —

— samo pytanie to jest zawstydzające — — odpowiedź swą pisz palcem na powietrzu — niech ją smrodliwy miejski wiew pochwyti, zakręci i rzuci w śmietnik, tam gdzie już zaczęły się rozkładać strzępy twego mózgu — in—te—li—gen—cie! in—te—lek—tu—a—lis—tol! p—o—eto; — wśród popiołu, żużli, brudnych gazet, szmat, waty skrwawionej i odpadków wszelkich gnijących dni i cuchnących nocy — akurat miejsce zdatne — —

Cyprjan opiera głowę o ramę okienną, jest śmiertelnie blady, sine powieki nakrywają przeźroczyście

zapadłe oczy. Fala nieustępliwych wysiłków woli re-
wolucyjnej całego świata napelnia drganiem aparat
słuchu — — szyfr stukany delikatnie lecz wyraziście—
to stamtąd ten głos, stamtąd od posągu robotnika
młodego — on jeden ostał się po przewianiu tamtych
zwidzianych maszkar — on jeden — i oto teraz młot-
kiem, który trzymał w prawej ręce (— lewa nakrywa
wciąż daszkiem oczy, wypatrujące uparcie pełni
dnia —) wystukuje o metaliczną pierś:

— : — . — przeminął znów okres .. — etap
— . — — więc dalej — . — . — trzeba pójść do naj-
nędniejszych, ku biedocie — . — ku temu co zda się
niczym, a jest przecież czymś niezmiernie ważnym:
trudem istnienia — . — i wierzyć — . — i walczyć
— . — . — : i nie ustawać — — aż nadejdzie dzień
wyrównania wszelkiego, dzień radości istnienia nie-
tłumionego przemocą, wyznaczonego rytmem pieśni
pracy wspólnej, dzień człowieka prawdziwie wol-
nego — — — — — — — — — —

Nie słycać już strzałów.

Cofnęły się dzieje.

Zorza blednie.

Zaczyna się szary dzień.

Równocześnie ogłuszający szum wodospadu
przerzuca się z pośród wyrw skalnych — rwie i wali
opętanie przez oślizgłe kondygnacje głązów, olbrzy-
mim łukiem spada w kamienne dno przepaści i roz-
pryskuje się w pianę i mgłę.

Aż tu na podłogę na tym piętrze wysokim przez
otwarte okno wpadają gęsto krople śiępy.

Szum, szum, szum, sama melodia gwałtu i ży-
wiołu.

Na widnokregu dalekim zarysowuje się coraz wyraziściej znane pasmo gór; znane; tak; to Kaukaz; owe niebotyczne góry, które nie są niczym innym jak tylko męką ludzką, kamiennym wycierpieniem za tę iskrę zbawczego ognia skradzioną bogom, aby ludziom było jaśniej i cieplej.

Błogosławiony szum — napływa z cudownym darem zapomnienia do śmiertelnie zbolącej świadomości ludzkiej.

—

Nazajutrz wyjechał Cyprjan z Warszawy. Trzema listami zlikwidował miniony okres: 1) do ministerstwa, że dziękuje, każdy go zdoła zastąpić; 2) do Irki: ojczyzna już wolna, na nic ci nie jestem potrzebny; 3) do Mikołaja Srebrepisanego: nie marznij i wiej co tchu z tej trupiarni; załączam klucz od mojego biurka. — Gdy nazajutrz Mikołaj otworzył to ministerialne biurko, znalazł w nim potrotowany tłusty papier ze szprotów i zdechłą mysz; chuda i wyschnięta leżała żałośnie na teczce z napisem: „prace dokonane i zamierzenia M. S. i K., sprawozdanie kwartalne“.

—

— co? — znów zastrzyk — ? —

— pewnie, dzisiejszy rentgen nawet sroższy niż poprzedni, na ślepą kiszkę, wiadomo —

I znów sceneria ta sama: akwarium, nurkowie i nurchynie w iskrzących fartuchach — fosforyczny poblask w gęstej mgłę i ćmie; — tym razem pacjent leżący; wlewają weń nieprawdopodobne ilości roz-

tworu bizmutowego, gumowym szlauchem przez wysoko podniesiony lej szklany — — ból to sprawia tępy, rozsadzający; tortury. — Patrzą, pochylają się, badają, naciskają, przerzucają sobie uwagi; — jeszcze wlać —

Długo to wszystko trwa. Profesor się uparł, że to potrzebne, konieczne, bo kto wie, a nuż prawo- dopodobnie. Przewrotny taki i skrupulatny. Ostatecz- nie okazało się, że nie potrzeba było; lecz nic nie szkodzi; przynajmniej pewność.

Panna Zosia (— znała już dobrze pacjenta —) podziwiała wytrwałość i wytrzymałość Cyprjana; ani nie stęknął nawet i spokojny taki; pięknie, ład- nie wszystko poszło; przedwczoraj było gorzej; no i zastrzyk był dziś silniejszy, to też napewno po- mogło —

— najgorsze we wszystkim, dobra panno Zo- siu, to jest ta noc przed tym — to mnie właściwie je- dynie rozstraja — matka moja, która nie znosiła mro- ku i ciemności — mawiała: die Nacht ist des Men- schens Feind —

‘ Zmęczony leżał w łóżku; z lubością zaciągał się papierosem.

— No to pan już pojutrze? — ja jeszcze jakie dwa tygodnie będę żarł tu wątrobę —

— ano pojutrze —

— źle tu panu nie było —

— źle? — przeciwnie, wypocząłem za wszyst- kie czasy —

— pod koniec pana trochę wymordowali —

— ech, głupstwo, wszystko to nerwy tylko

i wyobraźnia — o, wyobraźnia! to gniazdo, w którym lęk wysiada swe pisklęta —

— cóż pan będzie teraz robił — ? —

— pisał będę — przed chorobą rozpocząłem nową powieść, ze sto stron już tego będzie; — teraz mi koncepcja dojrzała, ułożyła się; rażno to pójdzie; — tak mówię, chociaż zawsze diabło boję się tego momentu, gdy siadam do biurka —

— myślałem, że pan łatwo pisze —

— wielu tak myśli; wszyscy wogóle myślą, że jak już jest ten tak zwany talent, to sobie taki obywatel-posiadacz-magik siada i skrobie — samo mu się pisze — o każdej dowolnej porze — I samo — bo talent! — talent! — cóż to jest? — żywa wyobraźnia, szybka asocjacja, błyskawiczne spięcia i przrzuty myślowe, pamięć wreszcie — czy ja wiem zresztą; — nie wiele z tego pociechy —; zagadnienie tu jest raczej: aparatu; aparatem trzeba być; rondel nie jest głośnikiem; to jasne; a reszta? — reszta to cholerna praca dniem i nocą, bez przerwy, do zdechu! i myśl precyzyjna; i wiedzieć trzeba czego się chce — — no, jak pan widzi niczego panu nie wytłumaczyłem; — twórczość, pisarska, bo o tej tu mówię, jest niezawodnie wyzwoleniem, autolecznictwem, spowiedzią i pokutą; zawsze na dnie świadomości pisarskiej leży poczucie krzywdy; to musi być wyrównane — — stąd też wszystko co się pisze, jest autobiografią, względnie przrzutem autobiograficznym, chłostą, ironią, groteską — w najwyższej formie: ziszczeniem! —

— a społecznie — ? —

— kto siebie wyzwala, wzwyż, oczyszcza, przeistacza — i procesy te zaświadcza rzetelną pracą.

dociekliwą żądzą autentyzmu — ten już spełnia czyn społeczny. Nie jesteśmy, nie możemy być organizmami oderwanymi od otoczenia, od epoki, od czasu — przenigdy! — pisarz skupia zło i dobro, współczesność całą jak w soczewce, promień przez jej ognisko przepuszczony jest ostry i żądliwy — dobrze skierowany pali, parzy, podnieca, niepokoi; przedłużeniem tego promienia jest przewidywanie pełne dysrektyw przyszłościowych —

— w akcji pan weźmie udział — ? —

— oczywiście; wprawdzie trybuną moją, działaniem, nawet demagogią jest słowo — i toby mi mogło wystarczyć — — lecz udział wezmę; — trzeba to wiedzieć: ważny rok! przełom! data zwrotna — nie może nikogo z widzących brakować — za dwa, trzy tygodnie nastąpi moment deklaracji; pojadę — kadry mózgów muszą być zdyscyplinowane; potrzeba ich będzie wnet: montaż jednolitego frontu; — — osobiście chcę wypełnić wszelką, chociażby najbardziej utajoną mrzonkę o tym, że jakakolwiek przemiana doli ludzkiej jest do pomyślenia bez zmian ustrojowych; są, którzy się łudzą, że można reformami... to są półśrodki i ćwierćdokonania, gorsze nawet od pełnego zła: usypiają, wywołują u słabszych jakiś wstrętny błogostan, autozapewnienie — jak autokwit — że przecież jest lepiej, że idzie prozpa, ku lepszemu; zakłamywanie się, obłudzanie! — nie, nie! — najpierw przebudowa ustroju, potem reszta; tylko na żelbetonie można budować niebotyki — a oto idzie; — powiedziałem: mózg: montaż frontu — otóż to: mózg musi zasłużyć na zaufanie mas chłopsko-robotniczych!

Przez cały czas rozmowy myślał: Maura; — i rozważał: czy to źle? — jeśli ku temu właśnie celowi zmierza wszystko? — i czy cośkolwiek ważnego może się stać bez pierwiastka seksualnego? — jakaśkolwiek przemiana? przerodzenie? palingeneza w tym krótkim i jedynym żywocie człowieczym —? — Cała gra dziejów idzie po linii afirmacji i negacji płciowości, pomiędzy orgazmem a ascezą rozpięta jest tkanina historii; — jakąż ohydą dławi mnie — wzdygnął się — zaprzeczanie tej wzniosłej motorowości w głupiej rozpuście i nędznym, tępym rozkosznictwie nic nie ważących obłąpek; marnotrawstwo sił zapędowych, głupie i odrażające! — — — — —

— Maura —

— nie znam jej przecież, nic o niej nie wiem — tak samo nie znam przyszłości; Maura to przyszłość! — to rytm mojej marsylianki — rytm, którym wkroczam w jutrzejszy dzień —: w najszczytniejsze złudzenie: w sens bytu — — — — —

A przedtem — ? —

— przedtem jeszcze Mila —

— Mila —

— tu czai się niezawodna krzywdą największą więc depresja — samo słowo niedozniesienia; najgorsze słowo, i sens jego potworny! —

— czyż wiem? czyż napewno wiem, że to są już przewyciężone sprawy? — i skądże by ta pewność — ? — i co znaczy „przewyciężone sprawy“? — że: wyspa odkryta?, że: „idziemy dalej“? — dla czego nie razem?, dlaczego nigdy razem? — nowe pobudliwości? — — nowy klimat przywołuje nowe pobudliwości; nowe pobudliwości są zapowiedzią

nowego klimatu — — nie rozumiem tego, lecz stwierdzam, że tak jest; narazie konstatuje — — może — kiedyś — później — —

Znużenie i senność.

Poprzez usypiające ciało w tym medialnym momencie deklarują się myśli jasno i wyraźnie:

— z czarnej nocy, w której przyświecało mi nikłe pełganie tęsknot i marzeń o szczęśliwości ludzkiej, o życiu wszystkich dobrym i równym, niegłodnym i ciepłym, o radości wspólnego budowania zdrowego domostwa, bez strachu, tego obrzydliwego strachu, którym żyje ludzkość od tysięcy lat, przed piekłem za życia i piekłem po śmierci —

— z tej czarnej, obłądnej nocy wychodzę na świt —

— na żywe, słoneczne światło tego wielkiego dnia, który da zwycięstwo udręczonym i pognębionym po wszytkiej ziemi świata —

— jakże łaknę w tej chwili olbrzymich, prometejskich, wyzwolonych ramion — aby jedną rękę podać braciom moim na wschód, a drugą na południe —

— nie zdolą ramiona, lecz zdolą myśli w radosnym hymnie! — myśli i słowo, które jest moim czynem —

— wy, którzy odchodzicie, wy, którzy jesteście w sile tworzenia i wy, którzy nadchodzicie — najlepsi! entuzjaści! — do was nie muszę przemawiać głosem trybun, wy znacie wagę słów! — :

— rzućcie myśli i słowa wasze na szalę sprawiedliwości —

— zdeklarujcie po stronie jedynej racji życia —

— niechaj nie przekroczy was — zbyt wyczerpujących — szybki krok idących czasów —

— jesteście wszak szczytami! — niechże te szczyty zapłoną jasnym płomieniem, który wskazuje drogę nowego człowieczeństwa —

— i czyżaj, jeśli nie waszą, rzeczą jest podniesienie stanu posiadania etycznego najwyższego gatunku — ? — a to przecież finalnie ureguluje i byt i szczęsną radość bytu wśród wszystkich ludzi --

Senność przepływa z ciała do świadomości, zalewa ją jak przyływ piaski nadbrzeżne — chciwie wsysa świadomość łaskawość snu — — w półświecie zarysowuje się droga w to „jutro“ — droga prosta; niepolska wcale droga; nie łatwa; prosta to nie znaczy łatwa.

Zasnął.

—

Cyprjan zbudził się i spojrział w okno. Szarzało ołowianie jak wtedy — w tamtym oknie wysokim, ponad studnią więzienną podwórza; wszystkie okna na świecie są już tylko tamtym oknem. Trwa.

Po powrocie na wieś, po owej złej nocy, było nad wyraz ciężko; po prostu: z czego żyć?! — Wiesia sprzedała co tam jeszcze miała ze złotości — i pchali tak tę biedę; czworo; przybyła im — z tych urlopów — córeczka pulchna i czarnooka; napełniała dom płaczem, śmiechem i paplaniem; był też dom powtórnie jak gniazdo ludzkie uwite w gałęziach starych drzew.

Bieda. Długi. Weksle.

Pani Kle wyjechała.

Praca literacka nie przynosiła nic; ani grosza.

Poprawdzie nie był Cyprjan literatem, zawodowcem; nie był; poetą był; jakiegokolwiek zajęcie literackie było mu odrazą; nie umiał pisać na zamówienie; nieznośna molestacja, gnębiące tym: „dziśby już koniecznie trzeba, jeśli bym tyle a tyle stronic dziennie, to za...“; próbował, nie szło.

Zresztą był to dlań okres wysokiego napięcia.

Pierwszy ważny okres pisarski.

Od poematu „trzydziestogodzinnego“ zaczęło się to. Krystalizacja pojęć, własna, wypracowana forma; to decyduje o odrębności; a tylko odrębność się liczy.

Tematyka i nurt pasji formującej ją szła w tym etapie ku czci głębokiej i zachwytowi dla realizmu i poezji dotykanej rzemiosł i ich wykonawców, rzemiosł wędrownych, załamujących się w wypełnianiu z współzyciem, więc: pomoc, więc: bezinteresowność, więc: ofiarność, więc: wszechmiłość.

Poraz pierwszy wielki społeczny poeta, syn cieśli z Nazaretu, syn proletariatu żydowskiego — poraz pierwszy od długich wieków zszedł we wsiowe, nędzne chałupy, w opłatki ubogie, w przerażającą biedę, głód, ciemność, poniewierkę, upokorzenie, wzgardę — w tysiącletni przednowek chłopski — stał się chłopem i od chłopca szedł ku ogarnięciu dalekich kręgów pełnego człowieka na globie całym. — Syn cieśli, czeladnik i mędrzec, rewolucjonista, znienawidzony przez kler wszelki, nienawidzony i tropiony przez wszelką państwowość, najnieustępliwszy, najniewygodniejszy, nieludzkich uczuć i dyscy-

pliny wymagający marzyciel i szaleniec, jedna z największych świadomości świata — jeśli tylko odjąć jego nauce społecznej ten przerzut wmówiony na boskie życie poza życiem ludzkim, na jakieś nagrody, kary, dywidendy i zgrzytania zębów; nie! — wystarczy człowieczy mistycyzm naszego życia powszedniego: rozdanie dobra wszystkim, wypraca, bogacenie się etyczne, pomnożony stan posiadania miłości i radości; oto dywidendy właściwe.

Po zupełnym zdruzgotaniu nadziei, po wielkiej klęsce ideowej, po przegranym marzeniu, po bolesnym wycofaniu się — wstecz, daleko! — dogadzał i żywił psychikę poety czarodziejski świat uniwersalistyczny, ewangeliczny komunizm pierwszych dni chrześcijaństwa —: wspaniała, jedyna szkoła polityczna dla tych, którzy pragną stać się decydującymi społecznikami, dla wszystkich rewolucjonistów.

Więc w tym kierunku.

Poezje Cyprjana Fałna zyskały szybki, dla niego niespodziany rozgłos; sława naniziała ku oknu jego pracowni gałąź o liściach ludząco podobnych do lauru. — Recenzje, krytyki, wieczory recytacyjne, i inne — oto plon doraźności krzykliwej, plon, doprawdy, zawstydzający swą nicością; — a tak się przecież puszy tym świat, ten tam z zewnątrz, snobistyczny, histeryczny, przymdlewający z zachwytu! ach!

W tym też okresie napisał Cyprjan pierwsze dramaty.

Przyjęto je w teatrze natychmiast.

Sława rosła.

Przez książki płynie strugą, przez teatr strumieniem, wodospadem; ta sława mianowicie.

Wobec tak wezbranej stawał się poeta nieporadny i nieufny; „przez rękawiczki biorę pieniądze ten“!

Rozgłos i zapal do jego pisarstwa scenicznego dał — to już było widoczne, jasne jak na dłoni — od wielkiej, sławnej, wspaniałej artystyki.

Zaczęło się od korespondencji poprzez wszystkie listowe etapy: zawodowe, literackie, wzruszeniowe, bliższe, osobiste, pełne aluzji wreszcie.

Narastanie miłosnych przeczuć! — cóż pięknieszego może nas w życiu spotkać? — chyba to jedno: miłość sama.

Spotkały się przecucia, miłość i tych dwoje pod koniec maja tego sławnego roku. Na tydzień przed premierą jego pierwszej sztuki — więc jak się to mówić zwykło: prapremierą.

Reżyserowała ona; ona też grała rolę główną! — ona — ona — ona —

O tak zwanej „kuchni“ teatru nie miał Cyprjan zielonego pojęcia; samo wyrażenie „kuchnia teatralna“ poznał co dopiero; „za kulisami“ znaczyło dlań to samo co mniej więcej „w dżungli“; to i tamto nieznanne, egzotyczne, przerażające; więc pociągające, hipnotyzujące.

Przy tym ten klujący się dźwięk erotyczny!

I: pierwszy raz słowo własne — ze sceny — w masy — przez kilka godzin — przez wiele wieczorów!

Słowo i akcja!

Najsławniejsza artystka w roli głównej!

A ta wielkość — to ona — to właśnie ona!

Wszystko razem: maligna, bicie serca, rozdygotanie, stan wysokiej gorączki.

40°

Rzeczywistość matowa, ludzie i przedmioty mają kontury przelewne i wielobarwne.

Na godzinę przed początkiem próby stał za węglem ulicy; — naprzeciw teatru. — Dzień wczesny i słoneczny; — maj przecie; — widać stąd doskonale olbrzymi gmach teatru; pierwszy raz tak dokładnie; bo to się zwykle przechodzi, spojrzy i mówi: teatr; i już; czasem jeszcze coś tam nieważnego; o, nie można tak! — Teatr, bardzo proszę, wielka rzecz, świątynia itd. — a gmach olbrzymi, zdobny i zgrasbny przy tym — w pośrodku kopuła rozległa, płaska; — i to tam z boku tajemnicze wejście — za kulisy! do garderób! na scenę!

Myślom i obserwacjom podkładają się te słowa jak nuty:

— za kulisy —

— do garderób —

— na scenę —

Tymczasem obok ławek przed gmachem zaczęli się zbierać aktorzy; wygoleni — świeżość i elegancja — fjuuu! — Także już i aktorki nadchodzą; — wiosenne, wiotkie, ponętne; usta czerwone; — swobodne — rozśmiane — —

Spaceruje Cyrjan od rogu do rogu — tam i z powrotem — a zawsze tak, żeby go stamtąd nie widziano. — Raz po raz krew uderza do głowy,

zawrót, szum i dźwięczenie w uszach; twarz płonie; ustami zachwytuje spore hausty powietrza.

Zapalić papierosa! łamią się zapalki; jedna po drugiej; ostatnia zbyrka w pudełku; odpadła główka przy potarciu. — Podchodzi Cyprjan do jakiegoś przechodnia: „przepraszam“; papieros w palcach; wiadomo; „proszę pana“; lecz jak tu teraz zapalić? — ręce drżą jak w ataku ostrej febry; „pan chory“ — „tak, serce, ale to nic, dziękuję“ — nawet się uśmiecha, tak się tam tresowanie uśmiecha; przechodzień już dawno odszedł, a on stoi i uśmiecha się.

Myśl trzyma się teraz dymu tytoniowego, przeto utrzymuje się na powierzchni; nie tonie; lecz za to copochwila rozplywa się w powietrzu; niema jej; aż znów z tym dymem — —

Teraz!

Zatrzepotały się wnętrzości jakby szarpnięte prądem elektrycznym. Oparł się o mur — : — tam na schodach, raz, dwa, trzy, cztery — sześć stopni — na trzecim stopniu stała: wspaniała, duża, władca — — w popielatym, luźnym płaszczu — — obiera pomarańczę — ręką, umiejętnie obiera — stąd widać wymowę tej wyrazistej ręki — — je — więc się naprzód pochyła by sok nie pokapał sukni — je — z koleżankami się dzieli wonnymi comberkami rozdzielonymi jak mięsisty kwiat na kolorowym kloszu skórki — — one wiotkie, barwne, świeże, muzyczne, nimfowe, wogóle nimfowe — stoją niżej z nieco podniesionymi głowami — ona ponad i tym bardziej wyższa — Melpomena i chór — —

Trzebaby podejść... trzeba... teraz? — nie, to niemożliwe, to zupełnie niemożliwe! nie zdobędzie

się na to! — może później... najlepiej wtedy, gdy już wszyscy wejdą do wnętrza olbrzymiego gmachu — tam w tej wielkiej przestrzeni rozprószą się — tak się jakoś wydaje — i różnie tak będzie — — niby co dopiero przyszedł — co? tak, tak, właśnie na próbę, przeprasza, trochę się spóźnił — — Ale nie teraz, byle nie teraz! — nikogo przecież w tej gromadzie nie zna; będą patrzeć na niego jak na raroga — no i najważniejsze: ona !

Któraż to godzina? — więc za dziesięć minut; powiedzmy za kwadrans, akurat będzie dobrze; w sam raz.

Ona coś tam mówi — śmieje się — wysoko usta otwiera w śmiechu — serdecznie się śmieje, całą sobą; — usta ma wąskie wciśnięte nieco między duży nos i brodę, mocno zarysowana broda, wola; — gestykułuje szeroko i wymownie — — i znów pomarańcza —

Teraz powstają ci tam z ławek — prostują się, otrzepują lekko ubrania — — wszyscy powoli wchodzi do teatru.

Ona jeszcze stoi na schodach — z boku, żeby tamtych przepuścić — rozgląda się dookoła — przykłada lornię do oczu; — krótkowidzka — — rozgląda się po całym szerokim, słonecznym, wywietrzonym placu — dotknęła promieniem wzroku róg ulicy i Cyprjana — nie dostrzegła oczywiście — przecież go nie zna — zresztą na taką odległość — — Powoli zawraca ku drzwiom; weszła.

Pusto tam na tych schodach, na ławkach też, na całym placu.

Więc już teraz! — Uczucie: jak przed maturą; dość obrzydliwe; fe! — zebrać się w kupę; gdzież tak, do czego to podobne.

Za chwilę — same nogi idą wiotkie i zeszmaccałe; korpus na nich tak tylko; głowa — ; — staje ta niepewna całość cielesna u okrutnych drzwi — „hadesowe drzwi straszliwe“ — ciężko się otwierają — mocno trzeba pchać — taki tam instrument pneumatyczny wrogi i oporny.

Zaraz na lewo w szklanej klatce cerber hadesu, współczesny, jednogłowy, bardzo srogi, możny; — kto? do kogo? po co? — autor? — autor, zawsze ci autorzy — tam pierwsze piętro —

Schody kamienne, stukotliwe. — Powoli — przezornie — stopień po stopniu — dobize i przystanąć — tak serce wali opętane.

Pierwsze piętro — jest — napis: dyrekcja —

Puka; — cisza; raz jeszcze; nic; więc wchodzi — pusto; nikogo. Bezradność chwilowa — lecz z korytarza podbiega jakiś ruchliwy, wytworny człowieczek — do kogo? proszę? autor? tak, tak, tak, — proszę, pan łaskawie, pofatygować się do sekretariatu, proszę, pan dyrektor dopiero koło południa, proszę, stale koło południa, tylko, nie wcześniej, to nic, absolutnie bez znaczenia, proszę, do czego tu dyrektor potrzebny — proszę —

Sekretariat; głowa z nieskazitelnym przedziałem pochylona nad biurkiem, ludzie mają wieczne zajęcia z papierzyskami, więc tego, coby to właściwie, bo... obok biurka: olbrzymie czarne oczy — włosy zaczesane do tyłu, na karku gruby, ciężki plot — —

ona! — niespodziewanie, i tak bez przygotowania;—
u tych drzwi teraz: ani wejść, ani się cofnąć —

Bąknął nazwisko.

— a, autor! — czekamy —

Podsunęła przegub lewej ręki tuż ku oczom —
dwoma palcami prawej pomanipulowała przy zegarku — odskoczyło złote wieczko —

— autor nasz spóźnił się —

Zatrzasnęła cichutko wieczko.

Głos niski, męski prawie i trochę jak to od papierosów; właśnie też pali. Ręce, tak, duże, piękne, wymowne; kilka pierścieni w antycznych emaliowanych oprawach; jeden zwłaszcza olbrzymi, lecz ten gładko ujęty; w platynę; jak się taki kamień nazywa, zielony, pewnie szmaragd; wielkości kociego oka; wypuklejszy; czasem kocie oczy mają taki kolor i blask — w mroku — przy skośnym świetle.

A potem: scena — pierwszy raz w dzień widziana, tak widziana: w rozebraniu, negliżu, w anatomicznej strukturze; — olbrzymia przestrzeń; wysoka; — pod odległym sufitem ganki jakieś, rusztowania zwodzone, platformy; — dookoła odwrócone blejtramy kulis; jakiś szczegół widoczny: kolumna, ściana pokoju z oknem, klomb kwiatów; — wszystko dalekie i blizkie wymową impregnowaną w każdej szmacie, gwoździu, sznurze, szczelinie, desce — — stąd to wzruszenie, uczucie pełne, religijne; cicho mówić głowę odsłonić! schylić głowę! — klęknąć i rozmodlić mową psalmów i hymnów siebie i te przedmioty wyczekujące — ludzi tych tu — i tak sprostą rzec:

— zbudujemy tu przybytki wzniosłe i łaskawe—

zważcie: może to już jedyne dziś miejsce na ziemi, w którym ziszcza się objawienie, przecież to jest pułana Pana i Muz, miejsce postoj u orszaku Dionizosa, przecież to zarazem uroczysko pod świętym dębem, kąpałowe — i, znów, miejsce koźlich pieśni czarujących sok winnej jagody — i tu się dzieją golgotowe ofiary i tu rozbrzmiewa szeroki śmiech radośnego, powszedniego życia — — przecież te wyżarte czasem plamy na ścianie, obtłuczony i zdarty tynk niby — to, spójrzcie! — cień Chrystusa i Falstafa — a oto pracownia Fausta, któremu Chochół przygrywa senną pieśń — — i już przecież sami wiecie, że tu, że tu, że stąd, z tego miejsca... najpierw to, że tu rozegra się tragedia ginącego świata i że stąd też — z e s c e n y — ogłoszony zostanie manifest nowego ładu — podadzą muzykę radosnej wieści megafony placom i ulicom — rozniosą go fale radiowe na nowej, odmienionej antenie w miasta i wsie: ogłosi tedy mowa ludzka erę pokoju, kres trwogi sianej przez złowrogie sobory i rządy, entuzjazm życia, które przestanie być upiorem straszącym — —

Dzwonki.

Próba.

Wszystko tu, w tej pierwszej obsesji, bardzo dziwaczne, zdumiewająco nonszalanckie; dramatyczność w cywilu, wzniosłość i ekstatyczność w kostiumie przechodniów; — aktorki płaszczy nawet nie rzuciły; z torebkami w rękach; puderniczki z lusterkiem. Stół kulawy, krzesła gięte „wiedeńskie“ i t. d.— Nic się też tym niedopasowanym, diabło obcym słowom nie wierzy; i ufać nawet kłopotliwie; uczucie jakby nas nabierano, szklono i wywodzono w pole.

Słowa ważne na niby są spoza żelaznej ściany i z innego świata; nie, nie żelaznej! — są spoza grubej skały i wysokiej: więc tylko uderzeniami porozumieć się można, alfabetem więziennym; — skąd te asocjacje?, ach tak! —: seans, wypukiwane odpowiedzi, prośba o materializację: zjaw się duchu! — a duch: a kuku!

Taka to jest — była pierwsza w życiu asysta na próbie; — i absolutnie niewiadomo, które ruchy są tamte, a które te, które z działania, a które z ulicy. Dopiero przyzwyczaić się trzeba — jak w mroku do patrzenia — wreszcie po dobrej chwili coś się widzi, odrobinę, coś się rozumie, piąte przez dziesiąte, coś się wie, nie wiele — i, że całkiem to inny, odmienny aspekt — niby inny świat — jego tajemnice, jego arkana, jego technikę trzeba poznawać! uczyć się jej!

— jakież wrażenie? — tak to sobie pan wyobrażał —? Pytała o reżyserską architekturę w przezwie między jedną sceną a drugą; sama nawet nie markuje roli; jej kwestie (nauczył się tego słowa) opuszcza się po prostu.

Wymienili już sporo uwag w listach. Właściwie wszystko było wiadome już, już ustalone: obsada, wejścia, sytuacje —

— u mnie było mniej ruchu wtedy —

— kiedy — ? —

— gdy pisałem —

— pisanie a scena! —

— oczywiście —

W półmnie sceny z napierającą od widowni owalną nocą — twarz jej była, czy wydawała się tak

blada, że wprost fosforyzowała — oczy były lśnią-
cymi okruchami zamarzłej nocy właśnie. Ręce jej
lekką drżały.

Poznał też wszystkich uczestników czynnych
w przemianach jego słów w strukturę obrazów
i dialogów.

Czuł swą niezgrabność i zażenowanie; nieśmia-
łość; nie wiedzieć co mówić; — jakąż przestrzeń nie
do przebycia prawie między tamtym pokojem na
wsi, pracownią samotną, tym co tłukło się wzdłuż
ścian, podłogi i pułapu, wybiegało za okno i gubiło
się w gęstwinie drzew, w szumie rzeki, w miodrości
cienistej lasu — a tym tu kooperatywnym montowa-
niem, fachowością prawie, zdawałoby się, suchą i ru-
tynowaną: spółdzielnią twórczą.

W pierwszej chwili połapać się w tym trudno;
raczej więc patrzeć, słuchać, uczyć się i w myślach
pilnie karbować, aby już potem samemu — —

— skąd takie poczucie sceny — ? —

— nie wiem; nie wiem nawet co to jest „po-
czucie sceny“ —

— chodził pan często do teatru — ? —

— rzadko — chyba gdy pani grała —

(— Marysiu! — wtedy przed tą nocą! — Ma-
rysiu — ileż tu z ciebie w tym dramacie rozebranych
do koszuli — tak zwastydżająco — Marysiu! —)

Światło duże i wysokie, popołudniową porą
jaskrawo nabrzmiało — uderzyło w świadomość nie-
prawdopodobnym kontrastem;

(— zapomniałem, że istnieje dzień —)

dwoisty świat — jakaś tam (bo już są na
ulicy —) termitów robota i powaga mroku, organi-

zacja odrębna i swoista — tu przepływ, zmienność, rozbieżność — niezorganizowane wszystko, nie—wy—re—ży—se—ro—wa—ne!

(— poza teatrem jest bezhołowie tematu i formy; teatr to konstrukcja —)

Odprowadził ją Cyprjan na jakąś ulicę; tam jadła obiady, pensjonat.

Podziękował jej — no, więc, za opiekę nad jego sztuką i tak wogóle, sumarycznie — długim spojrzeniem w duże, sowe oczy; — sowie... czarniejsze jak u sowy, sowa ma takie bursztynowe talary; przecież! — i jej oczy są bardzo mądre —

Wracał sam; oszołomiony i nagle osamotniony; — gdy szli razem plantami i ulicami — wszyscy oglądali się i szeptali — czuło się co mówili: że to ona, ta, wiecie, sławna; byłeś na... świetna!

Spotkali się wieczorem.

Nie grała dzisiaj.

W cukierni się spotkali.

W rynku, gdzie z wieży wpadają — chlup, chlup — dźwięki hejnału jak metalowe orzeszki do czarnej kawy.

Zaproponowała ogród wawelski.

Pojechali dorożką.

Wieczór już zapadał — zamek, wieże, budynki — czerniały w jaśniejącym tle nocy majowej.

Ogród królewski; nieduży ogród, wirydarz nieco posępny; kamienne ławy; z jednej strony wysoki mur zamku, z drugiej omurowanie szerokie, parapetowe — na szkarpie opadającej stromo do stóp wzgórza. W dole maleńka, lśniąca rzeka; to Wisła. Na przeciwległym brzegu konstelacje latarni

i dwurząd — jarząca droga pod górę, ku widno-
kręgowi.

Na prawo lśniło się miasto.

Usiedli obok dużej, rzeźbionej, renesansowej
wazy.

Rozmawiali o Wyspiańskim; — temat pod-
pływał sam z chłodem i mgłą — temat tu najstoso-
wiejszy; chyba; o kilka sążni podziemia z próchnicą
pośród której szarzeją czaszki i piszczele — to wła-
nie: najstosowniejsze: resort poety: witraże wa-
welskie:

...Korona twoim próchnom marnym kłamic!

Co było w tobie potęgą, umarło.

Królżeś ty? — próchnem łyska zeschę ramię!...

— Kazimierz Wielki —

— idą posępni, a grają im dzwony —

— oczywiście —

— Wawel! — odrażające miejsce —

— jest jeszcze kilka takich miejsc w Europie —

— kultury nekrofilstwa narodowego —

— to jedno jest w nich wymowne, odpowia-
dają: czym jest tradycja? — rozkładem, czym jest hi-
storia? — trupem — Nie lubiła Wyspiańskiego, nie
lubiła go osobiście, sztukę jego uwielbiała — był
przecież jednym z największych ludzi teatru w tej
zaduszkowej teatru formie; seanse historyczne, wy-
woływania duchów, śmierć, tragiczność, nużąca, an-
typatyczna wielkość; zgnilizna w purpurze i grono-
stajach; sadystyczny chłostacz.

W życiu był — rozpamiętywała, Wawel sprzyja
odgrzebywaniu chwil umarłych — ohydny po prostu

wzięcie zimne, przenikliwe, wrogie, obce; takie też i oczy jego; i usta wąskie; ironia.

Wracała kiedyś z Wiednia; przysła przed samym odejściem pociągu; przepelnienie; w jednym przedziale siedzi Wyspiański; jedno miejsce obok niego wolne; to jedno — wszystkie poza tym zajęte; — przestała całą noc na korytarzu i na platformie; żeby tylko nie z nim, nie obok niego. Niemożliwy.

Potem, gdy już był bardzo chory, odwiedziła go w Wągrcach; przemogła się; uwielbiała jego sztukę; opracowywała ich sceniczną realizację wizyjersko, maniacko, genialnie. — Leżał w brudnym posłaniu; barłóg; i izba taka; cała w poruszeniu, poruszana w zjawach opętanego mózgu; — nakryty czerwoną pierzyną — nie człowiek już prawie — kamrat tych tam — z próchna podziemnego; — nos, ręce — okropność! — „przyszła pani — to dobrze, to dobrze“ — ucieszył się; uciecha jego — w tej mgłę egzystencji — jeszcze jednak egzystencji! — była uciechą cienia, który wydłuża się pod zachód — coraz dłuższy i wiotszy. Rozmawiali o teatrze. Fosforyzowały pomysły nienapisanego dramatu — wałące się zamki i katedry — w purpurze wszystko, w płomieniach, w błyskawicach, piorunach — sąd ostateczny — sąd nad narodami — — a w przycichnięciu skroplonym potem: — „nikt tu do mnie teraz, umarłem zanim umarłem —“. Weszła żona; tęga zażywna, brzydka, brutalnie witalna; — spojrzął na nią z śmiertelnego barłogu; i długo patrzył — aż szkliste oczy zwężyły się i zalsniły — cały już był zmysłem, pociągiem, lubieżnością — — zdawało się, że za mo-

ment powie zdyszanie —: niech pani wyjdzie, ja...
niech pani natychmiast... i, że nawet tego nie powie,
tylko raptownie zachrypi... było w nim nagle, na-
tchnione niepohamowanie śmiertelnej, bezzwłocznej
jurności... nieomal słyhać było szelest krwi w su-
chych żyłach — zachodzące płomienie nakazywały—:
— kładź się! rozwał się — twej zdrowej, rozległej
daj... jest jak ziemia, którą opuszczam, którą już lo-
tem mijam — raz jeszcze...! A ona stała nad nim.
wielka, olbrzymie cycki opadały na wystający
brzuch — pod boki wsparta — — po chwili rzekła
ku tym pożerającym ją oczom: — „cóż sie tak pa-
trzyś? zjeś byś mie kciol? — ej, dałabym ci siekiere
do gorści, zebyś som z sobą prędy skończył, umar-
loku“. — Wyszła. Ognie w oczach Wyspiańskiego
przygasły; zda się jeszcze zmałał; woskowy, mały,
brzydki trupek. — Długa cisza; szelest palców drzą-
cych na pierzynie; zegar tykał, mosiężne wahadło
lśniło iskierką światła; za oknem ćwierkały wró-
ble. — Po śmiertelnie bladej twarzy spłynęła łza;
wraz z nią słowa: „pani droga, tu pod czaszką jest
straszno, to piekło — — wyjmijcie mi mózg!“ — —
— najtragiczniejszy poeta —

— niech nikt nad grobem mi nie płacze, krom
jednej mojej żony —

— no tak —

Schodzili schodkami z wirydarza wawelskiego
ku bramie.

Niebo nad miastem Wyspiańskiego rozpló-
nęło jasną luną; zapadała noc.

Mieszkała w hotelu.



Po pierwszych odwiedzinach.

Wraca.

Spojrzał Cyrjan w jej okno na drugim piętrze. Wychyliła się i rzuciła kitkę białego bzu; podniósł i podziękował uśmiechem i ręką; — bo to jakby kwiat spadł z dalekich gwiazd; wonny meteoryt. Wychylona z okna zawisła półciąłem, mroczna na tle oświetlonego okna, tuż nad początkowymi, olbrzymimi literami reklamowymi — była nad Ho — — — tel. — Stąd nazwaną jest w nim na wieki wieków: Ho, pani Ho.

Piękna pani Ho.

Mądra pani Ho.

Dobra pani Ho.

Umiłowana pani Ho.

A za następnym razem była w bladokremowej tunice, wysoko złotym pasem spiętej; to podkreślało jej wyniosłą hieratyczność.

Ucałował ją jak się całuje bóstwo; jak się całowało antyczne boginie, gdy między śmiertelnych wchodziły z łaską miłości i wiecznego życia.

Pallada! —

— *nad lądem i nad morzem
noc gęsta, długa, głęboka —
— wśród domostw śpiących idzie
Atena sowlouka —*

—
— *jak zjawą mgłą odziana
powiewa płaszcz jej biały —
jak rytm miarowy serca
stukają jej sandały —*

Przez półotwarte okno niósł się z dołu gwar i zczyszony stukot miasta, woń ogrodów i westchnienie młodej ziemi uwolnionej z ucisku skwarne go dnia. Zmierzch.

Ho leżała na otomanie; oczy przymknięte; ręce odrzucone; taki biały krzyż. — Całował jej kolana — i to wąskie miejsce pomiędzy wysokimi pończochami a spodenkami.

Splomieniał. Całował coraz gwałtowniej oczy, usta, włosy, wspaniałe, bujne włosy pachnące jak zioła na słonecznym wyrębie w czasie skwarnej pory; wodził delikatnie palcami po jej twarzy — piersiach — biodrach —

— parzą twoje dłonie —

I znów smukłe, długie nogi — wzdłuż —
całe — — wtulił w nie twarz —

— umiłowana — umiłowana —

Przez zaciśnięte, wąskie wargi wyskamlała:

— rozedrzej —

Rozpuściła włosy, rozsypały się wzdłuż ciała, zaścieliły posłanie — opadały na podłogę.

—

— consumatum est —

—

Było w tym akcie panieńskie prawiczeństwo —
— we wszystkim oporność, bezwdzięk, surowość,
pierwotność; zwierzęco nieomal, wilczo.

Potem z uśmiechem:

— mniszka jestem —

— odradzasz się jak olimpijki —

— poeto —

— Pallado — pani Ho! — Ho —

To wszystko było zupełnie co innego! nowego! niebywałego! — To było branie w posiadanie samej poezji, dna sztuki i inspiracji.

Sprawa już olimpijska. Tu słychać było, rozpryskujące się jak duże krople deszczu, z daleka padające na płyty dni dźwięki sirinks. Boskość i odrodzenie!

Napełniony był tą melodią jak elektrycznością — dotyk zjawisk wywoływał iskrzenie.

Nazwała go bożkiem.

Żył Cyprjan w opętańczym wirze, w płomiennej zawiei; pomysły — wizje — koncepcje dramatyczne krążyły szalonym korowodem, otaczały go wzburzone warstwy powietrzne — maski — maski — maski — tragiczne — hieratyczne — satyryczne; — przestrzeń świadomości zaludniła się mnogością osób i zdarzeń, domagających się kształtu i życia — — nadążyć trudno — — dni i noce zdyszane — jawa kontynuowała sny, sny wyłaniały się w sceneriach zamkniętych, zwartych, już skomponowanych.

I tak od pierwszej chwili.

Wpływ tej miłości, w której sama zmysłowość była niedecydującym elementem — był olbrzymi. Nagły, gwałtowny wzrost twórczości; pracowitość nieznużona; — sama rzemieślnicza praca, pisanie samo: czternaście godzin na dobę. Sen nie był już występkiem; był kontynuacją. Mózg płonął.

Wszystko to nie mogło ujść uwagi Włsi. Nie wiele wprawdzie z sobą rozmawiali o jego zawodowych pracach — lecz falowanie nieustanne emanowało rwący nurt, — szumiał zbyt donośnie. Ściany promieniowały. Niepokój niepokoił.

Cały dom szeleścił, ocierały się oń wizje jak lwice.

Wybierali się razem na drugą premierę Cyprjana.

— i znów ona! — wszędzie teraz ona —

— no więc? — to dobrze, to ma wielkie znaczenie —

— już ja tam dobrze wiem, co się za tym kryje —

— co wiesz — ? —

— wszystko —

— to istotnie dużo —

Myśla się u siebie; rozmowa przekraczała drzwi przychylone — tam i z powrotem — zdania zderzały się w wąskiej przestrzeni między drzwiami a futryną, słowa potykały się o próg; trzeba je było — te same — dwa i trzy razy rzucać.

— tak jest, żebyś wiedział, dużo — wszystko! — Weszła naga do pracowni. Pełna, tłusta lecz bardzo ponętna.

Cyprjan był w płaszczu kąpielowym. Siedział przy biurku.

— ja nie chcę! nie chcę — słyszysz! — nie chcę! Mówiła zbyt głośno.

— słyszę, lecz — czego nie chcesz — ? —

— nie chcę! — dla ciebie tylko poezja, tylko sztuka, tak — tylko to co z nią! — a to tylko pretekst — ty już wiesz do czego! — wszystko to — do tego — tak —

Wycierała szyję i brzuch szorstkim ręcznikiem; skóra poczerwieniała.

— Wisiu — czyż ty nie widzisz jak ja pracuję — ile —

— dla niej to robisz! tylko dla niej —

— jak można dla kogo tworzyć? — Wisiu! przecież to nonsens — przez kogoś, z powodu kogoś — rozumiem, bywa tak, owszem, lecz Wisiu — —
— nie mów! nic nie mów —

Odrzuciła ręcznik, podeszła szybko — mokre stopy zostawiały ślad na podłodze — krępa, rozbudowana, szeroka, suta wszędzie — — przechyliła jego głowę i wgryzła się żarłocznie w usta dużymi wargami. Całowała chciwie. Ręce jej tymczasem rozwiązały pas płaszcza kąpielowego, odrzuciły poły. Był wyluskany jak fasola ze strąka. Podąła mu piersi —
— całuj, mocno — mocniej —

Okroczyła jego zwarte kolana i nabiła się na niego.

Objął jej duże twarde pośladki — — kierował rytmem — — głowę odrzuciła do tyłu — poddawała się — — Wi-sia, Wi-sia, Wi-sia — powtarzał w nagłym upojeniu — — — Wbrew jej zwykłym obyczajom fizjologicznym — żadnych nie wymagała dziś kunsztowniejszych pieśzcot; dogadzała jej ciało nagość, gwałtowność, zazdrość, chęć wyczerpania go — — bardzo była podniecona — — podawała się coraz głębiej — nagle uniosła się wysoko — chwilę trwała w tej pozycji — opadła raptownie i wyszybciała swe, znane mu, potwierdzenie rozkoszy; — no, no, no, no — — Uspokoila się szybko; organizm jej nie wymagał owego czulego finale, tak ważnego w życiu seksualnym kobiet.

O pani Ho nie było już więcej mowy; nagła

ekspansja Wisi wystarczyła na długo; na miesiąc, dwa, dłużej. — — — — — — — —

Pani Ho!

Lata święcone jej imieniu i osobie były latami wielkiego wysiłku pisarskiego; motor działał bez przerwy, nienagannie i sprawnie z pilnością niezawodną.

Ta wyrazista harmonizacja myśli miała, powierzchownie rzecz biorąc (— sprawy te bowiem, o których tu mowa mają wymiar wielopłaszczyznowy, i wszelka generalizacja prowadzi na manowce zbędnych jednostronności i uporów —) miała więc ta harmonizacja cechy jakoby irracjonalne, sama bowiem płciowość odgrywała tu rolę drugorzędną; pociąg fizyczny Cyprjana był nikły; ochłodzenie wyraźne.

Problem ascezy — obojętne czy zamierzonej czy mimowolnej — był dlań w tym okresie bardzo żywy i istotny. Łączyło się to poniekąd z wytężoną pracą; podczas niej popęd zawsze zwężony, raczej nagły i szybko mijający; gdy praca była ustawiczna milkł i zaniemawiał zupełnie. A tak właśnie teraz było.

Pani Ho!

Zachód jesiennego dnia doganiał resztką zruddziałego światła wąskich czubów szelestliwych topoli, rosnących przed oknami jej mieszkania; Ho w szybkim, przelewnym płaszczu włosów leżała rozkrzyżowana na tapczanie. Z poza ceglanych murów, przez które przerzucały się czerwone jak nogi flemingów pędy dzikiego wina, wschodził blady, dniem jaśniejszy

cym jeszcze przerażony księżyc. Cyprjan skończył czytać swój nowy dramat, w którym Ho przybrała kształt hieratyczny i tragiczny; powiedzenia, wersety, dialogi i monologi były refleksem i kopią ich rozmów i listów.

Pokój Ho — czarodziejskie laboratorium, średniowieczne niemal, alchemiczna pracownia Fausta — pięknie sklepiony, w opadzie łuków zokniony, patrzy na te topole właśnie, na mur ceglany, zachód i księżyc. — Wnętrze, po wyświetleniu gwałtownych dramatycznych scen, wygasa powoli.

Chwila łagodna i milcząca; cisza i spokój.

Ku rozskrzyżowanej, pięknej, boskiej pani Ho nadpływa bezszelestnie moment „pieszczoty księżycowej” — tak określała upodobanie do pieszczot nakrywających ją jak zmięcz nakrywa łąki i ogrody — powoli, delikatnie, mięko; pieszczoty zwiewne i subtelne, opływające i przesiąkliwe — bez zbyteków, ekstrawagancji, bez owego ruchliwego oszołomienia, uciskania, burzliwości, tłamszenia — i lubiła mrok, półmrok, szarość i zwiewność; — z omglonych przestrzeni miała się skraplać siąpliwa rozkosz, powolna, wnikliwa, odległa; śniona raczej; — i nigdy w kulminacyjnym momencie żadnego jęku, żadnego przyciśnięcia, zarzucania łapczywych ramion, gwałtowniejszego ruchu — nic z tego wszystkiego — — ledwo wyczuwalne sprężenie mięśni — zastygnięcie — wstrzymany oddech — — twarz bladła i zaumierała — — aż w pewnej długo wytrzymanej chwili przechylała głowę na bok, tę grecką, klasyczną głowę — układała ją powoli jakby z namysłem na lewym policzku, wtulała się w poduszkę — sztywność

wolniała i miękła; — westchnęła; znaczyło to: już. — Leżała tak długo, o nic i o nikogo dbała; nic ją w tej chwili nie interesował mężczyzna. — Budziła się z bezwładu zawsze z tym słowem: wracam!

Deprymujące, pełne dysgustu i zawstydzenia były dla Cyprjana częste w tym okresie przypadłości absolutnej fizycznej niemocy. Stan ten pogarszała i mnożyła lękliwość, że tak właśnie przydarzy się, gdy właśnie tak być nie powinno. W tych wymiarach poczucie dystansu, które na dnię pomysłów i świadomości Cyprjana istniało w stosunku do pani Ho od początku — mogło się przemienić w nużącą komplikację poczucia niższości; może i tak było; — tak czy owak: uraz niepożądany. W rezultacie somatycznym wykorzystywać trzeba było momenty podniecenia — wykorzystać szybko bowiem płoszyły się i pierzchały. Arytmiczność druzgocąca! — Samopoczucie stawało się z dnia na dzień coraz gorsze; — mowa tu o tych dniach, w których byli razem; dni tych sporo. — Cyprjan był teraz tym, co się tak głupio zwie „uznanym dramaturgiem“ — sztuki jego grano we wszystkich teatrach; stąd te częste sposobności i spotkania; te dni więc.

Pani Ho była mądra.

Pani Ho rozumiała i — wiedziała.

Pani Ho była jego dobrym duchem, wielką motoryczną pomocą, wzniosłą towarzyszką. Bujne też były owe lata i rozległe jak wrota stodół; stodół pełnych.

Stan ich posiadania psychicznego pogorszył się znacznie i prawie zniwelował, gdy oboje — pani

Ho i Cyprjan — pracowali wspólnie w stolicy Wandeji polskiej.

Dla Cyprjana były to straszne lata; lata zmory i ucisku; groźnel

Dla ratowania domu, który od dziesiątków lat — stricte od roku 1829-go — nierestaurowany, był właściwie ruiną, ruderą niemieszkalną, przeciekającą setką dziur, próchniejącą i kruszącą się coraz bardziej, dla spłaty długów zaciągniętych w latach, w których żadnego nie było zarobku, a głód przepędzało się zupami kartoflanymi na śniadanie, obiad i kolację, dla zagwarantowania sobie znośnego warsztatu pracy i higieny pisarskiej (— problem niezmiernie ważny! —), która dla niego wyrażała się w koniecznej i stałej potrzebie: zieleni, cienia dużych drzew, rozległego widnokągu z nieboskłonem wspartym o lasy i wzgórza, czystego chłodnego powietrza i ciszy przewiewnej szumem i rytmem pór roku, oraz dla kilku jeszcze innych przyczyn — wyjechał na „saksy“, zwyczajnie: chłop szukający zarobku; w takich wypadkach nie jest się wybrednym; — wyjechał i związał się na cztery lata z okładem zarobkami w atmosferze duszącej, oglupiającej, zawstydzającej — wręcz nieuczciwej. To były ciężkie życia co się zowie. Lata ostatecznego upadku. Cień takich lat jest długi, jak popiół sypie się na życie późniejsze; zgorycza jadło, skwasza napitek.

Na tle narastającej grozy, potwornych szarpań i ustawicznej negacji, w warunkach tak opacnych i oglupiających — zapaść się musi wszystko. Kontrowersją nie można ciągnąć długo; na ustawiczne „nie“ można zdechnąć; jeśli się przetrwa to zawsze

z chronicznymi komplikacjami. Wewnętrzna obronność i nic jak obronność — oto katorżna robota, która może złamać najsilniejszy organizm; z druzgocących dysproporcji jedno tylko wyjście: zginąć. i to drugie: uciec! — Elementarna brutalność wandeizmu — z tym trzeba się liczyć!

Depresja Cypriana sięgała tysiąc kilometrów w głąb.

Pani Ho uciekła po dwu latach; rzekła: fosgen“. Cyprjan został; wytrzymał cztery lata i siedem miesięcy.

W tej chwili szpitalnych rozważań — myśl cyprjanowa unika widm tych lat, odżegnuje upiory — a kysz! — tak ucieka się myślą od wspomnień okresów ciężkich chorób, klęsk i nieszczęść; tak omija się zasięki koncentracyjnego obozu — czymże innym jest Wandeja polska? — omija prędko, biegiem, ucieczką — może, może kiedyś później — — może — — ale teraz jeszcze nie, jeszcze nie — — Wyprasza Cyprjan audiencję u zapomnienia, edyktu dla myśli tolerancyjnego! — Cała okolica tych wspomnień jeszcze jest niezagojoną raną, dotknięcie jej boli i rozpręża ostatek przytomnych sił; — — gdy wbrew woli napatoczy się, jak oto teraz, wspomnienie tych piekielnych lat, gdy się zupiorzy z zapomnienia, tak upragnionego, jakaś postać, jakaś twarz, jakiś gest, jakaś sytuacja — myśli ratownicze jak fagocyty biegną z pomocą, odpracowują napaść sprawnie i metodycznie — zacierają, zasłaniają innym, chętniejszym obrazem — — byle nie teraz! nie teraz! — zbyt to świeże, paskudne, ponizające —

A jednak, jednak... jeśli jeszcze jakaś szczypta złudzeń mistykalnych kołatała się w organizmie ludzkim — to w tej posępnej, ortodoksyjnej Wandei wymiata się to na cztery wiatry jak plewy młynkowane przy na przestrzał otwartych wrotach. Godność ludzką obrażało dzielenie jakichkolwiek myśli uczuć, przekonań z tą gromadą klechistańskich, tępych pyszałków wiedzionych za nos przez kler niemoralny, zachłanny, mściwy; rezerwat obskurantyzmu.

Tutaj też przypuścił Cyprjan pierwszy atak na synchedrion.

— a to naprzykład...

— odejdźcie! —

— tylko to jedno, pamiętasz, gdy...

— odejdźcie — zaklina Cyprjan — odejdźcie lata zła i złowrogie, lata smutku i gniewu, lata upadku i poniżenia! — Do diabła! — przecież tu obowiązuje obrządek szpitalny! — tak czy nie? — tak! — no więc! — Wobec tego, wyobraźni, która jesteś i kuźnią i wyzwoleniem, dnem nocy i zenitem dnia — wywołajże mi, proszę, w tej chwili zasłonę, niechaj gęsta i gruba, zapadnie nad grozą i niech ją odemnie odetnie — a na tej zasłonie wywołaj mi jeszcze obraz i dzieje... Mili;; — bo choć i tu czai się na dnie żarłoczny, wstrętny głowonóg... zapewne, żal i pewność bolesna, że nie umiało się — tchórzostwo! — załatwić sprawy — — cóż za wyrażenie spod ciemnej gwiazdy! — poprostu zabrakło siły na cięcie — — lecz są to lata podniosłości i wielkiego wiewu, lata stratosferycznych odkryć! —

Mila! — szepcą wargi Cyprjana; — Miła! — wołają w przestrzeń; — i poraz trzeci, niecierpliwie: Mila! — lecz zanim szept i wołanie docierają do ścian szpitalnego pokoju — proszkują się na litery, a litery przemieniają się wlocie — „M“ zostaje „M“, „i“ przemienia się w „a“, „l“, zastępuje „u“ — „a“ przeskakuje na koniec, między „u“ i „a“ wciska się nowa litera „r“ — wszystkie te litery lśnią, fosforyzują, skaczą, drżą — żyją! — Przestrzeń, jeszcze przed ułamkiem sekundy zmilona, rozbrzmiewa nowym dźwiękiem; w strunę szarpniętą i dygoczącą wdłuża się daleka, nieznana Maura — z całym kompleksem nowych rozkwitów, nowej wiosny, nie—zna—ne—go!, spotęgowanego życia, pełnego przewidywanych, niebywałych utrudnień — — jakby tajemne skarbcze, szyfrem odkryte, rozrzucone po świecie, z których ostatnim wysiłkiem trzeba odwalić glazy odporne, ciężkie, szorstkie, zdrapujące skórę i mięśnie po nagie kości.

I cóż — ? —

Przecież wtedy w Warszawie mieszkali blisko siebie, najpierw na szerokość ulicy — później na długość dzielnicy.

No to już wiemy; lecz Cyprjan wciąż na nowo chciwy jest tej wiedzy.

Zwiewna, buńczuczna, radosna, świeża — sentymentalna i wyśmiewna, bywa tak — i — oczy! — oczy świata i oczy na świat!

I cóż — ? —

No — bo tak to, tak — mieszczańskim trybem: szlachcianeczka, z rodziny obciążonej tradycjami powstańczymi — wiemy, znamy —: legiony, sześćdzie-

siąty trzeci, trzydziesty pierwszy, wojenki krwawe; i ograniczonej nike napoleonidów, i krzyże spod Olszynki i inne cacy i cudeńka, temaciki orotowskie — w realnym, nagim, za przeproszeniem, skrócie: tylko oficer i tylko, oczywiście, legionista, i tylko pierwsza brygada, i tylko taki co od pierwszego dnia, i tylko taki co zaszczytnie ranny i tylko taki z virtuti!! — taka, wiǳcie towarzysze, opera; — bo, że niby na pierwsze c z ł o w i e k, wiemy, a na drugie dopiero wszystko inne; też prawda; i, że my tutaj, po tej stronie z sympatią do niepodległości wszelkiej, rzecz jasna; lecz do wojackiego reżimu z antypatią, zrozumiale; że trzeba, że musi się odrzucić wszystko co grodzi drogę do pokoju świata, do braterstwa ludów, do wielkiej wspólnej, szczęśliwej pracy całej ludzkości; że wojsko konieczne dopóki źli ludzie: faszyści, szowiniści, rasiści, burzyciele i okrutnicy; więc na nich; wychowanie ludzi dobrych: społecznych, przyrodniczych, antyteologicznych, sprawiedliwych, pracowitych — oto koniec militaryzmu; wypraca etyczna po klasowym zwycięstwie; niema innego pogodzenia sprzeczności, tylko to.

Dzisiaj wierzysz tak, Milo — ? —

To dobrze.

Milo! — a jednak wtedy, gdyby... powiedz! zwał rozsądź! — zmierz miarą życia, życia wszystkich i swego życia!! — Lecz tyś się urodziła pod znakiem komunafu, „pięknych okieśleń“, frazesu i poezji za trzy grosze; z tym ciężko!

I cóż — ? —

Tak się to i skończyło, na czternaście lat się skończyło — — a gdyśmy się znów spotkali — —

byłaś pyszniącą się matką — baczność! — a on, ten wybrany twój według przepisów, jak wyżej reprezentacyjny poszukał sobie takiej co to jeszcze dzieci nie; że to, powiada, przyjemniej.

Zbolały na głucho w tej chwili Cyprjan, recydywista, pyta niewybrednie — niewybredna bowiem jest boleść — : — i cóż? — dla czego? — i — czemu? — Ta tylko jest tu biologiczna pewność, że trzeba ci było, Mileńko, przystroju i ozdób dla jąder i prącia — niczym wszakże innym nie są błyskotki, szamerunki i barwność stroju jak właśnie dekoracją genitalii; — analogie przyrodnicze są tu zbyt wyraźne i pewne; przypomnieć — ? —: ostrogi = pazury, bagnet = szpony, siekacze — broń wszelka, szkoda gadać, — i sylogizm: samiec silny w boju, silny też i w rui, dobrze uzbrojony, mocno płciowo wyposażony. Słusznie; ale to i wszystko. Teraz, dopiero od tego miejsca można wieść dyszkur o człowieku —

I cóż — ? — źle — ? — bardzo źle! — kląć w żywy kamień, albo...

— no, dzisiaj to już musimy tę naszą zażyłość rzetelnie oblać, niema rady, trudno i darmo, musowo oblać; panu pić nie wolno, wiadomo — no, ale czerwone wino, Pomar, widzi pan, rzetelny, burgund nie zaszkodzi — kieliszek —

— gdyby się profesor o tym dowiedział —

— nie bądźcie kolego strachopudem —

To doktor Oborski i Maas. A te butelki to taszczy Oborski — zawinięte w kitel lekarski.

Zaraz też weszli Ester i Eilper.

— a gdzież nasz komunista — ? —

— jestem — odpowiada Cyrjan, rad tym sympatycznym gościom, najazdowi życzliwemu.

— ale tamten drugi —

— Nering Tadeuszek — ? —

— no —

— wyszedł, razem z tym inżynierem wyszli, ten to już żadną miarą usiedzieć nie może —

— co tam usiedzieć! — leżeć powinien —

— on ma drugą żonę, czy on się dawno ożenił — ? —

— pieski jego żywot — jemu trudno się będzie wylizać —

I znów w czambuł chwałą, zawodowo, że on, Cyrjan, taki pacjent fajnacki! — leczeniu szedł na rękę, jak rzadko — no to i nagroda dla obu stron — zdrów! —

— i popić będzie można —

— zaś ta, zaś ta —

Ester:

— tempora mutantur — nunc est bibendum —

Eilper (trochę strachopudowo i przyjaźnie):

— no, już ja będę uważał, żeby nie za dużo — niech pan wpierw zażyje sporą dawkę alukolu — i dopiero za pół godziny —

Oborski:

— pfu, miłość i picie nie lubią czekania —

— cóż robić — trzeba —

— bardzo to źle —

Tak też gadają przez te pół godziny — według określenia doktora Oborskiego de dupis marinis et quibusdam aliis; kamraty i honorowi — gdzieżby tam tacy dobrzy chłopcy sami wińsko żłopali.

Doktor Maas jest skrupulat — pilnie na zegarek patrzy — choć to tak akurat na minutę nie musi być; pozarazał tym innych — jak ich czterech tak też we czterech baczą na odmierzony czas — — pod koniec liczą minuty, a w ostatniej, sekundy — przystupują nogami, olbrzymie cztery sekundniki —: raz — dwa — trzy — dwadzieścia — dzieści — dziesiąt — sześćdziesiąt! — stop! — hurra!

Otwierają ciemnozieloną, w czerń aż wpadającą butlę — a nagrzali ją wpierw do potrzebnej temperatury takim rudym okładem gumowym jak na brzuch — Oborski, specjalista, copochwila ją obmacywał, żeby nie przejrzało, powiada; — leją do pobrzękujących radośnie na szklanej płycie nocnego stolika kieliszków — cieknie bełkotliwą strużką żywa krew ziemi — burgund — Pomar —

Brzęk — dźwięknęło pięćkrotnie — na zdrowie!!

Rozkoszny, cierpki, płynny żar! Wsmakować się w każdą kroplę! — język, dźwięka i podniebienie — niechaj biorą udział w dionizyjskiej fecie — — smak: wytrawność i tkliwość; węch: nagrzane białym słońcem zbocza z kształtu podobne do piersi kobiecych; dotyk: nieco leniwa, ciepła, pożywna krew globu, esencja planetara, dar mądrych bóstw: ziemi i słońca; wzrok: rubinowa otchłań na dnie kieliszka podniesionego ku rozśmianym, przymrużonym oczom; słuch: cmokliwe siorpanie, skanzja zachwytu, łagodne, wiosenne strumyczenie wygodnym przelykiem — — oto w organizm, w żyły, w mózg, w serce, w płuć — wlewa się bystra uciecha, radosny skowyt szczenięcy, rozległy, zataczający się śmiech Menad — — na

zdrowie! — na wielkie, dostałe, mądre zdrowie człowieka!

Odpomina się Cyprjanowi:

— opowiadał mi ojciec, a winiarz to był znamienity, że wina, te długożyjące zwłaszcza, wiadomo, nie wszystkie wina mają długi żywot, niektóre umierają młodo i, zaprawdę, nie one są ulubieńcami bogów —, że więc wina wyborowe i doświadczone nie zrywają kontaktu ze swą macierzyńską latoroślą — lecz, że właśnie w kontakcie psychicznym z nią żyją; — wiosną, uważacie, wiosną, gdy na uroczych zboczach Burgundii i Węgier winnice zakwitają — po wszystkich piwnicach pachnących chłodem i estrami burzą się wina w beczkach, antalkach i flaszkach, iak owa neopolitańska krew, tyle, że bez szalbiertwa a z żywiołu — burzy, buczy i szumi pszczelnie i pasiecznie — tak się, widzicie, swą zacząć płcią ku tamtej, też swej płci przechyla chutnym mamrotaniem — — przecież to wspaniałe! —

— czy to jednak prawda — ? —

— ach to już obojętne, sama treść jest cudna! — przecież to też obojętne czy muzy naprawdę istnieją i czy Apollo piękny i nagi poeta napęlnia je swym szaleem — to, że są wiedzą naszej świadomości, że budzą sobą zachwyty i upajającą malignę — to już aż nazbyt wystarczające istnienie! i, powiem, najwznioślejsze! — nie żyć a istnieć — to chyba najwyższa, najdoskonalsza forma bytu, najszczęśliwsza na pewno —

Ester:

— tis good, though music oft hath such a charm
to make bad good, and good provoke to harm —

Maas:

— w Paryżu nazłopałem się wińska — tanie
i dobre —

Eilper:

— szczęśliwe narody, które mają wino — kul-
tura ludzka idzie szlakami winnic —

Cyprjan:

— i poezja —

A że właśnie naszły go wspominki, więc znów
z tej samej — jeśli nie beczki — to w każdym razie
z piwnicy tej samej —:

— iakże wdzięczną pamięcią wyławiam z naj-
wcześniejszego dzieciństwa mądrą radę ojca mego;
to był, wiecie, mędrzec:

— wer nicht liebt Wein, Weib und Gesang

der bleibt ein Naar sein Lebenslang —

pięć lat miałem wtedy, zapamiętałem — a mówił
to owego sierpniowego popołudnia w altanie zasia-
nej słońcem jak złotą pszenicą ojciec patrząc w oczy
mej matki, kobiety pięknej i młodej — ojciec był
znacznie starszy; na kamiennym stole stała opleciona
flaszka i dwa kieliszki ze złotym winem — prosił
rzekł podnosząc kieliszek i zaśpiewał rozległym,
miękkim basem:

— *dziewczę z buzią jak malina*
twoje oczy gwiazdki dwie —
ty pieszczotko moja miła
owładnęłaś myśli me —

...matce upadła chusteczka, schyliła się po nią,
a mnie się zdawało, że ona chce zbierać tę złotą psze-
nicę krążków słonecznych —

— oryginalnego miał pan ojca —

— mędrca, powiedziałem —

Tak to jakoś powiedział twardo i jakby niechętnie, że Oborski poczuł ochotę zatuszowania tego nieuchwytnego nalotu obcości —:

— zdrowie poety — ! —

— dziękuję! — najszaszczytniejszy trud —
i godność najwyższa! — Wasze, panowie, zdrowie —

Trzymając kieliszek na wysokości oczu, rzekł
Cyprjan —:

— ten niemiecki dwuwiersz, jego treść przesta-
wiłem i zmieniłem, widzicie, dla mnie, chcecie wie-
dzieć, jest taka sprawa: p o e z j a, rozkwit ziemi, naj-
dalsze wypracowanie świadomości, p ł e ć hormoni-
zująca myśli i uczucia, odkrywczność i twórcza roz-
kosz, m y ś l s p o ł e c z n a, przywrócenie sprawiedli-
wości, rządy w rękach ludzi pracy — oto motory
mego życia, elementy istnienia — tak to jest — no,
prosit! kochani —

Brzęk dookoła: wieniec czerwonych kieliszków:
drugi uwity z pięciu męskich rąk — ramiona jak
szprychy łączą te dwie osie z kołem postaci —

— prosit—

I chwila ciszy.

Wino skłania do natchnionego picia.

Maas:

— w szarzyznę naszego życia i, powiem nawet,
w smutek jednostajny — wniósł pan, że się tak wy-
rażę, niepokojący wiew — odrodziliśmy się, odprę-
żyli —

— radujcie się, jeśli tak; poeta zawsze niepokoi,
i to jest w nim najcenniejsze —

(— muzy — muzy — muzy — jakże dobrze jest w tej chwili! — czuję oddech wasz na policzkach i we włosach — podmuch wiatru, to poruszony eter waszym tańcem — pachną ciała wasze zdrowym potem jak szlachetne wino —)

Oborski przemycą sprośną anegdotkę:

— czy się elektryczność je — ? — skądże! — a jednak, tatusiu, czy się ją je? — skąd ci to chłopcze przyszło do głowy?! — ale, tatusiu, czy się elektryczność je? — upiera się chłopiec; — powiedźcie mi wreszcie skąd to głupstwo? — bo słyszałem, jak wczoraj ten kolega tatusia, pan Bolcio, mówił do mamusi w sypialni, jak to tatusia nie było, bo tatuś na posiedzeniu, to Bolcio pan mówił do mamy: zgaś kochanie elektryczność i weź do buzi —

Oborski się śmieje, aż się skukliwie zaniósł.

(— pocóż to tak teraz? — przy winie? — to do wódki takie bery; niepotrzebnie to mówi —)

A anegdociarza jeszcze korci:

— a znów innym razem ten sam chłopiec...

Doktór Ester wyrozumiał dysonans, bo znów rzekł:

— nunc est bibendum —

Ale jurny Oborski nie zraża się; rozsądza go, porzucił tę drugą fraszkę, lecz za to opowiada, jak za studenckich czasów urządzili sobie medycy bal w trupiarni; porozumieli się z woźnym, coś mu tam w łapę dali — onże truposze poodsuwał popod ściany — a hala to była, mówię wam, wielka, piwnica, podcienia sklezione — naschodziło się studenckiej obojga płci hurma — muzykę mieliśmy swoją, wody wystarczająco, bufet — no i bal jak cholera! —

tańczyło bractwo, piło — też się i urzęło — z figli powypruwaliśmy pęcherze z umarlaków — nadymaliśmy — fruwało to jak baloniki — heca, mówię wam, heca —

Zanosił się śmiechem; rżał. Był już blady; pił zbyt nagle; był z tych, którzy bledną — cerę zresztą miał śliczną, alabastrową — a teraz wargi, zawsze u niego czerwone, były ciemno purpurowe jak burgund — do tego te czarne, zrosnięte brwi gęste nad skośnymi oczami, ostra szczotka przyciętych wąsów — bardzo wszystko razem efektowne.

Teraz zaczął nucić; sam, jeszcze nie było dostatecznie winnego zapędu na chór; to potem; solo więc zaczął:

— *nasz praszczur Noe mędrce**m** był
i chadzał w czci przed panem —
fi — fi — fi — fi — fi — fi — fi — fi
lecz wino pijał dzbanem —*

wygwizdał jeszcze raz melodię i nacichł; nieskoro śpiewa się samemu, w socjocie zwłaszcza.

— pamiętacie? — zawiesza Cyprjan swe zdanie na ostatnim gwizdzie Oborskiego jak płaszcz na gwoździu — ech zapewne nie pamiętacie, doktorowie sławetni, zakończenie trzeciego aktu drugiej części Fausta — ? —

— wal pan —

— wogóle nie znam drugiej części —

Oczytany magik, Ester, wie oczywiście —:

— o tłoczeniu wina? — to to? —

— właśnie, właśnie —

— no to — lu! —

— czekajcie, momencik, niech sobie przypo-
mnę — nalejcie tymczasem wina — — aha! słuchaj-
cie w należnym skupieniu:

— *skrzypią kosze, dzwonią wiadra — lud się krząta,
spieszy, ładzi,
zbiera grona, w znojnym trudzie znosi do ogromnej*

*kadzi;
tam jagody ciepłe, wonne, naciepane w beczek mroczy
bezlitośnie zgniata, spienia i na miazgę mięsi, tłoczy.
Aż tu zewsząd brzmi muzyka, kotły, fletnie i cymbały —
już z misteriów się wyłania Dionizosa krąg wspaniały.
Idzie orszak kozłonogów, kozionózek, chybotliwy,
a pośrodku — zatkaj uszy! — kłapoucha ryk chrapliwy.
I już wszystko pomierzwiłone! Wstyd do kąta! —*

*Wkoło drepce
kopyt, nóg i racic rzesza; — każdy*

*cmoka, siorpie, chłepce;
pcha się zgraja, ręce pręży, bełkotliwie woła: wina!
Czasem się ktoś opamięta — alic rychło tumult*

*wszczyna
i na umór pije dalej, aż się zwali z nóg pijany!
Na moszcz miejsce! Na moszcz miejsce! Trza
wypróżnić stare dzbany!*

— brawo! —

— racja! — precz z pustymi flaszka! —

— wiwat sekwens! —

— trzy Pomary poszły! — a teraz inksza ink-
szość —

— a co — ? —

— Chambertin —

— wiwat —

Dobrze się już z krwią wino pomięszało.

Wrzawa rośnie.

Pozamykano przezornie drzwi od kuchni na kurytarz.

— żeby nie gorszyć —

— zakonnicy —

— żeby nie przeszkadzać —

— umierającym —

— żeby nie wieść na pokuszenie —

— zdrowych —

— cóż wy tak litanijnie — ? —

— samo tak — my nic —

— bihme, że samo —

Maas nagle konspiracyjnie:

— a co wogóle? — co pan myśli, co teraz—?—

— z czym — ? —

Już całkiem tajemniczo:

— no — właśnie —

— ach, o to wam chodzi! Cóż ja wieszczek jestem? —

— nie to — ale przypuszczenie —

Niechętnie o tym teraz, więc tak — frazeologicznie —:

— teraz już pójdzie rażno, z oporem, ale rażno — idzie o zmontowanie frontu, i to się robi — choć jeszcze rozbieżności, duże nawet — lęk, trochę parszewy lęk o władzę, parszewy o nią targi — lecz wszystko to się zniweluje, instynkt zwycięży — zagadnienie główne, żeby masy chłopskie z masami robotniczymi — — tu trzeba trochę liczyć na instynkt—

Oborski wsparł się o łóżko — półleżąc przysnuca sobie piosenkę:

— czekaj Maryś tam u chrustu, tam u chrustu—
— przywiozę ci coś z odpustu, coś z odpustu—
Ester nastawia lewe ucho; na prawe gorzej
słyszcy.

— instynkt zwycięży; instynkt samozachowawczy; to co jest nie do zniesienia — zrzuca się w pewnym momencie z bark. Kropka. Pierwszy etap walki to o to, aby było znośnic; lecz nawet w tak minimalnym programie nie wierzę w jakąkolwiek możliwość zmian, reform, popraw — bez zasadniczej zmiany systemu; bez kategorycznej zmiany ustroju nic się zrobić nie da —

Przycichli na chwilę.

Zniechęcony i sflaczały nagle — kończy:

— bez sensu plotę jak przed zgromadzeniem cenzorów — ciągłymi omówieniami — szyfrem lekającej się o posady „inteligencji“ — poco tak? — lecz gdy pytacie, to wiecie o co pytacie — wyrozumciez odpowiedź —

Jeszcze chroboce po kątach przyspieszony, zgoniony refren: „coś z odpustu, coś z odpustu — a co? — bumcyk, bumcyk, bumtralala, bumtralala, bum —

Eilper jakby wstydliwie zarumieniony częstuje znów papierosami; ksanti; bonton; — leży tego jeszcze spory rząd, płot gęsty w dużej, gładkiej papierosnicy; srebrna; podszewka matowo-złota. Eilper! kochany Eilper! — zawsze wytworny — ubranie, ruchy, przedmioty.

Brzęk.

Zapach wina i tytoniu.

Mglisto w pokoju. Mgły nad winnicami.

Zdanie oderwane, nurtem, dnem płynące wyrzucają się jak błyskawice ryby z rzeki nakrytej cieplym zmięrzchem:

— ludzie głęboko etyczni wypowiadają zdania sprzeczne z moralnością ogólną, przeciwnie, nieetyczni nigdy myślami swymi i postępowaniem nie mącą i nie nadwyrężają istniejącego porządku moralnego—

— a co pan teraz? — Maas tak to zrozumiał, przytem jest ciekawy, chce wszystko wiedzieć; chce być au courant; precyzuje: — co pan teraz będzie pisał — ? —

— drogi, kochany — cóż ja mogę powiedzieć, tu się nic konkretnego powiedzieć nie da; tak ogólnie chyba, że odkłamanie powszedniości, więc autentyzm, pobudki i działania in statu nascendi — — wydaje mi się, że cała konstrukcja dotychczasowych powieści i dramatów jest bez sensu, — omijania, przemytnictwo, rezultatywność na podszewce przeszłego psychologizmu — tarcza zegara, o, widzi pan, a mnie interesuje mechanizm — od niego zależy ruch wskazówek, i coś niepomiernie ważniejszego: c z a s! — — tak, mechanizm i ręka, która go zdziałała: p r a c a! — — zaręczam ci kochany doktorze, że nie zależy mi na zasięgu w obrębie prowincji tak zwanego narodu, nie chcę też poprzestać na czytelniku mnie współczesnym — dobry czytelnik-współpracownik to obywatel globu wszystkich tysiącleci — — inaczej nie warto, szkoda czasu i wysiłku —

— zarozumiałość non plus ultra —

— nie, kochany, nie — pewność —

Po chwili:

— byłem przebrnął przełom, w tej chwili jestem w pasie przełomu —

Brzęk! — zdrowie tysięcy! —

Cyprjana ogarnęło nagle znużenie i zniechęcenie. Siedział w poprzek łóżka, w kuczki, po „turecku“, wsparty plecami o ścianę; — dokoła narkotyczne odurzenie i dokoła też porozsiadane te osoby doktorskie; zadymione, rozsnute światło nie sięga w dół — tak też z pomroku jakby z suchej wody wyłaniają się popiersia tylko — — jest trochę jak w panoptikum, sztucznie i niesamowicie — magia nikotyny alkoholu i emanacji mózgowych; — cztery kochane głowy; — ludzie pełni dbałości i pomocy i rzetelnego kamractwa — — i przyrodniczo myślący i radykałi też — dobry materiał ludzki, wyraźny i czysty — — no i cóż — jak to wyjaśnić i jakimi słowami to powiedzieć — o tym szalonym odskoku, o przepaści między tym co jest, a tym co idzie, co przyjsz musi! — ? — rozumieją, owszem, i zrozumieliby wszystko, prócz tego jednego: świadomości globu, którą w sobie trza przejąć i podnieść do najwyższego napięcia — żeby ta złowroga struna drżała nieustannie: sejsmograf świadomości ziemi połączony z aparatem mózgu: kontakt przerwany nawiązać na nowo — — i to już jest obce, lub prawie obce wszystkim i wszystkiemu; tu właśnie rozpoczyna się lodowata samotność —

Oborski pogwizduje czardasza.

Ester znów poetyzuje:

.....

*a był
elon lanler liron
elon lanla bibon bonbon
elon lilon lanler
a był
liron elon lanler
lalon lila bibon bonber
a był chłop dzielny
lanlanler
i bardzo dużo pił
elon lanler
bibon banber
i bardzo dużo pił —*

.....

— ? —

— Tuwimus magnus — oczywiście —

— elon lanla bibon bonbon —

— zauważyliście, jak myśmy się tutaj owierszo-
wali?, taka aura — mówi Maas — gdy wchodzimy,
wchodzimy w poezję —

— olimpem też zwaliśmy tę seperatkę —

— rzeczywiście; mówiliśmy: na olimp, idziemy
na olimp —

— i jeszcze jutro, a potem pan sobie pójdzie,
a my zostaniemy —

— i będziemy się nędznie borykać i ustawicz-
nie, bezsensownie się żalić, że niby niesprawiedliwość
i że wszystko tylko marka — tkwimy w zawodowo-
ści po szyję — taki profesor z marką za jedną kon-
sultację zgarnia trzydzieści złociaków, przyjmuje so-
bie tylko pięciu pacjentów dziennie, policzcie tylko!—

no? — a taki Ester, nie gniewajcie się kolego, nie ma trzydziestu złociszów na miesiąc; los, nie? — pięć lat medycyny, sześć lat praktyki szpitalnej — Rozzała się Eilper —

— cholera! — klnie Oborski — akurat żeście się wybrali — huzary pogrzebowe —

— akurat do maści —

— nalewajcie no wina, złamdacze, zdrowie pań! —

— jakich zaś pań?! —

— zdrowie muz! — poprawia Ester, i, ni przypiął ni przylatał, powtarza takie tam swoje: — chociaż pan i mężczyzn uwodzi, pan musi mieć z tego powodu masę kalafutryn życiowych — napaści, gniewów, fochów — nie? —

Uczeńowi skwapliwemu Maasowi nawijają się asocjacje, poprostu tkwi w tym teraz i chętnie pozbywa się nadmiaru myśli, które potrafią być tak natrętne i mglące jak niestrawne jądło —:

— zdumiewająca historia z witaminami E — samice bez nich tracą w zupełności instynkt macierzyński, samcy stają się bezpłodni ba, nie tylko to, brak witamin E wywołuje już nie tylko zaburzenia fizyczne lecz i psychiczne —

— więc motory zapalczywości płciowej i instynktu macierzyńskiego to witaminy E — ? —

Ester wraca do swego:

— zdrowie muz —

Exl

Wypili bez żadnego poszanowania; haustem.

— wiecie — skanduje Cyprjan powoli i tak jakoś obco, że aż nieprzyjemnie; szczęki zacinają się

w zawiasach — od wina? może; — wiecie jakie są w poezji świata najpiękniejsze dwie sceny? — powiem wam jakie są w poezji świata najpiękniejsze dwie sceny; — oto jedna ta, gdy źli, gniewni i obłudni wyznaniowcy przyprowadzają jawno grzesznicę do syna cieśli i powiadają: — wydaj na nią wyrok! zaraz też sklerykalizowany tłum zaczął wołać: ukamienować ją! i znów: ukarż ją! — Syn cieśli, poeta i myśliciel wspaniały, siedzący na kamiennym progu, schylił głowę i począł palcem pisać coś w pył, tym dotykaniem ziemi krzepił się i zastanowienie nasilał — szczywana chytrność tępoty była przeciw niemu — po chwili podniósł głowę i rzekł: kto z was jest bez winy niech rzuci na nią kamieniem; i znów się nisko ku ziemi nachylił; po jakimś czasie, gdy chciał powtórnie zajrzeć gromadzie w oczy, nie było już nikogo; tylko ona, jawno grzesznica, stała sama w skwarnej pustce zapyłonej ulicy, wsparta o mur zaciskała w ramionach wyluskane z podartej koszuli piersi; — oto, kochani, wzniosły dramat świata; słowo, które rozprasza, słowo, które skupia; tu i tam: katarsis —
— a druga — ? —

— druga to ta, gdy Faust wypracowując w ustawicznym dążeniu żywot swój i innych, już jako stu letni, ślepy starzec — wychodzi w pewnym momencie na dziedziniec swego domostwa; — lemury kopią dlań grób — łopata o kilof podzwania — dźwięczy melodia pracy, muzyka przyszłych pokoleń — i w tej właśnie chwili pobrzękiwania narzędzi pracy, mówi poeta stu letni: w przeczuciu szczęścia, w radosnym zachwycie, stanąłem oto już na życia szczyt — Umiera; przecież to dla niego grób kopano;

poeta przywitał hymnem melodię śmierci; tej jednej tylko chwili potrafił i mógł powiedzieć? chwilo trwaj! jesteś piękna! — oto, kochani, prometejska tragedia! — no, to są te dwie sceny; wymowniejszych, głębszych, dalszych nie zna świadomość ludzka. Któż stworzy trzecią? — Któż ją odnajdzie — któż stworzy? — kiedy? — może będzie ona ostatnią poezją globu? ostatnią tej poezji zwrotką — ? — — —

Myśl: poezja to realizacja podziwu — — —

Dosłyszał: „improvizuje“ — — —

Nie wyczuł sarkazmu ani ironii; przeciwnie, życzliwość i sympatię, a trochę też fachowego, merytorycznego zainteresowania.

Eilper nalewa wino, przelewa — kieliszki brną po kostki w czerwonych stawkach — — teraz rozdaje dokola — Cyprjan mówi głośno, za głośno, że nie, dziękuje.

Odstawiają z hałasem flaszki.

Piją: są bladzi.

Lecz dookoła nich i na całej przestrzeni jest omgła czerwona jak para pod zachód słońca. Poza nią słychać ustawiczny szum wód dalekich.

Mówi. Słyszy swe słowa, lecz mają one dźwięk obcy — :

— będzie ona, ta przyszła poezja pracującego człowieka, tak mi się widzi, poza wami dostojne mieszkanki Parnasu i Helikonu, krain kwiatnych łąk, kędy na łagodnych zboczach pośród brzoź i buków rąbie się Pegaz; poza wami muzy! — Muzy! przekleństwo mego żywota! — Czymże jesteś Klio? — kłamczynią, fałszerką i fuszerką dziejów;

Euterpe? — usypiaczką, fletnistką ptasią; Talio? — śmieszką grubą i nieczułą; Melpomeno? — i ty też maskę nosisz, sztywnym gestem tragicznym osłaniasz wielką tragedię człowieka: jego świadomość, że... nic! — Terpsycho? — płasawico na grobach, rytmie mijania, takcie bezpowrotności; Erato — ludzicielko największa — muzo ty moja pieszczona, i ja, widzisz, udaję przed tobą i sobą, iż nie wiem, iż nie mam pojęcia, iż mi nawet na myśl nie przychodzi, że rozkosz jest korzenną przyprawą chleba śmierci, który jest naszym chlebem powszednim; — Polihymnio — psalmowa, pogrzebowa, uśmiechu riezająca; Uranio — strasząca otchłaniami przestrzeni i czasu, muzo nieporozumień i bezprzymierza między mną a otchłanią; — Kaliope — otoś jest opisującą jak ja: oboje znamy dostatecznie bezwartościowość wszelkiej wartości; — muzy — muzy — muzy — za przepaszcza się to małe, nikłe, wciąż dostępne ustawicznie przerażonej świadomości ludzkiej, zaprzepaszcza się cień szczęścia w niepokoju nieustannym, w dążeniu do doskonałości, która przecież, jak i świadomość, zawsze będzie tylko na miarę globu — nic więcej! — więc na miarę brutalnej obojętności sił przyrody. Najwyższą cnotą i heroizmem jest życzliwość, dobry uśmiech ludzki wyrosły ze zrozumienia, czyli z rezygnacji. — Nuże muzy! — muzy powiedzcie, że jest coś więcej —? —, że jest coś wartościowszego —? — Milczycie! — znam to milczenie kamienne dni i nocy — gdy jeno echa krzyku rozpaczy i męki kołącą się i rzeżą jęk pokrwawione sępy wyrzucone z gniazda — po przestrzeni zimnej i nawet nie wzgardliwej; żadnej — — —

Słuch notuje skrzyp i przymykane drzwi; odda się i cichnie wygwizdywana piosenka; potrącone w kuchni naczynie brzękło blaszanie i ślepo; cichną i oddalają się kroki; powierzchnia ręki nagrzana jeszcze obcym ciepłem pamięta żegnanie się i uściski; — poza tym pachnie wino — i mgła nasycona czerwienią unosi się w przestrzeni bez ścian —

Organizm Cyprjana naelektryzowany jest jak przed burzą; ze skwaru syczącego i parności iskrzącej sączy się w nerwy niecierpliwość i niepokój; — ciężkie kroki podudniające na schodach — więc już przeszli kurytarz! — są jak pogrzmiewania dalekie; warczenie chmur —

Zanosi się na burzę.

Myśl nieprzerwanie mówi w dalszym ciągu —
— szumią we mnie liściaste i szpilkowe obrazy, pulsują winem jak serce żywe wyjęte z gołębia i położone na zimną płytę marmurową — — cieszy cię to, mój wielki uczony, eksperymentatorze, wynalazco! — mnie nie —

— szumią trwożne czuby drzew przed nadciągającą nawałą —

— i wy, muzy, szumicie członkami kształtnymi i harmonijnymi — — rozprószyłyście — czy gniewne nieco? — w kosmiczny pył ściany mego więzienia szpitalnego; zniknęły wraz z podłogą i sufitem jak to tu przed chwilą żywe panoptikum; — muzy zjawione nagle, cieliste, różowe, wonnym potem pachnące — tańczycie na leśnej polanie chłodnej źródłami i paprocią; z poza lśniących pni buków spogląda na was krowimi ślepiami jednorozec; — na skraju łąki nachyla się nad migotliwą wodą płytkiego strumienia



Pegaz, siorpie ściśniętymi wargami gładkimi jak jedwab; gdy podnosi głowę ściekają z nich strużki wodne — jest, jakoby Pegaz srebrną uzdą związany był z płynącym ruczajem —

— i jest cisza błękitna i spokój wysokich leniwych chmur —

— i tylko ja, nędzny, podleniały, samotny Faun, zamknięty kręgiem waszych ciał, miotam się i rzućcam, przysiadam i podskakuję; zachowuję się głupio, nierozumnie i śmiesznie — bowiem pragnę was, bowiem was pożądam! — — piękne, bardzo piękne są smukłe i bystre nogi wasze podtrzymujące kolumnami ud brzuch i pośladki; — krągłe i pełne pokus są piersi wasze z najśłodsza maliną: sutką — i wargi wasze — urocze paralele tajemnic waszych ciał: wilgotne, gorące, głębokie — — dajcie mi je! — obdarzcie mnie też, wdzięczne priapki, dostatkami sił męskich, abym sprostał wam — dziewięciu muzom!

— pierwsza oddaj mi się ty Klio dziewiczka, oddaj mi się tu na podeptanych kwiatach, w kręgu swych towarzyszek, a wy wszystkie przypatrujcie się bystro sprawom ciał — — zaryją się me kopyta w mech — dreszcz wyzwalającego się pożądania wstrząsać będzie mym kosmatym zadem wbijającym bełto w twe, muzo, wrzące wnętrze — Klio! — ostra, wąska broda moja łechtać cię będzie po stwardniałych cyckach — — trzymaj się mocno rogów moich krętych i rozległych — — zwisające w capim worze jądra będą cię trykać w rozwartą szczelinę tyłka — — aż przylecą zewsząd dzięcioły, zwabione miłym im dźwiękiem kucia w dziuplę —

— patrzcież no, muzy, jaką rozkoszą jest obco

wanie samca z samicą — — rozdzielona przed lat milionami płeć łączy się z sobą androginicznym szaleń, przelewa w siebie, obejmuje ciasno — aby już tak na wieki, razem, jedno —

— kładźcie się wszystkie rozpalone, żądne, chutne — jedna po drugiej — jedna po drugiej — wszystkie dziewięć —

Tak przemawiał Cyprjan — gwałtownie; żądze zamąciły jego rozsądek; myśli jego i pragnienia jakkolwiek nierozumne były przecież silne i mądre: mądre bowiem są myśli zrodzone w jądrach i we wznosie fallosa.

Lecz one wszystkie — te muzy — i każda z nich z osobna drwiły i naigrawały się z niego; czyniły to w sposób niezwykle przykry, szorstki i antypatyczny — wedle swych indywidualnych właściwości, usposobień i charakterów. To była istna zmowa wulw — a ta jest zawsze nieprzychylna i wroga; pojedynczo są niewolnicze w sumie władcze.

Chytre i złośliwe — te muzy — obrały porę, z oczywistą premedytacją, najniestosowniejszą na niezdolność naigrawania i kozie gzy.

Napadły Cyprjana te muzy — tuż przed zaśnięciem, gdy to nerwy nareszcie odprężają się i nagłym wstrząsem dają znać, sygnalizują, że zbliża się chwila odjazdu w niekontrolowane mieszmasz obrazów, odpadków, wizji i bezsensu.

To zapadanie się z wysoka gwałtowne i nieuchronne budzi Cyprjana na krótko, na sekundę — świadomość znużoną natychmiast odbija od tej niedogodności.

Na ten okrucuch nikły czasu czekają właśnie mu-

zy; ustawiają się na, tuż od łóżka wznoszących się schodach, na które sączy się światło przez kolorowe szyby — tak, że zdają się wydychać z siebie tęczową mgłę—te muzy—; i teraz dopiero!—: przeginają się, ręce wpierają w kolana, wytykają go palcami, rechocą i rżą, zanoszą się śmiechem, pokazują figę, skrobią marchewkę, szcują nieistniejące psy: huzia! bierz go! — wskazują na zwisający bindas i krzyczą: cap! pif! — Niektóre, aż wstyd powiedzieć, odwracają się, wypinają zadki i wołają w rodzimej Cyprjana gwara: — wyliz mi rzyć! wyliz mi rzyć! — Wszystkie tak po kolei, z osobna i razem.

Jedynie ta na najwyższym schodzie, tuż pod kolorowymi szybami drzwi, zachowuje się poważnie; cała jest pogrążona w czerwonym mroku — i — nie widać jej dokładnie — i — do niej właśnie, tej ledwie dopiero istniejącej przejść trzeba tymi przykrymi schodami — bo to i strome, i takie przez tą rozpuszczoną hałastrę babską — uciążliwe, drwiące, szydzące.

Cyprjan wstępuje schód po schodzie, stopień po stopniu; — w zakamarkach myśli stwierdza prześlotnie (—w tej chwili patrzy z daleka na siebie idącego tymi schodami —), że właściwie sam nawarzył tego piwa — ale, żeby aż tak! aż tak!!

Rozwydrzone, gołe muzy popychają go, szturczą, podstawiają nogi, szczypią, targają za włosy — — pokazują mu przyrodzenie swe pod kędzierzawym strzępem i skrzeczą: chciałbyś? — rżą jak klacze i wypuszczają na niego strugi gorącego moczu, roz-tęzonego w tym kolorowym półmroku — i w śmiech!! —

Obijany od ściany do ściany — zmaltretowany,
i wyszczypany, spocony i pomoczony cały — zrywa
się nagle, przysiadła na łóżku i krzyczy:

— co jest do jasnej cholery! —

I natychmiast przerażony brakiem tętna i tchu
woła rozdzierająco:

— światła! światła!

— niechże pan tak nie krzyczy! —

Zapomniał gdzie jest, gdzie, co to za czarna
przestrzeń, gdzie? —:

— światła! światła!

Zabłysła nocna lampka; Nering wyskakuje
z łóżka — — Cyprjan trupio blady, charczy, łapie
otwartymi ustami powietrze —

— co panu? co panu? — oszalał pan —

— zdaje mi się, że tak — szepce Cyprjan i kłania
się śmiertelnie znużony i obolały —

— tak, zapewne, oszalałem — — przepra-
szam —

A gdy już, ten przykry atak nerwicowy minął,
gdy Nering stroskany lecz uspokojony zasnął —

— zawsze z tym odsłoniętym tyłkiem; co za
moda taka! —

— a ten inżynier nie wrócił jeszcze, choć już
dawno po północy; jeśli on tak będzie, to to nie
dobrze —

gdy się wyrównał rytm pulsującej krwi — wte-
dy z tajemnego głośnika, zawieszzonego w piątym
kącie pokoju, dobiegł cichy, łagodny, słodki szepc—:

— oto jestem, twa siódma —

— tak, to twój głos, to ty jesteś, Milo —

Z głośnika, który zamilkł na chwilę, przebija się szept jakby obcej stacji — szept ten przypomina zniekształcony głos Cyprjana —:

— ósma — niechaj czeka jeszcze — idzie przecież jej czas — idzie, więc dojdzie —

Szept poprzedni — lękliwie —:

— zdradzisz mnie? —

Szept drugi —:

— nie; — zresztą ja nie wiem co to słowo znaczy; — i ona, ta ósma, przeglądając, było to we śnie, podstępnie mój pamiętnik, mówiła: „jest tu wolne miejsce na dziewiątą, w tym spisie muz, przy Nr. IX postawiłeś pytajnik, wykrzyknik i myślник“; — i ona też już — w tym śnie, widzisz, nawet w śnie, była smutna, niejako profilaktycznie; tyle tylko, że w śnie mogę niekiedy kierować życzeniami, więc uniknąłem z jej strony tego słowa: zdrada —

Po chwilowej przerwie ten sam głos —:

— zresztą mógłbym się i ja do ciebie, Milo, przyczepić, a jakże, mógłbym; enpe: czemuż minęłaś mnie wtedy? — w ulicy Pięknej i na Kanonii nie było dla mnie przy tobie miejsca, nawet na cień mój nie było miejsca; — piękna, młoda, zwinna, czarująca, z tą skozaczoną fryzurą, niesformą czupryną spadającą na najpiękniejsze oczy świata; taka byłaś; i taka wyrzekłaś się mnie! — Minęły dwa lata, a na oparciu krzesła obok twego łóżka zawisnął mundur z tymi urzekającymi cię brzękadełkami, obok spodnie, buty, koszula — — leżąc pod nim, pod nagim właścicielem orderów — patrzałaś przymglonym wzrokiem na wstążkę czarno-niebieską i skuczałaś jękliwie i piskliwie

wie — ojczyźnianie, bohatersko — — — — przepra-
szam, że ci to mówię już teraz —

(— pogmatwana w synchronizmach myśl cy-
prjanowa krzyczy rozpaczliwie: j e s z c z e teraz! —
obija się trafiona w serce o ściany czaszki — wyje —
wyje —)

(— powinny mnie przecież cieszyć wszelkie
jej — umiłowanej! — radości, rozkosze i frajdy —
ale nie cieszą, no, bo nie; draństwem są podszyte
altruizmy — gdy się tylko nadprują, podszewka wy-
łazi na wierzch —)

— że ci to mówię tak à priori — — przecież.
do diabła, psuję sobie tym cały dukt wypadków, kom-
pozycję — — a jednak nie mogę wytrzymać, nie
mogę powstrzymać się, żeby tego nie powiedzieć —

— ciągle do tego powracasz —

— ciągle do tego powracam —

— czemu? —

— bo to jest punkt zwrotny całego życia —
druzgocący i błogosławiony zarazem — i — omalże
nie za późny —

— miłość nie jest nigdy ani za wczesna ani za
późna — jest, lub jej nie ma —

— tak, i to wiem, że każdy dzień nowe stwa-
rza myśli, że każdy jest stopniem do — chciałbym
rzec: doskonałości — powiem jednak tylko: do dal-
szego życia, czyli jedynej, wielkiej i ostatecznej mą-
drości —

— a pamiętasz...

— wszystko pamiętam, od początku, od tego
początku, gdy Cyprian Fałn, poeta, dramaturg, po-

wieściopisarz, wyszedł z psem i z biciem serca na tę drogę kamienistą; symboliczną drogę! —

Łagodny, lipcowy dzień; popołudnie.

Przez małą dziewczynkę, może to miało pięć, może sześć lat, o ślicznych, czarnych oczkach, jak tarki te oczy, puciołowatą i rumianą — dała pani pułkownikowa znać, że po pierwsze bardzo, ale to bardzo dziękuje za pożyczone książki, przysłane łaskawie odsyła uprzejmie, po drugie, również bardzo a bardzo, pragnęłaby się z panem poetą zobaczyć, że więc (— po trzecie —) czeka u źródła w bukowym lasku.

(— i tu właśnie trzy buki ogromne, poza młodzia, rosną — gładkie jak położy — od dołu do nogi słoniowej podobne, tylko dziesięćkroć grubsze; mądre i przezorne, pobudowały sobie, że to na pochylni rosną, z korzeni mocną, twardą szkarpę; nie lękają się najgwałtowniejszych nawałnic, ni wichrów; — w załomach korzennych szkarp rosną bezpieczne mchy, paprocie, zawilce, wilcze łyka —)

Więc: żeby przyjść, ale już koniecznie.

Ani imienia, ani nazwiska; mówi się po tamtejszemu „pułkownicza“; poprostu: letniczka.

Już od paru tygodni mieszkała w tym murowanym futorze na przełęczy, widnym z daleka wzdłuż całej doliny — wybielonym wśród rozłożystej kępy jesionów i topól; u Tomasza Boruty, zasobnego gospodarza na dwunastu morgach ornego — mieszkała; kto ją tam wie co za jedna? — dochodzą odległe słuchy, że samotnie po polach i lasach się włóczy, że czytać bardzo lubi — no i tyle, nie wiele więcej;

parę razy Boruta wstępował, żeby poeta jakąś książkę, bo słota, pułkownicze się cni, ale, żeby nie inna, tylko przez pana poetę pisana książka; to stąd te skąpe wiadomości; nie interesujące; i to, że wojskowa, odstręcza i to, że kobieta, do reszty; — zdrowiej i mądrzej unikać, zawsze, nie wdawać się, wiać! — Lecz o tym to znów ona nic nie wiedziała.

Więc tej milutkiej dziewczeczce, córeczce Boruty, z tej samej tonacji, że za jakąś godzinę, pierwej nie; niechętnie.

Cyprjan pisał właśnie o tej porze; więc dopisał do tyła ile zamierzał; *primum scribere, deinde vivere*; dewiza.

Poukładał rękopis skrupulatnie; ubezpieczył przyściskami przed wiatrem — okna w pracowni stale na przestrzał otwarte, i notatki, z których aktualnie korzystał i te rozpoczęte, wpośród stołu leżące; podotykał różnych „pomocnych“ przedmiotów: fetysze; odszedł od biurka zapewniwszy sobie, po powrocie dalszą dobrą pracę: fetysze; jeszcze wrócił — ośladka nie leżała tak jak powinna; poprawił: fetysz naczelny.

Przed domem — na pełnym świetle lata — przetarł oczy, zawsze po długim pisaniu zmęczone i zapiaszczone.

Wessał chciwie wonne, odurzające powietrze nawiane od dojrzewających owsów i lasów szpilkowych.

Za przekopą grały świerszcze śpiesznie, na zmianę, nieustannie.

Gwizdnął na psa.

Przybiegł kochany kudłacz, popielaty cały, w kędzierzawych zabawnych portasach — tylko gors i końce łapek jaśniejsze. Oszczękał radośnie zjawienie się człowieka, z którym łączyła go przyjaźń wieśloletnia, wsparł się przednimi, niezgrabnymi jak u podlotka, nogami o jego kolana, podniósł zaciętą, wydłużoną mordkę i mądrymi oczyma oraz wymownym ogonem powiedział odrazu co miał na sercu: „bardzo mi się już nudziło, dobrze, żeś wyszedł z tego wstrętnego pokoju, w którym ja godziny wytrzymać nie mogę, a ty tam siedzisz i siedzisz, dziwny jesteś i nierozumny, lecz kocham cię bardzo, przeto dopatruję się sensu w twych bezsensownych poczynaniach; lecz chodźmy teraz“ i dodał wywieszonym językiem: „bardzo dzisiaj gorąco i przyjemnie“; Cyprjan odpowiedział jak należało oczami, pogłaskaniem i formułką: „no no już dobrze, mój stary“. Pies zadowolony z odpowiedzi puścił się pędem w kierunku ogrodu warzywnego, gdzie Wisia kucała nad grządkami truskawek; w ogrodzie tym były liczne kretowiska, rozkopywanie ich i sznochtanie zarytą w krążganek kręci ciuką było ulubionym zajęciem psa. — Nieobliczalny jednak i nie kierujący się rozumem człowiek poszedł w przeciwnym kierunku; pies obejrzał się, przystanął, zastrzygł stojącymi uszami, szczechnął: „niech ci będzie, ostatecznie ustąpię, wszystko jedno“.

Poszli więc poza dom ku stodole, a stamtąd na drogę kamienistą, w pośrodku której stała córeczka Borutów; na warcie niby; więc jeszcze z nią — w podjęciu jej głowy na dłoni jak piękny, letni owoc — pogwarka króciutka; dziewczynka odeszła szybko.

Podszedł Cyprjan tą stromą, okolną drogą ku zboczu — gdy spadzistym zarwiskiem bukowego lasku — gdzie to źródło właśnie — zbiegła nagle i gwałtownie niewieścia postać, wiotka, chuda prawie, na głowie chustka czarna w zawój związana, końce frendzlaste na prawy policzek puszczone — osobliwe nieco zjawisko — — stanęła ta pani przed Cyprjanem — głowę na bok odchyła — nie patrzy w oczy — wyciąga szczupłą, kształtną rękę — — spojrzął raz i jeszcze raz — —

(— zadrgało w piersiach zdziwieniem i rozżaleniem — aż z tamtych czasów: panno Milo! —)

— to pani —

— ja — poznaje mnie pan —

— zmieniała się pani bardzo —

— zbrzydłam? — prawda? —

(— każdaby tak powiedziała; poco to —)

— nie; zmieniała się pani, jakby to powiedzieć, posmutniała pani —

(— prawie nic się nie postarzała; — a to przecież sporo lat; — lecz przygasłość widoczna —)

Schyliła głowę.

Szli pod górę; powoli; męczyła go zadyszka; to od serca.

Nic się już nie kleiło.

Pies popenetrował śledczo po obojgu; zwęszył sprawę; pomyślał: „takie buty!“ — może inaczej, lecz w tym sensie; — pognął w pola.

Obok dębu — rósł tam wieloletni przy tej drodze — zakręt szerokokolisty — zdala idą obok siebie — schylił się Cyprjan i podniósł z pyłu drożnego podkowę.

- podkowa — ? —
- tak —
- dobry znak, omen —
- proszę, niech ją pani weźmie —
- dziękuję —

Ręce jej drżą bardzo, gdy tę podkowę od niego bierze.

(— podkowa jest znakiem płci, symbolem narzędzi kobiecych; odczynia uroki; voila! —)

Na szczycie wzgórza — cóż za wspaniały, rozległy widok na całą dolinę krętej rzeki — szmat ziemi żyznej i pogodnej — na widnokręgu pasma gór coraz bardziej w głąb błękitniejące, ostatnie wtopione w zamgloną modrość nieboskłoną — powiedziała:

— długo byłam militarystką, teraz już nie jestem —

— tak? — skonstatował chłodno.

Poszli w stronę futoru bielącego się pośród jesionów i topól.

Odprowadził ją do mieszkania.

Izdebka schludna; znał ją zresztą; odmieniona dzisiaj sośniną porozwieszaną na ścianach.

Drobiazgowa dbałość we wszystkim; porządek, czystość.

Rozmowa; no, taka — z odległym sensem; zdania jak plot grodzący ogród, żeby nikt obcy nie wszedł; — że tu pięknie; o literaturze; i czy dawno?, i czy na długo? — pan tu stale? — tak.

Tutaj dopiero rozmodrzyły się jasno jej wspomnienia oczy; nic nie zmienione, młode, świeże.

I — że tu bardzo poetycznie — mówi ta pani:
(tak: ta pani!)

— że, gdy wtedy na Kanonii...

Urywa.

Cyprjan patrzy w okno — na wąskim parapecie jakaś książeczka, flakonik z pękiem polnych kwiatów — dalej kraty — w ich prostokątach wydłużonych: sad, pasieka — zewsząd wracają pszczoły nospiesznie — ule jak centrale — przylot jak migające druty — duży był dzisiaj skwar — wyległy teraz pszczoły przed oczko gęstymi rojami — poza sadem i pasieką wznosząca się powoli płaszczyna ku zboczcu górzystemu poszatkokowanemu poletkami aż po lesisty szczyt — nieba nie widać, ścina je góra — —

Głos niewieści nieco gardlany — dolna szczęka odrobinę wysunięta — stąd ten głos taki — wśród maleńkich, zmysłowych warg bielą się równym szeregiem drobne, piękne zęby — pobłyskują wilgotnym szkliwem w napierającym od gór mroku.

— sztuka i poezja to dla mnie... przez ten... okres...

Urywa.

Podsuwa w płaskim pudełku papierosy; dajesz — popiół można, o, tu — podstawka gliniana.

Cyprjan nie podtrzymuje rozmowy; poco? —

Ognik papierosa powtarza swą krótką drogę od stołu ku ustom; na tle okna.

Więc ona raz jeszcze, zająkliwie:

— przecież jakiś ratunek — ten był jedyny — poezja...

Urywa.

Milczenie w głośnej burzliwej ciszy.

A potem wszedł Boruta, chłop wysoki, aż przygarbiony z tej śmigłości, młody, pogodny, głośny;





poprosił Cyprjana, żeby wstąpił do niego na chwilę; jest miód świeży i mleko; pan poeta pogardza mięsem, więc właśnie; bardzo prosi.

Leniwe pożegnanie, przeciągłe i bezcelowe. Zaświeciła świecę; olbrzymie nieporadne cienie zachwiały się na ścianach i suficie, wpadały na siebie, łamały się i wybiegały oknem i drzwiami.

Ręka jej była sucha i rozpalona .

W sieni trzeba było umitygować psa, który obiegłszy pola i zagajniki wpadł do futuru — porzeżał i rozprószył króliki, których tu bielili się całe chmury. Teraz przywarowany czatował na nie. Pokryły się i błyskały z kątów, z poza sąsieków, szaflików i konw czerwonymi ślepkami —: lampki małych lokomotyw dla krasnoludków; remiza.

W obszernej izbie gospodarza było miło, prosto, po chłopsku zasobnie; — grubszy gazda; pracowity i rozumny rolnik; dobrze uprawiona ziemia; pięć krów; para koni; pasieka. Ład we wszystkim i celowość.

Tomasz Boruta jak olbrzymia przewaga chłopów, antyklerykał i antimilitarysta; przy każdej zdarzonej sposobności mawiał:

— pięć lat się po frontach tłukłem, a co mnie w szkole i kościele uczyli „nie zabijaj“, to teraz mi mówili „zabijaj“ — dwie prowdy widać som; — pięć lat rujnowało się gospodarstwo; ledwie wszystko do kupy skleił; — niechby mnie tylko próbowali zaś wziąć na wojne — rypne im psiakrew karabinem pod nogi — mam gnić po rowach i ginąć na raty za jakieś tam pańskie sprawy, wole niech mnie rozstrzelają —

Szeroka, wygolona twarz w mig pogodniała, zwięzły się oczy, szeroki uśmiech zmiął i pofalował policzki; głos na śmiechu schryplł i zmatowiał:

— ale by mnie i tak szkoda było — daleko to zielona granica? — Czechy to swojski naród — ; — co innego, żeby my, mieli swój rząd, toby było wiadomo czego bronić — ; — a co? za obszarników się bić? to ino wstyd dla chłopca — i — nima głupich —
— na razie nie zanosi się na wojnę —

— tak pon mówisz w trzydziestym trzecim — a pon wiesz co może być za pięć roków — ? — się ino pan popatrz co się w świecie dzieje — ; — w gębie u księży jest pokój i miłość bliźniego, poza gębą ani tyle co brudu za poznokciem —

Zaraz też skręcał i wskakiwał na ulubionego konika —:

— już ja ta nigdy nie zapomnę, jak mi ojciec zmarli, to na plebanii proboszcz do mnie powiada: — pogrzeb? dobrze, dobrze, a ile dasz? — mówię, czasy ciężkie, księżę proboszczu, ale ojca uszanuję, dano sto złotych — a on na to jak nie wrzaśnie: takiś sam cham jak i twój ojciec, a to, powiada, było kupa chama, chodzę po kołędzie to wiem o wszystkim i wszystkim znam, — za sto złotych? rób se bezbożniku sam pogrzeb; jak tak, no to już wiem, myślę se, pokłoniłem się i zrobiłem se pogrzeb som, ani mie pięćdziesiątki nie kosztował —

W niedzielne popołudnia czytywał amerykańską gazetę „Echo“; wuj jego żony był krawcem w Chicago, stąd ta gazeta.

Politycznie radykał, putkowiec; to ma dobry dźwięk po wsiach.

Więc też teraz o doktorze Putku rozmowa; mówi się: doktor Putek. Przychwalają obydwaj:

— morowy chłop! ja, panie, ten wie czego chce: przyskrzynili nom go, ale posłuch przez to ma jeszcze większy; może se ze wszystkiego bimbać, całe prawo ma w jednym palcu —

— cierpliwości on ta jeszcze ministrem będzie, a może i czymś więcej —

— napewno, dy to młody chłop jeszcze, a co to już ma za sobą —

— i dziś, jak zwoła do tej swojej Choczni wiec, to tysiące chłopów się wali, ino gościńce dudnią, furami, gromadami, ze sztandarami — — a księża w portki robią ze strachu, inni też —

— szesnaście lat miał, a już po wiecach jeździł, przemawiał, działał — Stojalowski, Stapiński, Wyzwolenie — w ogniu wciąż, w najbardziej zapalnych miejscach — zawsze on —

— a gębe to ma zawsze taką wiedzącą i rozśmioną — spojrzysz czytasz z niej: będzie dobrze! —

Tomasz i Cyprjan bardzo lubią i cenią tego uparłego działacza, mocną, czystą wolą prącego naprzód, najtęższego znawcę psychiki chłopskiej, taktyka znas komitego — ; — zawsze się dobrze rozmawia o kimś, kogo się obopólnie lubi —

— czytałem teraz jego książkę, jakże się to nazywa...

— Mroki średniowiecza —

— no, no — odsunięty teraz od wielkiego działania, to se, biedok, pisze — ale fajnie pisze —

— jakże! doskonale — jak znów wejdzie w politykę to znów nam żal będzie, że przestanie pisać —

— nigdy nima pełnego zadowolenia —

Zciska Boruta nieco głos —:

— żeby on tak pamiętniki w świat puścił jak go ta wtedy w tym...

— przyjdzie i na nie czas —

Miód był doskonały, wonny pasieką i rozleś-
głymi polami, spadzią i wrzosowiskami, taki ziemi
z pod serca codopiero podebrany.

Gospodyni, Kasia Borutowa, młoda, piękna
niewiasta o bardzo regularnych rysach i cerze białej
z bladymi rumieńcami — nie wtrącała się do rozmowy;
— stała przy łóżku o naczółek wsparta, dużą,
gęstą pierśią karmiła ślicznego nagiego bobasa.

— no to jest już i syn —

Czarnooka, śniada dziewczynka—ta co to przy-
szła była z tą wieścią, że pani pułkownikowa... leżała
na pierzynie z rozstawionymi nóżkami, ręce zarzucone
pod główką; spała.

W tej chwili, na moment krótki — pełna, czy-
sta, nieskomplikowana radość bytu.

I wszystko dobre i pełnowartościowe: ludzie ci,
ich myśli, obyczaje, prostota, jadło ich.

Aż zastanawiająca, nagła wyspa w czerni nocy,
na burzliwym morzu niedoli i nędzy.

I ta chwilowa dobroć zamąca się od wewnątrz
nieopatrzny niepokojem.

Co? skąd?

Wrażenie przyczajenia —

Nieuchronna już pewność —

Bobas ssie i miętosi namiętnie matczyną pierś
białą, dużą — świat cały!

Już wiadomo, jakby drugim, oderwanym, zewnętrznym widzeniem wiadomo:

wszystko to widać dokładnie, wyraziście i jasno jak na dłoni przez owalny wykrój dziurki od klucza.

Kolana trochę bolą z klęczenia, bo klęknąć trzeba — lecz oczu oderwać nie można — cóż za scena antyczna i hieratyczna!

Poeta — siwa czupryna — wyświeśla się wysoko czoło — od tej lampy naftowej — powoli i namaszczenie rozświeśla ją Boruta z niewątpliwą anamnezą prometejskości — od tej lampy naftowej z żółtym kloszem takie cienie powszędy jak u Rembrandta — lub na akwatintach Le Prince'a — — zapach miodu — pulchne dziecko przy pięknych, żywych piersiach żarłocznie czynne — — strzępy rozmów, odrębnych a takich tu własnych na właściwym osadzonych miejscu — — przed rozwartymi szeroko wchodowymi drzwiami stoi przelewna, gładka, ciepła noc — — pod górnym szumem rosnącego wiatru rzępolą świerszcze w fałdy gwiaździste macierzyńskiej nocy wtulone — — lśnią w ramach drzwi konstelacje migotliwe, mżą ponad spokojnym oddechem ziemi — — a tuż za tą przyklękłą u progu postacią poirytowane najściem psiego wisusa króliki — co pochwila tylnym skokiem: cup! w boisko — cup! cup! — bojowe hasło łagodnych, bezpiecznych istot; — — — odrębny, nowy, inny świat — ozdrowieńczy — kładzie się na obolałą głowę, na zmaltretowany mózg, na wąskie, zbolale piersi i tłukące się trwożnie w klatce delikatnych żeber serce — jak naj

umiłowańsza, najukochańsza dłoń; o, dobrze, o, dobrze — — — — —

Potem przez szereg dni nic.

A potem jej wizyta.

Codziennie wypatrywania na wszystkie możliwe drogi, ścieżki, miedze, przełazy, którymi na przełaj i na wprost można przyjść z futoru.

W domu niema nikogo — Cyprjan sam; gdy nareszcie przyszła. Tedy martwiło ją, że z formami towarzyskimi nie wszystko w porządku; że już nie będzie mogła drugi raz i już nigdy przyjść, bo gospodyni nie raczyła wyjść do niej. Tak, ku zdziwieniu, mówiła.

— ależ, proszę pani, żona jest w kąpieli —

— tak późno — ? —

Istotnie pod zmierzch się niosło, lecz to z tą kąpielą to była prawda.

— tak lubi, wieczorem chodzi do kąpieli — zresztą nie wiedzieliśmy, że pani akurat dzisiaj —

Na szczęście (— tak się to mówił —) zjawił się młody przyjaciel Cyprjana — ten sam to, który go przed trzema miesiącami do szpitala wioził w pogotowiu i papierosy pierwsze przeszmuğlował — — więc już razem w pracowni przewiewnej Cyprjana — o książkach, o poezji — ona kocha Słowackiego i Wyspiańskiego (no naturalnie!) — — siedziała przy wschodnim oknie na tle wysokich, czubami rozparasolonych jesionów i modro-zielonej góry — — oczy jak niebo, niebo jak oczy, bo blado-niebieskie w tej chwili — — lecz gdy nadszedł moment i pora taka że niebo stało się całe w sobie różowe, a zaraz

potem złote, szklane i przelewne — oczy: czarki akwa-
marinowe nalane płynnym bursztynem: żyły niebem,
jego refleksami i magią zmienności — — chwila
jedności wszelkiego piękna ziemi — — — przypo-
mina się Cyprjanowi, zaczarowanemu niepojętym
urokiem, zwrotka sprzed iluż to laty? — dwudzie-
stu? — :

*— na tle zórz modro-złotych twa główka madonny
kreśli się w ramie okna jak kamea cenna —*

Nagle jakaś oburzona irytacja w trzewiach: —
bujda wszystko i wogóle: głupio —

A ten młody przyjaciel, ten Kaziu, narobił tro-
chę papierosów „mistrzowi“, poszperał w książkach
i — „usunął się“ — po prostu wyszedł.

Natychmiast popadli w ten znów towarzyski
konwenans; i poco? poco? — Ale to ona zaczęła,
tę, jakąś, w sobie, przed czymś, obronę. No. Więc
tłumaczył jak mógł, perswadował grząsko i rozwle-
kle — to, tamto, owo, i, że u poetów towarzyskie
fanaberie do pucu! i tak dalej — ; — zły był, że tak
z próżnego w pustę przelewać musi; po prostu jego
obrona nie była nicuświadomiona; stąd irytacja; stąd
poczucie niemrawego głupstwa.

Klął w sobie, psiekrwił i cholerałami siał gęsto.

Na odchodnym przytrzymał lekko jej kruche
palce —: płonęły; przelatowały od nich iskry pa-
rzące; — takie rzeczy się pamięta — —

I na Wisię zły był, bo też z tą kąpielą się wy-
brała; a gdyby nawet nie to i co? — wogóle do „lu-
dzi“ wychodzić nie lubiła, zawsze niedoczesana, nie-
doubrana, zaskoczona, przerażona, gderliwa, narze-

kająca — — a już bab, admiratorek poety, tych bab od „ach“, „wspaniałe“, „cudne“, „święto“, „cóż za szczęście“ — nie znosiła. Wiedziała dobrze czym to pachnie.

Wnet też zapachniało i to w taki deseń, proszę, nie bardzo tego.

A to tak:

siostra Wisi, starsza, tak już teraz wedle pięćdziesiątki, pobieżnie sumując, wróciła z Krakowa, gdzie spędziła kilka tygodni u swej koleżanki, właścicielki wcale sławnego maison de beaute; odmładzała się forsownie; naparzania, smarowania, hormonizowania (takie zewnętrzne, w maściach!), hennowanie; kremy, pudry, mydła, otrąbki, ondulacje, golenia, masaże; przepisy, recepty; gimnastyka i t. p. — Pomagało ile tylko pomóc mogło. — Ledwo, wyfiokowana, pełna ukrywanej chęci wywołania wrażenia, choć już i tak wszyscy klaskali: „jak ty świetnie wyglądasz“ — zasiadła do podwieczorkowej kawy — specjalność Wisi ta kawa wonna i smakowita — rozpuściła gębę na całego — a wogóle była ta pani, aktualnie już wdowa po wiceprezesie sądu — niska z dużą głową, pięknych t. zw. klasycznych rysach — specką od wszystkich etykiet i mariaży nielicznych już niestety domów panujących Europy, od derniecri mody, wojskowych dystynkcji, odznaczeń i orderów, oraz od wszelkich plot, skandali, kogoś rodzeń i ktokogorodzeń — a takie to już są, wiadomo, wyszczekane; obowiązkowo; — :

— wyobraźcie sobie, u tej Lei — to ta koleżanka, właścicielka zakładu kosmetycznego — masa

klienteli! drzwi się formalnie nie zamykają; cały elegancki świat Krakowa, o, ale też ona! — teraz wróciła z Paryża, najnowsze wynalazki wszystkie, co za wiedza! — nawiasem mówiąc już się teraz nie nosi kapeluszy z czoła, tylko tak, o — na lewo trochę, lecz też nie zanadto, a biżuteria znów wchodzi w modę, zaraz muszę wyjąć z puzderka te duże kolczyki emaliowane — świetna kawa — à propos, czy tu u was jest jakaś pułkownikowa Tarczowska — ? —
— nie, albo co? —

— nie? — co mówicie?! no, no; proszę ja was, wyobraźcie sobie, posłuchajcie tylko uważnie, siedzę ja dnia któregoś u Lejci rano w saloniku, nawiasem mówiąc siostra jej Anielcia wyszła za męża, za tego, pamiętasz Wisiu, co to do nas chodził z tym włochem Skalattim, jego matka była wdową i żyła z tym dyrektorem banku, już wiesz, umiała z niego ciągnąć, ta go kosztowała, no!, ten dyrektor miał raz wściekłą awanturę na A=B z jednym porucznikiem, którego narzeczona była kuzynką szwagra Lei — już wiesz, nie? — ależ musisz pamiętać! ten taki wysoki brunet, takie baczki nosił, zawsze się odwracał za mną, pamiętasz już? — no więc! — lecz nie przeszkadzajcie! — siedzę ja sobie i coś tam czytam a Lejcia przygotowywała nowe kosmetyki w drugim pokoju w swoim atelier — tak sobie rozmawiamy przez drzwi, — nie masz wprost pojęcia jak ona się dobrze trzyma! — przecież ona o dwa lata starsza odemnie, ona mówi, że ma trzydzieści sześć, ale już ma hoho! trzydzieści osiem jak nic — nie, więcej — Wzniosła piękne, duże o grubych powiekach oczy ku lampie — natchniona i tajemnicza — obliczała

w myśli — dodawała, odejmowała, sumowała — tylko czerwone nieco spękane wargi bezgłośnie szepcąc wyrażały pracę mózgu nakrytego puszystą ondulacją à la romantique —

Rezultatów tajnej i hermetycznej arytmetyki nie uznała za stosowne wyjawiać laickiemu otoczeniu.

Cyprjan wypił kawę — właśnie zamierzał wstać — znużony i znudzony aż do zniecierpliwienia — — tylko to jedno pytanie! — „czy tu u was jest jakaś...” Ale pewno zagubią się dalsze komentarze w nowym jakimś ktokogorodzeniu.

Spoziera niedobrym wzrokiem po tych dwu niewiastach — cofa się jak obiektyw aparatu kinowego — długi pokój drewnianym stropem pokryty jak kromka chleba gęstym ciemnym miodem — duże zielone okno — pejzaż jak z obrazów Stanisławskiego: sad, wilgotna od spodu zieleń; z niej wyrastają pokręcane, przyklękające, rozkładające ramiona stare jabłonie — wśród gałęzi i liści szare plamy prostopadłej ściany nieba — stół, dwie kobiety, on — — i robi się nagle aż mroczno od smutku, jakby chmura stanęła za szybami i zasłoniła zielony świat; — — nie umie, nawet w wyobraźni nie potrafi wykrzesać z siebie choćby łut poczucia pokrewieństwa; obce, dalekie osoby; sam on najdalszy; sam sobie obcy; — tych troje obok siebie przy stole żyjących osób — ta tęga pani ladajako odziana, niedbale, z rozwieszoną, nieczesaną, opadającą strąkami na kark fryzurą, ta druga o dużej, pięknej głowie, febrycznie ożywiona, paląca papierosa za papierosem, zaciągająca się głośno, zachłystliwie natchniona dziesięćdziesiątymi aktualiami spod ciemnej gwiazdy, i on,

milczący, ponury, o niemile wśród nich — i tak zaw sze — spłoszonych myślach, zdolny tylko powierzch nią mózgu doraźnie natręctwami myśleć — — idio tyczne to wszystko!

Pani wiceprezesowa papie dalej:

(— teraz to już Cyprjan nad słuchuje uważ niej —)

— aż ci tu wchodzi starsza pani — czy ja wiem, sześćdziesiątka jak nic, dwa, trzy po, wiem ja, — jak się okazuje klientka i przyjaciółka Lei; o tym, o owym, o tamtym — wygadana nieprawdopodob nie, gęba się jej nie zamykała; — „a pani łaskawa, skąd?“ — do mnie — ja mówię, że tak a tak, stąd i tak dalej: „to pani blisko pana Cyprjana Fałna?“ — mówię: „blisko“, ale już tego nie mówię, że szwa gierka rodzona, poco, lepiej, myślę sobie, przemil czeć, na wszelki wypadek; a ona: „pani zna państwa Fałnów?“ — „znam, mówię, doskonale“; „to pani tam zastanie, pani pewno wraca do siebie?“ — „a tak“ — „no to zastanie tam pani moją córeczkę najstarszą, pułkownikową Emilię Tarczowską, ona tam właśnie mieszka; z Fałnami to po prostu stara, zażyła przyjaźń; piskłę moje kochane, mąż ją, widzi pani, porzucił, powiedział idź, wynoś się, zabieraj dzieci, ciągle, powiada szloch i fochy, awantury i histerie, moja pani!, — dzieciaki, są teraz u nas, a ona wyjechała na letnisko, odpocząć, przyjść do siebie, bo to się w tym roku stało, radzi liśmy z mężem, może Zakopane, a może byśmy się na Szwajcarię jakoś zebrali, bo biedactwo chore z tego wszystkiego, a ona nie i nie tyll: o tam chciała — ażem jej też powiedziała, bo to człowiek doświad-

czenie ma: uważaj córuś, nie białamuć poetę, nie rozbijaj domu i rodziny, sama wiesz czym to smakuje, bo to u nich też przez kobietę, zawsze się lichy przypląta" — powiadam jej „cherche la femme" — „oj to to", mówi ona, — „a pani wie co ona mi odpowiedziała? — moja mamó, przecież każdy ma prawo do szczęścia" — i że ona musi go poznać —

(— „poznać" — myśli Cyprjan — „poznać" —) że jego poezje, mówi, ją uratowały, bo już bardzo źle z nią było, o bardzo źle!" — tak ona mi to, proszę was, na pierwsze wszystko opowiedziała — i nie tylko to, ale o wszystkich córkach, a cóż to za rodzina! powiadam wam, — mnie tam nic nie dziwne, ale czegoś podobnego jeszcze mi się nie zdarzyło spotkać, żeby tak odrazu —

Plotła dalej; duża jej twarz bardzo ruchliwa i wyrazista dogadywała resztę wymownie i z naturalną przesadą.

Wszystko razem niezmiernie przykre.

Wisia powiedziała swym ustawicznie załęcznionym i niepewnym tonem — jąkanie myślowe — przy czym szukała w twarzy, do której mówiła, przytaknięcia —

— zaraz się domyśliłam, że to...

Miała duże doświadczenie i wiarę w przeczucia; pewności zresztą nie miała, gdyby ją nawet miała, to też nie byłaby pewna; już natura taka.

Długo jeszcze rozmawiały tym trybem.

Cyprjan wyszedł.

Wogóle...

Wogóle moment był bardzo niebezpieczny.

Twórczość Cyprjana Falna była okresowa, to

znaczy: miesiące silnej i nieustannej ekspansji i gorączki pisarskiej — potem nagłe ochłodzenie i wyczerpanie, miesiące gnębiącej pustki, niechętności wszelkiej; rozciasz myślowy, złe samopoczucie aż po manię samobójczą włącznie; ciężkie momenty.

Między jedną książką a drugą — przestrzeń grząska i bagnista, przez którą wiedzie ścieżka wąska i niebezpieczna — miejsca, w których z kępy na kępę trzeba skakać — kępy dni, tygodni, miesięcy; — — niepokój, niepokój dręczący — skłonność do nieprzemyślanych, impulsywnych pociągnięć życiowych.

Skonstruujmy Cyprjanie — mówi w myślach Cyprjan w poczuciu nagłego odosobnienia szpitalnego — skonstruujmy sprawozdanie ściśle: — stan więc — w tym czasie „między“ — bezsprzecznie chorobliwy, pełen spiętrzonych kompleksów, urazów, fobii, nawrotów ciężkiej neurastenii —

(— co tu jest chorobą, a co zdrowiem? — czy te określenia mają wogóle jakiś sens? —)

— aż po jakimś czasie —

— a w „między“ czasie: nieznośność dla otoczenia deprymująca, pobudliwość afektów wzmożona, „tyran i despota“ mówiła Wisia — (jeszcze wtedy nie wołała: „oszust, złodziej, zbrodniarz“; to później).

— aż po jakimś czasie zaczęły się zjawiska wewnętrzne i zewnętrzne kojarzyć w ciąg coraz bardziej zwartej i dopasowanej koncepcji: obrazy, sceny, dialogi, szczegóły wyraziste, mosty łączące odległe asocjacje — — wtedy, wiadomo, zbliża się —

— dnia któregoś zasiadał do biurka przed ulubionym papierem żółtym, „kancelaryjnego“ formatu, tanim; spisywał dyspozycje; nazajutrz rozpoczął

forsowną pracę: od świtu do godziny szóstej popołudniu; rozgrzanie codziennie trwało długo; pierwsze zdania opornością zrażały i zniechęcały. Dopiero mniej więcej po dwóch, trzech godzinach szło lepiej nieco i zwawiej; zawsze jednak denerwująco i męcząco; rzadko kiedy ponad trzysta wierszy dziennie; — po pierwszym rzucie — najważniejszym — skomponowanym w całości, kilka dni odpoczynku — i na nowo: opracowanie całości od a do zet; nie poprawki w pierwszym brulionie, lecz mozolne, pracowite, uparte przepisywanie zmienionej całości; i poraz trzeci — i znów w całości, i znów wszystko od a do zet; wychodziło na to, że doba dawała osiemdziesiąt do stu wierszy jako tako zadawalających. Tak tedy całość dojrzewała plus minus w dziesięciu miesiącach, po których znużenie i zgorączkowanie dni sumowało się w apatię, bezwład, kolaps nicomal, w czym doszczętnie zatracala się radość z dokonanej pracy —

— w okresie pisania wszystko poza robotą było obce, dalekie, nieistniejące —

— wszelką przeszkodę — goście, wyjazdy, interes, korespondencje — odczuwał jako krzywdę i obrazę; stanowczością, opryskliwością, odmową i nietaktami ratował się z opresji; wiedział, czuł co taka przeszkoda znaczy! — o ile codziennie na „rozgrzanie“ zużyć musiał parę, lub kilka godzin, to po przerwie choćby tylko tygodniowej — pierwsze dni pracy kalkulowały się fatalnie, destrukcyjnie, prawie deficytowo, bo w stosunku jeden do dziesięciu, t. zn.: dziesięć godzin wprowadzania się w trans — odczytywanie poprzednich kart rękopisu, nawiązywanie

do treści i podejścia stylowego, chodzenie z kąta w kąt, herbata (mocna), czarna kawa (mocna), papierosy (dużo), gorący okład na kark — a jedna godzina (wątpliwej często jakości!) katalepsji. Lecz i krótkie, kilkugodzinne przerwy dotkliwie wpływały na jakość i wydajność pracy. Nic też dziwnego, że unikał wszelkich przerw jak b. diabeł święconej wody. Ten co mu przeszkadzał był dlań wrogiem i krzywdzicielem — do znienawidzenia!

— natomiast te okresy „między“ — były jednym ciągiem zupełnego rozluźnienia; sprawność myśli mdlała; dyscyplina kruszyła się; podatność na ekstrawagancję rosła w miarę przedłużania się nieproduktywnego (pozornie!!) okresu w sposób zagrażający; niepewność; poczucie bezpotrzeby; chwytanie się lada żdźbła, lada pozoru — niecierpliwe szukanie poomacku; w sumie: komplikacje niezaradne, utrudnienia życiowe, tragiczne —

— okres kiełkowania — bo o tym była mowa — niesie z sobą niepokoje i rozstrój prawie że ponad wytrzymałość sił ludzkich —

— przy tym popęd seksualny wzmożony, czy raczej wyzwolony, ciągle czynny, wizyjny, niedozwalczenia — i poco by go zwalczać? —; wyobrażenia erotyczna pełna napastliwości i lubieżnych pokuszeń. Niezawodny tu ekwiwalent za chętną i dość łatwą stosunkowo ascezę w trakcie pracy; przy czym silne nawet podniecenia płciowe raczej jej sprzyjały—

— zdarzało się, że w takich to okresach „między“ przeradzał się cały, wielopłaszczyznowy, wyparty z rozsądnych zamiarów napęd, w manię zbieracką; książki, grafika, obrazy, meble, rękopisy;

w okresach „między“ gotówki było zawsze więcej: dochody z wydania książki; cała forsa wtedy płynęła korytem manii. Zajęcie się tymi sprawami: skupywanie, segregowanie, odnawianie, spisywanie — przynosiło ulgę i zajmowało dokładnie umysł. Wkładał w ten surogat całą chemię i elektryczność mózgu, rytmu serca, pracę jąder; — bo też nie było to niczym innym jak sublimacją seksualną; ta cała mania zbieracka; przedmioty, które aktualnie kolekcjonował, wyczerpywały bez reszty pobudliwość wszystkich sfer erogenetycznych ciała, więc tym samym i „psychy“ —

— bywało też, że w „między“ wplatały się fantastyczne planowania budowlane; całymi dniami rysował, obmyślał, konstruował — nocami wyśnioną (wszystkie widzenia senne obracały się koło budowli) architekturę.

Mania budowania była manią bolesną, bo nie dającą się zrealizować.

Rynki, place, zaułki, dzielnice, nowe arterie powietrzne i słoneczne — samotne domostwa w lasach i na szczytach gór, zachwytyjące słońce i zatrzymujące je ciepłem i promieniowaniem ultrafioletowym na dni i miesiące bezsłoneczne (bujna wokoło roślinność południowa, tu na północy dogrzana rezerwuarami energii słonecznej).

Wewnętrzne ściany tych domostw powleczone masą, wchłaniającą zieleń łąk i drzew i błękit nieba, błękit i zmienność firmamentu od świtania po zachód, oraz misteryjny czad księżycowych nocy i nocy rozgwieźdzonych; ściany więc fotoczułe; nie płaskie szta-

lugi do zawieszania monotonii obrazów, lecz same będące odurzającym bogactwem kształtów i barw.

Raz były to twory regulujące samym istnieniem swych form ostatnie remanenty złoży religijnych przetransponowanych na zachwyty wielkością dzieł świadomości ludzkiej: olbrzymie muzea sztuki, biblioteki, zbiory zabytków — świątalne budowle na wspaniałych, śmiałych łukach wsparte — pod ich sklepieniami przepływają żywe rzeki, ruchliwe i szumne: żywiol mądry i zwinny.

Innym razem były to wielkie połacie kraju rolniczo uprzemysłowione — siedliska gospodarcze białe, czyste, słoneczne, drogi asfaltowe, autostrady, elektryfikacja gospodarcza — i mały pod kłosem rezerwat „chateński“ strzechą krytej, kurnej, z polską gnojówką przed oknami, z polskimi wszami — z tą jedną ozdobą izby ciemnej, klepiskowej, bez podłogi: trumienką z dzieckiem; rezerwat; eksponat z pierwszej połowy XX-go wieku.

To znów rozległe żelbetonowe robotnicze spółdzielnie fabryczne otoczone ogrodami, stadionami, basenami kąpielowymi —

I znów samotne, oddalone, ciche pracownie wynalazców i artystów — obserwatoria astronomiczne.

Meble, sprzęty i przedmioty wszelkie funkcjonalne, do pracy zręczne, do wypoczynku skłaniające.

Wizje architektoniczne wypracowane i szkicowane, pełne i zaledwie rozpoczęte — zachodziły na siebie, wyprzedzały się, spychały: zamęt i wir.

Wszystko to, oczywiście, dla tych, którzy nowym językiem przemawiają i nowy język rozumieją—

było wyrazem napierającej na organizm przyrodniczej poligamiczności i żądz niepowściągliwej zamieszkania w e n ą t r z, w samym ognisku płci odmiennej — wielorako, bezprzerwnie; indywidualnie i zbiorowo.

Te sale, okna, drzwi, schody! — ten dookolny krajobraz skalisty, wądolny, szczelinowy, nigdy dostatecznie niezbadany, choć przecież znany: regres wulwiczny.

Ten, wreszcie, spermatoidyczny przerzut rzeki przepływającej przez wnętrzości sal i ziemi! —: ejakulacja połączona z fazą przedistnienia samoistnego w wodzie matczynego łona.

Indziej nadchodziły Cyprjana marzenia o skromnym, drewnianym, lub kamiennym domku —: dwa pokoje, jeden większy ze szklaną ścianą wschodnią: sypialnia; urządzenie najpotrzebniejsze, z heblowanej gładko sośniny meble, jasne, czyste, lśniące, żywiczne; otoczenie: las i wrzosowisko. — Oto wyraz czującej nostalgii za umiarem i prymitywizmem, w który już żadne komplikacje burzliwe nie wejdą, bo i miejsca ni czasu na nie nie będzie; wszak mieszkać tu będzie skupienie.

Cały komplet tych i tym podobnych nawiedzeń strukturalnych był elementem zastępczym, sublimacją erotyzmu — jest jednak architektura kondensacją seksualizmu, monumentalna jeszcze dodatkowo ambicji i pychy, będących zresztą barwą i znamieniem płciowym, jak i wieże są ornamentalnie zróżniczowanymi remanentami kultu fallicznego.

Sam podkład marzeniowy, tło na którym wyświetlały się zarysy architektoniczne był refleksem

erotyzmu dość odległego, tego z pogranicza onanii i homoseksualizmu, spraw więc ani złych, ani dobrych, obojętnych raczej i ściśle prywatnych — tu z racji nie wykonywania przez Cyprjana tych praktyk — były przejawem autoadoracji płci, osobowości, rozwałkowywaniem narcyzmu, niezadawalającego i częstokroć obmierzłego. — Jedyne ekshibycyjny pomysł szklanych domów nie znalazł się w tych projektach; natomiast „bukiety tęczy” wywoływane wprawionymi w okna kryształami i soczewkami stosowane były stale.

No i sprawa najważniejsza: były te manie zajęciem (wypełnieniem, mamidłem) — lecz nie były podniecię; bodźcem nie były; brakowało im pierwiastka tonizacji (usypiały raczej leniwo) i tego najdonioślejszego: wiewu hormonizacyjnego, któryby poruszał wszystkie organiczne maszyny świadomości, przewietrzył „pod” i przesuwał sprawną transmisję zdarzenia ku — poza momentami silnych i rzadkich napięć — tak trudno dostępnemu „nad”.

Tu był potrzebny, potrzebny i konieczny pierwiastek kobiecy. — Kobieta — zawsze ta sama, zawsze inna: wyzwalająca, natężająca, podniecająca — ruch i zapęd.

W tym wymiarze jawi się wszelka twórczość jako dno instynktu samozachowawczego i gatunkowego, zwycięskiej walki o samicę; ubarwienie i śpiewność, siła i sprawność, zagadnienie wyodrębnienia, przewyższenia, doboru, zwycięstwa, utrwalenia. — Tajemnica sztuki i tajemnica mowy jeden ma początek i jeden przapęd. — Kobieta i poeta to są emanacje skryształizowanej przyrodniczości (zasadniczych

elementów przyrody); — wszystko inne jest obyczajowo-histeryczną katechizacją. Sztuka to kształt płci.

Wejście Mili w życie Cyprjana Fałna nastąpiło tym razem w okresie długiego, wyjątkowo długiego „między“.

Po owych ziemskich rozwałęśnieniach się po drogach, bezdrożach, miedzach i przełazach — po zatrzymaniu się medytacyjnym przed każdą przydrożną lipą i kaplicą nastrojącą anamnezy pogańskie, po ezje mitu, przerzutu frasośliwego żywota, po stwierdzeniu więc w sobie szumu i błysku fali powrotnej — następnie po osiągnięciach dramatycznych: wspinały okres pani Ho! — poprzez spojrzenie dotkliwie bolesne w wir mijania i zamęt nostalgiczny za t y m t a m („niewyraźalne“) — poczęły się krystalizować i ustalać zagadnienia społeczne — najpierw na podłożu autozapewnienia, że wzwyżenie jednostki, jest miarą wzwyżień gromady, że od sumy świadomości grup zależy miara doskonałości człowieka, że wyrównanie tysiącletnich niesprawiedliwości, ucisku, grabieży, gnębień, tortur, pogard i wszelkich zbrodni świeckich i wyznaniowych, że to wyrównanie idzie, zbliża się z dniem każdym, i, że trzeba ze wszystkich sił dopomóc!

Formalnie — w zakresie pisarstwa — miało się to wypowiedzieć a u t e n t y z m e m, czyli, finalnie, cdkłamaniem wszelkich zjawisk indywidualnego i społecznego życia, aż po ich podskórną nagość lub... szkielet; w autentyźmie leży coś więcej, więcej niż realizm czy t. zw. prawda — autentyzm to problem p r z y c z y n. Poza tym: kto burzy musi umieć

budować, lecz kto chce budować, musi umieć burzyć; to nie jest żadna filozofia, to jest ułamek regulaminu rewolucyjnego.

W Cyprjanie Fałnie narastał radykalizm, rewolucjonizm, wiara w jedyne rozwiązanie zawiłych problemów społecznych, w komunizm, w dalekie przewidywanie anarchizmu, który może się ziścić w aurea aetas jedynie po wiekach społecznej dyscypliny socjalistycznej.

Pierwsze wieki chrześcijaństwa — socjalizm — komunizm — anarchizm — oto stopnie socjalnego współżycia człowieka z człowiekiem; element wspólny: braterstwo.

W ten wielki krąg myśli weszła z niezwykłym, wybuchowym nabożem hormonizacyjnym Milla.

Cokolwiek było w niej obcego, nie do zniesienia, wstrętnego i skłaniającego do natychmiastowej ucieczki na sto wiatrów — to wszystko tajnym prawem doboru stało się pociągające, hipnotyzujące, wartościowe i najwartościowsze.

Czy eliminacja?, kontrastowość?, brusek, na którym ostrzy się myśl i słowo? — obojętne! — Weszła w samą porę! a tylko zawsze to decyduje.

Za hormonizację daje się myśl — widzi się narastanie jej wpływu od początku do końca; — to także.

Zaniedbanie i niedokształcenie, które musi się przezwyciężyć; — to także.

Radość rozbudzania; to także.

Z początku unikał jej; gdy po paru tygodniach spotkali się zupełnie przypadkowo — zupełnie czy prawie? to wszystko jedno, powiedzmy wiec: una-

umyślony przypadek, — na dożynkach, takich niekłych, chudobnych, małorolnych dożynkach — gdy (znów tak samo przypadkiem) znaleźli się sami w dużym, pustym pokoju — zapytała — bez zbędnych preludjów — lada chwila może ktoś samotność przerwać —:

— a co będzie z nami? —

(— a cóż ma być do diabła! pomyślał) odrzekł:

— niby co? —

Milczeli.

Ale już było wiadomo.

A potem siedzieli w bibliotece.

Zacząła sprawnie i krągło, zaciągając się powie-
trzem, opowiadać jakąś historię z żeromska roman-
tyczną, smętną i tragiczną,

(— poco ona mi to mówi? —)

której pointą była noc skazańca spędzona
w celi z narzeczoną, z czego potem pogrobowiec.

Ciepły dzień zachodził za las; w ogrodzie wśród
czubów drzew mżył złotawy opar; w pokoju mrocz-
niało; twarz jej i ręce fosforyzowały.

Mówiła jeszcze o tych sprawach — jakby stresz-
czała scenę z „Róży“; — przepelniona była stanow-
czo (Mila) ojczyźnianością w złym gatunku, po pro-
stu obciążona dziedzicznie patriotyzmem na codzien-
nie; jej ujmowanie kwestii budziło nieufność a antymili-
taryzm jej, który głosiła jawnie, wykladał się w tym
okresie jeszcze: antymąż.

Wreszcie:

— brak mi pewnego tonu w pańskich poe-
zjach —

(— tędy cię wiedli! —)

— nie zna pani po prostu moich poezji, i tego pani, przepraszam, nie wie, że wszelka poezja jest erotyczna —

(— afirmacją lub negacją idzie; tylko te dwie są drogi — pomyślał —, lecz nie chciało mu się tego powiedzieć; pełen zresztą był podziwu dla umiejętności wjechania na temat, na ten temat —)

— pan to mówi? —

— zdaje mi się, że ja —

(— wiem już! —: cała jest zanurzona w jednej z legend o mnie; poeta ma kilka legend; każdy dobry, niepokojący poeta;—a w ogóle: renesans dziewczego popędu do poezji, utraconego (stłumionego) przez zabykpójście; sterylizacja częstsza niż się przypuszcza —)

(— ma rozchylone wargi; piękne, małe zęby biłą się urokliwie; dookoła jej głowy książki —)

(— wogóle uwodzenie i kokietowanie tą poezją — szczeknęło w nim gniewnie i złośliwie —)

Bardzo skwapliwie — najskwapliwiej może — pokazywała liczne fotografie dzieci i swoje; dzieci zwłaszcza; córeczki i synka; czyniła to z niesłychanie erotycznym zmieszaniem (podświadomym)—: dzieci przecież były wymownym wyrazem jej czynnej płciowości; pokazywała fotografie jak swą tajemnicę niewieścią; rozchylanie kart albumiku było dosłownie rozchylaniem ud; — i to jeszcze: przechwalanie się chytrze ukryte w kącikach przyśmiałych wstydliwie warg, wykonaniem tych dzieci; oczywiście tylko tym, że jej te dzieci zrobiono; bo ona sama nic; skądże; ale tak chciano, tak proszono, tak gwałcono.

Na końcu jej piękna fotografia: w stroju balowym.

— śliczne zdjęcie! — zachwyił się!

— to nad ranem, po balu —

(— wyobrażam sobie jak cię wyoblapiano! — to wściekła frajda wyłuskać nagie ciało z takich pięknych, szeleszczących szmatek; — z fotografii unosi się wyraźny zapach spermy — wstrętnej bo obcej —)

O dawnym — ileż to lat? — trzynaście, czternaście — spotkaniu nigdy ani słowa; wogóle nic; jakby teraz właśnie i dopiero pierwszy raz w życiu; poza kilku słowami wtedy na kamienistej drodze — nic; nieumówiona umowa.

I znów tak trwały dni w nieruchomości.

Mila zwabiała do siebie, do tej sośninowej izdebki gromadki dzieci — cyprjanowe też — oblaadowywała je łakociami i — uczyła piosenek legionowych — pełna tradycyjnego, polskiego zaleniwienia, które publicznie i prywatnie przedłuża minioną epokę o dwadzieścia, trzydzieści, może i więcej nudnych, beztwórczych lat; ba, gdyby nie presje i napory idących granicami Polski dziejów, jakże chętnie tkwilibyśmy w pojęciach XIX-go, XVIII-go, najchętniej XVII-go wieku. Rezerwujemy sobie przynajmniej tyle, że polityków naszych ciągnie ku państwu reakcyjnego obskurantyzmu; — tradycja pojęta jako zacofanie, reakcyjność, anachroniczne bzdury — oto co jest miłe mieszczańskiej mentalności pol-

skiej; od wieków t. zw. sfery wyższe pchały Polskę w zgubę.

Tak to sobie Cyprjan w myślach wypraszał gniewnie te wskrzesicielskie zabiegi pani Mili, „Polki typowej“.

Makabryczność chwil, karmiona złymi pomysłami, sumowała się w niepokojącą kwotę.

Skwapliwie też skorzystał Cyprjan z oferty jednego z teatrów; wbrew zamierzeniom i ochocie przyjął posadę kierownika literackiego, względnie, ponieważ ambitny dyrektor, były tenor operetkowy, był zazdrosny o tę nazwę „kierownik“, „doradcy artystycznego“.

Wyjechał; podpisał kontrakt; wmówił w siebie, że musi tu w tym obcym mieście pobyc z tydzień przynajmniej — niby zapoznać się z warunkami; motywacja głupia, ale każda inna również byłaby głupia; — szło ostatecznie o to aby pani pułkownikowa Emilia Tarczowska wyjechała wreszcie z rodzinnych Fałna okolic. Do cholery! — kończyły się przecież wakacje, — dzieci — szkoła — obowiązki — i tak dalej! co to jest!!

A poczynano się było dość niebezpiecznie i groźnie —: kiedyś wieczorem odprowadzał ją pod tę górkę; przy pożegnaniu dłonie ich, nawet uściskiem nie spięte, lecz tylko tak położone na sobie, przyległy nagle i nie mogły się w żaden sposób oderwać od siebie — zsuwały się powoli, niezwykle cpornie; — tej kopulacji rąk przyświecały w mroku jej niezrównanej piękności zęby pośród rozchylonych małych, białych warg; nie malowała ich nigdy.

Wogóle buziuchna bledziutka, koło oczu żół

tawa. Teraz już umiał na pamięć jej twarz; a to nauczenie się jej wcale nie było łatwe, miała bowiem takie (jakby nieco psotne) przyzwyczajenie, iż odwracała się profilem i schylała ku ramieniu głowę, — nigdy nie można było dokładnie rozważyć i zapamiętać jej rysów; —: szczupła buzia, lekko wybrana na policzkach, duże, bladoniebieskie oczy, świeże i dziewczęce; w całej postaci wątły, nazbyt wątły, wdzięk niewieści; nogi za szczupłe, ramiona skulone, sprężyste, napastliwe piersiątko; wogóle...

Lecz ona nie opuściła Fałna rodzinnych stron.
Była jeszcze.

Wyjeżdżała na dwa dni; ułożyła się z rodzicami, przedłużyła wywczas; no i — powietrze takie tu dobre! — a ona chorowała na płuca; chętnie powtarzała słowa: gruźlica, suchotnica; — nie cierpiał tego! — kochał pogodę i zdrowie; lecz ona nie wiedziała; wiedząc nie używałaby przecież tej niestosownej kokieterii; naturalnie; wprost przeciwnie. Sam miał dosyć własnej chorobowości — na eksport.

Wręczyła mu wtedy — na dłuższe rozmowy nie było już sposobności — mały, zielonawy, czy raczej szaroniebieski zeszytek — taki jak to na słówka w szkole; — to był jej dzienniczek tych tygodni.

Równocześnie z zeszytkiem list, w którym tłumaczyła ze strachem dlaczego ten dzienniczek ośmiela się mu dać do czytania, że nie ma innej drogi, że rozpacz, i, że go jutro odbierze i spali; zarazem, że gnając się na zawsze — po przeczytaniu dzienniczka na oczy mu się pokazać nie będzie mogła! — zapowiedziała swój przyjazd do tego miasta, gdzie to ten

teatr, ma tam siostrę, musi ją koniecznie odwiedzić, więc się spotkają; dobrze? — Powiedzmy, że dobrze!
Dzienniczek położył na biurku.

Wieczorem napisał pierwszy od wielu lat wiersz erotyczny, pierwszy z długiego cyklu.

A wynurzenia pani pułkownikowej odczytał wbrew swemu zwyczajowi (o tej porze wstawał, lecz nie czytywał nigdy) o godzinie czwartej rano, gdy cały ogród pod barwnem niebem pełen jest ćwierkania rannych ptaków, złotych przelotów wilg, uganiania się wiewiórek i gruchania synogarlic, gnieżdżących się na wysokim modrzewiu.

Moment był tak świtowy i intensywny, że i w tej chwili przesącza się przez ściany szpitalne jak przez grube, zmatowione szkło — lecz światło napiera z łagodną stanowczością — prześwietla szklaną szybę, topi ją ciepłym tchnieniem — i oto już wiew rześki od ogrodu szumiący chłodzi czoło i lekko mierzwi włosy; — zmięty ten zeszytek tyle miesięcy w portfelu noszony; miesięcy? — trzy lata, prawie trzy lata; — naścibany drobnym pismem, niektóre stronicie ołówkiem — zatarły się już, pokryły w fałdach zmiętego papieru litery, rozpuściły słowa w słownym czasie, zdania wyparowały od ciepła, na sercu leżały zbyt długo.

Od owego ranka nie czytał Cyprjan tego sprawozdania najprostszego i najlepszego, choć przecież tak nieporadnego i naiwnego o myślach wymijanych i bezwolnie wyprowadzonych niejednokrotnie poza prawdziwość zdarzeń, w pole szerokie, kędy przepadły w zawiei burzanów i stały się nieuchwytnie.

Dwie rude wiewiórki uganają po jesionach

przeskakują zwinnie z wątlých gałęzi na konary — synogarlice wołają w stronę lasu u-kru, u-kru — pod oknem w gnieździe uwitym puszyście pośród rozwidlin pnącej róży szczebiotają opierzone, na wylocie już, kowaliki, a na czwartej linijce — linijki są zielone jak młode szyszki świerkowe — widnieje zwiewny i kruchy tytułik, napis, motto: „tylko dla siebie“ —

Przed ostatnią stronicą wygrubia się papier: za sucha gałązka wrzosa.

I to wszystko jest takie odległe jak romantyzm, jak sentymentalizm — jak zagubiona niebieska wstążeczka w hali maszyn; ciąg powietrza od rozpędzonych, migających pasów transmisyjnych porusza nią i zdmuchuje niepokojąco; lada chwila może ją zwiać pomiędzy kola, tryby i zęby stalowe — przemielony strzępek wypadnie na piramidkę odpadków i śmieci.

Cyprjan trzyma zeszytek pod umbrą lampy nocnej — nie czyta. Wpatruje się w linijki zielone pierwszej stronicy — są jak gęste druty telegraficzne, na których siadło czternaście jaskółek: to te litery ułożone w trzy słowa:

Tylko dla siebie...

I jest znów jak wtedy, gdy muzy — czy to było w śnie? — rozpierzchły się z krzykiem i pisakiem — przerażone widokiem Cyprjana-koźlonoga — chwyciły się dłońmi ostatnich smug panowej muzyki, unoszącej się jak błękitny dym na powietrzu — i zwinnie jak po licznych drutach telegraficznych wspinały się wysoko na ostatnią linijkę tej stronicy — na kraj zeszytu — stąd, przycupnąwszy —

z rozmachem ramion kilkakrotnym — skoczyły
w czarne niebo i rozbłysnęły konstelacją liry -- —

Tajemny głośnik w piątym kącie pokoju, znajdujący
się teraz tuż pod gniazdem kowalików (— tymcza-
sem rozkwitły gęste kity płomiennych róż —), na-
szeptuje stłumionym, cichym głosem:

— ja jestem twa siódma —

— tak, Milo, tak — ty jesteś siódma —

Zaledwie zmilknął odległy szept — zadrgało
i zakotłowało się w konstelacji — zawirowały gwia-
zdy, rozprysnęły i szybko ułożyły się — podobnie
jak to na ekranach bywa przy wyświetlaniu reklam —
w kształt imienia: M•A•U•R•A —

Ponad gwiazdnym napisem zamajaczał mgławi-
cowo, ledwie dostrzegalnie tors dziewczęcy i prawa
wyciągnięta ręka trzymająca drzewce sztandaru, któ-
rego czerwień stapała się z wstającą zorzą świata
obejmującego pożarem pół nieba —

Gwiazdy wygasły.

Płomienie huczały nad ziemią jak gwar wiel-
kiego pochodu —

Ogień rozprzestrzenił się na cały firmament —
olbrzymia czerwona kopuła nakrywała ziemię bu-
dzącą się ze snu — syreny dymiących fabryk zagrały
posępnie i jękliwie —: pożar!

W lunach rozwichrzonych rozzarza się dziew-
częcy tors jak stal do białości — twarz wzniesiona —
w gwałtownym skrótce — włosy zajęte pożarem pło-
ną — sypią się iskry — gęsty deszcz iskiei, w któ-
rym obraz zatapia się — tonie — wreszcie zalewają
go wychlusty płomieni —

Tak — tam!

A tu — blisko — nieomal na wyciągu ręki —
zcichł nagle piskłęcy świegot pośród róż; wiewiórki
przycupnęły do pnia, nastawiły uszy i ogon, zacum-
kały gniewnie i przytuliły się mocniej do konaru; tur-
kawki odleciały trzepotliwie i spłoszenie w stronę
martwego lasu —

Nagły stuk!

Głośnik obsunął się wzdłuż ściany — spadł i roz-
trzaskał się na drobne szczyrby —

Z poza niewidocznych skał zrywa się, jak stado
prerażonych orłów, szum spadających w otchłań
wód —

Przez chwilę: pożar i szum —

I nic więcej —

—

Powoli płowieją płomienie i szum oddala się
poza widnokrąg —

Przez liście jesionów i leszczyn przedzierają się
pierwsze promienie dnia — potracając gałęzie, opa-
dają na szuwar i sitowie odbijające się w stawie —
drżą trzciny i ostrza liści — jakby dalekie echo pa-
nowej fletni — siedmiopiszczalkowej sirinks —

Sirinks!

—

Cyprjan rozwarł oczy; przesunął dłonią po
czole — było zimne i mokre.

Odwrócił pierwszą kartkę; „tylko dla siebie“;
począł czytać:

17 lipca 1933 r.

I oto jestem tu. Poco? Dlaczego? — Co mnie
tutaj przygnało? — Czyżby ta niezerwana niktła (nie-

stety! —) nić wspomnień, gdy... Napisałam „tylko dla siebie“ lecz to niełatwo pisać „dla siebie“ prawdę. Zresztą czy on pamięta, że mnie kiedykolwiek widział? — koleżanki mi mówiły, że się ten młody poeta kocha we mnie; — ale to były czasy, gdy jeszcze myślałam, że walka o ojczyznę a poezja to jedno i to samo. — A potem wszystko się tak porobiło — — ale o tym jeszcze będzie. Mam przecież czas i swobodę — pierwszy raz od dwunastu lat. Pierwszy raz!

Bardzo tu pięknie.

Chodzę po drózkach, wydeptanych — — tak jest, ciągle myślę o tym, że on tu jest blisko, i że to jego kraj, ten, który go kształtował.

Gdy stanę na „swojej“ górcie, przy rozstajnych drogach — taki wielki szmat świata widzę! Dwie ich się tu schodzi — jedna droga właściwa — wiodąca do szosy głównej — biedna, uboga, kamienista — trudno po niej zrazu chodzić „miastowym“ nogom nienawykłym; a druga, jeszcze biedniejsza — odłudna i cicha — tą idzie naprzelaj przez zbrocze ku temu laskowi, który łączy się bezpośrednio z ogrodem otaczającym jego dom.

O precudny splachciu ugornej ziemi, co za urok masz w sobie, że trzy dni cię znając dopiero — już cię kocham bardzo?

Muszę kogo spytać o nazwy tych strumieni, lasów i gór, może gospodarz będzie wiedział. Zapamiętam odrazu te nazwy, bo ja je znam już przecie, tylko nie wiem które, z tych imion na czym położyć.

A to one przecie właśnie — te strumienie, drogi, lasy, i góry — „zaplotą dzień dzisiejszy z wiecznością“; — zapamiętałam dobrze te słowa. Dziwnie wy-

rażnie przypominają się teraz słowa z jego książek i dźwięczą w sercu.

Nie mam, niestety, żadnej tu ze sobą. Wogóle mam ich na własność kilka zaledwie, a i te jeszcze zabite w pace, nie mogłam się do nich dostać, prócz jednej, którą wyciągnęłam przez szparę, bo jest cienka.

Boże, jak ja ją czytałam wtedy... w tę noc lutową... Ale nie chcę o tym myśleć dziś jeszcze.

Trzeba to, naturalnie, przemyśleć wszystko i uporać się z tym jakoś, ale jeszcze nie dziś — jeszcze na to poprostu fizycznie za słaba. Po tych wszystkich strasznych przejściach czuję się jeszcze tak źle, sił nie mam za grosz. Sypiać zupełnie nie mogę. Masę leżę, bo kładę się o zmroku, ale sen przychodzi rzadko i na krótko. Winne temu te myśli, kłębiące się w nieszczęsnej głowie. A odpędzić je tak trudno!

A jednak czuję, że w tej chwili wszędzie na świecie czułabym się jeszcze gorzej, niż tu — tu właśnie na tym kawałku świata jest dla mnie w tej chwili miejsce jedyne.

Tęskniłam do tego kawałka ziemi — nie znając go jeszcze. I tęskniłam do samotności.

I jeszcze tęskniłam i tęsknię do człowieka, jednego człowieka, dobrego, wyrozumiałego, coby mi zechciał choć trochę, choć krzynekę pomodź, jakichś trochę dobrych słów mi dać, żebym nie była tak straszliwie sama.

Bo tak się stało, że zostałam naraz samotna, choć miałam kiedyś trochę bliskich ludzi.

Rodziców oszczędzać muszę. Dość oni mieli

ciężkie życie, żebym im je u schyłku zaciemniać miała własnym smutkiem. — Zresztą oni jużby mnie dziś nie zrozumieli. A dzieci moje kochane — na szczęście jeszcze mnie zrozumieć nie mogłyby, ani pojąć tego co mnie boli.

A inni? Jakże ich mało zostało — tych przyjaciół prawdziwych! Zresztą nie wiem nawet gdzie są w tej chwili Halina czy Ewa —? Przez to wszystko co przeżywałam, co przetrawiłam w samotności straszliwej, nie mając sił ni odwagi, by zwierzyć się z tym komukolwiek — potraciłam kontakt wszelki.

Prawda! — ksiądz K. jest blisko, na lotnisku, o trzy mile stąd, prosił żebym do niego przyjechała. Ale ja czegoś boję się tego... cóż on mi powie? — Każe mi znów cierpieć, tylko cierpieć. A ja już cierpieć nie mogę. Już tyle cierpiałam! — Ja teraz śmiem marzyć o końcu cierpienia!

Instynktownie obawiam się teraz zetknięcia z jakimkolwiek księdzem. Mam głuchy żal do nich, za te moje ostatnie dwa zmarnowane lata. Mniejsza o mnie, ale wyszły one na szkodę tych biednych dzieci moich. A można było przecież przez wcześniejsze rozcięcie tego wrzodu — wcześniejsze rozstanie — wiele zła uniknąć. A księża mnie tumanili.

A no, trudno, co się stało — nie odstanie się — teraz trzeba mi koniecznie skrzepić się jakoś i ratować, ratować!

„boć nie jest trudem ukochać dobro i piękno, raczej wytchnienie to — łatwość; aleć zło kochać! brzydotę! — to jest dopiero ów cud, mieniący owo zło w szlachetność złotego kruszcu“.

Pamiętam!

19.7.

Cudnie jest przeczytać coś nowego — jego. Dobrze, że jeszcze dużo nie znam, więc jeszcze wiele razy tę rozkosz przeżyję.

Powiedział Boruta (prosiłam go, żeby wstąpił do poety i poprosił o pożyczenie jego książek), że bym wypisała czego właściwie chcę. Ale ja nie napiszę! Mógłby poznać pismo i domyśleć się, że ja to tasama istota, która... i mogłaby się zerwać ta słaba nitka!

Marzę o zobaczeniu go choć z daleka.

Już tydzień tu jestem — czuję się jednak lepiej; odrobinę; samo to przychodzi. Może tak minie tydzień drugi i trzeci i czwarty i piąty — trzeba będzie wracać i nie zobaczę go?

Fizycznie wzmocnię się napewno, skoro już po tygodniu lepiej się czuję i temperaturę mam dużo mniejszą; a i psychicznie napewno się podźwignę, dzięki czytaniu jego książek i dzięki temu — czy ja wiem, jak to powiedzieć? — może dzięki temu, że oddycham tym samym powietrzem, co on — — temu, że patrzę na ten sam kształt krajobrazu, co on — — może i on w tej chwili patrzy przez stare okno swego domu na te wysokie, szumiące czuby wieloletnich dębów? — temu, że sercem wyczuwam tu wszędzie i we wszystkim fluid jego obecności i obcowania.

Czemuż nie umiem, jak św. Teresa, zadowolić się tym niewidzialnym, mistycznym ukochaniem?...

Czemu nie umiem z nią razem zawołać: „dosyć mi, Panie, dosyć mi jest na tym;“ — ? —

Nie jest mi dosyć.

Marzę o zobaczeniu go.

Nie wiem czy to się stanie, ale któż mi marzyć zabroni? — I cieszę się, że moja zboląła dusza może już w ogóle o czymś marzyć.

Jego to już bezwiedna zasługa.

Dziękuję ci za to, poeto, poeto.

22. VII. sobota ok. godz. 3 rano.

Siedzę przy oknie. Niebo ledwie szarzeje, gwiazdy bledną. Słońce wschodzić zaczyna nad górą — nad tym może miejscem właśnie, gdzie za lasem stoi jego dom nawiedzony.

I on może już nie śpi? — wstaje tak wcześnie i pisze — mówił mi to — tak — sam mi to mówił. Mówiłam z nim! Widziałam go! Po tylu latach!

Trzeba mi to tu wyraźnie napisać, tak jak dziewczynki recytują: wczoraj, w piątek, dnia 21-go lipca, przed wieczorem o zachodzie — na drodze tej kamienistej — z pieskiem czarnym u nóg — taki jak był i taki jak w myślach — trochę taki, a trochę nie taki; siwy już; — niewiele wiem o czym mówiliśmy, zbyt byłam wzruszona; — wiem, że poznał odrazu — to znaczy nie pierwej, aż przy nim stanęłam — przecież nie spodziewał się; jakby lekko przybladł. Nie mówiliśmy o tym. — Szliśmy pod górę, naraz, przy starym dębie rzekł: „o tego przecież nie ominiemy“ — schylił się i podniósł z ziemi podkowę — i podał mi. A mnie tak było, jakby mi dzwony w sercu były. Myślałam: „to Bóg sam rzucił nam tę podkowę pod nogi!“

Gdy doszliśmy wyżej, powiedział: „umieściła się pani w samym sercu tej ziemi“. Zaszedł ze mną

aż do Borutów. Przywitali się z nim serdecznie — kochają swego poetę — dumni z niego. — Raczył wstąpić do mojej ubogiej izby i posiedział chwilę; coś się znów gadało; nic ważnego; co to można w takiej towarzyskiej rozmowie; ale ponad tym co się mówiło była śpiewna aura; i te dzwony w sercu.

Na drugi dzień — niedziela — popoł.

Oplukałam w źródelku moją podkowę ale nie zbyt dokładnie, chciałam, żeby w niej zostało trochę ziemi z tej drogi kamienistej. I zostało.

Teraz schroniłam się do swej izdebki, żeby trochę samej poczytać i popisać. Myślę — jak on cudnie n. p. powiedział o tym organizmie poezji, najsubtelniejszym z wszystkich organizmów, który też potrzebuje swej stawy — bez niej obumiera. Życie swe czerpie poezja z motorów dwu serc — jednego, co ją stworzyło i życiem obdarzyło — i drugiego, co ją czyta i w siebie wchłania. Jakie to prawdziwe!

Postanowiłam zdobyć się na odwagę i pójść tam w środę — do jego domu.

Czwartek 27. VII.

Byłam tam więc wczoraj popołudniu. — Przeszkiełtałam popołudnie, spędzone w półrzeczywistości w domu z książki, jakby samo też było wzięte z książki, a nie z życia, z powszedniego życia.

Nie piszę tego dla kogokolwiek, dla siebie samej tylko i jedynie, parta potrzebą serca (kiedyś, gdy będę czuła, że droga się kończy — spalę te kartki). Więc nie będę się też rozpisywać o drogocennych, muzealnych przedmiotach w komnatach na

tchnionego domu z 16-go w. gromadzonych z pietyzmem radosnym. Moja artystyczna natura oczywiście umie je odczuć. Ale to nie to. Nie to, co głównie mnie tam wzruszało. Bo nie zewnętrzne piękno sprawia, że do poetowej samotni wchodzi się z tym uczuciem jak do gotyckiej świątyni! — Nie! — Sprawia to, zakłęte w tych ścianach piękno wewnętrzne. — — — Sanktuarium sztuki i poezji. Przy stoliku, ukośnie pod oknem stojącym — pisuje rano. Tu jest też jego sypialnia; olbrzymi pokój. Jakoś tam się przysiadło. Ja przy oknie. On przy stoliku. Pies (Toruś się nazywa) ułożył się na oknie i zasnął. — Nie mówiło się nic jakąś chwilę. Ja patrzyłam w okno. Serce mocno biło, a w oczach zaczynały się łzy niepotrzebnie kręcić. — „verbleibe doch — du bist so schön“. — — Nie mówiłam nic właśnie dlatego, że tylebym, tyle powiedzieć chciała! Zresztą mówiłam tym milczeniem. I w kościele, z Bogiem mówi się milczeniem. — Wypadalo jednak przerwać je już... bo cóż?... siedzą dwie osoby w pokoju — jedna z nich jest jak w kościele — — a druga może o tym samym czasie ziewa w duchu i robi sobie uwagę w rodzaju: „jakaż ona nudna“ — „kiedyż sobie pójdzie?“ — O Jezu, to byłoby straszne, gdyby on tak myślał. Raczej trzeba się zdobyć na bohaterstwo przerwania chwili, którąby się pragnęło faustowskim zawołaniem zatrzymać na wieki — i — odejść — —

Poznałam dwoje jego dzieci — i pokochałam odrazu. Takbym pragnęła, żeby mnie też lubiły choć trochę. Starszy syn, do ojca podobny; piękny ma profil; melancholijny trochę i małomówny. Młodsza córka jest przemiłym dzieckiem, zdaje się bardzo

szczerem i otwartym; uśmiecha się rozkosznie. Duże czarne oczy, twarz owalna o rysach miękkich. Ma być podobna do matki. Nie mogłam stwierdzić, bo nie widziałam pani, niestety. Przypuszczalnie drugi raz nie będę już mogła być w tym domu. — Ano może i lepiej, że więcej tam pewnie już nie będę. — Bo to było tak cudnie piękne, że, skoro nie dało się za trzymać wołaniem: „trwaj chwilo — jesteś piękna!“ — to może lepiej nie powtarzać tego, a przeżywać tylko we wspomnieniach!

Noc z niedzieli 6-go na
poniedziałek 7-go sierpnia.

Piszę to późną nocą. Napróżno starałam się zasnąć. Słyszałam jak zegar obok, u Borutów, bił kolejno: jedenasta — dwunasta — pierwsza — druga — — Niedługo świtać już zacznie. Nie mogę leżeć. Serce mocno bije i twarz cała w ogniu. Nie wiem, co się ze mną dzieje! — — Właściwie wiem — i nie wiem. — Ja już od dawna uświadomiłam to sobie. Tak. Byłam w Krakowie; wczoraj wróciłam. Poszłam do spowiedzi, do jakiegoś karmelity — tylko w tym celu, by mieć prawo przystąpienia do komunii. — Mam zwyczaj przy przyjmowaniu komunii prosić za moich najdroższych. Więc prosiłam za dzieciny i za — niego! — Z chwilą gdy Ciało Twoje Przenajświętsze, o Chryste, przyjął, z tą chwilą naraz, jak błysk ognia, uświadomiłam sobie, że on mi jest tak bliski, kochany, jak dzieciny moje.

Uderzyło to we mnie bez współdziałania woli

i zalało mi serce, jak przyplływ morza zalewa wybrzeże, kraj, ziemię całą — —

Tak. Stało się!

O Jezu, Jezu! — Więc jeszcze i to przyjść musiało po wszystkim co przeżyłam — — — — Nadeszła pora świadomości.

Kochałam młodego żołnierza i poetę pierwszą dziewczęcą miłością. Po trzech latach musiałam ten cudny kwiat wyrwać z serca tak, jakby to był chwast wstrętny. Wyrwałam i rzuciłam pod płot; — dlatego, że on musiał się ożenić z bogatą... 25-go marca 1919-go r. ostatnie spotkanie z Adasiem — nad Wisłą taką szarą tego dnia; — miał lzy w czarnych oczach — o dziesięć lat starszy odemnie, mniej okazał hartu. — A skądże ja tyle wówczas hartu znalazłam? — Dużo przecierpiałam, ale zdołałam wkońcu uporać się z bolącym sercem. — —

Półtora roku potem. Front, straszliwa wojna. Październik — mnóstwo zeschniętych liści krwawych, krwawe jarzębiny na zamkowej górze, i tyle, tyle krwawych ran —

Chłopiec młodziutki, śliczny, błękitny mundur hallerowski, błękitne oczy w pół-rozwarte, mgłą straszliwego bólu zasnutę; — krople potu na biednym, cudnie sklepionym czole; — i tak straszna rana!! I ten, powierzony mi, list do przyjaciela — ostatni! — a w nim te słowa: „Stefku! Wiedziałem, że musi przyjść coś takiego, co wypali i wyrówna wszystkie obniżenia ducha“ — — Jakież ty mógł mieć zniesienia, orlę ty młode?! — Tyś szybował napewno wciąż górną, w obłokach, wysoko! — Ale zamało jeszcze wysoko, by cię nie dosięgła zła moskiewska kula —

— Znałam go dwa dni; — zdaje mi się, że kochałam go. — Bo inaczej, gdy dziś myślę o tym, nie umiałabym sobie wytłumaczyć mego zamachu samobójczego po wywiezieniu Romka; tak, to był Romek, wspaniale zapowiadający się poeta; ukazał się jego tomik poezji — ale już jako pogrobowiec. — Zachorowałam wówczas ciężko na tyfus, którym się zaraziłam umyślnie. Leżałam w żydowskim domku, na kwaterze, opuszczona przez wszystkich jako zadżumiona.

Mimo wielkiej gorączki byłam prawie ciągle przytomna i pamiętam jak się bał mnie księżulo, który przyszedł dać mi komunię, a potem namaścić olejami.

Byłam pewna, że pójde na ten cmentarz kościelny, na którym już mnie czekało tylu naszych.

Jedyna istota ludzka, która czasem coś przy mnie wtedy zrobiła to była Masza, łachman ludzki, przez wszystkich pogardzany, żydowska prostytutka. Nie wiem czemu się nie bała, może i ona chciała dostać tyfusu? —

Ale wyzdrowiałam jakoś — równocześnie doszła mnie wiadomość o śmierci Romka w Zamościu. — — —

A te pierwsze miesiące po wojnie były dla rodziny mojej dużo straszniejsze niż wojenne lata.

Dalej piszę już przy świetle dziennym.

W rok potem, na jesień zaręczyłam się z Marcelim, który mnie, jak twierdził, kochał od kilku lat. Przepuszczalnie nie kłamał. Tylko, który to był z rodzajów „miłości”? Dworek rodziców z pięknym,

wielomorgowym ogrodem „rezydencja“ w której kilkakrotnie w początkach wojny mieszkał Komendant — mogła jednak ludzi ludzi. Opowiadano też o gotówce dziadka, o której sam nie wiedział jeszcze wtedy, że się tak zdewaluowała.

Poza tym ze strony Marcela był — „pociąg“ — instynkt, wrodzony każdej prawie ludzkiej istocie, który ludzie zwykli chrzcić mianem miłości.

A we mnie odezwał się w tym samym czasie instynkt inny — pragnienie dziecka.

I jakoś doszło do tego, że w kwietniu 1922-go r. był nasz ślub — po czym Marceli wrócił do pułku, a ja do końca roku szkolnego pełniłam swe obowiązki — uczyłam w gimnazjum rysunków i prowadziłam hufiec harcerski.

Skończył się rok szkolny. Przyjechał po mnie — zabrał — dosłownie — — — O Boże, Boże — jakie to było straszne bez miłości — —

Na miłość boską — poco to zrobiłam!

Cóż mnie z mężem mym łączyło?

Człowiek ten w swym życiu nie przeczytał żadnej książki prócz fachowej, dotyczącej formacji piechoty, potrzebnej mu — lub brukowej powieści.

Już w „miodowych miesiącach“ rozdzwięki coraz większe. Potem wielka awantura — brrrr... Poszło — żał się Boże i ty wieszczu z nieba — o Wyśpiańskiego.

Pierwsza moja myśl o rozstaniu, gdy — nożyna —: dziecko! — Wyznanie mu jednego i drugiego (rozwód i dziecko!). Wyśmianie i wydrwienie mnie. „Czyś ty z byka spadła!“ (ulubione powiedzonko).

I tak dalej — dziewięć lat zgórą męczarni. Ciągłe choroby moje i dzieci, kilka operacji, wieczna troska materialna, trudność wiązania końca z końcem, częste przenosiny i przeprowadzki. I gdzież tu miejsce na rzeczy wyższego porządku? — Były i chwile lepsze, że zdawało mi się, iż się to jakoś ułoży. Ksiądz K. był mi wielką pomocą. Umiał mnie on zawsze taką wiarą natchnąć, że mówiłam sobie „contra spem spero“ — i siłą mego pragnienia i wierzenia chciałam przecież jakoś ulepszyć to małżeństwo nasze, choć byliśmy przecież tak kompletnie niedobrani. Ja byłam dla niego i za mądra i za głupia. Z jednej strony za wielką indywidualistka, z drugiej życiowo niedoświadczona i właśnie głupia. — Daleką też jestem od tego, żeby jemu jedynie przypisywać winę, że złe było nasze małżeństwo. Dużo było i mojej winy, a przede wszystkim winne było nasze niedobranie się.

Lecz przyszły dwa ostatnie okropne lata. Przyszły wstrętne, cyniczne, brutalne, fizyczne zdrady z jego strony — a więc i to ostatnie zło, jedyne dotąd mi oszczędzone. — A ksiądz zaklinał mnie wciąż, że „nie wolno mi się cofnąć przed żadną ofiarą byle zachować dla dzieci dom i ojca“. I kazał cierpieć. Mówił, że ty żądasz tego odemnie, Jezul Czyś Ty naprawdę żądał tego odemnie, Ty, któryś widział moją straszliwą mękę tych dwu lat, potępięcnico ohydnych, moje ponizienia, upokorzenia, cierpienia okrutne? — — — Jezul biegłam do Ciebie tak często, raniutko, gdy dzieci spały jeszcze, przyjmowałam Twe Ciało Najświętsze w cichym karmelitańskim kościółku — i znów wracałam do „domu“, który za

dom już nie uważałam, do mego jarzma, do pracy za ciężkiej na me siły tak wątłe (nie trzymałam już służącej, bo nie pozwalało na to zgorzenie), do cierpienia, które wielokrotnie przechodziło me siły psychiczne. — Wreszcie przestałam chodzić do Ciebie. Czułam się za nędzna i niegodna tego, zwłaszcza odkażd myśl o samobójstwie kielkować zaczęła w mym mózgu. I ze zdrowiem mojem tak się wtedy pogorszyło, stale żyłam w wysokiej gorączce, krew się znów z płuc zaczęła pokazywać, potem lekarz, do którego się raz, na prośbę mamusi zwróciłam, stwierdził nerwicę całego organizmu, zapisał jakieś zastrzyki, których ja oczywiście nie brałam. Natomiast nie chciał mi zapisać weronalu. Poradziłam sobie, zapisała mi to i przysłała w liście dawna koleżanka, lekarka, której nabujałam, że mi tylko to pomaga. Wiedziałam z gazet, że trzy pastylki wystarczą, a ja miałam ich dziesięć! więc pewne. — Czyniłam gorączkowe przygotowania, oporządzałam i obszywałam dzieci, pomagałam im w lekcjach na zapas, starałam się być dla nich jaknajłagodniejsza, żeby jaknajlepsze o mamusi swej zachowały wspomnienie. Zaraz po Nowym Roku 1933, w czasie wakacji zimowych, chciałam je wysłać do matki, a wówczas sama — — w jego oczach — — zemsta to będzie za moje życie złamane — — —

Lecz tymczasem zbliżały się Święta. Przygotowania jak zwykle. Z synkiem i ordynansem kupiłam na Placu Magdaleńskim choinkę. Mój „złotowłosek“ sam ją wybrał i tak się cieszył. Patrząc na to doznawałam pewnej ulgi, że nie zepsuje dzieciom tej Gwiazdki, że jeszcze im ją, względnie miłą, przeżyć

pozwolę. Względnie — abstrahując od wyczynów ich t. zw. ojca, który od roku już nie spędzał w domu ani jednego wieczoru, a i na samą noc teraz coraz rzadziej się zjawiał.

Zosienka (to starsza moja córeczka) powie-
działa mi raz: mamusiu, mnie mówiła Kazia z pię-
tego oddziału, że ja jestem bardzo biedna, tak, jako-
bym nie miała tatusia, bo mój tatuś wcale nie jest
nigdy w domu, tak mówili jej rodzice i ona słyszała
i mi to w sekrecie powiedziała. — I jeszcze mi mó-
wiła Kazia, że tatuś zawsze chodzi z panną Alą
z biura do kina i do teatru i na kolację, i że tatuś
śpi w jej domu, i pytała się mnie, dlaczego tatuś tam
śpi, bo jak tatuś jest z nią cały dzień, to powinien
choć na noc przyjść do domu; mamusia niema prze-
cież rewolweru, więc jakby przyszli bandyci, toby
nas zamordowali, a tatuś przecież powinien nas bro-
nić. — Wieczorem tego dnia rozmawiałyśmy sobie,
ja i Zosienka, długo i poważnie. O ojcu także. Wie-
działam, że zabił on miłość do siebie w dzieciach. —
Lecz czy ta miłość nie była raczej przezemnie sztucz-
nie rozdmuchiwana dawniej, stałym ukrywaniem jego
błędów, a podkreślaniem rzekomych zalet? Kłamstwo
od początku, kłamstwo we wszystkim. Boże, czegóż
to ja nie zrobiłam, żeby to jakoś skleić wszystko.
Miotalam się jak nieszczęsna ryba w sieci. I poco
było ten syzyfowy trud podejmować — dla jakiej
idei? — Tyle obrzydliwości! — Robiłam to niby
dla dzieci (wedle księżęcej recepty). A przecież, gdy-
bym była wcześniej zdobyła się na to, by stać się
tym wolnym ptakiem, jakim dziś jestem — dziecięta
zyskałyby na tym tylko — miałyby przede wszyst-

kim zdrowszą matkę, o niestarganych tak doszczętknie nerwach. — — —

Poco ja to właściwie piszę o tych brudach? — Nie miałam tego zamiaru bynajmniej. — Wogóle poco ja i naco to piszę? — Chyba po to, że w ten sposób jaśniej to wszystko mogę przemyśleć. A przede wszystkim to wreszcie muszę i jakoś się z tym uporać.

O Boże, gdyby on, poeta, zechciał o tym pomóc mi, więc ze mną. O, cóżbym za to dała, żebym otworzyć przed nim mogła me serce. — Wiem, czuję to instyktownie, że on poradziłby mi i dopomógłby lepiej niż ktokolwiek inny na świecie. — Ale to zbyt śmiałe pragnienie, więc nie wiem, czy będzie mogło się urzeczywistnić. I — czy umiałabym, mówiąc z nim tak, szczerze, ukryć to, co ukryć powinnam — to, co jest w tej chwili moim największym skarbem, skarbem bezcennym, którym nie wolno mi się z nikim dzielić? —

Niedziela 13. VIII. 33.

Była wczoraj taka chwila, że mówiłam w saloniku na górze z nim tylko. Dziwnie miło się mówiło. Sama sobie się dziwię, że „odkrycie“ moje nie onieśmieliła mnie. Tak dobrze było otworzyć trochę przed nim serce. Powiedziałam mu o swych dwu miłościach. Ale krótko to trwało; napatoczyli się goście — co chwila ktoś wchodził, kogo nie posiano. Po podwieczorku całe, dość liczne — jacyś poeci młodzi, malarze, rzeźbiarze — towarzystwo zasiadło w tym samym pokoju. Jeden z młodych grał na fortepianie trochę śmiechu, rozmów. Było miło. Wolę nawet takie większe towarzystwo, niż nieznośną trzecią osobę. Zwłaszcza, że on siedział obok mnie i co

chwila mi coś takiego powiedział, co było tylko dla nas — czego inni nie rozumieli. Powiedziałam też, że znalazłam wreszcie wśród jego poezji pewne ogniwo, którego mi brakło w łańcuchu, że dotąd natrafiłam na nie raz tylko i to w dramacie. Jej, jak się bałam! — Przecież to wyraźne, że szło mi o miłosne poezje. Odpowiedział, że, jeśli mam odwagę czytać dalej, to natrafię jeszcze nieraz na to „ogniwo”. — Czasem zwracał się do kogoś przy stole siedzących — wówczas ośmielałam się popatrzeć na niego króciutko. Długo nie wolno, by się nie zdradzić przed kimkolwiek. — Tak; trzeba trzymać oczy wciąż spuszczone, bo w nich tam napewno to jest napisane — jak — jak po prostu każdy siwy włos jego jest mi bezgranicznie drogi.

Sroda 16/8

W piątek mam z nim mówić — ma to być rodzaj spowiedzi. O, jakżem szczęśliwa! Drzę tylko, żeby deszcz lub coś innego nie przeszkodziło.

O godzinie 5.30 mam się z nim spotkać, a teraz ściemnia się tak szybko, więc czasu będzie brakowało. — Będę musiała pomyśleć sobie jutro co właściwie powiedzieć mi wolno, a czego nie wolno. Ale jakże to trudno będzie trzymać się tej granicy — —

Chwilami myślę jednak, że może niema sensu maskowanie się żadne, bo on i tak wie wszystko napewno. — Powiedział mi wczoraj, że zna mnie już dobrze, bo ja „tak silnie emanuję” — „to jest niebezpieczne” odpowiedziałam na to, i naprawdę zimny strach ścisnął mi serce, że on wie już! — A w chwilę potem uczucie radości „a niech wie, niech wie!”

Nieraz w nocy, w czasie godzin bezsennych,

prowadzę z nim długie rozmowy. Chodzimy sobie w czasie tych rozmów po cudnych drózkach i mie-
dzach tutejszych „we czworo z cieniami naszymi“
jak on chodził kiedyś z cudną panią Ho. Powiedział
mi to w tajemnicy. Boże, jak to cudnie wiedzieć, że
mi mówi coś takiego, czego nie mówi innym lu-
dziom. — I powiedział, że nie znał jej jeszcze wtedy.
To jeszcze cudniej. Ucieszyłam się, że t a k m o ż n a.
Bo niepokoiło mnie, czy ja tylko sama jestem takim
dziwadłkiem — — teraz myślę czasem, że ja go już
może kochałam, nim go poznałam — więc przed laty...
nie wracajmy do tego! — — W rozmowach tych
urojonych jestem bardzo wymowna. A gdy się znaj-
dę przy nim zaraz i coraz bardziej czuję się onieśmie-
lona. Nieraz chcę coś odpowiedzieć i wstrzymuję się,
bo mi naraz się wydaje, że ta odpowiedź będzie ja-
kaś pozerska, afektowna. N. p. dużo zawsze nasuwa
mi się urywków poezji — i jego i innych, cytatów
różnych — gwałtem muszę sobie nakazywać nie mó-
wić tego, żeby nie być taką żywą, kiepską encyklo-
pedią. Ot, wczoraj, gdy już bardzo było ciemno
w bibliotece, a my tam jeszcze siedzieliśmy, powie-
dział: „widzę w tej chwili tylko ręce pani“; a mnie
momentalnie się nasunęło to zdanie: „po szynach
rąk dwu sprężonych w mroku jak gronostaje w zna-
glonym skoku“ — i znów się ugryzłam w język,
żeby to nie wypadło głupio, tym bardziej, że to było
przecież powiedziane do kobiety, którą kochał, więc
może wydałoby mu się bluźnierstwem w zastosowa-
niu do mnie.

— Acha, jeszcze coś było ważnego! gdy mnie
prosił o wpisanie się do księgi pamiątkowej — ja

odmówiłam, tłumaczyłam się tak: „tego, cobym tu napisać pragnęła — napisać mi nie wolno — a tego co w najlepszym razie napisaćby mi było wolno — napisać nie chcę”. — Co też on sobie pomyślał o tym? — Nie wiem, ale o wpisaniu więcej nie było mowy. Naprawdę zbyt byłoby mi przykro napisać Mu coś takiego, jak pierwszemu lepszemu „wielkiemu człowiekowi“.

I jeszcze coś tu napiszę — — przecież tego nikt nie przeczyta (w domu schowam to pod klucz) — — że, gdy wstałam wreszcie, by odejść — było tak ciemno — pomógł mi zejść ze schodka, łączącego te dwa pokoje, i wziął w tym celu w swą prawą rękę — moją rękę lewą, wysoko, tuż pod ramieniem. I trzymał tak dość długo, nim doszłam do drzwi sieni. Przez cienką warstwę jedwabiu bluski czułam ciepło jego ręki przenajdroższej...

Więc pojutrze, w piątek będę z nim mówić — zobaczę go — o co za szczęście! — o Boże, spraw w miłosierdziu swym, by on mnie trochę choć lubił. — Wiem, że bardzo lubić mnie nie może. I za głupia jestem na to i za zła i za brzydka; niestety! — — Chwilami zresztą zdaje mi się, że nie jestem taka bardzo już brzydka; wiem, że jestem dobrze, choć filigranowo zbudowana. A i twarz wydaje mi się chwilami „dość sobie“. Gdy w sobotę siedzieliśmy tak wszyscy przy stole w tym pełnym poczci domu odmiennym — czułam, że wyglądam dobrze przy tym blasku świec w staroświeckim kandelabrze.

Co też on o mnie myśli? — Ach, napewno nigdy wogóle nie myśli o mnie i nie pamięta o moim istnieniu z chwilą, gdy zniknę mu z oczu. — Chwila

lami żałuję, że on jest tak zwanym „pięknym mężem
czyzną“ — Cudnie byłoby tak go kochać jak ko-
cham — właśnie gdyby był brzydkim. — Głupstwa
piszę — przecież on sam woli być pięknym niż
brzydkim — więc i ja chcę to samo woleć!

A żona jego? — Myślę, że niewiasta ta musi
mieć ukryte jakieś wielkie walory, nieuzewnętrznia-
jące się tak na pierwszy rzut oka — skoro on ją wy-
brał. — — Szczerze, naprawdę szczerze pragnęłabym
ją polubić. Ale idzie to jakoś opornie. Nie czuję z jej
strony żadnej w tym kierunku zachęty i to mnie
mrozi. — Nie wiem, czy mogę ją uważać za szcze-
śliwą? — Chwilami mi się zdaje czegoś, że los jej
podobny jest do losu żony Krasieńskiego.

Niedziela, 3 września

Długo nic tu nie pisałam.

W piątek, sobotę i niedzielę było cudnie. Od-
kąd tu jestem poraz pierwszy tak się zdarzyło, że
widziałam go trzy razy z rzędu, dzień po dniu.
W piątek krótko; późno było i ściemniało się wcześ-
śnie. Opowiedziałam mu kawałek mego życia — tro-
chę moich lat dziecińczych. — Jakby było cudnie
opowiedzieć mu po kolei wszystko co pamiętam.
Ale widzę, że trzeba się tego wyrzec i skrócić się.
W kilku zdaniach tylko streszczę mu dzieje moje
przedmałżeńskie (o dwu moich miłościach i tak już
wie), potem szerzej nieco opowiem dzieje tych je-
denastu lat „w jarzmie“ — i prosić będę o rady co
do przyszłości mej i dzieci — jak je chować — jak
żyć — czy tylko już dla nich — z myślą o tym, że
one wszak są dalszą moją kontynuacją? — Czy też

jeszcze powinnam i dla siebie samej oczekiwać czegoś od życia? — Czy też myśli tej absolutnie wyrzec się powinnam i jedynie w szczęściu innych — przede wszystkim dzieci — widzieć własne szczęście? —

O jakże pragnę, tej jednej, jedynej—takiej właśnie rozmowy — jak tęsknię do niej. Jak bardzo proszę o to Boga, by ona doszła do skutku. O spełń tę serdeczną mą prośbę, Boże! —

W sobotę wczesnym popołudniem całkiem niespodzianie (pierwszy i jedyny raz tak się cudnie zdarzyło!) ujrzałam na drodze pana Cypriana. — Pierwszy raz dopiero napisałam tu jego imię — imię dźwięczne i jakby pachnące. Jeszcze ani razu nie odważyłam się powiedzieć do niego „panie Cyprianie“. Raz tylko odważyłam się napisać w sekretniku — posłanym przez córeczkę Borutów w sprawie książek. I z miejsca mnie spotkała nauczka, bo mojego imienia w odpowiedzi nie napisano. Było tylko: „Droga Pani“ — a takby cudnie było zobaczyć napisane: „Droga Pani Emilio“, albo: „Droga Pani Milo“ — albo i usłyszeć... Do licha z tą nieśmiałością. Przecież w „tylko dla siebie“ wszystko mi wolno, więc właśnie będę go tu nazywać po imieniu i bez pana!

Więc szedł na przeciw mnie Cyprian — An — — Mam wrażenie, że go tak musiała nazywać matka — — (spytam go o to). I chwilę chodziliśmy sobie między dębem a domem Borutów. Było cudnie. Mówiłam mu trochę wierszy Adasia. Gdyśmy się rozstawali stanęło na tym, że we wtorek lub w środę przyjdzie do mej chałupki.

Inaczej się jednak stało.

Nawiasem mówiąc otrzymałem od mojej przyjaciółki Hanki, bibliotekarki w jednej z dużych bibliotek publicznych, którą prosiłam, aby mi przysłała jak tylko nową książkę Cyprjana kupią, książkę, w której jest wlepiony jego portrecik (reprodukcja z jakiegoś obrazu) —: rozkoszny, młodziutki chłopczek, najwyżej ma no, dwadzieścia trzy — cztery lata — na wybrzeżu morskim. Jest tak słodki ten nagusek (portret w półakcie), że zacząłować chciałoby się go —

(olaboga! co ja też wypisuję!)

poza tym jest w tej książce dedykacja jakiejś pani W. M.: „Drogiej pani tę książkę, której powstawania od początku była świadkiem, podtrzymując na duchu w licznych chwilach zwątpienia — bardzo oddany“ —

Jakże bezgranicznie czułabym się szczęśliwą, gdyby mnie przyjaźnią obdarzył! — I czyżby miało przeszkodą do tego być to, że ja, prócz przyjaźni, żywię dla niego uczucie przesłodkie miłości? — — Może — gdyby wiedział — Ale ponieważ nie wie! — — Wie napewno, to tylko ja nic nie wiem! Ty właśnie nic nie wiesz, Milo — Ty wiecznie mała i głupia, mimo Chrystusowych już lat — wiecznie głupia Milo — — —

O Jezu Ty Frasobliwy, Jezu mój kochany, co patrzysz na mnie z Borutowej półki tak smutno, po błogosławże ty mi, czyż proszę o co złego? — Czyż chcę komukolwiek na ziemi zrobić najmniejszą krzywdę, przez to, że marzę o okruszynie szczęścia? — —

Smutna jestem! Poeta mój, An ukochany wy-

jechał, nie wiedzieć na jak długo. Jakież nagle interesa. Z żoną wyjechał! — Czy wróci? Kiedy wróci? Czy go jeszcze zobaczę w życiu? — — Boże!

Poniedziałek 4. IX.

Drugi już dzień leje beznadziejnie. Wicher wyje. Nawet oknem nie chce się wyjrzeć na świat Boży, bo groza przejmuje. — Po głowie płacze się stara melodia w dzieciństwie słyszanej i śpiewanej pieśni „Na dolinie zawierucha“ — dziś nikt tego nie zna i nie śpiewa. Z trudem ją sobie przypomniałam; teraz mnie już nie opuszcza.

Niemożliwe dziś wyjść z chałupy; trzeba więc siedzieć i pisać.

Powrócę do tych ostatnich Świąt Bożego Narodzenia; — robiliśmy, pamiętam, we troje ozdoby na drzewko; Zosienka, Henryś i ja. W przeddzień powiedziałam krótko Marcelemu, że wilia, ze względu na dzieci, będzie u nas wcześniej, już o godzinie piątej, sądziłam, że może choć w tym dniu drgnie coś dla nas w tym sercu. — — Czekaaliśmy jednak aż do wpół do ósmej. — Choinka ustrojona w gabinecie, stół w jadalni nakryty, z sianiem i opłatkami; dzieci w białych ubrankach, ja w swej jasno-niebieskiej sukience (miałam ją ostatni raz wtedy na sobie). — Dłużyło się. By czas jakoś skrócić zaczęliśmy sobie lepić figurki z wosku kolorowego, przysłanego nam w świątecznej paczce przez babcię, a kupionego u piernikarza Rothe'go, tam, gdzie i przed ćwierć wiekiem rodzice dla nas ten wosk zawsze kupowali — gdy to nasze „wrobki“ tak cieszyły ich oczy kochane. — — Henryś po-

stękiwał, że głodny, nic dziwnego, od południa nie jadły nic dzieci. Wreszcie zasnął w rogu kanapy. Przekreśliłam kontakt, by mu światło w oczka nie świeciło i tak siedzieliśmy sobie w ciemności; czułam dwie główeczki przenajdroższe z dwu stron do mnie przytulone. Zosienka zaczęła nucić kolędy. — Wreszcie ostry dźwięk dzwonka.

Przyszedł. Odbyła się nasza ostatnia wilia. —

Na drugi dzień wyjechał do Zakopanego na kurs narciarski, „Ta pani“, zdaje się, z nim razem.

Cichutko spędziłam z dziećmi te dni. Henryś bawił się nowym autem, dziewczynka czytała książeczki, które jej aniołek przyniósł. — Przeczytała je prędko bo czas był brzydki, niepodobna było wyjść z domu. Po przeczytaniu prośba: „mamusiu, wyszukaj mi w bibliotece nową książkę, ładną i co jeszcze wcale nie znam, może być dla dorosłych“. — Idąc ku szafce już wiedziałam, co to będzie! to będzie jego książka! — odłożona wówczas przed pięciu laty, do której-to miałam powrócić tak prędko! — Zaklęłam Hankę, żeby mi, co tylko może, jego książek dostarczyła.

Niektóre czytałam z dziećmi — inne sama —

Czytałam — czytałam —

Tymczasem wakacje zimowe miały się ku końcowi.

Czekała pod kluczem zła trucizna, co miała zabrać matkę tym dzieciom... dziesięć krągłych pastylek czekało; czy czeka jeszcze? — nie wiem.

Książki Cyprjana wyczarowały dobro i piękno w tym złym domu żałoby.

Wspomnieć muszę, aby ukoronować makabrę,

że Marcel wrócił przed Nowym Rokiem, sam, wi-
dać, bo nocował w domu. W Sylwestra, już byliśmy
w łózkach, słuchał radia; ponieważ głośnik się po-
psuł, słuchał na słuchawki; mieliśmy jedną parę:
w pewnej chwili powiedział: „posłuchaj Milo, ładna
muzyka“ i podał mi słuchawki, a potem: „ja też
chcę słyszeć“ — słuchaliśmy więc razem na jedną
słuchawkę. Wtedy mnie wziął. I to było ostatni raz.
Chciał jeszcze raz w lutym; — spaliśmy wtedy w oso-
bnych pokojach; pamiętam, stanął w drzwiach w noc-
nej koszuli i zawołał: „choć Mila do mnie“ — za-
pytałam: „poco“, a on: „przecież jeszcze jesteś moją
żoną“. Nie poszłam. Tak więc wtedy, w Sylwestra,
było ostatni raz; osiem miesięcy temu.

I oto w ową mroźną noc zimową, zapragnęłam
jak może nigdy niczego jeszcze w życiu — uciec od
tej káźni mojej — od tej całej zgnilizny moralnej,
w której tkwiłam — lecz nie przez śmierć! — Uciec
do życia! innego życia! — ku dobru i pięknu! Dać
dzieciom moim czystą atmosferę, dać radość życia,
a samej się uratować! Zapragnęłam też gorąco pójść—
poszukać — tego cudownego lekarza, który wołał
do mnie z swych cudownych ksiązek.

Odtąd — było niby — na zewnątrz — to samo—
a jednak lżej. Myśl, że już niedługo, krzepiła mnie.
Postanowiłam, że względu na dzieci, wytrwać do
końca roku szkolnego. Porozumiałam się z rodzicami,
którzy sami załatwili wszystko z Marcelim, po-
dzielono nasze skromne mienie, ustalono sumkę, którą
ja z dziećmi otrzymywać co miesiąc będziemy; —
drżałam, że wspomni coś o Henrysiu... ale, na szczę-
ście, nie! —

Stosunki nasze w tych dniach ostatnich były oficjalno=uprzejme (widywaliśmy się zresztą na szczęście, rzadko — wpadał przeważnie tylko na chwilę na obiad, autem, które czekało na niego) — ograniczały się więc zwykle tylko do „dzień dobry“ i „do widzenia“ — poza tym jedynie zapytania w rodzaju „czy nalać jeszcze herbaty?“ (— moje —) lub „czy było co z poczty?“ (jego). Manewrowałam tak zwykle, byśmy sobie nie musieli podawać ręki, co mi fizyczną przykrość sprawiało. — Miał mi nawet pomóc przy pakowaniu rzeczy... w rezultacie jednak nie zrobił tego, pakowałam sama, z pomocą ordynansa tylko; mocno się tym wszystkim umęczyłam. — Gdy wreszcie wyjechałam — rodzice przerazili się mego wyglądu i postanowiono mnie wysłać samą na kurację — zrazu do sanatorium, ale okazało się, że na to niema. Wówczas ja zaproponowałam... nie mówiąc nikomu dlaczego. Byłam zresztą przekonana, że ojciec, mający przecież wciąż stosunki z literaturą, skombinuje coś — wspomni o Mym Poecie. Tymczasem nic. Uwierzyli, że tylko i jedynie chcę poznać tę część Polski, której nie znam jeszcze, i że nęci mnie samotność i to, że w tym, może jedynym zakątku — właśnie nie mam nikogo znajomego. Jednym słowem „bujnąwszy“ trochę mą najdroższą rodzinę znalazłam się pewnego dnia na małej prowincjonalnej stacyjce — i poszłam sobie od niej — prosto, nikogo o drogę nie pytając — jakbym się tu urodziła i wychowała. Szłam tą drogą sławną „mającą szczęście do poetów“ — wiedziona jakimś instynktem. Minąwszy „zatopione karczmisko“ weszłam w las

cudny. — Wyszedłszy z lasu ujrzałam cudowny stary mur — —

Byłam jak pielgrzym, gdy ujrzy zdala Jasną Górę. Dotknęłam starych, omszonych kamieni drżącą ręką; ucałowałam. — — Ale nie wolno mi było tam wejść, bo skądże — poco — z jakiej racji? Więc poszłam sobie dalej oną śliczną kamienistą drogą która mnie zaprowadziła do domostwa Borutów. Zamieszkałam tu; i to wszystko.

Wtorek 5. IX.

Świt

I oto już jestem tu półtora miesiąca zgórą. Czytam jego cudne książki, piszę trochę, powieść dla dzieci — może z tego będzie co kiedy? — trochę rysuję, szkicuję, trochę szyję — gdy pogoda włóczy się po prześlicznym świecie Bożym — czasem w niedzielę czytuję Borutom wyjątki z jego książek.

Fizycznie bardzo się już poprawiłam, chodzę teraz więcej i nie męczę się tak, jak na początku; temperaturę rzadko teraz odczuwam, bóle głowy także coraz rzadziej. Apetyt mam tak nadzwyczajny, że wsuwam nawet okropne obiady „szkolne“ (stołuję się w szkole tutejszej) — poza tym dużo mleka, prosto od krówki Winiochy, — owoców — miodu — tego co daje kochana ziemia tutejsza i co jej zapach i smak ma w sobie. Mam wrażenie, że przytyłam trochę, bo „solniczki“ znikły, a i twarz jakoś zaokrągliła się.

A psychicznie?

Dobrze zrobiłam, pisząc ten dziennik. Pomógł mi do odnalezienia siebie samej. Po zapelnieniu

ostatniej stroniczki pewnie spalę go. Spełnił swe zadanie, więc niema celu przechowywania go.

W tych dniach muszę już wracać.

Wciąż marzę o zobaczeniu go raz jeszcze i o rozmowie.

Ale — choćby nawet do tej wielkiej radości nie doszło to i tak wrócę p r a w i e s z c z ę ś l i w a —

Ja? — szczęśliwa? —

A jednak dzieją się, widać, cuda, na tym splachsciu cudnej ziemi, naprawdę, nietylko w poezji!

Tego dnia — południe

Około jedynastej — zapisuję to dziwne zdarzenie, niepojęte dla mnie, pod świeżym wrażeniem — więc około jedynastej wyszłam w pola, dość daleko, w każdym razie tak, żeby ani chat, ani ludzi nie było. Na południowym opadzie wzgórza słońce grzało co się zowie. Chciałam skorzystać z ostatnich ciepłych dni — no i wyjechać wnet muszę — i postanowiłam jeszcze trochę użyć kąpieli słonecznej. Wybrałam polankę pełną ślicznych wrzosów i dość wysokich, suchych lecz nieuschniętych traw i ziół. Bardzo tu pachniało, a że słońce prażyło, tym bardziej. Powietrze aż drżało z nagrzania; i ta odurzająca woń, bo to i wrzosy i skabiozy, macierzanka i mięta, melissa i koniczynka biała. Było cicho i bezwietrznie. Rozbrałam się prędko, zrzuciłam koszulę i nagusienka jak mię Pan Bóg stworzył położyłam się plecami do słońca, a brzuszkiem do tych ziół, klóło trochę, ale potem się ułożyło jakoś. — Ciepło i strasznie przyjemnie. Po chwili przewróciłam się na grzbiet, założyłam ręce za głowę, podniosłam nogi w kolanach

i w takiej wygodnej pozie leżałam sobie, patrząc na białe obłoki mknące po bardzo niebieskim niebie. Już się tu jednak opaliłam trochę; ładna, naprawdę, ładna jest skóra taka złotawa, wogóle mam bardzo białe ciało. — I wtedy w tym spokoju i ciszy musiałam, widać, zasnąć, bo niesposób przecież, żeby inaczej mogła była stać przy mnie jakaś nieznama mi postać niewieścia; była to staruszka, trzęsąca się, siwa; górną wargę miała dziwnie wydłużoną i porośłą rzadkimi włosami, też siwymi. Tylko tę głowę pamiętam; ubrana była jakoś ciemno, może czarno. Wiedziałam, że się zbliża i prędko kończyłam w myślach zdanie: „żeby on mnie choć trochę kochał, choć jeden miesiąc!“ — nato ta kobieta: „i ja go kochałam; i on mnie kochał! — strzeż się!“ — nato ja: „ale ja kocham jako poetę“ — a ona: „i ja go jako poetę kochałam, ale żadna z nas by go nie kochała, gdyby nie był mężczyzną, gdyby nie miał... tu powiedziała słowo, którego nie znałam, ale domyśliłam się co ono ma znaczyć — zaraz sobie też wyobraziłam w myślach to, o czym ona mówiła, aż szczękałam zębami tak strasznie zapragnęłam — wyciągnęłam ręce i zaczęłam obłędnie szeptać i wabić. An — mój — jedyny — An mój —; wtedy ta niewiasta powiedziała: „a widzisz! a widzisz! — ja go też tak kochałam“ — ale ja prawie nie słyszałam tego co ona mówi, przejęła mnie bowiem w tej chwili taka rozkosz jakiej nie odczułam dotąd nigdy, nigdy! Jęczałam jak w jakimś okropnym bólu. Niewiedziałam, że tak może być! — Nagle zrobiło się ciemno i wiez trzno. Napłynęła ogromna chmura i zasłoniła całe niebo; wtedy począł mnie okrążyć duży nietoperz,





oczy miał świecące jak te małe lampki samochodowe, czerwone; nietoperz ten śmiał się po ludzku, głośno i szyderczo, zrozumiałam, że to jest śmiech tej kobiety, która zniknęła; równocześnie zalsniła błyskawica, z chmury wypadł piorun i ugodził mnie w piersi, ale bez grzmotu; piorun ten miał kształt... (to to straszne słowo tej wiedźmy). Zerwałam się z krzykiem. Słońce ślicznie świeciło; cała byłam zlaną potem. I jeszcze się przestraszyłam raz. Gdy wstałam tuż spod nóg wyczołgała się wielka jaszczurka. Czyżby to była ta sławna Południca? — Zmęczona powlokłam się do domu. Cała drżałam.

tego samego dnia wieczorem

Boże! — cóż może znaczyć ten sen?!

A więc nie zobaczę go tu już.

Pani Wisia (jego żona) wraca jutro sama. On zostaje podobno na stałe — ma tam, zdaje się, jakieś zajęcie — nic nie wiem napewno — tak trudno czegoś się dowiedzieć.

Smutno — — czegoś straszliwie smutno — — —

Już i ten szmat ziemi — bez niego — nic jest taki piękny — — Już i słońce tak jasno nie świeci —

Byłam dziś w jego słonecznym domu. Poszłam tam specjalnie do jego dzieci kochanych.

Gdybyś mógł wiedzieć, Jedyny, jak serdecznie kocham te dwie główki — jak drogie mi są one i bliskie — —

Gdy usłyszałam złą i okrutną dla mnie nowinę, tę wieść groźną — lodem ścisnęło mi się serce —

Alem się jakoś wzięła w garść — — i — —
beztrosko napozór, śpiewaliśmy sobie (Jurek śpiewał)

jednak bardzo posępny i niedorozruszenia) moc prze-
różnych piosenek. Właściwie to z jego córeczką śpie-
wałam. Nauczyłam ją kilka piosenek legionowych
tych moich ulubionych — najwięcej mających w so-
bie szczerego sentymentu — a zapomnianych już dziś
prawie. Ogromnie jej się podobały (szkoda, że ona
nie jest do ojca podobna, a syn do matki).—Chyba nie
będzie pan miał do mnie żalu, panie Cyprjanie, że
mu „militaryzuję“ córkę?! — —

Spotkała mnie tam duża przykrość ze strony
siostry jego żony. Dziwnie niesympatyczna dla mnie
ta kobieta. I zaco właściwie ona mnie nienawidzi?
i dokucza mi? — tylko dlatego, iż doszły ją plotki,
że ja jestem „rozwódką“. — Pewnie i dlatego, że je-
stem młodsza i świeższa od niej. Doprawdy niewiele
trzeba niewieście, by zapłonąć nienawiścią do dru-
giej, zwłaszcza, gdy ta druga jest dość bezbronna —

Ale staram się tym nie przejmować.

Czymże są przykrości wobec cudu, który pia-
stuję w sercu — wobec mej najcudniejszej — przed
całym światem — tajemnicy.

Kocham —

Kocham miłością ogromną i pełną i szczęśliwa
jestem, że umiem i mogę tak właśnie kochać; szczę-
śliwa jestem, choć wiem, że ta miłość nigdy nie zo-
stanie spełnioną.

Kocham miłością ogromną i piękną, bo nie ma-
jącą w sobie źdźbła egoizmu.

Zesłałeś, Dobry Boże, mnie, kobiecie dojrza-
łej — ten dar bezcenny, któryś niegdyś zesłał mnie --
młodemu dziewczęciu.

Takasama jest ta miłość, jak ta, którą kochałam
kiedyś Adasia i może Romka —

Jest to jakby tasama miłość — tylko
zogniskowana na innej — dziś dla mnie najdroższej
w świecie głowie —

Kocham Cię! An! Kocham! — Ani mi powie-
dzieć nie wolno tego, ani tobie wiedzieć!

Lecz ja nie proszę o nic; nie chcę nawet pa-
mięci, nawet wdzięczności — nic — nic — — —

To właśnie z mej strony jest miłość ta aktem
wdzięczności za to wszystko, co wzięłam, coś mi dał
w wielkiej hojności! — —

Tyś wrócił mnie życiu!

Tyś to, Jedyny — Poeto — sprawił, że ja chcę
jeszcze żyć — i chcę też jakimś ziemskim kwia-
tuszką przyczynić się do dobra wszechświata —

— A trzeba mi się spieszyć, nie tracić czasu
i hodować ów kwiatusek, bo może już niedługo
przyjdzie mi go złożyć u stóp Chrystusa Frasobli-
wego. — —

Kończysz się dzienniczku — i ja pisać kończę;
pisałam cię w blasku słońca i w cieniu Jego domu.

M.

P. S. (— na okładce —)

3^{ca} w nocy

Gdy (jeśli, jeśli — o Boże!) Go znów zobaczę
(kiedy?!), może stracę mowę na zawsze — — czy
przemówię jeszcze kiedykolwiek — ? —

świt

Urodziłam się na to, aby Go kochać.

— — — — —

Sześć myślników i szaro-niebieska okładka — przed tym jeszcze płaska gałązka wrzosu.

Teraz znużone myśli i niedogodność wrażeń — te same co i wtedy — przy pierwszym czytaniu: surowość materiału psychicznego, oplatanie się powojem zakłamań, własne nieprawdziwości, ambicja, chorobliwa wrażliwość na opinię, niewyżycie się miłosne (mimo wszystko),...

Dość!

Koniec.

Koniec dzienniczka i koniec pierwszego raportu.

Spotkali się w tym dalekim, dymem zasnutym, sadzami malowanym mieście.

Raz przelotnie.

Nic.

Z siostrą.

Krótko.

Dopiero drugim razem: w kawiarni.

Siedzieli przy oknie.

Wyjęła z torebki ten jego pierwszy, wiersz miłosny; prosiła o przeczytanie kilku słów; pismo Cyprjana było istotnie nieczytelne; tak na pierwsze przynajmniej. Przeczytał.

No więc przeczytał; kartkę z wierszem trzymała tak jakoś nisko, wierzch dłoni dotykał pluszu kanapy.

Wargi jej powtarzały słowa odcyfrowane przez Cyprjana.

W kawiarni było pełno; gwar przygłuszany jednostajnym warkotem wentylatora.

Dym. Gorąco.

A potem — czy przeprowadziła się już —?— miała się przecież przeprowadzić; — już; ale jeszcze nie całkiem urządzona; aha; no i... A może ciastko?— dziękuję; — jedno już podziubane i niedojedzone leży żałośnie na talerzu; wstydzi się jeść przy nim;— to oznacza dużą zmysłowość; przestawienie funkcji.

— — —

Niech mi pan coś o matce swojej powie — —
O matce? — nie, nie teraz, nie w kawiarni; — i... —
Przepraszam! — ależ... pogłaskał ją po wierzchu dłoni; delikatnie; — cofnęła rękę; — no i... Chrząknął, że...

Ależ ulewa! — rzeczywiście! — rozlało się na dobre; —

— parasola nie wzięłam; przestanie chyba —
Mijają godziny.

Odchyła zasłony żółte okna — asfaltowy półmrok, lśniąca jezdnia i chodnik — ludzie przechodzą szybko — parasole błyszczą jak z ceraty — — klakson — trąbka — stukot dorożki klapie po swym odbiciu —

Już tak siedzą kilka godzin.

Zmieniają się ludzie przy stolikach; salę czuć odstałym deszczem. Tuż przy nich usiadła szeroko jakaś dama tęga z olbrzymim biustem — twarz otyła, zimna fajansowa — dwie czarne plamki kawowych oczu. No i nic; niema na co patrzeć. Wogóle nic. I jeszcze gorzej —

Mila siedzi bledziutka; różowe plamki pod oczami; oczy, jakby zaskoczone tym, że są oczami — nie patrzą tylko dotykają — gładzą — mijają —

Wiatr nawiewa strugi deszczu na szyby.

Głupio. On to tam jeszcze nic, może, niby po gazety, po pisma; więc; lecz jak jej się susiać ze chce? — nie powie i nie postanowi tak albo tak; onieśmielona i nieśmiała, tą pełną żywej płciowości, nieśmiałością; wiadomo; właściwie nic nie wiadomo.

I znów: — niech mi pan coś powie; — aha zapewne o ten dzienniczek chce zahaczyć; — lecz o tym też nie chce mu się mówić; — nie i już; — jest zupełnie zdeprymowany, w mieście czuje się fatalnie; serce wali; ból głowy; wypieki; dłonie spoczone; gorączka czy co? — po diabła tu przyjechał!

Ta gruba sąsiadka już czwarte ciastko wsuwa; na zdrowie.

Jeszcze dwie godziny do odejścia pociągu; — bo dzisiaj już odjeżdża — — właściwie trzeba by przecież coś powiedzieć — jeśli nie powiedzieć, to chociaż gadać; — głupia historia; — rozmowa się nie klei, nie klei, nie lei — ei—;... noga moja w tej kawiarnej cholernej nie postanie — nigdy! — — tak się nicnieznaczaco myśli; — ani jednego zdania z sensem; — oszalejemy tu obydwójce — jeśli to dłużej tak potrwa — oszalejemy!

Nareszcie! Ruchliwa ulga! — Deszcz przestał padać; coprawda ćma już zupełna — jakżeby nie? — przecież to już, o, proszę, ósma czterdzieści, a po czwartej tu przyszli! — — Może się trochę przejdziemy? — nie znam miasta; — ja też nie; ale tak choć zgrubsza; — jest tu taki wcale ładny półparczek — półskwerek — no to tam może? — dobrze.

Poszli; zaraz tą uliczką na lewo — trochę pod górę, ale niebardzo, a potem schodami wzdłuż owo-



cowych sklepików — pachnie tu pomarańczami i piwnicą — teraz wpoprzek szerokiej ulicy — a tam już płót opasujący to coś z drzewkami i ławeczkami — — weszli; aleja wyłożona popękkanymi flizami, wszędzie w zagłębieniach polśniewa otwarcie woda; w powietrzu nalot mgły; wziął ją pod ramię; chudziutkie to ramię, wątłe jak u dziewczynki; — doszli do samotnej ławki; — usiedli; — pusta przed nimi przestrzeń jak ślepe oko otoczone rżesami dalekich kominów fabrycznych; w czworokąt pobłyskują obojętne, odległe okna.

Przytulił ją do siebie. Była niepojęcie wiotka i przylegająca; jak jedwabny szal.

Poszukał pod rondkiem kapelusza; schyliła twarz; — przylgnął ustami do jej małych warg — leciutko, najdelikatniej; — poza jej wężutkimi licami oczy jego zagarniały mroczną przestrzeń, na której krańcach lśniły dalekie prostokąty okien wysokich, wielopiętrowych domów; ponad nimi czerniły się kominy z smugami dymów ruchliwych jak krepowe chorągwie na wietrze.

A potem, że tak tę głowę miała schyloną ucałował ją w odsłonięty kark; po niedawnym widać ogoleniu był szorstki jak męski policzek; — wzdrygnęła się — —

A potem ucałował ją raz jeszcze w usta —

A potem wstali, bo ławka była mokra, lało przecież tyle godzin bez upamiętania... raz też taki deszcz był, spotkał ją na Starym Mieście, szła z tym, no, hm... ławka była mokra, przemokli na siedzeniach, bielizna się przylepiła — ukradkiem odciągali ją od ciała.

Przy odjeździe — przed samym już wagonem powiedziała:

-- mnie pewno nie można inaczej całować —?--

To nie było pytanie. Tylko tak — skonstatowanie, i to w ten sposób, gdy się coś smutnego stwierdza.

Więc nie odpowiedział; ostatecznie całował pierzchliwie, bezustnie prawie, delikatnie — to fakt — dlaczego? — może, żeby to takie ważne nie było? — a może były jeszcze jakieś inne przyczyny, o których żadne z nich nie wiedziało? —

Odwiedził ją po kilku tygodniach; pierwszy raz. Oficjalnie. Był na obiedzie; później bawił się z dziećmi; na podłodze; w gry różne; razem z dziećmi; synek podobny do niej, też ten układ szczęk i usta podobne; w córce typ obcy; po ojcu więc; wydłużona buzia, wargi odęte, czerwone, wilgotne. Mówiła, że Henryś to się moczy po nocach, i, że mamusia musi wciążyć do niego wstawac; Henryś nic sobie z tej obmowy nie robił; śmiał się i kuglował po podłodze.

I dopiero w październiku.

Miał odjechać o ósmej; lecz był jeszcze następny pociąg o dziesiątej.

Dzieci już spały. Rwtetes z tym był, bo nie chciały w żaden sposób zasnąć, ale się wreszcie uspokoiło.

Siedzieli w małym pokoiku — niebieski, a drugi był żółty — tak jak u niego na wsi; zapamiętała i tak te kolory dobrała.

Dwa łóżka w tym pokoju; lecz nie obok siebie: dwa łóżka, nocne stoliki, lampa wisząca — takie półmażeńsko-sypialne zagracenie. Ale nic się pod myśl nie podsuwa, wyobraźnia milczy; czym innym jest zajęta w tej chwili.

Siedzą obok siebie na kozetce — też niebieskiej — małej dwuosobowej. — I mówi on co potrzeba, i że to już jego potrzeba, i jak to w takich wypadkach: głupie słowo, ale jakże inaczej powiedzieć?, że więc: kocha! — i ona też zaraz, że szaleniel jedynej mój, święty, najdroższy na świecie!

Bardzo ją umiejętnie całuje, długo, mocno — a te usteczka ma kobieciątka takie małe i czule i ruchliwe i chłonne — odsłania zęby gładkie i zimne — że aż takie oskominowe dreszcze falują w szczękach jak przy goleniu bardzo wyostrzoną brzytwą. — Przymdlewa od tych pocałunków namiętych i zsuwa się z jego objęć, jakby była z gorącego piasku, na dywan i szepce: „weź mnie!, weź mnie!“ Drży cała. — Więc ją już głaszcząc pod spodnicą (czarną w plisy) po udach — między koszulę a majtki wsuwa rozpaloną rękę — dotknął kępki włosów — aż jęknął; i ona; a potem natrafił na górny fałd jej stulonych warg — — teraz uchwycił jej wiotką — nasuwa się wyobrażenie łodyżki kosaćca i kolor bladezielony się nastrocza — posłusznie poddała rękę i przycisnął silnie do miejsca odsłoniętego, twardego, gorącego. — Leżała już na podłodze. — Wstał, uniósł za włosy jej głowę, wpił się wargami w jej usta rozwarte, całował chłodne zęby, mruzczał: ty! ty! — Nagle płaską dłonią musnął gniewnie jej twarz bladą i chudą — zerwał się i wybiegł z po-

koju — — — kapelusz, płaszcz z wieszaka, laska, teczka — ulica — — dworzec.

Przycisnął czoło do zimnych szyb wagonu, które stały cienką przegrodą pomiędzy nim a gorzką jak piołun nocą.

Okolo pierwszej godziny nowego, niepewnego dnia był w swym mieście — w pokoiku, wynajętym na peryferii przy dużej alei wiązów idących miarowo pod górę.

Zastał Wisię, która przyjechała z kupą rozmaitych interesów; — tak nagle wyjechałeś, a tu raty, spłaty, weksle, protesty, komornik, co robić, co robić! — Dowiedziała się od gospodyni, że wróci wieczorem. Czekala.

Położyli się razem do łóżka; popieścił ją skwapliwie i z szybkością ochotę. Zasnęła prędko; późno już było. — Wtedy to ołówkiem, w łóżku, na kartkach notatnika napisał najpłomienniejszy list; — że bez pamiętnie, że ponad pomyślenie ludzkie, że ziszcza się mit o androginiźmie, że są jednym organizmem, że ona jest ziemią i niebem, melodią gwiazd, wszechświatem i czymś ponad to: Miłą umiłowaną!

Następnym razem — w kilka dni później — został już u niej na noc.

Nieporadne i poprawdzie nijakie było ich pierwsze zbliżenie. On był rozdygotany i płochliwy — a ona przy całej sprawie nie niewieścia i nie dziewczęca nawet, lecz zgoła dziecinna — i wstydliwie też powściągliwa tą koniecznością uprzedzenia go, że przechodziła operację, więc, że brzuch ma pokiere-

szowany, że robiła nawet lekarzowi wtedy wymówki, a on na to — szorstki, wojskowy chirurg —: naco pani już dziś brzuch ładny? męża pani ma, męża dzieci — — bardzo ją to teraz peszyło; nic dziwnego. — Tak więc tym pierwszym razem narobili nieco pospiesznego zamieszania i krzyku; zcichli; i rozeszli się na swoje legowiska; resztę nocy spędzili osobno.

Dopiero później, gdy się stopniowo ciała do siebie przyzwyczaiły, kochali się umiejętniej, śmielej; i już przez noc całą byli z sobą.

Miła przygotowywała przekąski i wino.

Noce spędzali na pieszczocie wielorakiej i licznej; w przerwach rozmawiali.

Bo oto stało się to, co się stać musiało: rozwiązały się w Cyprjanie wszystkie więzy, poodpadały zapory, fobie i zastawy; świadomość karmiona i podżegana pożądaniem jej pięknego ciała i pragnieniem owdładnięcia jej myślami i uczuciami — rozprężyła się, bogaciła, eksplodowała w nagłych spięciach, im prowizacjach, poematach i świetlanych wizjach przyszęłego ładu społecznego. Z pogromu żołdackich zbrodni Europy, z upadku wyznaniowych machinacji, z załamania się wyzysku i polityki kapitalistycznej wstawały wspaniały, nowy, jasny świt wspólnej pracy, ufności i miłości człowieka, świat ładu i sprawiedliwości, wiedzy przyrodniczej i nowej sztuki, świeżej wymowy poetyckiej, wynalazczości wszelkiej i heroizmu odkrywczego człowieka, podjętego nie na zgubę i mordowanie bliźniego, lecz na jego podniesienie szczęśliwe, dobro i mądrość.

Tak oto wygłaszał swe mowy dalekie Cyprjan, siedząc w nogach łóżka i gładząc wątle kolana Mili-

— mój Budda, szeptała upojona i syta miłości, która konchami uszu wsączała się w nią jak ożywcza, ciepła, ratownicza transfuzja krwi — mój Budda --

(— przypomniał się „bożek“ pani Ho —)

Czy rozumiała w pełni jego eksplozje wizyjne, sumujące dostawość przeszłości, wartość i jakość te różniejszości z tym najpiękniejszym co idzie: niespodzianą przyszłością? — W przeważnej mierze tak; zresztą w szeregach licznych nocy powtarzały się myśli i sentencje, dedukcje i rezultaty — mogły się więc utrwalić w niej, zakorzenić, rozwijać i rósć; miały najważniejszy nawóz: czas.

Jeszcze już tylko boga, tę dobrą, opiekującą się dziećmi podczas ich licznych chorób, boziuchną wyratować chciała z opresji wcale gwałtownej. Wyznanie samo pracowało skutecznie przez ciężkie lata jej życia na swą zupełną w niej kompromitację i katastrofę — wyznanie, militarizm, państwo — to już było i jedno i drugie i trzecie jak zepsute, nachwiane zęby, które bez zbytniego bólu palcami z dźwięsem wyjąć można. — Lecz jak to zwykle bywa u natur przyrodniczą wiedzą niezdiscyplinowanych, u natur wywodzących się z długich pokoleń burżuazyjno-mieszczańskich — ewolucja jej świadomości, rozrostu myśli, przestawienia uczuć, pożądała jeszcze jakiejś szczypty mistycyzmu, a raczej mistyfikacjonizmu, narkotyku podróży „w nieznanie“, na gapę. tak jakby w „znanem“ brak było naboju entuzjazmu i ekstazy, tylko, że to za podróż trzeba płacić wyrzeczeniem często, a wiedzą, niejednokrotnie tragiczną, zawsze —, przeto też najdłużej broniła swej pozycji

wyobrażeniowej: pojęcia naczelnictwa i boga.—Tutaj akcji obłączniczej i rozsadzającej te bastiony pomysłów anachronistycznych, przyszedł Cyprjanowi w sukurs znane zdarzenia polityczno-socjalne, które dokładnie i skutecznie wypłoszyły z niej mamidła i złudy.

Tak więc po kilku miesiącach współżycia stała obok niego wolna, czysta, świadoma współpracownica po tej jasnej stronie życia, walecznej i przyszością darzącej idei; wyzwolona z wmówień ojczyznianych ku dobrem szła wypracować obok Cyprjana.

Były to momenty najpiękniejszej miłości świata.

I wszystko było tak bardzo dobre, wierne, dogodne; tajemnicę (— ich żargon miłosny „tajemnica“ i „trzymiel“) miała małą jak usta; wargi — a to właśnie jej osobliwość — nieco wydłużone i wąskie; o takich mówią znachorki, że jak już która takie ma, to jej chłop nie opuści nigdy; były uroczone i hipnotyzujące. — Pieszczotom poddawała się ze znakomitą nieomylnością. Zgrabna, zwinna, giętka — umiała w sposób darzący oszołamiającą rozkoszą zarzucać długie nogi na ramiona miłośnika. Erekcję wywoływała umiejętnym zagarnięciem dłoni, których wnętrze było naelektryzowane. Mowa jego rozpaliała ją copochwila, tak jak jego jej rozchylone słuchanie.

Byli szczęśliwi.

Miesiąc ich życia wart był stu lat.

Stokrotnieli sobą.

Rankiem — szarym i szronistym — wymykał się Cyprjan z pod koldry — Miła zasypiała jeszcze na krótko, bo dzieci do szkoły wyprawić musiała i sprzątnąć mieszkanie (— w tym była pedantyczna

i neurastenicznie skrupulatna —) a on wracał do zajęć, do teatru — drżący, oszalały, roztęskniony — — natychmiast pisał list polecony, ekspres —, że już jutro! — i tego samego dnia wieczorem był u niej; wyprzedzał stale swe listy.

Mila lubiła pieszczoty wyraziste, mocne, gwałtowne, przy pełnym świetle (byle nie rażącym); „jak burza“, jęczała głośno „och, pieść jak burza, jak burza, jak burza!“ — — I oto był dla niej, chciał być. owym wizyjnym koźlobogiem z orszaku Dionizosa — twardymi jądrami obijał szczelinę jej pośladków — aż wołała podsunięta i skulona pod nim: mocniej, mocniej — — dyszała ciężko, drżała i kwiliła dopóki silny wytrysk nie napełnił jej tajemnicy w głębi i po brzegi — — Gdy po pewnej chwili — nie puszczała go prędko — odrywał się od niej i kładł obok nieprzytomny i odurzony — mówiła rozśmianym, gorącym szeptem w twarz: kocham, o jak kocham, jedyń, umiłowany, mężo moje święte — — oddech jej pachniał sperma — co roznamiętniało go odnowa — — tedy zmęczona kładła się przy nim „na boczku“, na prawym, wлюбиła się w niego upojnymi wypukłościami — — rozpoczynał się nowy szal, i dalszy, i jeszcze, — a coraz były dłuższe, obłądniejsze, piekielniejsze — aż przystawało w nich serce, jak w chwili śmierci.

Poezja ciał dosięgała dna i szczytu.

Była osią świata.

Zywiol.

—

Raz — nad ranem to było — leżała obok niego zwrócona do ściany — załkało w niej smutkiem i roz-

drażnieniem — — szeptów jego słuchała roztargniona i odbieżona — — długimi, wąskimi palcami obryso-
wywała geometryczny deseń gliniańskiego kilimka
nad łóżkiem.

— co ci jest, maleńka — ? —

— nic —

— tak posmutniałaś nagle —

I — gładząc jej piękne plecy — szeptem:

— czy co nie dobrze zrobiłem — ? —

Zawsze ten w nim utajony lęk, że może niezbyt
zręcznie lub zbyt samolubnie pieścił i nie doprowa-
dził jej do orgazmu, lub zgoła zniechęcił; lęk nieuza-
sadniony, zachowanie jej przecież było wymowne,
wyraziste i napewno nie udawane; — lęk ten miał
swoją aspekt lirycznej czułości niechybnie barwionej
nalotem masochizmu, a równocześnie był fobialnym
wynikiem pożycia z Wisią, tak trudną do rozgrzania,
chłodną i niecreagującą, z aparaturą zamkniętą na
cztery spusty.

— ach ty, An, — zwała go stale An — ko-
chanku cudny, tybyś niedobrze zrobił, ty — ! —

— więc co — ? —

— ech, nic; nie; poco mówić —

Palce jej coraz nerwowiej obiegają kontur de-
senia — to znów odchylają się nagle jakby się zry-
wały do ucieczki spłoszonej.

Wtuliła głowę w ramiona:

— powiem zresztą — myślałam o przeszłości —
brrr! — Wzdrygnęła się cała, zaplotła niecierpliwie
nogi, głos obniżył się o kilka tonów, stał się prawie
gardlany: — temu żołdakowi zdawało się, że jak

mnie kilka razy przez noc przytłamsi to już jest miłość —

Szloch spazmatyczny.

W przerwach zanoszeń się bólem i rozżaleniem — po nocach — prześlęczonych — nad kołyskami — ciągle dzieci chorowały — gdym na chwilę — zasnęła — budził mnie — budził mnie — miał mnie jak naczynie nocne — —

Rozdygotana cała jak w ataku febry.

Cyprjan słowa nie mógł wymówić. Załomotało w nim serce i przystańło nagle; potem silny, nierówny trzepot i dotkliwy ból w tętnicy przelewający się przez lewą część piersi ku ręce aż po palce, które mrowią i są przez chwilę obumarłe.

Żal straszny tej kobiety, która wciąż jeszcze o tym przeszłym życiu... brutalność i przegrana... Żal i równocześnie zahamowanie — nie może, nie potrafi ugłaskać, ułagodzić, utulić, pocieszyć! — Na drugim krańcu wyrasta głucha, zwierzęca nienawiść! — do wszystkiego tamtego. I natychmiastowy ból nieodgoniony, że ta, ta właśnie, ta jedyna, którą tak ponad wszystko kochał — że ona właśnie tak musiała... a potem... że i sama chciała... to też... i to najgorsze...

Myśli, porwane i skołtunione nagle jak liście, gdy w nie wiatr uderzy, zawirowały, zakotłowały i pomierzwiły się do cna. Krew tętni w skroniach, pod czaszką, koło lewego ucha — cichy, jękliwy brzęk i dzwonięcie rozdygotane, jak gdyby cieniutka, napięta struna pękła. A potem nagły pot na całym ciele — mokry chłód pełźnie od nóg ku piersiom — znieruchomienie — bezwład.

Przelewa się trzewiami mdły wstręt; jest ponad wszelki wyraz obślizgłe, śluzowo, podle!

Podświadomość podsuwa się naszeptem ku myśłom wzburzonym i już całkiem teraz chorym, podzega; że teraz wiadomo dlaczego tak ekspansywnie żył z nią płciowo; to medialnie powzięta chęć dorównania w potencji, pasja przewyższenia — — tamtego. Przypomina się gadulski szczebiot dzieci, że „tatuś waży dziewięćdziesiąt kilo!” — więc zaraz gramoli się stonożnie, zdanie z jakiejś komedii węgierskiej — czy to nie Brylińska wtedy grała? —: „u mnie chłop musi mieć wagę!” Słowo „tłamsić” nabierało ciała, dużo męskiego ciała z wyolbrzymionymi szczegółami — —

Teraz w tej mętnej szarości dnia zagląającego kosym bielmem przez okno, wyluskują się z pokrowców ekstatycznych niedowidzeń — te dwa łóżka, dwa nocne stoliki pełne niedyskrecji małżeńskich szuflad — kołdry, prześcieradła, poduszki, jaśki... nocne koszule Mili!! — wszystkie przedmioty — lampa sypialniana!!—wszystko: impregnowane!!—: wszędzie jak na kliszach, na taśmach filmowych wyświetla się wywołuje: on — tamten — rozwalony, nagi, wielki — ze sterczącym nad buhajską moszną bindasem — — i ona, ona! — jęcząca, zagryzająca wargi — z rozstawionymi nogami, nadstawiając się na wszystkie sposoby, z tym jej właściwym gestem podsuniętych pod pośladki rąk — tak samo! wszystko tak samo!!— — a mąż: władca i pan — żąda! — utrzymuje, płaci więc żąda — i teraz właśnie też, nad ranem, żeby mu... tak więc te jej małe, śliczne usta...

Wyczuła coś — choć odwrócona — — lecz nie

zdawała sobie sprawy co mu jest — temu poecie — —
rozszalała się nagle, wybuchnęła może trochę nieogłę-
dnie, lecz żeby aż...

A poeta rzekł w sobie: przecież ja tylko jej
myśli odcyfrowuję! cóż bo innego i skąd? — jej
myśli, jej myśli — i one impregnowane od godzin
nocy poślubnej, gdy z trudem... (i o tym też mów-
wiła)... Niczym tej impregnacji zatrzeć się nie da —
w najlepszym razie będą to dwa zdjęcia na jednej
kliszy — oba niewyraźne i zamazane... I ból jego
stał się niedowytężeniem.

— co ci jest An — ? — wybacz, taki wstręt mną
szarpnął —

— nic, nic, maleńka, — śpij —

A po chwili — jaknajnaturalniej — tak niby
pobieżnie i odniechceni:

— czy to tesame — ? —

— co — ? —

— łóżka —

Ona ledwie dosłyszalnie:

— tak —

Milczenie.

Niedobrze pomiędzy nimi; fluid nieprzyjazny,
zmącony i niespokojny; — odsunął się, aby nie dos-
tykać jej ciała.

A wyobrażenia znów swoje, podstępnie i upar-
cie, walcuje swe wizje, rozsuwa, pod światło trzyma,
nudziarsko, wciąż to samo: więc i ta kołdra, podu-
szki, lampa przyświecająca ich sprawom nagim, ko-
szula... niedojrzała, ślepy i głupi, śladów, które za-
pewne po dziś dzień... Kiedyż to? dawno? — cóż,
rok jeszcze temu, a może nawet nie rok. Przypomina

się każda pominięta bzdura, teraz grubymi krechami znaczna i widoczna, jaskrawa, — i to powiędzenie dzieci i napomknienia inne — jakiś moment przed szafą — on, tamten, szuka ubrania czy coś takiego — stoi w kusej koszuli męskiej — — jakiś szczegół z Wołynia, noc księżycowa, jadą oboje konno, i, że to najszcześniejsze jej były wtedy miesiace, mówiła, lecz coś tam zaszło takiego — — a te przytulania się w łóżku, słuchania radia na jedną słuchawkę — — potem, jakieś całkiem niedawne, brutalne wzywianie, żeby przysłała, jeszcze jest jego żona, ale zaraz! — Coraz gorzej, podlej, haniebniej — —

— co ci jest! — An! —

Przestraszyła się nagle i usiadła na łóżku; wąska, mała; dziewczynka po prostu; i piersi jej takie dziewczęce wciąż, krągłe, nieduże, sterczące — — ileż się tamten nacałował tych uroków i wdzięków! — I znów fatalne przypomnienie: — raz gdy się nimi zachwycił łakomie, wargami i językiem smakował ich odurzającą krągłość i wiosenną gładkość — za proponowała mu, żeby między nie na sercu — — więc i to robili! — — Przesiąkła nim na wicki!! — przelewa się przez nią wszystkimi otworami obca, lepka, wstrętna sperma! — wszystkimi!! — — bo i to raz w chwili omroczenia orgazmowego usłyszał — jak będziesz chciał — to ci pozwolę tam... Nie chciał wtedy; — nie skorzystał — — oferta!! — Więc to to! — — ciąg dalszy — odrabianie za innego, za tamtego — — sza—leń—stwo!!! — I: dla czego dziś dopiero? — wszystko to powinienem był wiedzieć od początku — — no i cóż — i cóż — żona — takie wszystko naturalne, proste, moralne! —

moralne oczywiście; — i cóż ja przy tym — ja to jestem bydlę — z tego moralnego stanowiska — — ale jest we wszystkim jeden, ostateczny tragizm: Miła to największa miłość mego życia — i ta bezsprzecznie wielka sprawa nakrywa sobą wszystko! — tu niema już nic do powiedzenia — — oto tak wygląda tragedia —

— co ci jest An! — An, co ci jest! —

Przytuliła się nagle do niego, wodziła rozkochanymi palcami po jego twarzy — głaskała rozrzucone włosy.

— An — An — An — mój An — mój śliczny, An mój jedyny —

— nic, maleńka, nic —

Odsunął ją.

(Tego dnia mógł zostać do południa)

Miła wstała, szybko włożyła koszulę, otuliła się szczerlnie białym szlafrokiem; — nigdy tego nie robiła; — wiedziała przecież, że lubił rozmiłowanymi oczyma wodzić za nią, gdy naga krzątała się po pokoju; była bardzo zgrabna; klasycznie piękne i doskonałe były jej plecy melodyjne i cała architektura z tyłu — wypukłe, małe, jędrne pośladki wzniesione na kolumnkach zgrabnych, śmigłych nóg — wydłużona skanzja stanu, łopatki i ramiona nicomylnie związane z szyją — kształtna, chłopięca głowa, radosne wichry włosów —: muza, muza kallipigos, dobry duch wrzosowych polan, kształt poezji ziemi.

Teraz odziała się szybko, bardzo zawstydzona i skulona.

Zrozumiała jego nieprzychylny wzrok.

Prędko wyszła z pokoju.

Trzeba więc jaknajciszej! — ani mru-mru — nawet szelestu, żeby dzieci nie zauważyły, nie wiedziały przecież, że tu nocuje.

Półtorej godziny samotności.

Pierwsza trzeźwość od wielomiesięcznego pijaństwa i oszołomienia.

Chłodno, badawczo spozierają oczy, penetrują wnętrze niebiesko malowanego pudełka, w którym... no tak; — wszystko wrogie przedmioty — obce — jakież w tej chwili znieawidzone! — wszystko! — i ona — nasycana przez tyle lat — wchłaniająca w siebie wciąż, bez przerwy, bezustannie — udrugoosobiona! — to zostaje, to musi zostać na życie całe, w każdym razie na wiele lat; — — i dzieci! — i znówby się po któryś tam raz sprawdziło: swoboda seksualna absolutna — rozdział seksualizmu od dziecioróbstwa; — decyzja: chcemy mieć dzieci, jest decyzją do końca życia; do pełnosprawności życiowej potomstwa — to na jedno wychodzi; — że niby tak bezmyślnie się je robi? — to źle; — lecz choć to może i klęska — obowiązuje jednak w pełni; — zresztą płonna to dyskusja, jak dyskusje wogóle... boć przecie, w naszym, Miło, wypadku — raz, choćby raz, było zupełnie świadomie; w pełni; — tak, znów pamięć chytrze, jak diabeł cyrograf, podsuwa detal pewien; — tak, tak — świadomie i to z jej strony, matki więc, co jest najważniejsze i decydujące, bo dziecko jest samo-swoje i matki, cóż tam ojciec! — — i tu właśnie wypełzają z mroków niedostrzeżeń (w pierwszej chwili!) — jakże to wszystko jednak w pamięci trwa! — wypełzają słowa i nie słowa tylko — —: „gdy na pra-

wym boczkę się pięścić — to zawsze jest chłopak, wiesz? — stwierdziłam; wtedy, wtedy wychytrzałam się, wmówiłam mu, że napewno można, że nie musi uważać, albo tam co robić — a ja wiedziałam, że z tego będzie, że musi być dziecko — długo nic nie gadałam, dopiero, gdy już nie można było ukryć; — wiedziałam napewno, i był chłopiec“ — śmiała się wtedy przy tym serdecznie, że tak nabrała tego bęczała;...

...niefrasobliwa! — a no cóż; dobrze; to są sprawy zbyt osobiste; nikomu nie wolno się do tego mieszać — tylko... nie można potem mówić: „poco, poco ja to...“, „lepiej żeby umarło“ — nie wolno — Odrzucił koldrę; wyskoczył z łóżka; chodził boso po pokoju.

Rozpoczęło się opętanie!

Wyjść — wyjść cichcem — uciec! — uciec!!

Już bywał tak chory i zwariowany — lecz nigdy tak gwałtownie, z taką mocą. — Marysia? — to wtedy przeszło prędko; to zresztą nie było nasycenie się jednym! — Nigdy Cyprjanie, powiada Cyprjan, nie jesteśmy zazdrośni z powodu wielu samców; groźny jest tylko jeden — ten, który ustawiczną obecnością swoją działa, który przerabia, przeistacza, destyluje siebie w retorcje kobiecości. — Irka —? — nie ma nawet o czym mówić — — sprawę trzeba mierzyć proporcją, natężeniem namiętności, siłą pchnięć i pędu, tak jak to szkolarskie: kąć padania jest równy kątowi odbicia — —

Przystanął Cyprjan przy małej szafce z książkami — przerzuca machinalnie książki; historia wojska polskiego, pieśni legionowe, Żeromski, Wyspiański

ski — — aha; „Wyzwolenie“ — na tytułowej karcie jej drobne, kochane literki, wystębnowane: „Drogiemu mężykowi, z prośbą aby mój ukochany poeta stał się jego ukochaniem“ pod spodem: „M“; — no dobrze; w porządku; — jakaś mała książeczka, kalendarzyk kieszonekowy, ilustrowany, widoki różnych miast — — na podszewce okładki równym, bezosobowym, chłodnym pismem wykaligrafowana dedykacja: „Najdroższej Mili, ukochanej żonie z życzeniami, aby miłość nasza wzrastała jeśli to jeszcze możliwe“ — podpis, data; trzeci rok ich małżeństwa; — no tak, tak — — „żeby miłość wzrastała — do... ilu? — „jeśli to jeszcze możliwe“ — siły ludzkie mają swoje granice, jasne — —

Gładził dotykkiem książki, sprzęty, przedmioty — jakby się uczył ich powierzchni, i jakby się z nimi żegnał; odczytywał je, tak jak ślepi swe pismo odczytują.

Ubrał się leniwie, z zahamowanym namysłem.

Gdy tylko zatrzasnęły się drzwi za dziećmi, wyszedł z pokoju, jak osłabiona mucha z pudelka — upozorował wcześniejsze odejście — zapomniał, przecież dzisiaj ma wykład w konserwatorium, prawda, musi się jeszcze przygotować — tak jakoś wypadło z głowy, że to dzisiaj — — pa! — ucałował rękę wiotką, ucałował z czcią i naleźnie, jak dobry znajomy, przyjaciel — — miała lzy w oczach — zdawał się tego nie dostrzegać.

Wyszedł. Odetchnął głęboko; póki schody trzymał się poręczy,

Patrzała za nim długo przez okno — zanim nie zniknął za załomem ulicy — — obejrzał się kilka

razy — stała tam w białym szlafroku, w białym zawoju na głowie, zdołała już zrobić papiloty, więc zawój, — wtedy też na drodze kamienistej zawój miała, czarny wtedy — — rękami wsparta o ramę okienną — rozkrzyżowana niemal — czoło przyciśnięte do szyby — — po gładkim szkłe spływały lzy jak deszcz — — mgliły i zamazywały twarz i piersi — — ponad tym opływającym wodnym szkicem rosły coraz większe, coraz obłądniejsze, blade lazurowe oczy — zagarniały i chłoneły domy i ulicę, miasto i przestrzeń — tak, że ręce przed siebie wyciągać trzeba, aby nie pobłądzić w nieogarnionej błękitnej mgle — — siedł już teraz w tajemniczym świecie żrenic, w ich patrzeniu brodził po szyję, zalewały go, topiły, nurzały w bezdennym żywiole — — — wysoko, widziane jakby z pod grubej tafli wody, majaczyło chwiejnie i druzgotliwie okno — wyższe i dalsze niż tamto w facjatce na Kanonii — — niedosiężalne — —

Przez cały czas jazdy chodził po kurytarzu wagonu.

Prosto z dworca poszedł do teatru.

—
—

Szła próba z „Horsztyńskiego“; — uzgodnili byli przed tygodniem z reżyserem Bieleckim całą tę sprawę jak się rozegrać miała na scenie — i, że stanowczo bez parszywych doróbek, bez któregokolwiek z czterech głupkowato projektowanych zakończeń; nie potrzeba; przecież i tak cały tragizm, i jaki! jest w tych słowach Szczęsnego: „nie widzę żadnej drogi przed sobą“ — tylko je powiedzieć tak, żeby

przekroczyły rampę i eksplodowały na widowni; to wszystko. Bez wybuchu w finale też się obejdzie; knalefekty—jeszcze czego!—a od czegoś słowo?!—reżysersko tak trzeba przygotować, podciągnąć, dać to wszystko, co do tych słów zmierza: — „nie widzę żadnej drogi przed sobą... co robić? — powiedz wahająca się myśli, co robić?“...

Kurtyna podniesiona: ponura otchłań sceny zimnej zarośnięta fantastycznymi dekoracjami ze stu sztuk; wszystko zwarzone i zwiędłe; — szwędają się maszyniści; — na widowni ciemnej i pustej, za dnia katakumbowej, z nyzami łóż na szpetnych umarłych — kilka osób, aktorzy, reżyser błądy i zły; wszyscy reżyserzy są zawsze źli; irytacja to ich fach.

Teraz ustawiają tam na scenie kulisy i sprzętów trochę, stół i stołki — tak tylko na miganego, żeby aktorzy znali wejścia i wyjścia, i żeby nawykli do ruchów w odmierzonej przestrzeni, żeby przyrosła do nich, a oni do niej.

— prędeż tam! co jest do jasnej cholery! — ruszacie się, psiakrew, jak muchy w mazi —

Jeszcze się nie zaczęło, a reżyser się pieni — błądy, brwi ściągnięte, wargi zagryza — — wypadł na kurytarz — wrócił — przebiegł wzdłuż sceny — spojrzął stamtąd w lewe zakulisie — już stoi naprzeciw budki suflerskiej —

— prędeż mówię, bo was tu wszystkich szlak trafi, jak zacznę kłąć! — gdzie Lachowicz? — ma pierwsze wejście —

Krzyczy, aż dudni po galeriach pod czarnym sufitem:

— panie Lachowicz! — panie Lachowicz! —

Po kurytarzach i garderobach wszyscy już wołają, kto słyszy podaje krzyk dalej — gmach cały jest jak las, w którym zabłąkane echo obija się o pnie —:

— panie Lachowicz! — panie Lachowicz!

Znalazł się wreszcie; ten Lachowicz; napędzany i płoszony tym zewsząd tropiącym wołaniem, wpadł zdyszany na scenę — wysoki, zażywny — mruży oczy — podchodzi na skraj rampy — wpatruje się w mrok widowni — głowę wysuwa jak kura gdy o zmierzchu do kurnika wraca —:

— jestem! — pali się? —

— jeszcze nie, ale się będzie zaraz paliło — znalazł się gagatek — no, złaź pan teraz ze sceny! — za pięć minut zaczynamy — — no nie stójże pan tu, bo nic, nie widzę co tam robią —

Dzwonki trajkocą — na lewo, na prawo, z góry.

— pierwszy kanał! dawać kana! — mówiłem wczoraj, a mówiłem — zapisał pan sobie, panie Czemsz? — gdzie se to pan zapisał? — sto razy trza powtarzać! głos zedrzyć! — to jest teatr! ludzie, ludzie — bo się wścieknę! —

Nikt się tymi krzykami zbyt nie przejmuję; to zawsze tak, a jeszcze nikogo, tfy, tfy, szlak nie trafił, ani się nikt nie wściekł; to się tylko tak mówi na pas blind, i żeby zadyma była.

Obok Cyprjana — w czwartym rzędzie krzesel, pole widzenia stąd dobre — siedzi młody aktor, rosły, zamaszty; trzeci rok dopiero w teatrze, lecz już coś znaczy; zdolny i pracowity, Julek; oczywiście ma też i nazwisko, wszyscy mają, ale o nim zawsze:

Julek, wszyscy: Julek; — nachyla się ku reżyserowi, który wreszcie usiadł na chwilę — przed nimi —:

— co się pan tak szarpie? — zdrowia szkoda; dyrektorowi i tak się wszystko podoba w „jego” teatrze —

— a co pan se myśli, że publiczność składa się z samych dyrektorów? — naucz się, szczenię polskie, że tu przychodzą i tacy, co się znają na teatrze, a zresztą zawsze trzeba dobrze robić, wiedz se, szmira to nieróbstwo —

Ale już nasrożony ku scenie:

— reflektor! co jest? — reflektor! z prawej górnej, żółte szkło! — Chryste panie! Jezusiemario! — żółte! szakale — żółte! — zapisać na czymś widocznym: żółte! — przez „ż” i „o” z kreską — analfabeci pierońscy — i żeby mi już jutro bez gadania bo nogi powyrywam i dam się nimi w antraktach bawić publiczności — ale przed tem dam wyparzyć w łaźni miejskiej —

Znowu dzwonki; zewsząd.

— tylko bez chichów! — To zdanie do grupki młodych aktorek, które akurat coś tam między sobą miały śmiesznego.

— panie Czemsz, chwalićboga tylko półtorago-dzinne spóźnienie — dawaj pan gong —

— Lachowicz włącz pan — no, już! —

Bjummm!

— panie reżyserze — —

— ani słowa, pogadanki potem —

— kiedy ja — —

— nie będę z panem teraz romansował; mówię

przecie; — zamykać tam drzwi — — cicho! psiakrew,
nie trzeszczyć zadkami —

Ucisza się; tylko z tym skrzypieniem; same
krzesła po prostu; tu nikt nie poradzi; nawet reżyser.

— no, jazda! —

Szczęśny: (— to ten Lachowicz; elegancki brzą-
zowy garnitur —):

...piosenki świata zaczynają się od fałszywych
akordów — a kończą się gwałtownym zerwaniem
strun — stłuczeniem harfy...

Amelia: (— panna Medwecka, ładna, z wdzię-
kiem — kuperek nieco zanadto reprezentacyjny, ale
w powłóczyście stroju, sutszym, to się to zatraci; —
teraz jest w kostiumiku obcisłym, jasnogranatowym,
niebieski toczek na bakier —):

...smutny jesteś ...zdziwaczałeś...

Szczęśny: (— odwraca się do niej — pilnie
przypatruje się paznokciom lewej ręki —):

...nudzę się...

Amelia: (— z przekonaniem, doradczo —):

...szukaj zabaw...

Szczęśny: (— siąka; gestem mówi, że ma katar,
wzrusza ramionami: co to taka gra, gdy się nie jest
zdrowym; chrząka: o, chryпка; z determinacją: a jak
sobie chcecie, ja nie odpowiadam za nic —):

...o!... nie potrzeba daleko szukać... Ojciec mój
sprowadził mi dziesięciu arlekinów rewolucyjnych...

Inspicjent schodzi na palcach mostkiem prze-
rzuconym od sceny ku łożu prosceniowej — deski
trzeszczą jakby je kto tasakiem łupał —

— pssst —

Szczęśny zrezygnowany przerywa, wzrusza ra-

mionami, uderza się dłońmi w uda: — nie można, nie można w takim hałasie pracować; to wyraża jego gest.

Amelia pudruje nos.

Inscyjent do reżysera:

— czy na dziś rekwizyty potrzebne — ? —

— a co panu wczoraj mówiłem? — zapisał pan? gdzie pan zapisał? w notesie? sadzą w komi- nie pan zapisał —

To „zapisał pan?“ to stały konik reżysera.

— teraz niema już co zapisywać, po niewcz- sie! — robię dziś ucztę, kielichy pan dawaj —

— kiedy niema kielichów, posłałem do pozło- cenia — ucztą, to nie mogą przecie być drewniane —

— ja pana pozłocę i przechowam na drzewko! — za godzinę mają być! — inaczej szlak pana trafi — zapisz to pan sobie —

Znów jakiś skrzyp na pierwszym piętrze i smu- ga denerwującego światła.

— a tam kogo diabli po piętrach wodzą? — zamykać tam! — Cicho! — Jazda panie Lachowicz! —

Szczęśny: (— cały już połamany i chory, ofiara przemocy i podłego szantażu; niemal płacze, tak też i mówi śluzowato —):

...to jest przecie — to się nazwać może posta- nowieniem... Odrzucam dziś od siebie mary. — Ty, kwiatku błękitny, zwiędły we włosach Sally, rzucam ciebie także na falę — to się nazywa także postano- wieniem...

Przesuwają się sceny na wrywki; nie po porządku dziś idzie; próba raczej dialogowa, ta, a tamta sytuacyjna.

Powtarzają.

Wracają.

Zasłaniają sobie aktorzy oczy, żeby z pamięci wyłonić właściwy szyk zdania.

Copochwila zdenerwowane, lub chłodno-gniewne:

— wróć! —

— jak nie pójdzie, to do północy będziemy powtarzać; mnie jest wszystko jedno —

— wróć! —

— kuperek do torebki! — no, nie gniewać się, tylko uważać bo pani mi nim na spektaklu kulisy poprzewraca — wyprostować się — wciągnąć —

—
Sally! — myśli Cyprjan — ciągle ten kompleks matki—jego ojczyzna to matka, wszystkie jego kobiety to matka — to ta droga, najdroższa Sally... „imię to tylko i oczki zielone, więcej nic, ale chcę, aby to imię pachło na wieki, aby odtąd rozkochało ludzi“ — — tak myśli i cytuje rozsądnie — a ciągle tych tam dwoje nago widzi, w mózg to wprawione i wylupać się nie da — leżą z sobą, przy sobie, na sobie — sapią, jęczą, obmacują się... Skrzypnęło krzesło jak drzwi w stodole, rozchwirutane te krzesła. — Co mnie to zresztą już obchodzi! pies z nimi tańcował! — Ale to już nie do krzeseł ta inwokacja, to do tych nagich osób, które właśnie zmieniły pozycję — — znów zaczynają na nowo — —

Horsztyński: (— gruby, dobrze odżywiony, starszy pan ze sporym brzuszkiem; łysy, tylko od uszu ponad karkiem wianuszek szpakowatych włosów; nie wysila się, markuje raczej — dopiero na

przedstawieniu pokaże co umie, a umie, owszem, dużo; rutyna; spec od polonusów —): ...Sally... widziałem ciebie, jak z zakasnymi po łokieć rękoma mięsiłaś czarne ciasto, a kiedy wszedłem do kuchni, schowałaś ręce i podałaś się cała ku mnie różaną i liliową twarzyczką, abym ciebie pocałował — zawsze pamiętam tę scenę. — Dlaczego ty kłękasz przede mną? — nie lubię tych oznak teatralnych... Sally, dlaczego ty kłękasz przede mną?...

Sally: (— starsza aktorka, lecz ona doskonale będzie wyglądała — tak się zrobić umie — powiećkami trwożnie trzepie —):

.....

Cyprjan nie słyszy ani słowa.

Wszystko się nagle w mózgu odwróciło; podszewka; obraz dręczący zwrócony jest w tej chwili ku potylicy, jak malowidło oparte o ścianę, blejtrasmem ku pokojowi. — W ustach gorzko. — Jakież niesmak z wszystkich momentów tego „pożycia“! — z tych poznań obowiązkowych całej rodziny — ojciec — matka — siostry — mężowie tych sióstr — — samo słowo „rodzina“ — w całym bałaganie współczesności unurzane jak kopystka w kloace — mierzi, wzbudza abominację i wstę! — „rodzina“ — rzygać się chce! — albo burdel usankcjonowany i pobłogosławiony, system utrzymański, albo nuda, zaduch, obrzydliwość. — Jakże to mógł znieść tę deprymującą jawność uprzywilejowaną wzmówieniami! — beznadziejne! — — „wszystkim bliskim mówię, że jest twoja żona, i żeś ty jest mój mąż“ — uśmiechał się wtedy i zacałował te bzdury — — lecz dziś!! — jak mógł! jak mógł! — — więc co? — wszystko na

nowo? — mieszkanie — meble — system życia? — i tyle zastarzałych konieczności, cała ta kapryśna higiena pisarska — o tej porze to, teraz kawa, a herbata to ma być taka — a teraz nie wchodzić — nie puszczać nikogo — — ech! — i co? — tym, choćby i dorastającym, dzieciom się odebrać — tamtym się nie dać — — zresztą nie to nawet! pal diabli! — ale co za bezsens, że niby małżeństwo?! — komu to i na co to potrzebne? — notariuszowi? urzędnikowi hipotecznemu? — sąsiadom może, psiakrew, tym z pierwszego piętra i tym z parteru?! — żeby tylko bardziej skomplikować, bardziej uniemożliwić, żeby już było całkiem niedozniesienia — — —

Do łoży prosceniowej wszedł dyrektor; niski, krępy — korpus pożyczony od dużego mężczyzny, nogi własne, krótkie; stąd dysproporcja: gdy siedział: chłop mocny, krzepki, duży, gdy wstał: mały; tyle, że szeroki; twarz, na psa urok, musoliniczna, też taka tępa i pełna kabotyńskiej pychy; żądał od aktorów zdobycie Posa i oddania dziesięciu strzałów ku chwale matki-ojczyzny; bigot ojczyźniany, z tą małą poprawką w pierwszym czytaniu, że ojczyzna to pułkownicy i pan wojewoda; sam major w rezerwie; marzyciel: ach, wojna, mawiał zadumany, wojna, to dopiero życie! — kawaler złotego krzyża zasługi; dla teatru krzyż pański. Wymagał zawsze kategorycznie obniżenia poziomu, pospolitego chwytu, szmiry prowincjonalnej — bo, publiczność nie rozumie, nie rozumie, szkoda fatygi, trzeba, panowie, na gust publiczności, dla wszystkich, niziutko, panowie, niziutko, jeszcze niżej, — Wiernopoddąnczy dla władz, pies dla podwładnych, w sumie człowiek dobry;

szorstki ale dobry; zaliczkę można było zawsze wydebić — podchlebstwem i lizuństwem; a gdy aktorka to płacze; w stosunku do zespołu niewieściego korekt, to trzeba powiedzieć, żadnych siuch, romansów, ten tego, nigdy nic; żadnych świętuszeń; porządny człowiek. — Na ogół jednak był jednym z tych arcylicznych u nas poprawiaczy charakterów, co to z obywateli robią poddanych, a z ludzi porządowców; naprawiacz. Czyż więc trzeba dodawać, że sanator? — chyba tylko dlatego, żeby ktoś nie przypuszczał, że endek; niuanse są tu, to prawda, bardzo subtelne; — jedni żyją w cieniu ministerstwa skarbu i banku gospodarstwa krajowego, a drudzy wywieszają łaknący język w skwarze pożądlivości i tęsknią do cienia tych pięknych gmachów; niby mała różnica, a jednak niezmiernie ważna; decydująca.

Takie oto myśli i uwagi wirowały po scenie, za kulisami, w kurytarzach i na widowni.

Pan dyrektor siedzi w swej łoży mocno w fotel wparty, ręka o krótkich szerokich palcach na akksamitnym parapecie wypoczywa sennie i bezwładnie. Pan dyrektor obrzucił pospiesznie ostrym spojrzeniem widownię; wzrok utkwił w scenę; nie bardzo się orientuje, co się tam na niej dzieje i wydziwia; — nigdy „Horsztyńskiego“ nie czytał; ani czasu, ani ochoty, i wogóle: poezja! — Zdziwił się trochę, że aktorzy prozą gadają, czyżby reżyser... ale był ostrożny, nic nie powiedział; — natomiast pilnie baczył, żeby jakichś niemoralnych sytuacji na scenie nie pokazywać, n. p. za wysoko podkasanych spodniczek, za dużo nóg kobiecych, niedość szczelnie zasłonię-

tych piersi i t. p. — Lecz dziś nie miał żadnych uwag: taka sztuka; autor dyskretny; zamaskowana poezją lubieżność. Nie mógł więc pan dyrektor kiwnąć, jak to szalenie lubił, palcem na reżysera i powiedzieć potwornie serio, marszcząc brwi i rozjarzając oczy, że, widzi pan, u mnie tego nie wolno, w moim teatrze przyzwoitość obowiązuje —

Julek nacylił się do ucha Cyprjana —:

— kapral już przyszedł —

Cyprjan odszepnął:

— ostrożnie; z kaprali bywają generałowie — tak nas poucza historia — zresztą przy częstej zmianie wart u nas —

— co pan myśli, ministrem mógłby zostać —?—

— to może nie, wprawdzie nie jest żadnym fachowcem, lecz poświęca się pewnej specjalności administracyjnej, teatrowi, przez to zatracą wspaniałą możność ogarnięcia wszystkiego —

— więc czym? —

— premierem — posiada, jak mogliśmy niejednokrotnie zauważyć, tajemny instynkt rządzenia—

Rozmawiał tak, a wstręt bezgraniczny zalewał go po oczy; cały utajony mizoginizm bluzgał na wierzch jak ropa z nagle pękniętego wrzodu; — potykał się z sobą, skakał sobie do ślepi: — kobieta jako energetyka, jako zapęd! — tak wciąż to wmasz wiam w siebie i w innych — w rezultacie filozofia macy i pochwy; nic więcej! — także całkiem niedozniesienia! — Zbyt łatwa pobudliwość i ciągle, też zbyt łatwe, zezwolenie na zwyczajstwo, zdobycie — — przeciw temu to oblekał się kolczastą jeżowiną mizoginizmu.

Ciężkie przeżywał chwile w mroku posępnej widowni.

— — — — —
Zmiana sceny. Jak z holenderskiego obrazu — Sforca i Trombonista. Sforkę grał Zbyszewski, stary, kochany Zbyś — grał ją świetnie, majstersko; kwestie, gesty, pomocne akcesoria z packą na muchy włącznie — wypracowane z cyzelerską akuracją.

Sforca: (— „Zbyś“ bez charakteryzacji, oczywiście, taki sobie z ulicy wprost — a cały, proszę, Sforca; tak, to to jest aktor —):

...odczytajmy i zacznijmy od najłatwiejszych... (czyta) — primo: dlaczego kij ma dwa końce (z pod okularów łyp na Trombonistę), secundo: co ja myślę?...

Trombonista: (— suchy, wysoki — chciałoby się, aby było przeciwnie; to przeszkadza —):

...kto myśli, panie Sforca?...

Sforca: (— pac muchę na stole —):

...nic... napisano: co ja myślę... i basta... i punkt... (— haust z kufla, obtarcie wąsisków; — a trzeba podziwiać, bo ani kufla, ani wąsisków, ani okularów, ani packi na muchy, ani karteluska z rejestrem pytań; nic; ale w ruchu, w geście, w uchwyceniu intencji słów, wszystko to istnieje, jest autentycznie —)

...ale posłuchaj dalej...

— — — — —
I ta jej chorobliwa skłonność do ładu — od świtu do nocy — na nic innego już czasu nie starczy; groźne; zaraz w przedpokoju trzeba zdjąć trzewiki i nadziewać pantofle; pyłka nigdzie nie zostawić; — absolutna niewola, jej niewola w tym otę-

piającym reżimie setek przedmiotów; — i żeby wszystko przyładzone — nie wolno wejść do pokoju póki wszystko nie jest tak, jak ma być wedle wmo-
wionych regulaminów, reguł, przepisów; można i godzinę czekać w przedpokoju, jeśli się tak jakoś nieplanowo wejdzie; no, samopoczuciu to nie sprzy-
ja; — i czy w chybkim życiu jest na to czas, aby godzinę w przedpokoju ciemnym przebalaganić bo... przedmioty są nieusposobione! — Raz wszedł do mieszkania w trzewikach, porządnie je zresztą wy-
tarł, inna rzecz: błoto było wtedy cholerne; ktoś tam był, siostra jej, czy ktoś inny — jakże tak w pan-
toflach — to bardziej ekshibicjonistycznie niż gdyby nago — pantofle! — wiadomo: dom, rodzinność, przytulność stołowo-sypialniana, swojskość, „pan domu“ — rzygać się chce! — były też wtedy lamen-
tacje! że pył, że błoto, że bakterie, gruźlica, syfylis, tyfus, szkarlatyna, dyfteria — a już grypa to tak pewna jak zamówiona w starej, solidnej firmie. — Fobia po prostu i hipochondria; to; tamto detaliczne porządnictwo wskazuje na erogenetyczną strefę analną; tu jeszcze, zaraz, jakby to...

— — — — —
— panie Lachowicz! — gdzie się pan podział do jasnej cholery! — wszyscy tu czekać na jasnie pana będziemy — co? — padamdonóżki pańskie! —
Znów dzwonki trajkocą.

Na scenę wchodzi Lachowicz z umyślną powol-
nością, chusteczką zasłania usta — wszystko na to, żeby wiadomo było, że chory i tyranizowany —

— wyjść na chwilę nie można, czy co? — opo-

wiadać się może jak w szkole, paluszki dwa pod-
niosę —

Mówi to tuż przed rampą, „na chrypcę“ mówi;
chory już bardzo i to tak, że już nigdy nic z niego
nie będzie; do grobu się kłaść prędziutko.

Reżyser — on jeden tej choroby nie dostrzega—
człowiek bez serca i bez sumienia:

— nigdy pana nima jak potrzeba; aktor psia-
krew! — no nie marudź pan i nie odstawiaj umrzy-
ka — wal pan dalej; — wróć, od „zdaje się, że słyszę
krzyk“ — — sufler ciszej! — niech sam gada, niech
się nauczy — — jazda, jazda —

Szczęśny: (— już nie człowiek z mięsa i kości —
mgielka biała przyodziana w garnitur skrojony
efef —):

...zdaje się, że słyszę krzyk, że słyszę krzyk —
panie sufler, nie musi mi pan gruchać wszystkiego,
ale podrzucić mi pan może słoweczko, nie? — jak?—
rewolucyjny?, aha — wiem, wiem — ...zdaje się, że
słyszę krzyk rewolucyjny ozywających grobów —
co ja mówię! Jezusiemario jak mi we łbie trzeszczy —

— przepił się pan wczoraj —

Lachowicz z politowaniem, jakby był Gandhim.
któremu zarzucono urznięcie się —:

— panie! — ja? —

— tekst! tekst — gadaj pan tekst —

Lachowicz: (— ożywiony nieco, bo już połapał
całe zdanie):

...zdaje mi się, że słyszę krzyk rewolucyjny
ozywających gruzów...

Dyrektor ziewnął przeraźliwie; w pewnym mo-
mencie przedłużającego się rozwarcia ust, wydaje

się, że cała łoża wypełniona jest tym ziewaniem — nie łoża już, lecz jama olbrzymiej paszczyki ugarnierowana przy parapecie i suficie rzędem dużych, końskich zębów. Oczu oderwać nie można!

...ożywających gruzów...

Reżyser:

— na lewo bardziej pan stań! — tam, w głębi, przy tym stołku — na to go panu postawiłem — przecież zaraz duch Hetmana wejdzie — będzie go pan szukał potem po całej scenie jak szpileczki — — jeszcze raz!

Szczęсны: (— już na lewo i w głębi, koło tego stołka, na który patrzy z bezgraniczną abominacją—):

...zdaje się, że słyszę krzyk rewolucyjny, ożywających gruzów...

Łoża zwarła wreszcie rozdziawione szczęki.

Myśli Cyprjana gasną; ostatnie dogrywiają się powoli i chrapliwie jak zepsuty kurant, gdy się już napięcie wiotkiej sprężyny kończy —:— we wszystkim tylko powierzchwnia, brzeżek rozumu; — do niczego i głupio!! — ach jak głupio!! —

Pod zarwanymi zdaniem wrze, parzy i piecze — wyć! wyć! —

Noc była bardzo ciężka — od ziemi ku gwiazdom blok ołowiu.

Po północy zaczął pisać; najpierw list; potem zwariowany poemat —

— *przeszły nade mną noce — i przedtem już były — noce nieukojne — ta ostatnia pusta — lecz w niej właśnie poprzednie stokrotnie ożyły — — bo skłamały przeze mnie całowane usta! —*

Znów list — do niej — bolesny, brutalny.

Tak do świtu.

Nad ranem list do Wisi. Dobrej w tej chwili i łagodnej Wisi; oazy; wytchnienia; — jak przychylna ojcowska komnata — ta myśl o niej kojąca; melancholijna nieco — lecz wygodna, dogodna — zbolęły organizm wypoczywa jak w miękkim futerale; bezpiecznie.

Wisia!

— — —

W tej chwili pokój szpitalny przepołowił się — odpadł szpital i połowa ścian — więc już nie pokój, a, zwyczajnie, platforma, taki wagon, półwagon towarowy. Z chrzęstem i łopotliwym rechotem grubych drutów (— cicho! żeby nie zbudzić szpitalnych towarzyszy! —) przestawiła zwrotnica wszystko jak należy; — długi, wąski szlak szyn — po równinie dalekiej biegną lśniąco — przy widnokregu rozległym, który zbliża się z błyskawiczną szybkością jak ziemia podczas lądowania — biały, duży dom stacyjny — dom stacyjny — stacja — napis: Maura — — Cóż to za miejscowość taka! — taka właśnie stacja; — tak się nazywa; — więc i to jeszcze? więc i to? — Zahamować! pędzący wagon! — nie teraz jechać, nie teraz — dziś nie i jutro nie, i pojutrze jeszcze niel! — Później — później! — — Wobec tego zawiera się wagon sufitem i półścianami jak wiekiem; i znów seperatka szpitalna, pełna teraz niepokoju przerywanej jazdy.

A wtedy — przyjechała Miła do jego miasta. Zatelegrafowała.

Był na stacji.

Wysiadła wonnie świeża i piękna, młoda i smu-
kła (— chuda? — pozornie tylko, wiadomo przecież,
że... nawet się kiedyś zdziwił, że taka krągła; taka
już dziewczynska jej budowa gubiąca się w suk-
niach —); gdy jej podał rękę przy zstępowaniu ze
zbyt wysokiego stopnia — oblał go nagle wilgotny
żar, jak ukrop, niepohamowana żądza — — tu za-
raz — wobec wszystkich — na tych kostkach kamien-
nych — ; — taka... to się działo w wysokim blasku
jej lśniących zębów.

— kocham cię! —

I zęby jej zawtórowały. Zrobiło się na świecie
biało jak przy pionowym słońcu na polach kredos-
wych.

Była u niego przez wieczór i noc.

Ułamek sekundy.

Oddana do ostatka.

Nazajutrz, gdy około godziny trzeciej wracał
z teatru — wiedział już — z tym uporem wyrosłym
na stu niepewnościach — że jej nie kocha; że ją jed-
nak nienawidzi. I dopiero, gdy to ustanie, gdy się
przewali i przeburzy...

— więc skończyło się —

— co pan mówi? —

Szedł z tym młodym aktorem, z Julkiem szedł.
Bardzo go lubił. Wysoki, kształtny; tors jak na rzeź-
bach atletów greckich. Subtelny i wrażliwy na duże
uczuciowości — na zewnątrz barbarzyńca szorstki
i umyślnie gruboskórny; trochę się nawet zgrywał na
ludozercę. Twarz wyrazista, szeroka, czoło jasne,
niewysokie, ładny zakrój ust; oczy jarzliwe w głę-

bokich oczodołach; wzrok w grocie. Namiętny społecznik; marksista.

— mówiłem co — ? —

— a coś tam pan mamrotał —

— głupstwo jakieś —

— zdaje mi się, że tak —

— słusznie —

— jakaś zmora pana dusi, zdeklasowany inteligencie —

Miał ten Julek żonę piękną; malarkę zdolną; — typ hiszpanki, smukła, smągła, brunetka — duże czarne ślepia, wilgotne, sarnie. — Również społeczniczka; oboje pracowali w kompartii.

Kochali się bardzo; i kłócili się wciąż.

Julek puszczał pieniądze na „kwartytki“, po prostu na wódkę. A tych pieniędzy wogóle dużo nie było. Ale taką presję miały wtedy jego szczeniące lata: pić! Z wódką albo na wódrze! inaczej ani rusz. Przed ukończonym ćwierćwieczem życia bywa tak. — Rozsadzało go. Fakt faktem, że talent w nim duży, aktorski jeden, malarski drugi; lecz w tym drugim — po wylaniu go z akademii za „wywrotowe rysunki“ — zaniedbywał się zupełnie; nygusował.

Jedyna to była para ludzka bliska Cyprjanowi na tym owoczesnym miejskim, nieprzychylnym terenie. Kochali się we troje mądrze i pożywnie. Tych dwoje dawało mu swą młodość świeżą, bujną, hormonalną: bierz, krzep się starszy towarzyszu. On im dawał żrąłość i plon doświadczenia: bierzcie, kochani, wszystko — to i tak nie wiele warte, ale przydać się może.

Julkowie — jej było Janka — mieli ustawiczne

kłopoty — poza finansowymi, które sztukowała porządkiem, kogo się dało, za tani pieniądz — z kluczem od bramy; szpera w tej połaci kraju nieznaną, trzeba mieć klucz i basta; a ten, który mieli, bo mieli klucz nawet wcale spory, to był wogóle klucz od innego zamku; ale oni upierali się, że to ten. Przyznać trzeba sprawiedliwie, że istotnie ten ich klucz, umiejętnie wykrzywiany, podsuwany, jakoś tak bokiem zakładany, czasem otwierał bramę; zamek pękał ze śmiechu, czy co? — ale to tylko Julek umiał, który był chłopak silny, i po prawdzie bramę tę całą i bez klucza mógł otworzyć — po prostu odstawiał bramę, opierał ją o mur i mówił: proszę cię Janka wejdz, już otwarte. Lecz czasem sztuka się nie udawała, zwłaszcza, gdy przerażony gospodarz takim zbyt szerokim i zbyt długim rozwarciem domu — umacniał zawiasy. A gdy i klucz zakaprysił i zniechęcił się — no to nie było wejścia.

Często też zrezygnowani i spracowani przychodzili do Cyprjana, a zawsze jakoś po północy — odpocząć (— tak to, figlarze, nazywali —), przysiąc — bo znów ten pieroński klucz nie chce otwierać. — Cyprjan dawał niezbity dowód naprawdę wielkiego, instynktownego przywiązania do tych gości nocnych: — pomimo, że dopiero, po długich neurastenicznych wahaniach, zasnął był — nie kłął, zbudzony, nie pomstował; witał ich z uśmiechem i religijnie: znów was diabli niosą! — Więc siadali. — Po chwili — bardzo krótkie, taki delikatny — Julek zakręcał się, zebrał i szedł na dworzec, tam ta nocna restauracja co to do rana, na kiełbaski i małe piwo; tak przynajmniej mówił; czasem dodawał sumiennie:

ewentualnie złopnę czarną. — Janka obojętna na kielbaski, piwo i czarną, anemiczna, bo co to za jadłem się obywalil, zmęczona nocną łazęgą, blada jak śledź wymokły, zostawała u Cyprjana; kładła się na otomanę; tedy otulał ją pieczołowicie pledem, a na nogi jeszcze płaszcz, żeby ciepło; gładził po włosach i dobranoc! Zasypiali, pomrukując neurastenicznie. Spali dobrze. Budzili się weseli i uśmiechali się do siebie. Janka stwierdzała przedsiębiorczo: zjadłabym co. No to warzył herbatę, skoczył po bułki do piekarni; razem jedli śniadanie, gadając przy tym bez przerwy. — Mówili do siebie po imieniu: Cyprjanie, niech no pan to, a to, słuchajcie co wam powiem; Janeczko, kochanie, co też pani, jak możecie — i t. p.

Tak to było.

Teraz o tej godzinie trzeciej po południu — wyssani dokumentnie sześcioma godzinami termitywych udręk teatralnych — szli ulicą gwarną, Cyprjan i Julek, opieszale i leniwie; robotnicy po szychcie; tak szli zmęczeni, niezgrabni; potrącali copochwila przechodniów.

Julek był jeszcze poza tym zaaferowany; zbliżał się okres giełdy aktorskiej — decyzji i możliwości angażowania.

Okrutna giełda.

Niema niczego bardziej wstrętnego; chyba asen terunek. Aż dziw, że w instytucji poświęconej (rzekomo) sztuce, takie świństwa się wyczyniają. O pracę idzie, o chleb, o zarobek, o ambicję. Wiedzą o tym dyrektorzy; i, jacyby nie byli, przybierają teraz fuchy i fanaberie kapitalistycznych chlebobawców;

fabrykanci widowisk. Intrygi, plotki, protekcje, poniżenia, podstawiania nóg, wyrywania z pod siedzącego krzesła — wszystko poniżej godności ludzkiej — parter ambicji? nie, nie suteryny nawet — podziemia średniowieczne. Trzymanie w szachu, wygrywanie jednych drugimi. A cały w tym świat kobiety? — taksowania brutalne, wyścig nóg, piersi i tyłków! — Cóż za kłębowisko intryg, prostytutce i pieniędzy. To trwa tygodniami — ten zapalny stan podniecenia, biała gorączka; deliryczne noce, dni wystane przed drzwiami: dyrekcja! — A gdy trafi na taki kaprański typ jak oto w naszym wypadku? Asen-terunek; ordynarność; gesty führerowskie; histeria. —

Konkluzja:

— stąd też aktorzy w przewadze są elementem rewolucyjnym —

— jedyna pociecha —

Skręcili w boczną, szeroką ulicę, pełną olbrzymich okien wystawowych.

— nie wiem doprawdy co robić — mógłbym się zaangażować w Krakowie — albo tu; lecz tu? — nie chcę — jeszcze taki drugi sezon w głupkowskim repertuarze — Kara Mustafa, psiakrew — nasz stary to kutas marynowany —

— nie przeczę, Julek, lecz to obrazowe wyrażenie nie wyczerpuje, moim skromnym zdaniem, zagadnienia; jest to charakterystyka i zbyt powierzchowna i zbyt folklorystyczna —

— a pan niby jak? — rococo, Wersal —

— nie; — ja ile razy patrzę, a czynię to mimo woli i niedobrowolnie codziennie, na tego krępego ćwierćtenora operetkowego o twarzy i wzięciu petit-

musolinicznym — przypominam sobie czarowne określenie takiego typu, mniej więcej takiego, przez France'a „cudownie udzielająca się głupota i potężny instykt błędzenia“, i z tych to powodów właśnie, jak sobie przypominasz, uważam go za zupełnie dojrzałego kandydata do ujęcia w ręce, w te silne, białe ręce o krótkich palcach i płaskich, szerokich paznokciach, steru rządów europejskich —

— pan już jak przesadził! —

— przesada się nie liczy; proszę cię zresztą, wyznacz mu skromniejszy zakres —

— już to uczyniłem —

— świetnie! — to jest, widzisz, właśnie ten typ, który potrafi wszystko; posiada przecież radośnie twórczy brak krytycyzmu i wątpienia jak również brak jakichkolwiek skrupułów, dodaj do tego zarozumiałość i pewność siebie, a otrzymasz okaz obdarzony niezawodnym instynktem rządzenia —

— pan go, Cyprjanie, jednak przecenia —

— możliwe, a nawet bardzo prawdopodobny—wskutek ciągłej chęci dopatrywania się w bliźnich doskonałości — myślę się często —

— ale co teraz robić? — poradźże pan —

— z czym — ? —

— jakto z czym, z tym zasranym angażowaniem się —

— sądzę, że w tej chwili najlepiej zrobisz, gdy sobie kupisz ten krawat w niebieskie i srebrne paski, jest ładny i podoba ci się od dawna — a o angażowaniu pomówimy, gdy to zmęczenie wyparuje z nas — w tej chwili przeważa irytacja —

Stali właśnie przed sklepem konfekcji męskiej.

Julek poszedł za dobrą radą; kupił krawa-
tę, a prócz niego jeszcze spinki niebieskie i chusteczkę
ciemno-popielatą w wąskie granatowe szlaki (-
wszystko płatne po pierwszym —).

Potem już nie rozmawiali; zmęczenie ssące
odebrało wszelką jasność myśli i starło resztkę po-
budliwości potrzebnej do wymiany zdań jako tako
sensownych. Otumanienie zdecydowane.

Zresztą było gorąco i duszno; miasto zady-
mione ciążyło na czaszce i piersiach. Parno. Serce
biło z wysiłkiem, tłoczyło w żyły krew gęstą i roz-
prażoną. U marynarki olbrzymiego Julka hojdał się
śmiesznie mały pakuneczek zawieszony na guziku:
to krawatka niebieska w srebrne pasy i te drobiazgi.

W oknie sklepu z ptakami całowały się dwie
papużki bardzo kolorowe; gil łuskał grubym dzió-
bem ziarna na dnie klatki; w szklanym kloszu krą-
żyły sennie złote rybki pośród przygniłych wodo-
rostów.

Zanosilo się na burzę. Niezawodnie.

Ociężale wspinali się ulicą podgórną ku lirycz-
nemu skwerkowi. W dzień robił raczej wrażenie
łązki ogrodzonej dla kóz. Aleje i ścieżki wyłożone
popękkanymi płytami kamiennymi, które może kiedyś
były prostokątne, ale to musiało być dawno, wywo-
ływały poczucie nieładu i zaopuszczenia. W ćmie to
wszystko inaczej wygląda; lada lampa gazowa ma
w sobie elementy romantyczne; ale w dzień skwarny,
zmęczony — do niczego! W kącie skwerku gro-
mada bezrobotnych przypatrywała się grającym
w karty — siedzieli okrakiem na ławie — z wysoka
tłukli tromfami; śmiechu było dość, bo ktoś wyszedł

dupkiem nie licząc się z damą świętą u przeciwnika — szkoda, że dziesiątki nie kinął! — Cała gromada chuda, wymizerowana, obdarta, parująca na słońcu zgnilizną nor wydrapanych w hałdach, plująca krwią i strzępami płuc — tworzyła piękną grupę folklorystyczną, oddającą się grze regionalnej na tle wspaniałych gmachów rządowych, bogatych kościołów i pałaców dyrektorów kopalń — otaczających dalekim kręgiem ten skwerek.

Usiedli.

Tak, to tasama ławka, na której — oh, przed wiekami — poraz pierwszy poszukał niezaradnych ust Mili.

Tu się poczęła miłość — szaleństwo — obłęd —

Dzisiaj spotkanie się z Milą było bezgraniczną męką; dla niej i dla Cyprjana.

Każda godzina spędzona poza nią była pustką i rozpaczą — osamotnieniem, które mrozi i przeraża; przy niej stawał się natychmiast zły, podstępny, inkwizytorski i prokuratorski; wymyślnymi torturami sądował jej życie przeszłe; sumował i nicował; a nie miał przecież żadnego prawa! wiedział o tym, gardził sobą, brnął w okrucieństwie dalej; — stawał się instancją zasądzającą, ferował wyroki bezlitosne i niesprawiedliwe — dla niej i dla siebie. Wyłuskiwał brutalne fakty podwójnie zakłamane, raz jej własnym wzmówieniem, drugi raz obnoszeniem się, gdzie trzeba i gdzie nie trzeba, z tymi złudami; docierał do ostatniej łupiny i znachodził tam wiecznie czynną sprężynę poczynań niewieścich: ambicję; samiczą ambicję; i tu tkwiło to najgorsze. — Nie ulegało zresztą

wątpliwości, że kochała, miłością odurzającą, swego męża, chlubiła się i pyszniła swoją i jego miłością. Źle, jak to przeważnie bywa, napoczęta, nie odczuwała z początku zbyt silnych emocyj, później wciągnęła się w rytm płciowy i przeżywała z nim płomienne rozkosze, a gdy ten rytm, pod wpływem niedosytu dziennego — był dobrym mężem w nocy, w dzień zrażał brakiem inteligencji i czułości — znów w niej osłabł — umiała ruchami i jękami znakomicie podszywać się pod spazmy szału i orgazmu; na spacerach miejskich pyszniła się nim, z dumą łowiła spojrzenia i naszepty: cóż za para! cóż za mężczyzna. — Wszystko to jasne, słuszne i normalne. — A potem ten cios. — Zdrada. — Współzawodnictwo forsowne z rywalkami — tu tych udawań szału płciowego najwięcej — z rywalkami, które posiadały wszelką niższość w porównaniu z nią, prócz jednej przewagi: nowości. Teraz: wstręt, pogarda (i dla siebie samej też), nienawiść, choroba nerwowa. I ostatecznie wygranie się miłości w rozżalonym krzyku owego poranka, gdy to wszystko zaczęło się kotłować, mierzwić i boleć.

Życie stawało się z dnia na dzień coraz bardziej zmorowate.

Co kilka dni, lub też i dzień po dniu — śpieszył do niej rozdygotany niecierpliwością, pełen nagromadzonego jadu i toksyn myślowych — kolejną, lukstordę, autem — — i już znów z rozżaleniem i nostalgicznością nie mającą żadnego oparcia w rozsądku; — gdy zbliżał się do jej domu, gdy już widział okna jej mieszkania i to jedno w ich pokoju z szerokolistną lipą wyglądającą na ulicę — jątrzyły

go nagle. duszące depresje — jakżeby dobrze było, gdybym to do Wisi jechał — jakże spokojnie, radośnie, równo! — Wszystkie koła rechotały w takt słów: męka, bezład, dwoistość!

I właśnie: dwoistość! — coś wręcz przeciwnego naturze Cyprjana. Uwielbiał jasność, pogodę, prostotę, ciszę i wieś: i to tylko sprzyjało pracy. — A zawsze wszystko przeciwnie, gdzie tu jest błąd w obrachunku? — W utrudnieniach zawinionych lecz niezamierzonych — wydawał się sobie błaznem — kiedyś w młodości widzianym —, który na pustą, szeroką arenę cyrkową wchodził z płotem na ramionach; płot ten w pośrodku areny ustawiał, otwierał furtkę, przechodził, znów furtkę zamykał, zabierał płot na ramię i szedł dalej; bardzo rozśmieszał publiczność.

Dwoistość obłądna stwarzała wokół Cyprjana wir mrocznych elementów, rozterkę, komplikacje — jakże tym wszystkim gardził! — wierzył przecież w istnienie myśli i słów wyzwających, leczących. Zagubił je teraz.

Zamęt nieznośny.

A do reszty domordowywało miasto — i to i tamto — jego i jej.

I to z wszystkiego najgorsze: niemoc twórcza, zatracenie ostateczne; dysgust życiowy; po co?, na co? — co z wszystkiego? —

Tym razem to „między“ trwało zbyt długo.

Miła zrozpaczona i zmięta do ostatka mówiła: rzekłeś przecież, żeby leczyć duszę zmysłami, a zmysły duszą! — zmierziło go to głupie słowo „dusza“—

obce, nic nie mówiące. Fuknął gniewnie. Przytoczył kiedyś to zdanie, tak, ale nie na to, żeby się go na pamięć uczyć. Ciągła żądza dogmatów.

Listy, którymi ją zasypywał pełne były skwaru, goryczy i ropiących ran. Złe listy.

I poezje pisał — o niej — dla niej — — nie ważył tego; niczym mu się to zdało. Pisał, wysyłał, nie pamiętał.

Bezsilnym gniewem napełniało go przekonanie — na niczym nie oparte —, że ta cała jego katorga sprzyja i dogadza jej ambicji (znów!) kobiecej, że jest jeszcze jećnym szczegółem jej kokieterijnego przybrania, jej stroju uwodzicielskiego; — nawet tak było z początku, lecz pod wpływem jego machinacji inkwizytorskich odpadł wszelki cień zarozumiałego skonstatowania, że on, Cyprjan, poeta, że tak, że tak bardzo — cierpi i kocha, kocha i cierpi — dla niej! — Oduczył ją; odechciało się jej; kochała go tak jak pisała: „poczynam się i kończę w mej miłości do Ciebie“. To była prawda.

Sam zaś stwierdzał, że w istocie zazdrość pełna lubieżnych wizji, zazdrość o jej poprzednie doznania i doświadczenia seksualne, zdwajała w nim pożądanie; w całą, już i tak zawiłą sprawę, wpełził element podniecającego sadyzmu psychicznego. — Zgnębiaoną, zmaltretowaną, wyindagowaną podstępnie i finezyjnie, gmatwającą się i wsypującą siebie w zeznaniach, rozpaczliwie łkającą — brał gniewnie, ostro, popędliwie — dyszał w jej uszy: — masz — masz — to ja, nie kto inny, to ja cię ugniatam — ja cię burzliwie upieszczam — dla mnie podsunęłaś się dogodnie —

dla mnie podnosisz wysoko piękne nogi i dłońmi
podtrzymujesz uda — żeby głębiej — pod serce —
— tak — tak — dla ciebie — tylko — dla cie-
bie jednego —

— nie kłam! —

Reszta myśli rozpuściła się, jak ołów w ogniu,
w jękach, zdyszeniach, w rozkoszy.

— na chwilę, na chwilę, An jedyny — podnieś
się, zelżyj, odetchnąć — —

Chciwie pełnymi ustami chwytala powietrze.

Rozpoczęły się długie naszepty, wykwitające
z nocy jak rozwarłe kwiaty magnolii — słowa gru-
chające, pełne napięć elektrycznych i rozładowań,
słowa jedyne w życiu, niezastąpione, — ukrywane
przez złych, jawne wszystkim dobrym, więc tym,
którzy wiedzą, że w nich, tych słowach najgorętszych,
są początki mowy ludzkiej, czar jej i pierwotność —,
że w nich też są rozsądniki wszelkiej poezji, wszel-
kiej wiedzy i wszelkich dokonań życiowych, że one
jedyne wyrażają pełny sens istnienia, tajemnicę ruchu
gwiazd i elektronów; rodzą się w najgłębszych zło-
żach instynktu, przeto też najbliższe są tajemnic
bytu. Pachną miłosnym potem i kasztanami.

— Milo — Milo —

— An — ty —

— nazywasz się jak afrodis — wenus z Milo —

Wargami w tajemniczo i mądrze ukształtowaną
konchę uszną, chłodną i różową:

— Milo, jak było, powiedz, jak było —

— An, jeszcze nigdy tak nie było — jak ty to
umiesz, jak to umiesz, kochanku najcudniejszy —

— to ty tak cudnie umiesz, Milo — daj ust,

no, jeszcze — a teraz oczka, z których uchodzi modra mgła — błyszczą jak brzask —

Te stwierdzenia, odurzające pieśzcoty słowne, roznamiętniały ich ponownie — elektryzowały ich wyobraźnię erotyczną.

— An, chodź, chodź —

Była zmysłowa i płodna.

Jej czynne jajniki, jej absolutna płodność — były paralełą kompleksu: mąż-zona, dom-gniazdo. Jej zuchwale wyrazista erogenetyczna strefa analna wypowiadała się wyrafinowaną schludnością w stosunku do siebie i otoczenia, ludzi i przedmiotów — co znachodziło również ujście w aż udręczającej manii ładzenia i porządkowania. To się udzielało, to było zaraźliwe.

Tak trwało.

Nareszcie nadszedł moment zgęszczenia się nowej koncepcji; ze zgłiszczowych, parzących dni i nocy poczęło się wyłaniać oblicze nowej książki — wyraziste i jasne. Jak do magnesu przyłgnęły do niej wszystkie myśli, namiętności i potrojona czujność i wrażliwość zmysłów. Pamięć poczęła gromadzić i segregować. Materializował się kształt jawnie i zdecydowanie. Teraz przydało się wszystko, gesty, ruchy, słowa, szepty, melodie i obrazy — wszystko. Powoli, nagrzane zapędy zaczęły żarzyć się, wyogniać i płonąć podsycane faktami i zdarzeniami, buchały wielkim ogniem. W pewnym momencie zaczęły warczeć i tętnić motory — koła i pasy nabierały siły i pędu.

Milol! Milol!

To przecież właśnie, ty, Milo!

I znów obuchem w łeb — między ślepią!

Siedzą, Cyprjan i Julek, na tej ławce naszep-
tującej wciąż i bez przerwy. Skwerek zaludnił się
dziećmi; biegają dookoła środkowego gazonu; po-
krzykują radośnie.

Niebo pociemniało. Widnokręgiem już po-
grzmiewa.

— — — — —
— — — — —

Rozmawiali? — zepewne — właśnie przecież
trzeba odpowiedzieć — :

— no tak, Julku kochany, zapewne masz rację,
choć jakies niuanse czy odchylenia muszą tu być
może zresztą tylko w energetyce, to znaczy zależnie
od siły obopólnego pociągu —

— si duo faciunt idem, non est idem — ? —
— choćby —

Julek upierał się, że kobieta ma jednaką frajdę
z każdym, żeby jej tylko do gustu trochę był.

— z każdym, zaraz z każdym (— przyznaje mu
rację, lecz broni pozycji jeszcze, z daleka i bez prze-
konania —)

— no to odwołuję, że z każdym, ale z dwudzie-
stoma, trzydziestoma na pe —

Janka rozgląda się wielkimi, czarnymi ślepiami
po sali — profil ma wyraźnie greckich młodzieńców
rzeźbionych po Praksytelesie, podbródek, skład ust,
czoło, nos — słyszy piąte przez dziesiąte co to tu
mówią — zabiera głos w najniestosowniejszej chwili
i mówi już całkiem nie à propos — :

— widziałam was tu kiedyś w kawiarni — ko-
chacie się jak dwa gołąbki —

Dookoła gwar pijacki szumi nonsensem.

Głupio.

Od wieczora pili setnie. We troje. Wódę.

A teraz, ech, jest już późno, sakramencko póź-
no, — złopiają wcale podle wino, czerwone, burgund
niby, ale mizerny, buraczany, alkoholizowany —
w obskurnej tancbudzie, dancing niby, z produkcjami
nagich tancerek; — były i inne punkty programu,
lecz nie wzbudzały wśród gości żywego zaintereso-
wania, bo i co kogo obchodzi fakir połykający pło-
nące węgle, albo magik karciany; to nic nie jest; co
innego goła dziewczka; tego się chce.

Piją bez ochoty już, „na siłę“.

Siedzą w „bukisie“ — to jest taka seperowana
łoża, jedna z wielu obiegających dookoła salę. Wszę-
dzie obrzydliwy, czerwony plusz — czerwone kule
światła — wino czerwone — dym w tym wszystkim
i pył, mgła — i czerwień we wszystkim; obskurne! —
wszystko wnętrzościami na wierzch; flakami; kisz-
ki — płuca — serce — wątroba — pęcherz — nerki —
mózg — rozłożone, wywalone; jatki; — żywe mięso
— bez kości, bez szkieletu — — tym oparem czerw-
nym nasycone, jak aniliną zabarwiony eksponat bakte-
teryjny pod mikroskopem.

Cyprjan przestał pić; od pół godziny przestał;
zatruty po prostu; dwoi i troi się i wiruje wszystko —
karuzela —

(— kiedyż to tam karuzela; dawno —)

trudno wzrok na czymś skoncentrować i usta-
lić — żeby myśl choć przyczepić, zawiesić na gwoźdź

dziu jak płaszcz — tu nie, tam nie — zaraz to ucieka, ucieka, ucieka — — no więc ani kropli teraz; nie; przerwa; nie kuś, nie namawiaj; nie ma mowy!

— jeden łyk, wiadomo, zwali i załamię —

(— a przecież muszę wytrzeźwieć, bo...)

ale to przejdzie za, za — no, jeszcze pół godziny; — wtedy można na nowo.

Julek jest bardzo śmieszny; zmazało mu oczy z twarzy, jak kredę z tablicy; zaszły bielmem porosły skórą — no i nie ma oczu; szkoda oczu — gdzie masz Julek oczy? — co? — są! — tylko tak... Na ogół dobrze się trzyma; zdjął marynarkę, odpiął kołnierzyk, założył obręb rozchełstanej koszuli do środka — i tak paraduje trójkątnym wycięciem owłosionym, jak młodzi robociarze.

(— okno nad głęboką studnią podwórzową — robotnik młody — stukot młotka jak znaki telegraficzne — — .

. — — . . — ; dawno —)

Janeczka pochlipuje cichutko, taka wstawiona; bledziutka jak gazetowy papier. Zawsze jest blada — więc pod wieczorną — teraz już nocną popijawę, żeby żółto w świetle lamp nie wyglądać — namalowała sobie rumieńczyki; ale ładajako niedbale to zrobiła; jeden rumieniec wyżej od oka ku uchu — drugi niżej i prawowicie, na policzku, tak jak ma być. Że też malarka... Teraz w popołudniowej zawieszono pozostałe z tych rumieńców, jak ślady po roztopieniu, nieregularne resztki plam niezdecydowanego koloru; confetti.

Jest jeszcze, od paru godzin siedzi tu z nimi, stary aktor Rustan; wnuk. bardzo proszę, mówi, po

wstańca z trzydziestego pierwszego, syn, do usług, powiada, powstańca z sześćdziesiątego trzeciego. Łysy, jak kula bilardowa, pomarszczony jak jabłko na przednowku, kaprawy, powieki zaczerwienione, bez rzęs; oryginał; byczy kompan; pijak i dziewczarz. nic latami, a sześćdziesiątka z okładem, niewystusdzony.

— tango, mój boże, pod złotym niebem Argentyny — jest świat, jest — duży, ogromny, daleki świat — kto by mówił, że go niema, powiedziałbym mu — myli się pan — grzecznie bym powiedział ale stanowczo — no, bo gdzież tak można? — lu, ko chani, na wasze — — patrzcie! —

W czerwonej mgłę akurat tańczy jakieś smukłe ciało; pióropusze to ma kolosalne na łbie — w zębach czerwona róża — — śliczna dziewczyna, zbudowana jak sto diabłów — — piruety, taniec brzucha, coś w tym rodzaju — pępek i sutki pomalowane jak wargi: cynobrem jaskrawym — a tam na wygodnym wzgórk u zbiegu nóg tylko karta: as coeur, na cienkim zawieszona łańcuszku obiegającym jak drobny dresczyk biodra; — poza tym nic; ciało! — oczy dookoła chciwie wylawiają momenty, gdy w zwinnym piruecie załsnia pośladki — że zaś piś jaństwo dwoi obraz, no to akurat przydatne —

— widać dwa tyleczki za jeden pieniądz, oszczędność — nie? —

Rustan ściga wargi w pocieszny ryjek, ku któremu zbiegają się zewsząd zmarszczki — :

— nie? —

Cyprjan zanosi się śmiechem i kaszlem sercowym, bardzo nużącym.

I nagle — stop!

Czarna posępnosć zapada na czerwień, jak ciężka kurtyna na scenę pożaru.

Julek przechyla się ociężale ku sąsiedniej łoży — przez spadzistą, pluszową, kapryśną ślimacznicą opadającą rampkę — wyszczerza zęby ku olbrzymiemu karkowi sfaldowanemu i jak gruba, niewędzona, krwią podbiegła kielbasa, leżącemu wałem obrzydliwym na kołnierzu — świński, psiakrew, kark —

— świetny punkt programu, panie dyrektorze, świetny! —

Mówi tak Julek do właściciela lokalu, bo idzie o kredyt w tym drogim zakładzie. Nikt z nich czworga nie ma już przecie forsy; utonęła w licznych „kwaśrytkach“.

Gruby kark pierdnął: ppach! — Nie lubi gruby kark konfidencji z gośćmi; gruby kark wie co to znaczy.

Coraz więcej dymu i nagości, tyle tylko, że te danserki copochwila co innego na łbie, to cylinder lśniący, to dzety błyszczące wokół głowy na drżących drutach, to, jak tamta, pióra strusie, to znów błazeńskie tulejki papierowe na bakier — żeby, wiecie, tylko nie całkiem nago; no bo wstyd przecie; i nieprzyzwoicie; i tam też na wygolonych wzgóreczkach jakies fidrygalki: karta, brelok, piórko, zegarek, gwizdek, kwiatek; musowo; żeby znowuż zgorzszczenia nie było na świecie.

Cyprjan przymyka oczy — choć to nic nie znaczy i żadnej różnicy — i tak jest pod powiekami czerwono; purpurowo w złote, ruchliwe glistki po krajach. Pomimo tej kurtyny czarnej; ponuro.

Szumiący, szczekliwy gwar zagłusza szept prawie, mowa cicha, zwierzająca — :

— to był najcięższy moment, mówi Mila, skulona na tapczanie jak mała dziewczynka, chora dziewczynka; pieczołowicie nakrył jej nogi zawsze zziębnięte pledem, pootulał stopy; — najcięższy moment ciężkiego przecież życia było to w sanatorium; do stałam przydział, z płucami było kiepsko; więc zwyczajnie: zastrzyki, tuczenie, leżakowanie. Było to dopiero po wypadkach dwudziestego szóstego roku, czerwiec, czy początek lipca; — duża, oszklona z boków, otwarta przez całą długość weranda; — sosny — Tatry — tuż prawie Gewont. Obok mojego leżaka stał drugi, pusty; zarezerwowany; dla jakiejś pani, mówią; tak kilka dni. Leżę godzinami, rysuję w szkicowniku —

(— jest taki jej rysunek —: Gewont, głowa rycerza ma rysy Marszałka — lecz to dawniej rysowane —)

zdrowieję i myśli jaśniej. — Aż dnia któregoś zjawiła się ta moja sąsiadka; w czerni; w żałobie; młoda, ładna, bardzo wychudnięta i bardzo zgaębiona, tragiczna wprost. — Po tygodniu może — ona wciąż zboliała i milcząca — wciągamy ją w rozmowę, mówimy, o dzieciach rozmawiamy, zapytuję: „— pani w... żałobie?“ — „po mężu“ — i po chwili mówi cicho i monotownie: — był pilotem mąż jej — małżeństwo młode — dwa lata pobrani byli — bardzo się kochali, roczny synek, jest teraz u rodziców, ona po śmierci męża rozchorowała się, musi się leczyć — — „katastrofa?“ — „nie, to było podczas przewrotu, należał do tych po drugiej stronie, był służbistą, służył

prawowitemu rządowi, źle czy dobrze, tak było—prze-
latywał codziennie nad Warszawą, woził instrukcje“,
„i co?“ — „ostrzelivano go często, lecz nic szkodli-
wego — co to były za dni dla mnie, co to były za
dni! — uspokajał mnie, że przecież swój swego nie
będzie mordował — tak trwało parę dni — aż raz —
celny strzał! — spadł; spłonął żywcem — już tylko
węgiel — ujrzałam nazajutrz — węgiel — zwinięty,
pokurczony — strasznie musiał cierpieć!“ — lzy spły-
wały po chudych policzkach wdowy, ciche, bez szlo-
chu; zaplecione ręce na kolanach; — a ja ku tym
łzom, nachylałam się i zalęknionym szeptem: „—kto?—,
czyj strzał?“ — — Powiedziała nazwisko. Zreszta
było w gazetach o tym bohaterskim wyczynie! —...
to była wdowa po pilocie, którego zestrzelił mój mąż.
Wyjechałam tego samego dnia. Znienawidzone na-
zwisko! — biedne dzieci moje...

I tak tym obuchem; raz po razie! —

Mila mówiła dalej:

— pamiętam...

(— i wszystko poza czarną zasłoną — jedynie
skądś z góry pada smuga żółtego światła wirująca
pyłkami i dymem ciągłym —)

(„pamiętam“ — zawsze żyje przeszłością, wspo-
mnieniami, datami — — jakże inaczej niż pani Ho,
która wykreśla przeszłość z pamięci — i przyszłością
tylko żyje; — oto rzekła: gdy trzeba było wyjeżdżać
z Kijowa — opuścić dom — zostawić wszystko, z ta-
kim trudem, pracą wielką zdobyte — stanęłam
w drzwiach, spojrzałam dookoła i jakby coś pękło
w sercu — odeszłam nie spojrzawszy za siebie —
nie istniało, przestało istnieć — od jutra zaczyna się

nowy, pierwszy dzień życia; tak mówiła pani Ho, nieznająca słowa: przeszłość, wykreślająca z egzemplarza reżyserskiego czasownik: pamiętam)

— pamiętam, gdy oni wracali po tych bratobójczych śmierciach setek młodych organizmów — obсыpywały ich panie miejskie kwiatami — witały — wiwatowały; — ja zostałam w domu, uciekłam z pokoju, którego okna wychodziły na ulicę — nie chciałam patrzeć — pobiegłam do drugiego pokoju, do trzeciego, ostatniego, jakby ktoś gnał za mną, taki był we mnie popłoch; oparłam się o ścianę — — serce wali — — słyszę tupot — tupot — schody — otwieranie drzwi — coraz bliższe kroki — — już wszedł! — Stałam bez ruchu, ręce przycisnęłam do piersi — — nie podeszłam — — „jakże, nie witasz czy co?“ — rzekł, — a miał na sobie pełno narcyzów, za czapką, za pasem i w lufie karabina tkwił narcyz; to był ten karabin! — Wszystkie gazety pisały, więc mówię: „zestrzeliłeś samolot, zabiłeś człowieka!“ — — „to był strzał! co?“ i rozśmiał się głośno; — „ale i tybyś trafiła, dobrze strzelasz przecie, trzeba tylko mieć pewną rękę“ — — w nocy spałam z nim; całą noc mnie tłamsił, ledwie się zdrzemnęłam na chwilę, już mnie budził i kazał...

Podnosi się powoli czarna kurtyna — smuga żółtego światła gaśnie.

Dwojenia i trojenia minęły dawno.

Już piją na nowo, od początku.

W kręgu czerwonych łóż, pod obracającym się reflektorem wielobarwnym, mieni się w przesuwanych chmurach kolorów para tancerek —: kozak; z przysiadami; — muzyka rżnie na całego — publiczność

bije brawo w rytmie tańca — nogami i korpusem
naśladują prysiudy —

(— pani Ho! — jakże znakomicie umiała pal-
cami imitować ten taniec! — dawno! —)

Pubilczność śpiewa — krzyczy — gwizdże —
hu — ha!

Rustan wparł łokcie w dół — gestykuje
dłońmi i palcami szeroko, rozstawnie, wymownie —
— pochyła głowę i wtajemnicza szeptem zachrypłym,
wybaluszonymi, przekrwionymi białkami — próbuje
wymanić przytakiwanie słuchaczy — żlamda, błaga,
łasi się:

— jedno dziecko miałem, chłopak, Zbyszek —
— no i zmarł w czternastej wiosnie życia — hę?
pech! — nikogo nie kochałem, jednego jego, Zbysz-
ka, kochałem — — ładny był, czupryna czarna, gęsta,
w dotyku międzusieńka, taka jak jedwab — lubi-
łem... a oczy miał jak tarki, czarne, żywe — chłopak
był rozgarniony, bystry; i dobry; bardzo dobry — —
no i umarł na tych, o, na tych rękach umarł; a one
żyją, przeżyły — cóż tam ręce! — ręce — ręce — to
jest nic! — — nalejno Julek — i każ wódki — wino,
takie wino — — co rok w rocznicę śmierci idę na
jego grób — jadę, jeśli daleko; — dwadzieścia dwa
lat temu — dwadzieścia dwa razy jechałem, byłem —
zawsze z półliterkiem wódki — i tam wśród mogli-
łek na jego zdrowie! eks! — takie tam i jego zdro-
wie, chudziątka mizernego, kosteczki się ino biela
w truchle, nic więcej — — miałby dziś, akuratnie
miałby trzydzieści sześć lat, ładne lata, pomiędzy
trzydziestką a czterdziestką to są najpiękniejsze lata—
ale tu nie ma takiego między nami, — — połowa z nas

nie ma trzydziestu a druga połowa po czterdziestce, ja też mam po czterdziestce rozumie się — — co rok mu tam mówię: masz teraz Zbyszku tyle to a tyle lat — — ja niby z takiej, prawda, rodziny: koń, szabelka etcetera — ale on, ho-ho! — on byłby uczonym — jak myślicie? byłby? — fizyka to było dla niego coś, chemia, dajmy na to, medycyna — myślę: wynalazca jak Pasteur lub Koch, co? albo jak Miecznikow, nie? — albo Ehrlich — jeden z tych herosów, panie, wiedzy — szczęście i zdrowie ludzkości! — Bo to są najwięksi! wiecie? —: najwięksi!! — a ja bym sobie starowina siw... to jest łysiutki, u niego za służącego w laboratorium, sprzątanie i cisza — w pantoflach filcowych szłap, szłap — żeby nie przeszkadzać — i tylko w nocy: Zbyś, prześpij się, nie można tak się zamęczać! — ja ci już tych tygli dopilnuję i probówek i tego pieca, Zbysiu, inkubacyjnego — ha?, wiem, wiem — Zbyś! Zbyś! — wiedza, mądrość, sława! — — twoje, synku, zdrowie! —

Nalał w kielich od wina wódki — wychylił duszkiem. Oczy mu już całkiem na wierzch wylazły; ściągnął wargi w ryjek, cmoknął i dalej:

— a teraz to co? — grałem i gram, pajac, aktor, histrión, uważacie, aktor! — jubileusiki obchodzę co pięć lat, bo to benefis, nie? i z zaspu coś kapnie — tak się żyje z polska, pije z polska; — i tyle, że te królowe moje śliczne —

— już z tymi królowymi, Rustan, wyjeżdżasz? — toś już fest pod gazem —

— jeszcze nie wyjeżdżam, Julek, jeszcze nie, mówię tylko, że tylko, tylko-tylko — o! —

Powiódł podkrwawionymi gałami po czerwos-

nym oparze, z którego wyłyskiwały uda, pośladki, brzuchy, piersi, plecy — rozdrżane, zatańczone, wynurzające się —

— to wszystko królowe moje najdroższe —

Po chwili wyproszonej medytacji — :

— *legł w sześćdziesiątym trzecim, dziś zapomniany grób —*

*nikt wieńców mu niedawał, nie rzucił kwiatów, świec —
mój ojciec był bohater, a ja jestem nic —*

— *ja się rumienię, wstydzę, wstyd biorę wasz do lic —
mój ojciec był bohater, a ja to jestem nic —*

Rozplakał się.

Lewą ręką przeleciał zygzakiem ponad głową i stołem — opadła, jak zestrzelony ptak, między kieliszki — rozbiła jeden — polało się wino — krzyknął —

— gównu jestem! — i wy też! wszyscy —

Z buksy dyrektorskiej pierdnęło: ppach —

— gównu jesteście! — trzepnęło w salę.

Dojrzał Rustan przez opar pijaństwa Jankę drzemiącą w kącie kanapy — podsunął się — ucałował jej bezwładną rękę, pomoczył ją łzami —:

— wybacz, ty nie, o nie, — ty? — o królowo ty moja —

Uśmiechnął się ku tym tam na parkecie tańczącym — zaszeptał — :

— królowe moje najśłodsze — dupinki cacy —

Julek do Cyprjana:

— jak on już z tym ojcem, wie pan, bohaterem, a że on to nic, wyjeżdża, znaczy się urżnięty total

nie — od dwudziestu lat na wszystkich swoich jubileuszach powtarza: mój ojciec był bohater, a ja jestem nic —

Nowa flaszka na stole. Piją. Bez smaku już i bez wyraźnej pewności co i ile; naumór.

Z ciemnego zakamarka sali, tam, pod sufitem, poza reflektorem, wyklębia się dym, jakby go wiatr spowrotem gnał na salę — wiją się wstęgi, wzburzają i banieją kłęby, wirują coraz szybciej, coraz szybciej — wylania się nikły i zwiewny zarys twarzy, blady, błękitnawy, jak płomyk spirytusu — z każdą jednak sekundą wyraźniejszy i trwalszy — — w fosforycznej, chudej twarzy lśnią poblaskiem żywego srebra olbrzymie oczy — a wokół głowy i ściętej szyi dym już wije się sycząco, płazio, gniewnie — —
Mila — — meduza — —

Samopas galopujące, bezpasterskie, spłoszone słowa Cyprjana wracają z opuszczoną głową, najęzzone, wyszczerzone, pobłyskują ostrymi kłami — są bezlitosne, chłoszczące, złe, pianą ociekające — ; — tam, właśnie pod sufitem, jest owalne lustro — raz jest szkłem, raz twarzą; — ku temu to czołga się w skrętach schrypły mamrot:

— strąciłem cię z romantycznego ołtarzyka w stylu emipre, piękna lalo upozowana na gipsową madonnę z Lourdes, białą, z niebieską wstążką, pannieko z sacré coeur — — przestałem być głupim, opętanym Gustawem...

Zarechotał i obejrzał się kto też tak wstrętnie się śmieje — tak ohydnie.

Muzyka odważa jakąś starzyznę — niby że wspominkowo, obyczajowo, „dawne czasy“ — pląs

cze się durny, katarynkowy refren: — o mein lieber Augustin, Augustin, Augustin —

Nie można się uwolnić od tej melodii natrętej — psiakrew!

Znów zrasta się przecięta, rudą krwią okapująca myśl — :

— głupi Gustaw! — tyle umiał wyźględzić w ruinicznej pozie, wsparty na Judahu skale: — za coś dla mnie tyle ulubiona? za com z twoim spotkał się wejrzeniem? — jednąm wybrał z tylu dziewcząt grona, i ta cudzym przykuta pierścieniem! —

— Ho — ho — ho! —

— o mein lieber Augustin, Augustin, Augustin —

— zanim minęłaś jak sen jaki złoty, postawiłem cię na antycznym cokole — ciebie, tak, ciebie — na wysokim cokole, aby było widocznie — — stałaś na nim naga, ociekająca wszystkimi otworami ciała spermą — spływa ci po twarzy, po tej twojej buzince cacanej, po szyi, ramionach, pośród i przez piersi, plecy, brzuch, przez pośladki, uda i nogi — stopy twe nurzają się w niej po kostki — cokół obślizgły i ociekający przestał być marmurem, jest grząskim płynięciem, topliwością — lój nagrzanym, stearyna; — tak tam wtedy stałaś w ten czarny dzień — czytałem ci, natrętny poeta, z trudem, bo oczy miałem przekrwione i ropiejące z niewyspanych wielu nocy, a ręce trzymające arkusz trzęsły się tak, że litery wpadały na siebie jak w zecerni podczas trzęsienia ziemi — — długi to był wiersz — nic z niego w tej chwili nie pamiętam...

Orkiestra wyrwasi i bzdurzy gruchotliwie —

rewia katarynek spod ciemnej gwiazdy — a teraz już całkiem wyraźnie: — Małgorzatko kocham cię na rzadko, jak cię widzę częściej, kocham cię na gęściej — — Jeszcze tylko białe myszki puścić na ten czerwony plusz, rój białych myszek z kolorowymi zwiłkami w pyszczkach: horoskopy, przepowiednie, wróżby, i pod jaką planetą, i jaki komu minerał przydatny — ; — właściwie to się myśl opóźniła — przecież już od jakiegoś kwadransa biegają zwinnie białe myszki z nagimi, różowymi, do glist podobnymi ogonkami po buksach, galeryjkach, krzesłach, stolikach — pośród flaszek i kieliszków — nad stawkami wina i kolorowych wódek zatrzymują się i chłpcą małymi języczkami chciwie, niektóre łakomsze stają na tylnych nóżkach wyciągają się i piją z kieliszków, całe przy tym drżą z wysiłku: — ; — wszędzie pełno tych białych myszek — jakaś pani o cienkich na czole wyrysowanych brwiach — wrzasnęła nagle, bo mała, nieostrożna myszka wpadła jej za gors — ; — a Julek chwyta je — te tu na stole — jak muchy — przyczajoną ręką, podnosi za ogon i zanurza w kieliszku z czerwonym winem — otrząsają się i łąją ociężałe zmokłe i bladoróżowe — ; — śmieszne: jedna myszka przycupnęła na tym grubym fałdzie dyrektorskiego karku — a teraz chodzi sobie po wale tłuszczu — staje słupka i obwąchuje łysinę —

— że nie pamiętam? ech, coś tam pamiętam — ten czarny wtedy dzień — o, pamiętam, jedną zwłaszcza zwrotkę —

— panie Cyprjanie — pijemy — lu —

— nie, dziękuję, czuć myszami — za delikatne mam powonienie —

Rustan ułożył łysą dynię głowy na kolanach śpiącej Janki; chrapnął; z kąta ust cieknie mu ciężka ślina.

— o, pamiętam już dokładnie — tę zwrotkę naprzykład:

(— tylko dwie pierwsze zgłoski zagubiły mi się —)

— — *nie mogłaś powstać i opuścić łóża,
nad którym konał lotnik niewinnie spalony,
a wraz z warkotem śmigła z krwawego przestworza
padały na twe ręce łzy matki i żony —*

(— i ty zapłakałaś; późno; zakryłaś twarz —)

— ejże i drugą, gdzieś z końca, pamiętam, tę mianowicie:

*, że nadejdzie kres państwu robotniczą wiosną
i nadejdzie wielkości i myśli godzina —
i znów narcyzy dla nas, spracowanych, wzrosną
z ziemi, z ziemi!! -- nie z podłej lufy karabino! —*

— wtedy krzyknęłaś: nie męcz mnie! nie dręcz więcej! — to potworne! — no tak, no tak, byłam kurwą, tak, byłam — sprzedawałam i sprzedawałam się za grosze, za to, że ranga, że reprezentacyjny chłop, że ordery — tak, byłam kurwą — — lecz ty bezliatosny gorszyś ode mnie, zabijasz we mnie, okrutniku, każdą radość, płoszysz najdrobniejszy uśmiech, gdyby mi tylko trochę lepiej być mogło, to ty już mi tego zazdrościsz, wspólnotą cierpienia opętany, i dręczysz i gnębisz — no tak, byłam kurwą, i zawsze było źle i wstrętnie i... i sucho... wiesz?!

— ja się o twoją przeszłość nie troszczę, jeśli

kiedy pytałam to z głupiej, babskiej ciekawości; spotkałam cię w jednym z dni mojego życia i od tego dnia liczę życie — — mówię o dniu na drodze kamienistej — — bo przed tym...

(— zamilkła wtedy nagle, usiadła na podłodze — taka odrazu mała, zwinięta, chora dziewczynka — wpatrzyła się w okno, w którym konał we krwi dzień — duże krople łez zaczerwienionych od blaskiem zorzy drżały u jej nieruchomych powiek —)

W tym momencie — nabrzmiewającej żalości — przechylił się przez barierę łoży obcy pijany gość w jakimś mundurze, niewiadomo jakim, tyle tych organizacji półwojskowych — na piersi ma całe konstelacje świecących blaszek owalnych, okrągłych, kwadratowych, w formie krzyża, tarcze, posy i takie różne — zalany w sztok — — wyciąga rękę — palcem mierzy w Julka i bełkoce krzykliwie i zapluto — :

— cóż tu ten komunista robi — pieronie — won! —

Muzyka znów wraca do wstępnego refrenu:

— o mein lieber Aug — — sss — tt — nnn —

Rozległ się płaski trzask. To Julek wyrznął tego gawra w pysk.

A zaraz po tym plaśnięciu wyleciała z rąk Julka kręgielnym łukiem flaszka na środek parkietu — roztrzaskała się z hukiem — i opryskała brzuch i uda tancerki winem czerwonym — okrwawiło się ciało niewieście jakby nagłą mentruacją. Krzyknęła i wybiegła do garderób.

Zrobił się rwetes i zamieszanie.

Gruby kark pierdnął dwa razy: ppach! ppach!

Podniosły się krzyki; wrzawa rosła.

Wreszcie zlikwidowano zajście bardzo szybko. Pozbierano pijanego awanturnika i wyprowadzono, wyrwał się, kłął i odgrażał, że zabije tego skurwysyna komunistę, niech go tylko gdzie spotka — po czym wrzasnął: bić żydów! — naco Julek znów chciał rzucić flaszkę, już w łeb tamtego mierzył; — uspokoił go Cyprjan.

Wszystko to mało kogo obchodziło. Gości już zresztą było nie wielu. Tancerki rozsiadły się po łóżkach; naciągały na kolację i „szampan“.

Z całej tej niespodzianej brewerii wyrósł w Cyprjanie nagły, nierozumny, bardzo dokuczny lęk; względnie pchnęła go ta awantura ku świadomości; — wyobrazził sobie Cyprjan, że właśnie teraz, w tej chwili... może jakiś list, donos, telegram, anonim... ciągle to w nim tkwiło; żeby się Wisia nie dowiedziała; fobia, poprostu fobia; bezsensowna, nieuzasadniona, nie mająca odpowiedzi na pytanie: dlaczego? — no bo cóż, gdyby nawet! — — Przedtem tego nie było. Dopiero... dopiero, gdy ta furia zażdości. — Ilekroć był u Mili — lękał się stawać blisko okna, aby go Wisia nie dojrzała; a przecież pięćdziesiąt kilometrów jedna od drugiej; nonsens; a jednak... Dzwonek! — — gdzie właściwie dzwoni? — ktoś chce płacić? — czy to ten dzwonek u Mili? — — wzdrygnął się — pewnie Wisia! — Dowiedziała się, przyszła... wchodzi... w przedpokoju, widzi, wisi jego palto, kapelusz, laska — po tej lasce każdyby wiedział — — więc on tutaj! tutaj!! — u tej! — — a potem — — Odtwarzał poraz setny tę rozmowę złą, prostą i wykrętną zarazem — — I teraz, żeby się

nie dowiedziała! żeby nie!! — I właściwie poco to wszystko?—dlaczego?—przecież ona i tak wie, i on wie, że ona wie — — o Mili nie wie! — nie chcę, żeby o Mili wiedziała; żeby źle wiedziała; poprawił; — rzekł to głośno, lecz nikt nie usłyszał; każdy w swej półprzytomności zanurzony jak w kadzi. — — A teraz jedna od drugiej dwieście kilometrów — duży kraj z miastami, wsiami, rzekami, lasami pomiędzy nimi; — Mila przecież... wypił kieliszek haustem, z trudem ustawił go spowrotem na zalanym, paskudnym, pełnym potopionych niedopałków stole... na tej operacji, operacji, operacji... to przecież Julek właśnie: — i takby pan nie spał, przebumlujemy tę noc, pojedę rano z panem... Tak po tym liście powiedział! — po liście, którego znał treść; słów nie znał, słów, tych słów: — „An! An, krzyczę do ciebie! nie chcę, nie chcę, boję się! — lecz muszę; — o An — kusi ta rurka szklana; — to jeszcze t a m t e n, ten sam“ — (— płacze się wciąż to słowo i tu w szpitalu było głośne i wyraźne: weronal! —) — „czeka, wciąż czeka! — o An, jak źle, jak przeraźliwie!! — wtedy dzieci, lecz dziś, gdy przysłoniłeś wszystko, gdy miłość moja przysłoniła wszystkich i wszystko! gdy tylko ty, tylko ty jedyny, wielki, ostateczny! — Biedne nieszczęśliwe istotki! — wiem, że je przecież nie kocham, bo nie ma miejsca w sercu poza tobą — o An!! — Jak strasznie słyszeć nad sobą rosnącą trawę!! — i tylko twe listy każę włożyć... nie, nie, nie, nie chcę cię, jedyny, zasmuć! Bądź! przyjeźdź!“ —
Sza-leń-stwo!!

- Julek, pójdźmy już, przecież to ranek —
- tramwajem, Cyprjanie, panie złoty, będzie

my raz-dwa — człowieku przez duże c — po piątej dopiero —

— lecz, widzisz, o ósmej, muszę —

— zdążymy —

I spojrzął na Cyprjana przywróconymi już oczyma — przychylnie tak!

Janka spała wpoprzek kanapy.

Rustan gdzieś znikł. Kiedy?

Cyprjan i Julek powstali ciężko, bardzo chwiejni i rozdygotani.

— sztagan wzmocnionej wódy trza kropnąć, bez tego nie da rady, nie pozbieramy się —

Julek podyktował mikserowi jakie to te ingredjencje mają być — tyle bongu, reszta czystej, trochę wermutem zakropić — stop! — literatkę tego świństwa; opierają się o bufet; sala prawie pusta; jaskrawo, biały reflektor oświetla tę deprymująca przestrzeń; orkiestra rozlazła się; na podium śpią zmęczone instrumenty; złym wzrokiem lśnią blachy; bęben rozwalił brzuch; słychać jak chrapie.

Stuknęli się niemrawo brudno-żółtym płynem.

Wypili! — aż w piersiach zatkało; obrzydliwość! Lecz, rację miał Julek, momentalnie wytrzymało; sytuacje przejaśniały, przetarły się chmury nieprzytomności, okolice myśli poprzestawiały się jak kulisy w teatrze.

Julek potryndał się w szerokich, zmiętych portkach, z płatniczym za kontuar — żeby nie tak na widoku; pusta kieszeń woli cień i miejsca osamotnione; — dziwny typek ten płatniczy, czarny, osmolony, węgier? cygan? — kędzierzawy; — uuu — duży ra-

chunek — — nie trzeba było, perswaduje osmolony, tego wina, to najdroższe! —

— a procent? — dla artystów? — dajmy na to; no? —

Płatniczy znikł na chwilę; wrócił: dziesięć procent, powiada, tak pan dyrektor powiedział; — a widzisz pan szanowny! ha! — dziesięć procent nie wiele, lecz zawsze coś; no to teraz zliczajmy mądrze i żeby pięknie —

Rustan pod upiornym gazem siedzi przy drzwiach z napisem: toaleta dla dam; — miętosi dwie kelnerki blade, niewyspane, z sinymi podkowami pod zaczerwienionymi oczami; — obmacuje je i pobełkuje:

— królowe wy moje, królowe najśliczniejsze — aha, aha, mam — a co to to to? — taki filigranik — niam, niam — ti-ti-ti-ti —

I tak dalej.

Julek podżega i karci:

— takiś pan już monarchista, królowe i królowe —

— no tak-tak, aktorzyno młoda, tak-to-tak, mój ojciec był bohater — a mnie, a ja, a mnie już tylko te królowe moje zostały — aha! widzisz — tak to jest, a tobie szczeniaku koszulę w zębach trzymać — ot — — a i tak ze mną więcej frajdy zażyją niż z tobą ringowy osiłku, prędko i źle to wasza dewiza — znam ja was —

Zaraz wrócił do swej przyśpiewki stałej — co raz lubieżniej ścisnął oburącz pośladki kelnerki, między uda rękami się pchał i koronował bidule, sharowane i oklapnięte, po setki razy.

Cyprjan medytuje, ssie myśli jak gumę — : wła-
ściwie nigdy nic nie wiedziałem i nie wiem — i czy
będę kiedykolwiek wiedział? — o tym co na przy-
kład taki duzel romantyczny nazywał „miłością“; czy
to istnieje? i jakie to jest? — i czy wolno i warto
o tym wogóle myśleć? — Codziennie po kilka razy
myśl moja wydaje o tym zdania i sądy różne, prze-
ważnie z sobą sprzeczne. Sublimacja płci — wiem;
wyłącznieść obiektu — wiem; i wiele innych rzeczy
wiem; ilekroć obserwacja natrafi na analogie przy-
rodnicze — wiem dokładnie i wiem, że się nie mylę;
lecz w sumie... aktualnie, za tym cuchnącym kontua-
rem tęsknię do jakiejś wygody dla myśli — — no to,
co tu gadać próżno, w tej sferze Wisia jest jedyna,
bez konkurencji, o; — — tam w tej chwili w około
domu na wsi ranek rzeński, kolorowy od wschodu
i południa, nad rzeką druga rzeka z mgły chłodzącej
stopy gór przysiadłych nad brzegiem — a tu od
domu równina, płaszczyna, dolina — — słońce za-
gląda do obszernych, zielonawych pokoi — wstać —
— otworzyć wszystkie okna — oczywiście pierwszy
kot, hop, już jest na parapecie — strzyże uszami bar-
dzo zainteresowany ptakami w krzewach ćwierkają-
cymi — teraz płasko przycupnął bo straszny wróg,
Burek, wraca, tanecznie zaplątajac nogi, z lasu — —
odetchnąc głęboko czystym, dalekim powietrzem wy-
poczętym, darzącym siłą i pogodą — ciepłego mleka
szklanke, nie, lepiej w garnuszku i żeby nie pełno,
chleba nadrobić — ciepłe, dobrze ciepłe, dymiące pod
zorzę różowo i złoto—tak, a teraz zabrać się do pracy;
pracą wypełnić dzień po brzegi — oto i mądrość
cała; — — nagły kurcz i zmacony rytm tętna, jakby

ktos ukropu w żyły nalal —: przeciez od kilku tygodni pisze powiesc — — teraz te przerwy, te przeszkody, te powiklania, ten niepokoj straszliwy — to niczego dobrego nie wrozy! — Uciec! Uciec! — I zaraz okolnym nawrotem: Milę kocham bardzo, to pewno jedyna... i zle mi bez niej, lecz... z nią jeszcze mi gorzej! Beznadziejnie!... Kot zeskoczył, bo ten Burek za blisko okna — cup! ciężki kocur, bechło w pokoju jakby poduszka spadła; — chwieją się w rannym powiewie czuby wysokich jesionów, zamiatają chmury powoli odpływające na zachód—krople rosy migotliwie drżą na końcach listków — — na rzęsach różowe krople łez — — krajobraz mrocznieje — nagły krzyk roślin od ziemi, potężnieje, rozkrzewia się, uderza o niebo...

— niech no pan się zbudzi, nie dobrze tak drze mać, przeciez musimy wnet jechać —

— jechać? dokąd? — a tak, prawda, jechać —
Za ramię nim Julek potrząsa.

Cyprjan Fałn leży na łóżku szpitalnym.

Ostatnia w tym szpitalu noc duszna i niespokojna; dziewięćdziesiąta któraś.

Jutro wyjdzie stąd; jest oto jak więzień, który nie rad opuszcza więzienie — boi się głodu, zimna, bezrobocia; tu w czterech ścianach poza oknem za kratowanym nie trzeba się o nic troszczyć —

Jutro pójdzie w dokuczna niepewność i bezsensowny bałagan, konflikty i komplikacje gorączkowe, kalafutryny chytne i nieznośne.

Trzeba znów uciekać i kluczyć — zwierzę tropione — a gdzież jest to miejsce zdatne do ucieczki,

bez wilczych dołów, paści, skus i obierzy, miejsce przy którym nie czai się śmierć w zielonym ubraniu, z borsuczą kitką na kapeluszu — ? —

Nagle oblało go gwałtowne gorąco, jakby kto kipiátkiem nań chlustał; — w oddalach, na zwrotnicach węzłowej stacji — gwizd przeciągły — a zaraz potem podudniający churkot jak grad tańczący po blaszanym dachu —: Mau-ra — Mau-ra — Mau-ra; — natychmiast zaszumiało wichrem dmącym od tej dymem zasnutej przestrzeni: — więc jutro stąd wycho-dzę — ? — to znaczy, że za dwa pełne tygodnie — no tak — za dwa tygodnie — taki jest właśnie termin — — dziś trzydziesty pierwszy marca — — to były imieniny Balbiny — — to były takie imieniny przed trzydziestu laty: lunatyczne; i wiele potem tych snów lunatycznych? — rok po roku, rok po roku — snów, czynności, przedsięwzięć; życie całe w półprzytomnym niepokoju, w niepewności nieustannej.

Znów szturchnięcie w bok:

— nie wolno poddrzemywać, rozbierze pana na nic — sflaczeje pan dokrzyty —

Zakończył wreszcie Julek zawile targi z czarnym, osmolonym typem cygańskim; z niepojętym bo pijackim uporem skontrolował metrowy rachunek —

— pan-by mi, łaskawy członku związku zawodowego pracowników restauracyjnych, daty podoliczał; dzień i miesiąc — to jeszcze pal fuk! ale rok! — pomyśl pan — tysiąc — dziewięćset — trzydzieści — pięć; bardzoby mnie pan skrzywdził i uczynił niewypłacalnym; i tak o dwie flaszki tego sikonia i dziesięć czarnych lur za dużo pan wpisał —

Koniec końców — forsy nie mieli i pomimo niewliczenia roku byli niewypłacalni; podpisali więc weksle i dali w zastaw zegarki. — Błado i sino śpiącej Jance odpiął Julek bransoletkę z zegarkiem; ome-ga! to miało sens i dźwięk; a to był podarunek słubny jednej z ciotek Janki; to było dobre i przekonujące; warte ze sto złotych; może więcej; pomogło. I tak mieliśmy to opylić, tłumaczył Julek Jance, która nieco markociła, że, powiada, pamiątka; kobiety już są takie.

Nareszcie!

Jankę odwieźli do domu (tego z tą bramą wywodną).

No to i już.

Sami. Pora dojrzała.

Mogli jechać.

Zmęczony jestem — mówi Cyprjan — bardzo zmęczony, przecież i ja jestem człowiekiem; prawie człowiekiem, poprawia. Piliśmy dużo — odpowiada Julek — i noc nieprzespana. Cyprjan: nie to, tylko ta troistość myśli. Julek pyta co to znaczy. To znaczy — powiada Cyprjan, że myśl o tej operacji nie opuszczała mnie ani na chwilę, zagadywałem bzdurami, chlałem jak dzika świnia, ale to tkwiło, to było, wiesz — niezmienione kulisy pod różne dialogi i sytuacje; to męczy; a tu znów te nedorodzone koncepcje gramolą się jak chrabąszcze w gąsiorze — wszystko we mnie chrzęści i szeleści; wreszcie sama czujność bieżącej chwili. — Julek upierał się, że to jednak to wino, takie siuski siarkowane i alkoholizowane, przecież to było czuć, każde sztachnięcie papierosem było mdłe i słodkie jak sacharyna, a już najgorzej mie-

szac. — Co zaś do tych myśli, jak to pan powiedział? troistych? — to jemu, Julkowi, takie psychologizowania zdeklasowanej inteligencji wiszą u dupy. Co innego operacja ta, rozumie się, smutna rzecz —

Tramwaj wychwierutał się z miasta.

Drżeli, wciśnięci w kąt zimnego wagonu.

Rozprzestrzeniała się przeraźliwa pustka i nęśdza przedmieścia — bytowanie opaczne, które do centrum dotrzeć nie może, i to wyrzygane z centrum w konkurencyjnym wypychaniu się; ponad otępiąłą pustką — niskie, sine niebo; — a potem już i domów nie ma; tu i ówdzie tylko, maruderskie; parkany powygrzane, kupy śmieci; — skąd tyle śmieci?! — rozpad życia ludzkiego, rozpad żył, mięśni, kości i tych potoczności powszednich; ostatecznie wszystko to smętarze; i powietrze jest pełne pyłu rozspanych zwłok i startych na niewidzialną kurzawę kości.

Zimno! Dreszcze łążą po skórze jak wszy; najgęściej po plecach i w okolicy lędźwi.

Na jednym z przystanków zappełnił się wagon robotnikami. Jechali na dzienną szychtę, żółte, zmizerowane twarze; oczy niedospane, mrugliwe. Ćmią pępierosy; dym gryzący, smrodliwy. — Siadają ciężko, z jękiem; wieczysty postrzał sharowanych pleców; prostują nogi; już o tej porze śmiertelnie znużeni.

Tramwaj podzwania zupełnie niepotrzebnie; taki ważny.

Hałdy —

Biedaszyby —

Rumowiska —

Potworne nory, w których mieszkają bezdomni

i bezrobotni. Pazurami wydrapane jamy, popodpie-
rane przegniłymi belkami, dziury okienne gazetami
i szmatami zatkane, otwory drzwi deskami zasta-
wione. Jaskiniowcy dwudziestego wieku; ludzie ze-
pchnięci na samo dno. Infernalne egzystencje; piekło.

Jak ukryć ten wstyd, że się jest też człowie-
kiem?!

Robotnicy patrzą tępo przed siebie; czasem
któryś zagada; bez znaczenia; bo i poco? bo i co? —

— ja też tak — chudy, wysoki, z wąsiskami ob-
wisłymi, kciukiem lewej ręki wskazuje przez szybę
na nory przypominające w tej chwili mieszkania
jamy anachoretów w Tebaidzie — — ja tu dwa —
chowa kciuk, wyciąga wskazujący i duży — dwa —

I nic.

— pięciuset mają zredukować — młody, wy-
golony lecz zarosnięty, zawęglony; mydło kosztuje;—
pięciuset —

— e, pięciuset? na kopalni? —

Nic. Kilka zakłęb. Westchnienie.

Milczą.

Tym żywiej zaczyna się wypromieniać fosfo-
ryczne skrzyżowanie myśli nawierzchnich i głębin-
owych. Rozbłyskują widocznie, niemal dotykalnie.
W takt dygotu wagonu tramwajowego i rozhuśta-
nych rzemiennych chwyttek z białą emaliowanymi
strzemionami — w rytm skośnie umykającego ob-
razu — od zarosłych chwastami wydepcin po zady-
mioną mglistość widnokregu rozgrywa się skupiony
ludzki dramat: od powietrza, głodu, ognia i wojny —
— przepowiadają się udręki zaprzepaszczonej, prze-
kłątą na wieki wieków litanijskością:

— pospólnie rozpamiętujcie przekłęci —
— rozpamiętujemy pospólnie:
— a gmach olbrzymi województwa kosztował
tyle a tyle milionów — posadzki w nim z marmuru,
a ściany lustrzane pełne obrazów przedstawiających
wielkie i piękne gmachy wybudowane w czasach
licznych —

— módlmy się —

— kosztem tylu a tylu milionów buduje się
katedrę pełną pychy i obok pałac rozległy i wygo-
dny pełny bogactwa i splendoru dla biedaczyny chry-
stusowego, arcypasterza wiernych, pobożnych, po-
kornych —

— módl się za nami —

— a kościół garnizonowy tyle a tyle milionów
kosztował, lecz okazał się mały, przeto buduje się
drugi wspaniały, piękny, bogu i ludziom na chwałę —
i dlatego też, iż dużo wojska w tym mieście i policji
dużo, bowiem nędzy tu i niesprawiedliwości
wiele —

— módl się za nami —

— i, żeby z bogiem, i żeby karabiny i granaty,
tanki i mitraliezy, bagnety i kule były pobłogosła-
wione, w imię miłości bliźniego, w imię przenajswięt-
sze króla naszego Jezusa Chrystusa —

— módl się za nami —

Z południa i z północy, z wschodu i zachodu
nadlatują furkocące stada głosów — w całym zakolu
widnokręgu drży gęste powietrze jak galaretowata
masa — pudło tramwaju — wielki pocisk przeryna-
jący się wśród natłoku świętych wersetów brzmi jak

rezonans —: modli się chrześcijański człowiek, mieszkaniec ziemi:

— niechaj będą uświęcone aż do skończenia świata gazy trujące, czołgi i pancerniki —

— módl się za nami —

— samoloty bojowe, szrapnele i pociski wszelkie —

— módl się za nami —

— armaty, haubice, pułki i dywizje, generalicje i sztaby i wielcy, wspaniali, mądrzy kierownicy sił zbrojnych, ci wypracowujący plany i ci operujący wielkimi ruchami bezimiennych żołnierzy, i ci którzy ich przyspasabiają ku wielkiej mądrości zabijania —

— módl się za nami —

— o, niechaj kobiety nasze rodzą bez przerwy, niechaj rozmnoży się naród wszelki, podwoi i potroi i stanie się cały wojskiem, wojskiem twardym i bezlitosnym, niechaj każdemu żołnierzowi będzie na imię śmierć, która wypali serce wroga i wyrwie mózg z czaszki, jeńcom zaś wykluje oczy i wyrwie język —

— módl się za nami —

— błogosławieństwo silnym i bezwzględny —

— kyrie eleison —

— niechaj przekłety będzie pokój, osłabiający ducha, rodzący zgubną wiedzę i uwodzicielską sztukę —

— błogosławiona niechaj będzie wojna, w niej bowiem jest wszelkie piękno i dobro — piękno pożarów domostw ludzkich, dobro masowego mordowania wroga —

— kyrie eleison —

— rzekł bóg: wymordujesz wszystkich męż-
czyzn, pojdziesz w niewolę niezapłodnione niewiasty,
brzemiennym rozerwiesz brzuch i zatracisz w niej
wrogi płód, dzieci wroga twego roznieś na szablach
i zmiądz ich głowy kołami wozów wojennych —

— kyrie eleison —

Tramwaj jak torpeda czasu wrzyna się w dzieje
idące — załoga blednie i zasłania oczy —: dojrzała
zwierzęca, ociekającą krwią agonię ginącego świata—
— a teraz jest noc — odległy świt majaczeje w zi-
mnej przestrzeni —

Czyż doczekamy wielkiego dnia? — czy stopy
nasze dotkną ziemi wolnej, ziemi bratniej, ziemi czło-
wieka — ? —

Tramwaj dygoce i podzwania.

Zaciśnięte pięści.

Westchnienia.

W zboczach chropowatych nasypisk czernią się
gęste otwory nor, głuche i ślepe jak groby — mieszka
w nich człowiek jak ty, jak ja — te same ma oczy
i uszy i nozdrza, język i ręce te same, tę samą krew
i ten sam mózg; lecz tętno w nim przyspieszone,
a myśli jego głodnego mózgu czerwone jak odbłask
płonących miast, a zwą się te myśli: rozpacz, i zwą
się jeszcze: nienawiść, i zwą się również: bunt!

Julek peroruje: towarzysze!... i klnie —: uświa-
domienia mas, oto czego się boją — psiakrew! —
tyle milionów to, tyle tamto? — powiadacie? — a ja
powiem, że chłopów i robotników jest dwadzieścia
osiem milionów — i że...

Zamilkli.

Rozrzedza się powietrze.

I znów taka połać z mieszkaniami jaskiniowców.

Zachodzili tam nieraz Cyprjan i Julek, w sam środek nędzy świata, w głód, w zaduch, w śmierć, w gruźlicę, w mróz lśniący na ścianach — tam mieli najlepszych i najgroźniejszych przyjaciół; tam też była ich ostateczna szkoła wiedzy społecznej — stamtąd też wynieśli najgłębsze człowieczeństwo, to poruszenie i wstrząs ponad wszystko ważny, najcenniejszy; — i nic się tu nie da przysuć i zasypać mąką, cukrem, słoniną, ziemniakami i węglem; — ponad tymi koniecznościami płonie pospólna decyzja. — Skupieni, twardzi, w sojuszu wiernym — wychodzili — i póki widać, trzymali się prosto, szli miarowo, bo tak trzeba; — lecz w oddaleniu, na zakrętach przedmieścia rozluźniało się w nich wszystko, przystawali przy murze, płocie czy drzewie i walili w tę imaginacyjną przeszkodę pięściami, do krwi — w bezsilnym uniesieniu rzucali w siebie grozą i powiewem niewierki człowieka: — wiesz! — wiesz teraz?! — widziałeś? — wiesz! wiesz! — okropność!! — — W polu widzenia, ponad miastem wyłaniała się, nowa miedzią kryta, olbrzymia kopuła budującej się, zarozumiałej katedry i pełnego pychy wybrzuszającego się pałacu, — pałac olbrzymi, przepychem dorównujący wielkości słów, z których powstał, — : rozdać wszystko co masz i chodź za mną — — dookoła gmachy reprezentacyjne, bloki olbrzymie, i znów wieże kościołów ścięte i strzeliste — ; budowniczowie zacni i szlachetni, łaskawość wasza daje pracę bezrobotnym; nie wszystkim; ale zawsze; dobre i to; wszystkiego nie da się naraz zrobić; — naturalnie

nie! — prawda Julek? — no widzisz; — lecz ty znów swoje: kosztować to tam będzie, to kopulaste, tyle a tyle milionów — a to znaczy ukradziony chleb, ukradziony opał, ukradzione lekarstwa, ukradzione odzienie, ukradzona radość wszelka, ukradziony uśmiech chudej, owrzodzonej twarzyczki dziecka. Złodzieje! — Nie płacz! nie rozkrwawiaj rąk o szorstkie, zadrowe deski parkanu otaczającego piękny plac sportowy; sport to zdrowie; uszanuj! — nie mogę, nie mogę! — jest coś przerażającego w tym, że ludzie z wielkich gmachów, jasnych, strojnych i ciepłych, tak ciepłych, że w zimie okna otwierać trzeba, bo byłoby za duszno, że ludzie ze stu pokoi rządzą ludźmi gnijącymi w zaduchu nor, w których kulą się w wilgoci jak stonogi — w głodzie, lodowatym tchnieniu mrozu i śmierci rozdygotani! — Podnosi się z mrozu, atletyczną pięść — wysoko ponad parkan — na popielatym tle nieba czerni się i zasłania sobą całe miasto: — syci, rządzący, odprawiający nabożeństwa, wychowujący ludzkość na mord i śmierć, na męki i zniszczenie — bogiem waszym jest Wielki Łotr. Krzyczał!

Tramwaj zapiszczał przewlekłe na zakręcie; jeszcze dwie stacje.

Wysiadają.

Zegnąją się z robotnikami podniesieniem lewej pięści.

Idą jeszcze spory kawał pustką.

Kilka odrapanych domów, nierównych, podejrzliwych.

Boczna uliczka — na prawo ceglany, nadzarty,

wyszczerbiony mur — za nim długie, płaskie dachy papowe; jakaś wymarła fabryka.

A to będzie ten czwarty dom na lewo — tak, to ta brama, bo przecież Nr. 41b — więc ta. W posdłuż bramy mur — jak karty w marniku — oblepiony tabliczkami — przeważnie czarne ze złotymi napisami; są i białe emaliowane, wtedy litery są niebieskie lub zielone; — inżynier — adwokat — związek — związek — zarząd główny — lekarz, lekarz — doktor... O, jest! — to ten. Wszystko więc w porządku.

Wrócili jeszcze na chwilę pod ten mur — niby z potrzebą, tyle się przecież piło; przeważa jednak zamaskowana chęć zwłoki; — zresztą są takie miejsca uprzywilejowane do szczania; same się wpraszą.

A tam u doktora właśnie zabierano się do tego. Na kuchence gazowej syczało i bulgotało; owalne, blaszane naczynie; mogłoby być na pudding; gotowały się w nim te przyrządy ze snu inkwizytora; gotowały się jak parówki.

Pokój, ostatni w szeregu mętnych, brudnym światłem zalanych pokoi — mały, pokątny, zakonspirowany. Podłoga z desek nierównych (— to była niezawodnie kiedyś kuchnia, i zlew jest —) wyższych przy sękach, wyłobionych gdzie mięksiz — brudna, zakurzona, pełna jakichś wstrętnych odpadków, papierów, waty pokrzwawionej. W kącie szezłąg nakryty płatem poplamionej ceraty koloru zgniłej cytryny; kubek; spluwaczka; oszklona szafka: flaszeczki, słoiki, lekarstwa, kilka niklowych narzędzi chirurgicznych, pudełko z gilz, w nim tytoń; no tak; taki pokój; — i ten, przy brudno-czekoladowym piecu ka-

flowym, okropny przyrząd, fotel rozległy i przechylony — po bokach szeroko rozstawione siodełka — to na rozkraczone nogi; i pasy do przywiązania; tortury; ohyda!

Doktor krępy, średniego wzrostu; trzydziestka; jakiś cały czarny: czupryna, wąsy — brwi zrosnięte nad nosem, a w opadzie łuku dużego sięgające aż po uszy; gęste, grube, wydatne brwi.

Naogół nawet miły człowiek ten lekarz.

Jest i drugi — starszy, niski, wzrost i cała budowa wąska, chłopięca; twarz nieproporcjonalnie duża, pomarszczona; łązi niemrawo z kąta w kąt; milczący, posępny; ciągle poszczękuje jakimiś szczypcami czy czymś takim.

Mówi ten pierwszy, właściwy:

— pan może tu zostać podczas operacji, to się panu może przydać, obserwacja — nie? — c'est la vie —

Cyprjan rzekł, że nie.

Ten drugi lekarz:

— za dziesięć minut możemy rozpocząć —

— voila —

Ten czarny lubi takie słoweczka francuskie; poza tym jest znanym monarchistą ukraińskim; zdarza się; rozumuje: jak wskrzesić Ukrainę to z królem; socjologia jakakolwiek to dla niego mięta; po prostu są miasta i wsie, stany różne, normalnie, wszystko z sobą w zgodzie — żyć trzeba, nie? grunt zarobek; — zresztą spec w swoim zawodzie ginekologicznym.

Mila leżała w bocznym pokoju. Błada, niewyspana; oczodoły zwiędłe i poźółkłe.

Przyjechała pół godziny temu.

Drżała.

Usiedli, Cyprjan i Julek, na brzeżku otomany; pochyleni naprzód; milczą; w oknie od podwórza dzień wytrzepany i kruchy jak błonka lodu w koleinie; za lada ruchem pęka i rozsypuje się w zimne, szklane drzazgi, opadając dźwięczy pajęczko jak owo dzwonięcie w uszach; taki dzień;—w ogóle jest jakby się czekało na odjazd pociągu, odjazd w sprawie bardzo przykrej, pogrzeb, rozprawa sądowa, mobilizacja.

Julek wyszedł, na papierosa, żeby tu nie; lecz to nie to, po prostu: niedowytężenia; sam się przed sobą tłumaczy, w mętym zakamarku myśli, że taki, hohoho, delikatny, nie chce przeszkadzać.

Milczenie.

Dopiero po chwili:

— An —

— Milo —

— ucałuj mnie —

Przepełniony był tkliwością gorzką i słoną. Ucałował niechętnie, z przymusem; nie w porę ten wyraz czułości i jakoś pożegnalnie. Poglaskał ją.

— An, gdybym — —

— cicho, małeńka, cicho —

— wiesz jakie chuchro ze mnie — — zresztą czuję, że mnie już nie kochasz — to mi odbiera wszelkie siły, wszystko, wszystko — widzisz, poczucie potrzeby więcej znaczy, kochany, niż...

Duże, powolne łzy spłynęły po jej chudych policzkach.

Całował ją po rękach.

Uściskał stopy, były zimne jak lód.

Wszedł lekarz. Więc już. Spojrzała na Cyprjana — oczy mokre i blade, wzrok spłoszony.

Odprowadził ją aż do tamtych drzwi. Sam wrócił. Zresztą ona też nie chciała, żeby został. Nie, nie! — za nic!

Powlokły się pomięte myśli długimi minutami, jak ciężkie godziny te minuty — a każda śliska i zapienionana; glisty; skrętne, rojne, złe prątki.

Julek oparty o ścianę zwiesił głowę; drzemał.

Cyprjanowi łeb pękał, ścisnął oburącz skrośnie; — teraz już tam jest na tym warsztacie tortur! — bezwolna — rozkraczona — przywiązana — krzyczy rozwartą pochwą! — —

Pięć się piekielnie chce, język jak wiór; — — chyba już odstawili instrumenty z ognia, przecieźby ją i siebie poparzyli; że siebie też, więc jest gwarancja. Nonsensy, nonsensy takie! — Zegarek mówi: pięć minut; zegarek mówi: sześć minut; — stoi pewnie; — nie, idzie; przy jednym uchu słabiej, przy drugim głośniej; — przez całą noc copochwila go nakręcał; — niczdrowe to dla zegarka — lecz idzie, o to szło.

Siedem minut...

I żeby nie to jej zdrowie pod zdechłym psem — nigdyby się nie zgodził; cóżby mu mogło wadzić?! — tylko to zdrowie; to; i te nieludzkie komplikacje obyczajowe — wiadomo, wiadomo: współżycie! ludzie są tacy dobrzy, życzliwi, wyrozumiali, prawda.

tak dbają o moralność, prawda, tak o niej ciągle mówią! —

Osiem minut...

A gdyby to dziecko miało jej oczy? — gdyby miało jej oczy, oczy, oczy, oczy, oczy, oczy, oczy, oczy — —

Dziewięć minut...

Pić się chce piekielnie; — później, później, potem — —

Julek zsunął się wzdłuż ściany, usiadł nagle na podłodze, jakby mu nogi podcięło; całe wapno i farbę zebrał na siebie — brudna, sypka smuga na ścianie — istny murarz teraz; — otrzeźwiał; wstał, ziewnął, rozprężył ręce na palcach stanął — zatrzeszczało w dużym kościecu, jakby kto gałązki łamał; — stoi teraz z rękami głęboko w kieszenie wtłoczonymi — — patrzy długo z tych jaskiń oczodołowych na Cyprjana — — Cyprjan, zwrócony ku oknu, chłodzi czoło o szyby — czuje podświadomie ten wzrok — odwraca się powoli —

— no i cóż Julek —

— myślę, żeśmy popili i że pan ma cholerny zgryz —

Dziesięć minut...

— ale mnie nie to teraz, — grunt, że pan zrobił więcej niż to docenić wogóle możemy; pan wie o czym mówię, o tej deklaracji pańskiej —

— poco to teraz —

— ostatecznie pańskie osobiste wewnętrzne walki, doznania i zwycięstwa nikogo nie obchodzą — — ale dlatego, że pan jest właśnie Cyprjan Fałn, taki a nie inny, urasta to do potęgi symbolu — sym

bolu uczciwego, prawego człowieka, w dzisiejszym świecie! proszę pana! — nie sztuka być lewicowcem, gdy się do tego dochodzi ekonomicznie i w pierwszej młodości, że tak powiem, prosto do gotowego — wielkim natomiast czynem jest wykuć to w sobie tak, tą drogą i tymi przesłankami, jakie panem kierowały —

-- nie pleć, Julek — wybrałeś się! akurat pora! -- — walka o wyrównanie sprawiedliwości jest walką o własne szczęście zależne i związane ze szczęściem wszystkich — co tu o jakichś zasługach pleść —

— zawsze jest pora powiedzieć co tu! — huknął się pięścią jak sporym bochenem w piersi, aż zadudniało.

Jede....

Przez ściany i puste przestrzenie przyległych pokoi dobiegł jęk!...

Stamtąd!!

Zerwali się gwałtownie — wybiegli z pokoju — przez kurytarz — poczekalnię — jadalnię —: mroczna wnęka — to tam! — Przystanęli; bali się dalej; — z poza drzwi dochodziły postękiwania i jęki i to spod podkurczonej górnej wargi: aaaa — aaaa — aaaa — —

Potem jakiś stuk; — słychać głosy lekarzy; sens ich zdań gubi się w malignie zniecierpliwienia, w nagiej grozie i łomocie tętna —

Chwila ciszy.

Teraz człapanie kilku nóg, oddalające się w przeciwległy kąt pokoju — jak gdy się wspólnie meble przenosi —

— Julek! Jul... Cyprjan chwycił go za ramię, palce w nie wbiął.

Rozwarły się drzwi. Wyszedł lekarz (ten czarny) był teraz w kitlu; pełno na nim krwawych plam; — poza brwiami i tymi plamami niczego więcej nie widać.

— chodźcież już — chodźcież —

Mila leżała bez życia, przeraźliwie blada, mątową, przeświecającą. — Oczy przymknięte — na powiekach widać obrys źrenic; powieki te są cienkie i sine.

— Milo —

Wschodzi na twarz uśmiech jak ponówek za dnia; zgasł.

— godzinę musi pani tu poleżeć, potem można do domu —

— godzinę? mało — powiada ten drugi; zdjął rękawiczki gumowe, mydli ręce pod kranem.

— no to jeszcze godzinę poleży pani w pierwszym pokoju —

W poczekalni — blado się rysuje w pamięci jak niedoświetlona klisza — już ktoś czeka — dwie kobiety — ktoś jeszcze; — narzędzia i tak przecież muszą się gotować długo — więc można tu tę pierwszą godzinę; no dobrze.

Teraz dopiero widać! — Patrzy Cyprjan, a każdy szczegół wbija się w pamięć jak gwóźdź; i tak tam zostanie. — Wszędzie krew, kałuże, strugi, krople; kłaki waty zakrwawionej; pod krzesłem operacyjnym w naczyniu w formie dużej sopluchaczki strzępy jakby jelit, błon, śluzu. — Wstręt aż pod gardło podchodzi, i w dołku mdli — i ten zapach

ćkliwe, mdły, niepokojący — to krew — — teraz
zmieniają okład z lodu — na goły, biały brzuch —
widać ściśnięte uda, czarny trójkąt włosów — —
— boli — żali się Mila — bardzo boli —
Badają puls:

— wszystko dobrze, to tylko nerwy —

Po godzinie przenieśli ją do pierwszego pokoju — Cyprjan i Julek. — W poczekalni zastawili lekarze tych czekających, nowych — dużym, składanym, kilkuskrzydłowym parawanem; dyskrecja, tajemnica lekarska; — wstrząs jednak, choć posuwają się bardzo powoli, ostrożnie — bo znów krwotok silny i znów buchnął ten zapach krwi — — —
— — — — — — — — —

W kilka tygodni później zachorował Cyprjan Fałn. A potem szpital.

Obłądny ucisk tych oto lat zelżał; zelżał też, uspokoił się i wyrównał afekt.

Mila.

Kochał ją, zapewne; zapewne też tak samo jak pierwszej — tak samo, lecz o ileż równiej, spokojniej (— czy to nie znaczy: mniej —) była też tu i ta wielka przyczyna, że wszedł całą żarliwością i drażliwością w krąg spraw społecznych; radykalnie; nieodwołalnie; czerwony krąg; stanął po wielu krzyżowych drogach jasno i wyraźnie tam, skąd już tylko jedna wiedzie droga ku wyrównaniu sprawiedliwości przez ewangeliczne wykreślenie norm współżycia człowieka z człowiekiem, przez dyscyplinę socjalistyczną ku pełnemu komunizmowi, którego wiekowym rezultatem będzie wolny, świetlany anarchizm: jedyna etyczna forma bytowania ludzkiego.—

dziennie nachodziły go ataki bólu deprymujące; w sumie: warunki opaczne i niesprzyjające współżyciu.

Do szpitala nie przychodziła; wiadomo: Wisia.

Napisała dwa razy. Odpisał.

Potem milczenie.

Przez cały czas to samo, nędzne i pokraczne: wiedział, że wiedziała wszystko, lecz nie przyznawał się przed sobą, że wie.

No tak; w szpitalu, w pełnym sezonie choroby, wolno mu było nie wiedzieć; — ale dziś?...

Nadeszło to dziś; właśnie dziś nadeszło.

Już wszystko spakowane.

Z Wisią umówili się, że spotkanie w hotelu; a tam już auto będzie; żeby tylko nie koleją; wstrząsy; tego trzeba unikać; i tak po tej libacji z lekarzami wzmogła się kwasota; — więc regularnie pół godziny przed i pół godziny po posiłkach: alukol. I tak dalej.

I właśnie dziś: rozprężenie i niepokój; niepokój urastający w panikę; jak cień czarnej, bezwzględnej wieży.

Przez okna wsypuje się przesiana przez gęstą noc pierwsza szufla ościstego dnia. Ciasno i duszno; piwnicznie.

I ten lęk.

Cyprjan zerwał się z łóżka.

— natychmiast — ? —

— przecież wcale jeszcze nie trzeba! —

— bo ten alarm! —

Tak, tak; lepiej wcześniej; prędko; jak najprędzej; serce wali jak w gorączce; oszalałe; —

mózg już wie; przez gęstą sieć maligny; przeczuwa;
a to znaczy: wie! — samym dnem dopiero.

— auto będzie za pięć godzin —

— wiem, wiem —

— teraz dopiero... mało znana godzina, na-
prawdę za wcześniej —

— tak jest właśnie dobrze —

Współlokatorzy jeszcze śpią; — więc cicho!
najciszej...

— żegnaj kochany Tadeuszu, towarzyszu Ne-
ringu; dobra myśl w tobie i na nędzę ludzką czuła.
I zdrowiej-że, zdrowiej!

Panno Zosiu! — (już na kurytarzu) — dzie-
kuję, serdecznie dziękuję, za wszystko, za wszystko;
— już? — tak, tak; — dlaczego? — a tak jeszcze
to i owo; — dobra panno Zosiu bardzo, bardzo
dziękuję —

Jeszcze tylko dyrektor szpitala; oczywiście;
przecież nie można tak uciec jak z więzienia! —

Jest — ? — tak, właśnie przyszedł; — to zna-
czy ósma. Doskonale. — Zapukać! — Proszę; — no
i taka rozmowa; że bardzo się cieszy (tamten), że
tak dbano o niego (ten); no, proszę pana to nasz
obowiązek (tamten) nie prawdą?; — no tak, lecz
to znacznie więcej niż obowiązek nakazuje (ten).
I jeszcze pięć zdań; dziesięć; piętnaście; więcej nie; —
tamten — ten; ten — tamten. Nareszcie! — Odpro-
wadzania do drzwi — dobre wychowanie, elegancja,
wersal; wszystkim formom towarzyskim stało się
zadość.

Świeżo. Warto głęboko odetchnąć; wiosna.

Przed szpitalem stoją dorożki; pozwieszane

łby końskie; wiatr zmiata pył, słomę, papiery — wskos pod ściany.

„Jedziemy?“ — Adres.

Bruk kanciasty i wyboisty; psiakrew; przedmieście tu już, panie szanowny, to ktoby tam dbał; magistrat? asfalt? — jeszcze czego!

Pudło podskakujące na kocich łbach i dziurach; resory chrzęszczą; kopyta tłuką nierówno, podrywami.

Cyprjan kuli się i rękami podtrzymuje wrażliwy i trwożący brzuch; wyleczony; lecz pamięć w nim została, pamięć gnieźdzącego się bólu. Więc skulić się, żeby tak nie telepało.

Stąd jeszcze kawał drogi. Dopiero wiadukt; pohukuje i dudni sklepienie; — teraz ta ulica z rudymi jatkami po prawej.

Prosto i na lewo. Puste place; bajora; śmiećniki; parkany z desek podgniłych od spodu .

Zwęża się ulica; powoli; trzeba wyminąć tramwaj; końcowa stacja tramwajowa; konduktor przekłada pręty kontaktowe i odwraca tablice. Dzwoni kilkakrotnie.

Dorożkarz upewnia się jeszcze raz: ulica? numer? — no to tędy, możemy skrócić.

Nowa dzielnica; domki przeważnie parterowe i jednopiętrowe; w ogródkach; w klatkach z żelaznych sztachet pośród betonowych słupków, w drucianych siatkach. Pusto jeszcze na grzędach i rabatach; zabrudzone, mokre trawniki; kupki nawozu i piasku.

Pełno krótkich, bocznych uliczek — osiedle całe jakby schwycone w sieć rybacką.

Tak, tak — tu; koło tego wielkiego budynku — tak; tu za garażem. Widać już — o, to tamten żółty, ze skośnym dachem; numer...

Tutaj!

Wspomnienie wielkiej miłości, tu doznanej — tu, w obliczu znanych budynków, domów, drzew, ogrodów, perspektyw — uderzyło w Cyprjana jak gorący wiatr; otwartymi ustami chwycił powietrze.

Boczne schodki. W mosiężnym obramieniu wąski skrawek papieru — imię i nazwisko, ręcznie wypisane. Palec dotknął kościanego guzika — dzwonek — zaterkotał.

Teraz wyjdzie z pokoju (pośpiesznie ręką przejdzie po fryzurze, albo nie, zawiąże chustką tak, że końce będą zwisać z boku; wtedy na tej kamienistej drodze, też taki zawój) — podejdzie szybko i cicho — zapyta tuż przy drzwiach, nasłuchująco: „kto?“ — „to ja, Milu, to ja“ — — pośpiesznie, rozdygotanymi palcami otworzy — dźwięknie łańcuch, zatrząsk, zamek — „An“, „An“, „An“ — — Do nóg jej padnie — umiłowanej, jedynej — stopy jej całować będzie!.....

Już... już! — Kroki... i tak właśnie: klucz, łańcuch opada, uderza o drzwi... Czyjś głos... czyj — nie jej! — nie Mili! — — To córeczka jej; — — więc przywitać uśmiechem — żartobliwie — takim zwyczajnym „no cóż tam“, „jakże się masz“, „cóż słyhać“ —

— nie mógł, już nie mógł. Dziewczynka zapłakana, oczy zapuchnięte, buzia w czerwone plamy — jakby duże liszaje —

— gdzie, gdzie mama? —

Drży jak w febrze, zeby szczękają; — potrząsa
wątlymi ramionkami — — :

— gdzie! —

— tam — — wskazała drzwi — zalkała gło-
śno — uciekła.

Wszedł.

Na tapczanie w ich pokoju, na niebieskim
kilimie — tak się nim wtedy cieszyła, na raty go
kupila — — okno zasłonięte i też niebieską storą —
stąd w całym pokoju modre powietrze — — leży
Mila — wydłużona, równa, biała — w tym białym
szlafroku — — głowa wtulona w poduszkę batikowa-
waną — — twarzyczkę wychudzoną otulają włosy
i kwiaty jabłoni na tej poduszce malowane; — —
wargi rozchylone — cudny rząd drobnych zębów,
jej upojnych zębów — — ręce złożone na piersi; —
— wszędzie ład i porządek i czystość nadzwyczajna —
ani jedno krzesło nie odstawione; — na biurku okrąg-
łym w majolikowej czarce stokrótki przy dziecięcej
Cyprjana fotografii, i motyl, który się zbudził w zi-
mie i zmarł; — książki, obrazy, przedmioty —
wszystko tak jak wtedy, gdy tu był poraz... i ta
schłudność wielka, niepokojąca, ostatnia; — — —
na nocnym stoliku książka — jego poezje — otwarta
na stronicy przy słowach: —

— wyjdź na naszą drogę,
pachnącą gór modrością, wrzosem i koniczem —
tam, patrząc na zachodnią złotych zórz pozołę,
pomyśl, że jestem wszystkim, ja co byłem niczym —
tylko to „e“ w „byłem“ zmienione na „a“.

Obok książki ich fotografia wspólna; ona
uśmiechnięta radośnie, zapatrzona w niego — tyle

wdzięku, dobrego, niewieścigo, ludzkiego wdzięku — — — i jeszcze leży tam jeden przedmiot, obcy i zły: szklana tulejka: weronal; pusta i list; i już nic więcej — nigdy — nic — nigdy —

Nazawsze! — Nieogarniona straszliwość — trwanie tej chwili poza czasem, poza przestrzenią; — — Milo, jedyna Milo moja! — — — Głodzi jej zimne ręce; — i już nigdy nie będą ciepłe.

Nigdy!!

Siedzi zmartwiała, nakiwuje się i szeptem słowa pełne miłości i żalości ostatniej; siedzi przy niej — ileż razy tak; czytał, mówił; niegdyś! — — powtarza jej imię — Mila — Mila — Mila — — i te jej końcowe słowa dzienniczka: — a trzeba mi się śpieszyć — a trzeba mi się śpieszyć, śpieszyć, śpieszyć — — —

No tak — pośpieszyłaś się bardzo — — —

W drugim pokoju szlochają rozpaczliwie dzieci. Przez chęłkanie i strugi łez wydobywa się na wierzch słowo mokre i słone — mamó — mamó — — żalossne, bezcelowe wołanie —

Któż im sukienki wyceruje i wyczyści, kto im śniadanie — kto je do szkoły wyprawi — kto wszystko — —

I kto za nimi patrzeć będzie z twarzą przylepioną do szyby, aż znikną w perspektywie ulicy — —

Nie ty dobra i piękna, nie ty, Milo, nie ty — — I ja tą ulicą odejść muszę — lecz już to okno będzie ślepe i obojętne jak sama śmierć.

I już nigdy!

I tylko ten sklep=klina lelek —

Wreszcie i on, gdy już niczego nie będzie potrzeba — nigdy —



siedlił się na najniższym, szerokim, słońcem prześwietlonym liściu lipy. Mały, lśniący, stalowoniebieski żuczek. Od wielu godzin pracował zawzięcie; od toplewego świtu zwiąjał szeroki lipowy liść, przymierzał, lepiał, budował przemysłne pomiesz-

czenie dla swego potomstwa.

Czynił to sprawnie i przezornie; odsadzał się tylnymi nóżkami, przednimi chwytł krańce liścia, przyciągał, zwijał i, od tysiącleci wiadomym sobie sposobem, łączył.

System był wypróbowany, jedyny.

Gdy już dokonał tej jednej zasadniczej pracy, odpoczywał na szczycie u łodyżki; po prostu widać było jak po swojemu wysapuje znużenie.

Po chwili powziął zamiar spojenia ze zwisającą zwijką-tulejką jeszcze jednego liścia; to było trudne: liść znajdował się daleko, dalej niż sięgały chropowate nóżki chrząszcza; — wysunął przeto — opierając się silnie na trzech lewych nogach — trzy prawe zwinne, mocne i mądre chropacze jak najdalej i cze-

kał — czekał na wiew przychylny, któryby liść zbliżył; czekał cierpliwie.

Cyprjan obserwował całą tę robotę z zacięciem. A, że tego wiewu ani się doczekać — więc przysunął ów liść delikatnie ku chrząszczowi; momentalnie zaczepiły się oń stróżujące nogi i przyciągnęły liść gdzie trzeba; zaraz go też wytrawny budowniczy wygiął i przymocował odpowiednio do prawowitego gniazda, które miał niby spadzisty daszek chronić przed zalewem deszczu i przed zbyt natrączywym światłem; — we wszystkich czynnościach przeważała celowość, funkcjonalność, duża znajomość praw przyrody, przewidywanie, oraz pierwszorzędne uzdolnienia inżynierskie i architektoniczne.

Fakt ten sam w sobie drobny i powszedni — o tej obserwacji mowa — pobudził w Cyprjanie, ciągle na dnie jego świadomości przyczajone, pragnienie ciszy, spokoju i równowagi. Wszystkie represje napierające od strony współżycia, konsolidacje i rozpraszania — były dlań, w tym decydującym centrum mózgu, w którym destylowała się ekskluzywność i dociekliwość samotnicza — obmierzłe i przekłete.

Niepokój oplątał i drążył mózg — w jego sieciach i tunelach brzęczał ustawicznie obłąd, który pod kopułą czaszki przewalał się rudy i zły jak gradowe chmury.

Tak było.

I w tamtym momencie szpital był odpoczynkiem.

A potem — cios!

A teraz?

Z tragicznym odejściem Mili, z jej bezpowrotnym odejściem miało się wszystko skończyć definitywnie; jakby kto przeciął druty alarmowego dzwonka. Cisza.

I nie szło tu wcale o mizerne zagadnienie wygody. Eh! Nie to! — Przecież nie przekreślał dążeń! Niema chyba niczego nad to niewygodniejszego w świecie! I tu wartość woli i charakteru leży nie tyle w zdobyciu nadzwyczajnych rezultatów ile w przewycięzeniu bezwładu i kuszącego lenistwa; już to samo jest miarą człowieka.

Więc nie! — szło tu raczej o przebyt dogodny do rozważań najdalszych, do ogarnięcia „bytu“ i jego tajemnic (źródła i ujścia życia), z równoczesnym wykreśleniem z słownictwa pisarskiego tych słów, które rzekomo wyczerpując treść pojęć, wcale tej treści nie zbliżają, przeciwnie, oddalają ją w północne sfery, gdzie zapadają w długi, zimowy sen.

Cyprjan wierzył, że tak tylko jest ważne: dążyć w samotności do własnego wzwyżenia i decyzji myśli, a to, sprecyzowane jasno i dobitnie, gwarantowałoby eo ipso wzwyżenia i decyzje innych; stałoby się wymiarem epoki.

Z tym miała się połączyć akcja stanowcza (?!), obronna postawa wobec wszelkiego uwodzicielstwa z tamtej strony, wobec jakiegokolwiek (więc i instynktowej) potrzeby wciągania w zakrój i wzrost świadomości elementu energetycznego płci.

Plany! Aprioria! — czy to nie wróży przegranej? — jak wszelkie plany...

I, czy to możliwe? — rozważyć! — czy istnieje cośkolwiek poza przyrodą? — dowieść! — czy spo-

śróđ beżyżtecznych syllogizmów możnaby wyodrębnić to jedyne sproblematyzowane: świadomość ludzka jako odprysk świadomości wszechprzyrodniczej (jak planety są odpryskiem słońca, które więc ma w pierwszym rzędie możliwości potencjonalne wyłonienia świadomości jako chemio=elektro=radio aktywność mózgu i tętna) — udokumentować! — czy wogóle istnieje jeszcze jaka harmonia i dysharmonia poza płcią? — stwierdzić! — czy wszystko inne z całym kompleksem spraw społecznych nie jest tylko(?) sublimacją, przeweksłowaniem seksualizmu? — sprawdzić!

No tak; a tymczasem sprawy te społeczne narastały z dnia na dzień z niepospolitą siłą. Każde słowo stawało się już ważne i wyzwalające; kaźden akces donośny, kaźda deklaracja decydująca. — Nie pora już na dywagacje, na kunktatorstwa, na kokonowanie jądra prawdy jedwabiem delikatnych, subtelnych słów i długich kaznodziejskich, a więc kaźnistycznych, okresów, na klerkowe zwroty, które wobec naporu decydujących zdarzeń są przewrotną blasfemią; — albo tak, albo tak. Albo po stronie reakcji fundowanej na kapitalizmie, na wszelkich fašszyzmach i kryptofašszyzmach, albo po stronie frontu pracy, pełnego wyrównania sprawiedliwości, nowego człowieka...

Innego wyboru niema; wszelka połowiczność obmierza jest, nic warta; szaleństwo! —: a możeby to?, a możeby tamto? — mnie to nie dogadza, tamtemu owo! — Odejdź! Nie tędy droga! — A może jak ów „poeta ponad tłumem“ Grosza? z śliniaczkiem na zwiotczających genitaliach, rozśpiewany jak ra pta

szyna boża... Nie? — więc zdyscyplinuj się bracie; wybierz, zważ, zdecyduj!...

Zapewne nie wszystkie (na razie!) interesa mas zostaną porównanie zagwarantowane; luki będą i niedociągnięcia będą; jakże to, chcesz jedną generacją poprawić błędy stu generacji? — krzyczysz: terror! dyktatura proletariatu! Twarde kierownictwo ideowe!... lecz cóż to wszystko znaczy wobec upojnego, odurzającego piękną nowego, prawego, jasnego życia wschodzącego dnia? — życia, w którym panować będzie myśl o dobru pospólnym, nie pieniądź, wiedza, nie pięt; praca, nie wyzysk; pokój, nie wojna!..

I w czym tu błędzenie ogólne? — w niecierpliwości, w mierzeniu tysięcy naszym beznadziejnie krótkim życiem...

I fundamentalna zasada: godność człowieka! — idzie o pełne wyrównanie, o zdeptanie zarzewia wojen, o likwidację kast kapłańskich i wojskowych — owych groźnych, antyczłowieczych koncepcji; i o wiele innych jeszcze spraw idzie: o zniewelowanie nędzy i strachu, o zdrowie i uśmiech dzieci, o wyłączenie szalbierczych wmówień rasowych, ojczyźnianych, narodowościowych, państwowych — niech skończy się permanentne pogotowie graniczne! — idzie dalej o entuzjazm wspólnej pracy, o rozkwit niekępowany wszystkich sztuk, o własne, przynależne jej prawa kobiety, o chleb i kwiaty dla wszystkich, o radość bytu na tym jedynym, dostępnym nam świecie, na którym się wszystko złe i dobre rozgrywa. I jest w mocy człowieka zmniejszać sumę zła i zwiększać sumę dobra...

Przerzuty mistyfikatorskie na „tamten świat“ są takim samym kłamstwem i opętywaniem jak zbrodnicze hasła zbrojno-wojennych szaleńców...

A jeśli chcesz prócz akcesu, deklaracji i entuzjazmu jeszcze coś ku tej fundacji nowego domu dorzucić — mędrze i myślicielu? nie, po prostu: prawy człowieku! — dorzucić jedną bryłę czerwonego złota —: irracjonalny (choć cóż to słowo już znaczy!) pierwiastek wzwyżenia etycznego: miłość i ufność człowieka do człowieka. To wszystko. Ufność i miłość poza wszelkimi granicami, poza niedorzecznym hałasem ojczyźnianych fanfar, rządna ufność wszystkich!, radosna miłość dla wszystkich. — Marniały te słowa przez tysiąclecia w skarbonach i skarbcach kruchciany, w sferach bezlitosnych banków, w szyfrach sztabowych międzynarodowej rzeźni ludzkiej. Aż stały się nieprawdą, głupstwem i ja-dem. Lecz dziś jest właśnie na ich odświeżenie, oczyszczenie i odrodzenie pora właściwa; wyrwą je z dna głębokich szybów, gdzie strąciło je szydzące zło ludzkie — spracowane i tą pracą uświęcone ręce proletariatu chłopskiego i robotniczego, wyrwą je z szalbierczych omotań dyplomacji i polityk mózgi poetów i pisarzy — i wypisane będą pierwiej czy później na czerwonych sztandarach zwycięskiego frontu ludowego, równouprawnione z wszystkimi szczytnymi hasłami geniuszu rewolucji...

I nie twoje, zła przeszłości i dogorywająca teźraźniejszości, rączki bielutkie od intratnych błogosławieństw i tłusciutkie od łakomej konsumpcji cudzej pracy, i nie twoje czerwone od krwi ludzkiej i odblasku pożóg bitewnych — mają do słów tych

brzmienia i treści prawo! — Bezprawie wasze, przez
kreśliło was! — Z bólu i męki i dobrej myśli i naj-
szlachetniejszych uczuć wyrosły — bolejącym i umę-
czonym przynależą! budowniczym nowego świata...

—
Cyprjan wykańczał swą powieść na gwałt.

—
Na każdej stronicy, przy każdym zdaniu sta-
wał przed rozwartym zagadnieniem docierania p o z a
dotychczasowe osiągnięcia pisarskie, poza ujęcia ste-
reotypowe i sztampy opisowe, psychologiczne, tema-
towe — jakiegokolwiek wreszcie, wszelkie — dotarcia
tam, gdzie mechanizm myśli, żądź i działań ma swój—
w mrokach i oddalach — początek u włoskowatych
korzeni instynktu, u dna złożu archaicznych, w soma-
tyźmie i „zwierzęcości“ — aż po sferę „ducha“, to
znaczy po najwyższe funkcje organizmu; te, nieznan-
e jeszcze dokładnie, zwłaszcza w obrębie motoryczno-
ści przyczynowej, dają od tysiącleci pole do wszela-
kich mistycyzmów, tej zastępczej formacji przedod-
krywczej. Mroki tu więc i bardzo trudne przeprawy.

—
(— o, jakże trafnie rzekł F.X. Salda:praw-
dziwy pisarz musi kształtować żarzący się materiał,
rzeczy dotychczas nienazwane, musi wtykać rękę
wprost w dym i płomień nowego cierpienia, nowej
ironii... Jednym słowem w czynności jego jest coś zu-
chwałego, śmiałego, powiedziałbym bluźnierczego...)

—
Nagromadzone, czteromiesięczną przeszło abne-
gacją, myśli i energie skupiał, segregował, syntety-
zował. Szło, jak zawsze, o ten pełny, skomponowany

należycie pierwszy rzut koncepcji, z miarowo stopnionym biegiem akcji i wytyczeniem słupów myślowych, któremi ma przebiegać; opracowanie drugie i trzecie — to już kwestia doświadczonego rzemiosła i pracowitości. Podniętą były mu wszystkie zewsząd napierające kontrowersje i przeciwności. Ustawicznie żywa pamięć Mili — najdotkliwsze cierpienie, samotne, przez wszystkich opuszczone. Z nikim ani słowa o tym; ani chwili luzu! ani uncji oczyszczenia. Dni bez zwierzeń. — I stawało się w tej malignie ciało Cyprjana szklaną trumną, w której spoczywały pionowe zwłoki umiłowanej. — Identyfikacja, tylekroć napadająca go w życiu, jak epidemia, stawała się teraz złowrogim, pozaosobistym istnieniem. Wciele nie. Myślał myślami umarłej; patrzył jej oczami, jej wzrokiem widział, jej uszami słyszał; wypełniała jego skórę jak zboże wór. Gesty, ruchy, sposób konstruowania myśli, szyk słów, bieg zdań — były jej, Mili. — Nocami bezsennymi włókł się w przeszłość minioną — obłąkany bólem; — po wertepach groźnych wyły myśli jak oszalałe głodem wilki. Wchodził w rwący nurt mijania po szyję. Lodowaty ziąb.

W pracowni, niedbałością dotąd zagraconej, zaprowadził ład i skład pedantyczny — to ona! — Na biurku teka z rękopisem, we flakonie zielona gałąź brzozy — to ona! — Po pracy stalówki skrupulatnie wycierane flanelową szmatką — to ona! — to jej kompleks porządku i czystości.

(— jakże, i to nawet, wszystko, jakże na wieczność, więc po kres świadomości, lśni gładką, bezpylną powierzchnią szklana półeczka pełna flaszeczek z lekami — a każda nakryta kapiszonem papierowym,

plisowanym — a kapiszony różnokolorowe: żółte, niebieskie, czerwone, liliowe, białe — fantastyczne baśniowe grzyby —)

Tym bardziej raził go nieprawdopodobny nieład w pokoju Wisi. Unikał go; przechodził przezeń, jeśli wypadło, z przymkniętymi oczami.

Z odległego miasta dochodziły alarmujące wieści; zanosilo się na masowe manifestacje i rewolucyjne poczynania. Przyjaciele i towarzysze ślali listy i telegramy. — Jeszcze dzień, jeszcze noc, jeszcze dzień — byle dopisać co trzeba; byle napisać! — Potem już... pojedzie, pojedzie! Nie może być żadnych wątpliwości — nie zawiedzie! — „Cyprjan Fahn — to przecież prawie hasło!“ — piszą — „nie wolno zawieść zaufania!“ — Nie zawiedzie! — że tragiczna ność w myślach i ból i opuszczenie psie? — to nie wchodzi w rachubę! to sprawa prywatna; detal.

Stamtąd też, z tego ośrodka wzburzenia i wielkich zamysłów, nadchodziły listy od Maury; — więc i to! — Odpisywał krótko; oznaczał dzień przyjazdu, zmieniał daty! — jeszcze kilka dni, jeszcze tydzień; a choćby dzień i noc — jeszcze — —

„Przyjadę w noc przed tym“ —

Któż mógł wtedy wiedzieć, że „przed tym“ — to będzie... któż mógł wiedzieć? kto? —

A tu to najzawilsze, najcięższe: Wisiał

Bo tam niechaj robią, niechaj działają, niechaj przygotowują — nie on jest organizatorem, nie on jest czynnym społecznikiem. Pisarz. Alarm. No i to: nie zawiedzie!

Ale Wisia.

Zaczęło się na dobre dnia któregoś; właściwie nocy którejś; późno już było — dwunasta, po dwunastej, pierwsza, pierwsza minut dwadzieścia. Cyprjan pisał; szło dzisiaj dość opornie; bywa; lecz przewidziana zaciętością ilość wierszy musiała być odwalona; z naddatkiem; koniecznie; choćby nie spać; choćby zdechnąć przyszło; — przecież (ciągły ten strach; popędzanie strachem!) ukracał się czas, a każdy dzień przerwy to klęska, to zło niedoodrobienia.

Na wielki, przesypujący się poza brzegi popielniczki, stos niedopałków dorzuca nowy.

Znów stronicę zapisaną odkłada na prawo, paginuje następną.

Następną...

Zapala papierosa. W pokoju mroczno. Tylko ten krąg żółty lampy naftowej. Serce łomocze nieregularnie. Wiatr. Z rynny wybrzękuje monotennie woda. Deszcz. O okno opiera się ciężka noc. Dźwięczą szyby.

Następna...

Wtem nagle, twarde uderzenie w drzwi — łomot — huk! — W zamyśleniu otoczonej nocą pracy — jakby bomba wybuchnęła; — zamarło w nim wszystko; przeponę objął bolesny kurcz. Zerwał się Cyprjan i pobiegł ku zamkniętym drzwiom. Szarpnął — wpadł do pokoju Wisi —

— co, co się stało! — ?! —

Stała wsparta o piec, blada, drżąca, rozwichrzona; tuż przy progu potknął się o jakiś przedmiot, był to ciężki przycisk kamienny; — w rękach trzy-

mała jakiś list — na podłodze jeszcze kilka poroz-
rzuczanych listów — — pismo drobne, znane — to
listy Mili! — skąd? jak?! — przypomniał nagle, że
niektóre, najdroższe mu, miał w sekretarzyku, w szu-
fladzie niezamkniętej —

— więc to te, więc te, więc znalazła je — —

— czemuś to zrobił! czemuś to zrobił! —

Poco pytać. Wiadomo już — —

A Wisia powtarza wciąż i patrzy na niego sze-
roko, pełna przerażenia i lęku —:

— czemuś to zrobił — czemuś to zrobił —

A ta co te listy, tak szczodre i rwące pisała —
już nie żyje!

I możnaby to powiedzieć; powiedzieć: przecież
ona już nie żyje!! — Słyszysz? — — Lecz nie po-
wie; — teraz przecież bluzgną słowa straszne — —
niechże spadną na tamtą żywą, która się chociaż tym
życiem domniemanym bronić zdoła; a te j, tej —
niech nie dotkną!

W tej chwili trwoga wstrząsnęła Cyprjanem,
jak nagły wicher drzewem — — czy Wisia nie dojrzy,
czy już nie widzi tych bledziutkich, wąskich zwłok
pochowanych w nim? może pionowy trup w nim,
szklanym, siniejący — zaświeci nagłym próchnem?—
— może, Wisia, zamiast do niego, do niej tu martwo-
truchlejącej, mówić i wygrażać i pomstować pocz-
nie — ? —

— pocoś to zrobił? — poco — poco — poco —

Pozbierał rozrzucone listy, i ten jeden z rąk jej
wyjął, wygładził machinalnie; były zmięte.

— Wisia — czemużeś ty —

— ja oddawna wiedziałam — pewności tylko—
i teraz mam tę pewność —

Nastąpiły przekleństwa okropne, czarownicze; gniew i wypłoszona ambicja poruszyły złoża medialne — cała płonęła i trzaskała fluidami szkodliwymi — nadawała fale złe i jadowite; pokraczne i wampiryczne słowa roily się jak nietoperze, przemykały się szcurzo i robaczywie — cały pokój był nimi wypełniony, pokój dom, przestrzeń.

Wreszcie w wielkim placzu rozluźniła się pierwsza żalność i złość; po odpływie jej została szorstka, kolczasta zaciętość.

Borykali się ze swym nieszczęściem całą noc; do świtu.

Następna seria dni i nocy była tylko dalszym ciągiem beznadziejności i grozy.

Jak kiedyś, przed laty... owa ciąгла chęć (z wiarą nieuzasadnioną w dobry rezultat) wywołania w niej, w Wisi, pogodniejszej myśli, oddreptanej wreszcie od błędnego (i obłądnego) koła, którego promień jest linią własnego cienia; — ile wysiłku, ile pracy, ile zmarnowanego czasu! — tak i teraz; analogiczne „poniekąd“; — trafienie jakkolwiek argumentacją poza splątane, kolczaste ocernowanie monomaniacznej ambicji — było próbą najbardziej bezużyteczną, nonsensem, złudą dziecięcą.

Na zarzuty sprecyzowane statystycznie (logika Wisil), spisane pięknym „gotyckim“ pismem, wypunktowane ad I, II, III, (rzeczy zasadnicze), 1, 2, 3, 4, (drobniejsze fakty lecz również niezmiernie ważne), a, b, c, d, (uwagi, wnioski, dodatkowe pytania, wyjaśnienia, wątpliwości), to wszystko dział A (sze-

reg kartek), dalsze B i C w opracowaniu i t. d. Wreszcie luźne aneksy do wciągania pod II, 4, b, jako to: obgadywania przed kochanką, marnowanie grosza, wydatki więc ze szkodą dla dzieci, drukowanie jakichś wierszy w kilku egzemplarzach, wierszy oczywiście erotycznych, znaczy się: pornograficznych, to się samo przez się rozumie, jakżeby też inaczej!, że gdy tamta powiedziała, że ma prawo do szczęścia (naturalnie, gdzieżby się też bez tego słówka obejść mogło!) to on to uznaje, uznał, polecał w te pędy, jakby cejco, ojej, — a przecież ona tu, ta, nie tamta, ma prawo do szczęścia, tak, pierwsze prawo, — a co?, żeby tamtej żołnierce (tak ją wciąż nazywała, uparcie tylko tak) odstąpiła męża, ojca dzieciom — co? — a sama poszukała zadowolenia, bo już chyba nie szczęścia, w hodowli jarzyn i kur? proszę, proszę — jeszcze czego! — — Na takie zarzuty cóż można odpowiedzieć? — jakąś półspowiedzią? może; spróbował; ciężko to szło; no i co? — już po pierwszych zdaniach wiedział Cyprjan, że wszystko na nic, że na otwartą ranę ambicji kobiecej (najgorsze z wszystkiego to te wiersze, którymi „uwiecznia“...) nie ma żadnego leku prócz (gdźby się chciało tak powieścić) czasu (ale się nie chce).

I czy (do diabła!) tylko ta ambicja?

Bo... ech! — — przecież nie istniał między nimi nigdy ów ziskrzony, niesłuchanie ważny świat zachwytów nad sobą, słownik wyrazów pieszczotliwych, konspiracją kochających się spiskowców, wystrychujący cały świat na dudka; — przez wszystkie te lata raczej patrzyli na siebie; jedno na drugie; badawczo, uważnie, krytycznie; natychmiast spostrze-

gali wzajemne usterki, śmieszności, wady, ujemności i ułomności psychiczne i fizyczne (to najgorzej!).

Możność porozumienia malała do zera, ba opadła jeszcze niżej: w wzmagający się chłód nieporozumienia. Gdybyż obojętność! — Lecz pozycie, (jakieby tam nie było!) skreśliło wszelką możliwość wytchnienia.

Więc po tym wszystkim teraz (naturalnie!) te słowa: nigdy mnie nie kochałeś, i, nigdy mnie nie kochałaś — były po prostu znakiem pisarskim ich rozmów, dwukropkiem.

I te bezradne i bezładne wymówki! spychania na siebie odpowiedzialności za istniejący stan rzeczy nieszczęsny! —, że on to, a ona tamto! a pamiętasz, jakieś... sprawy niegodne pomyślenia ludzkiego!

— wtedy, gdy się jeszcze modliłam, błagałam na klęczkach, żeby się byczek sprzedał, żeby bóg dał pogodę na żniwa, żeby było co jeść —

I to była prawda, to też była prawda!

Po obu stronach była prawda; i to w pośrodku też było prawdą, mianowicie, że te dwie prawdy były z sobą w niezgodzie. I ta była ważna prawda, że Wisia cierpiała, i ta druga ważna, że poczucie tragizmu Cyprjana, narastające w tej makabrycznej i posępnej atmosferze było druzgocące i po równo rozdzielone pomiędzy tą umarłą i tą żywą. — Tak więc „prawdy“ stały się szprychami koła tortur. Ponad jego obrotem i trzeszczeniem, ponad okapem ciężkich, czarnych kropel krwi unosiła się k r z y w d a, jedyny miernik współżycia ludzkiego.

Czy w tych warunkach mógł Cyprjan pracować? wydatnie i ważnie? — Musiał więc mógł.

W całej atmosferze drżało przynaglenie, niepokojący i wprost trwożący imperatyw. Należało przeczuwać... lecz na to już nie było czasu. — Więc pracował do ochwatu ręki, do mrowienia, które wytrącało pióro z palców. Książka wyrastała dostаточно, sporo i wedle zamierzonego planu architektonicznego; najlepsze stronicie były te — jak zawsze — które pod naporem nagłych spięć wyrastały samorzutnie i samoszczytnie; niewołane słowa i sytuacje układały się wzorowo i krystalizowały mineralogicznie, nieomylnie więc.

Południowymi godzinami, rozległymi wiosennym firmamentem i grząskimi miękim, zapłodnionym ciałem ziemi — wychodził naprzeciw córki, która wracała ze szkoły (— syn był już na uniwersytecie —). Radowały go te momenty, gdy znużonej i zarumienionej drogą Hance, odbierał torebkę z książkami; gdy szedł z nią powoli przez las po schodach cieni i światel; gdy mu zwierzała swe troski, nikle niby to, lecz dla niej ważne i istotne; troska równa trosce, a troski szkolne są deprymujące, czad ich snuje się nad życiem długo; szkoła to z dnia na dzień popelniane morderstwo na dzieciństwie i młodości. Forma szkolnictwa wynaturzająca się z dniem każdym to jedna z trzech zbrodni popelnianych na ludzkości.

—
Te południowe, leśne chwile napełnione jak grzechotka dziewczynskim głosem — to były jedyne chwile wytchnienia.

—
Naogól — napór sprzeczności i niepokojów tego okresu był jednak straszliwy. Nieustający stan obłączenia woli i rozumu.

Postronnie: wyrafinowany system szpiegowski. W tym departamencie wykazała Wisia właściwości genialne; była medialna i natchniona. Lada strzęp listu, koperty, stempla pocztowego, aluzji, refleksji, gestu — wywoływały w niej natychmiastowe skojarzenia, rzadko mylne, raczej właśnie najautentyczniejsze. Zagubiła się w tym dziele cała; ożyło w niej nawrotem wszystko dawne — pojęła i zrozumiała całą strukturę przeszłości, z wszystkimi przybudówkami — i niepojęty teraz dla niej sposób współżycia z Cyprjanem. Od czasu, gdy pierwsze lata małżeństwa przeszły nisko pochylone pod groźbę wojny i obłąkań wszelkich, gdy odpowiedziała na żarliwą inwokację Cyprjana „chcę i muszę być wielkim poetą“ — „tak“ —, poprzez stwierdzenie „wstydzę się twego pisania“ i „brzydzę się tobą“ — nie zmieniła się pod tymi względami wiele. Równa, milcząca, niewywnętrzająca się — była do męża przywiązana takim właśnie przywiązaniem równym, milczącym, niewywnętrzającym się. Najchętniej porozumiewała się pomrukiem. — Pod względem płciowym, poza tym jednym razem, wtedy, przed premierą, — nigdy żadnych forów, zalotności, awansów, okazania chęci — zawsze tylko wyczekująca (bez tęsknoty zresztą) — ideał żony ortodoksji żydowskiej, wedle której małżonka winna czekać na zaloty męża, nigdy się mu nie narzucając. Mniejsza zresztą. Najważniejsze tu to, że cierpiała, i to, że nie pojęła i niezrozumiała tego, co jest wielopłaszczyznowością życia, wielostronnym bytowania aspektem, tegoż bytowania nadbudową i perspektywą. Prawo obyczajowe i karne było po jej stronie.

— to jedno o tobie wiem, że jesteś wielkim pisarzem, więcej o tobie nie wiem nic —

Tak rzekła i to było najgłębszym stwierdzeniem.

A potem:

— kochałam twoją twórczość nie egzaltacją nie histerią, ale inaczej — tym, że wynosiłam wiadra, że gotowałam, że chodziłam w podartej bieliźnie i brudnym szlafroku, za co się nawet gniewałeś na mnie — — i teraz ta... twórczość twoja — odbiera mi dom i dzieci i egzystencję — całą radość życia niszczy, a niewiele jej miałam — twoja twórczość to jest śmierć moja —

Po chwili:

— na artystę w tobie nie liczę zupełnie, lecz może obudzi się w tobie ten drzemiący zwyczajny człowiek w tobie, czy jak tam — i dopomoże mi, bo któżby mi inny dopomógł — ? —

Zerwały się na to w Cyprjanie słowa:

— dopomogę, Wisiu, wszystko uczynię dla ciebie! —

(pogłaskał ją, a ona, bardzo zmęczona i zewsząd wypłaszana, oparła się o jego ramię; płakała cicho —)

(teraz był jedyny, zapewne ostatni moment, by użyć najprostszych słów, słów leczących i zcalających)

(nie znalazł ich)

(począł konstruować zdania, których się sam przed sobą wstydził, nie dlatego iżby były przeciwne jego wierze, nie to, — lecz były tak nieodpowiednie, tak nie w porę!, a to jest najgorsze; to są momenty wielkiej przegranej)

— Wisiu, czy ty wiesz, — to w odpowiedzi

na twe myśli,—czy ty wiesz co znaczy żyć w ciągłym, suszącym pragnieniu doskonałości — a z drugiej strony być pod władzą stu instynktów napastliwych, niekontrolowanych, samopas puszczonych? — z tym ciągłym: „nic nie wiem“, lub: „zdaje mi się, że wiem“ — ? — oto żyję tak między żarem i lodem...

(poco ja to mówię? poco tak mówię? — po prostu uzalićby się, o jej biedzie pomówić; i powie-
dzieć..... O. to byłoby najlepsze; ale tak)

(zniechęcony; jaskrawością słów pokrywa to zniechęcenie; bilon; grozi dewaluacją)

...i pomiędzy tymi dwoma biegunami rozgry-
wają się moje sprawy człowiecze; w sferze więc nie-
zdrowej, w obrębie otumaniających wichrów ileż
żałamań, ile ciężkich chorób i wstrząsów świadomo-
ści czyha tutaj! — któż to zdoła znieść! takie kon-
trasty! gorącość i lodowatość! — lecz też tu, Wisiu,
jest poczęcie wszelkich, ostatecznych decyzji; dąże-
nie do harmonii! — zdobyć ją znaczy zdobyć wszyst-
ko! znaczy: zbawić ludzkość! —

(wierzył w to, więcej: pragnął tego! — Ironia
podsunęła zgryźliwy podśmiew: o, jeszcze jeden
zbawca ludzkości!)

Wisia odpowiedziała:

— hm —

Już nie płakała.

—

Cały ten okres jej cierpiętnictwa był dla Cys-
prjana malignowym chaosem form i kształtów; jakby
iks zdjęć na jednej kliszy. Poza lokacją w obrębie
narastającej wizji (i realizacji) pisarskiej — co prze-
cież jest stokrotnym pobytom w odmiennej realności

i w odmiennym autentyźmie — dookoła i zawsze, z góry i z dołu — wir, istnienie w samym jądrze huraganu, na dnie potwornego, huczącego spadzistymi ścianami leja, wokół którego opętany skręt liści, kamieni, drzew, domów, tysięcy przedmiotów, szat, twarzy i postaci, których ani rozpoznać, ani zatrzymać nie sposób; — istnieje tylko, czuwającym dostępny zmysłom, ten uchwyt nie mogących rozpaść się zwłok w mumijnym spowiciu zupiorzałej świadomości; rozchylone w nich usta pełne pokus i pobłyskujące szkliwo równych drobnych zębów promieniujących, magicznych czadem zmysłowym; — i istnieje — o grozo! — to już zgoła zbawcze i ratownicze, transparentowe wołanie muzy — jej krok — jej takt — marsylianka — hymn międzynarodowy — Maura; — i jeszcze: makabryczny nonsens walki o zmarłą, jak gdyby żyła, jakby żywa mieszkała wśród żywych — ona, ta jedna i jedyna, z którą zerwać nie można! nigdy! jest jak dziecko w łonie matki, można ją tylko porodzić; lecz ciąża zwłok... Wreszcie — i już najważniejsze w tej chwili — konsekwencje jawnej deklaracji po stronie wielkiego frontu pracy; — rzucenie na szalę nazwiska? — drobiazg; talentu? — drobiazg; pracy? — drobiazg; — lecz wiary, ostatniej już tym razem wiary życia! — I temu samopowołaniu siebie sprzeciwić się nie można; nie wolno zawieść! nie wolno!! — Musi być dana jedyna racja wszelkiej idei: zwycięstwo! — Iżby nie powtórzyły się krwawe dzieje ziemi poraz drugi. Iżby nie powtórzyło się życie Cyprjana Fałna. rozumiecie mnie, towarzysze, rozumiecie mnie, poeci?

W tej tonacji pisał.

—

Po wielu przelkanych nocach, po skrupulatnym spisaniu (raz jeszcze) punktów i pozycji, które wykazywały jasno jak na dłoni, że tak dalej być nie może, że rzecz jest niedonaprawienia, orzekła Wisia:

— wyjadę stąd, zostawię wszystko, nie wrócę nigdy —

— Wisiu...

— nie; — nie mogę patrzeć na ludzi, wobec których skompromitowałeś mnie, nie chcę widzieć tych, o których wiem, że wiedzą; a ponieważ wszyscy wiedzą, nie chcę już widzieć nikogo — Lecz to wiedz, na rozwód się nie godzę — nie chcę, żeby ona rozpychała się tu, gdzie jest już zbyt pełno, zbyt tłumno — za dużo tu moich łez, za dużo cierpień —

Sprawa więc przybrała wymiary nadludzkiej już groteski — było to jak cień garbusa rzucony na drogę mleczną.

To już było za potworne!

Zbladł i zacisnął wargi. Tyle byłoby do rozważenia... lecz poco? — i jakże tu temu naraz kres położyć?

Rzekł cicho:

— Wisiu, niechże skończę tę książkę — i potem, gdy wrócę, wiesz przecie —

I znów jej nagły, skondensowany, krwiożerczy gniew wyzwolił z dna przewidującej i drapieżnej medialności skamienieliznę słów:

krzyczała:

— dość! dość! — wiem, co to znaczy: gdy wrócę! — dość! — poeta! — poeta, paskudny, obrzy-

dliwy stwór! — Po każdej książce nowe rozchylają się p... — myślą, wierzą, że poeta to olbrzymi h., który ma zapychać wszystkie dziury! — zachwyt bab! — znam ja to — znam! — po każdej nowej książce egzaltacja — po każdej nowe zapotrzebowanie na d... — tak! — zachwyt, miłość, a potem d... — — poeta! h., na histerzyce — —

Uciekł z pokoju.

A to już był przeddzień zamierzonego wyjazdu; telegramy szyfrowe mówiły, że gwałt, że już, że ani chwili! że lada moment dojdzie do...

Dał znać, że jutro.

Jutro zatelegrafował, że za trzy dni, że przecież zdąży na to najpotrzebniejsze.

Gorączka — maligna — rozdygotanie rąk — a pod czaszką dzwonienie ciągłe, ucisk i szum —

Szum nieustanny — jakby mierzwiony wichrem pierwotny bór — pełen przy poszyciu chichotu koźlonogów i dziwożon; pod czaszką.

Wtedy nadszedł od Maury spory zwitek papieru; Maura pisała:

Noc pomiędzy dniami.

Więc nie sobota!

Nic to; każdy dzień może być: sabbath — królowa Sabbath; czas między środą a czwartkiem będzie schirhaszirim — pieśnią nad pieśniami będzie; psalmem triumfalnym muezina wyśpiewanym na cześć wschodzącego słońca ze strzelistego minaretu; — piękność, mądrość, światło, szczęście, życie do mnie zawita — wszystkiemu na imię: Cyr! — tęsknct

moja to już wysokie napięcie, dudnienie i turkot krwi, śpiewne trzepotanie serca —

Gdzież jest odemnie szczęśliwszy na tym świecie człowiek! — Bowiem tak powiedział Cyr do Maury: „warto pisać z głębi i z dna, gdy jest się tak wysłuchanym i zrozumianym jak przez Ciebie“ — a na to Maura odrzekła: „warto żyć, aby Ciebie miłować“ — — i będziesz, Cyr, pracował i wspaniałe, nieśmiertelne stworzysz rzeczy, — ja zaś pragnę służyć ci jak najdogodniej, a specjalnie do tego, abys — kiedy wielce strudzony zamkniesz część pracy — pomiędzy tą, a następną — gniewny i rozdarty — bez wahania, bez rozmyślania, śmiało na mnie gorzyc swą wylał — wypiję milcząco, bez najmniejszego protestu, gdyż to dopiero da mi poznać prawdziwą wartość życia, życia dla ciebie, o Cyr.

— A wyładowanie takie jest potrzebne, to trzask burzy, to grom wyzwalający, to łyk dobry dla spragnionego; — a potem po kojącej już ciszy odezwie się potrzeba życia, mowa potrzebna; — bez tej pomocy — o Cyr, byłoby ciężko!

Jeszcze przed niespełną pół rokiem myślałam, że kończy się już, niestety bardzo filistersko, ten żywot mój, że zmarnieję wraz z wrzącą (wciąż: 100^o) wyobraźnią, że niema nikogo, niema, którego bym nawet szukać chciała; obojętność; ta z zewnątrz: absolutna obojętność moja.

Gdy nagle (z początkiem grudnia — teraz kwiecień!) przeczytałam książkę twoją; — tej nocy nigdy niezapomnę — nawet w agonii przedśmiertnej, o ile tylko będzie szpareczka świadomości — to wypełniona będzie tą nocą. Wtedy to powiłam cię, mi-

łości, dźwiganą przez całe dotąd życie; — i jest, jest — zdrowa, lśniąca, radosna, uszczęśliwiająca matkę swą; jest miłość — zwie się Cyr to dziecię, Cyr —

Uśmiechu zrodzony w bólach całego życia!

Wydaje mi się, że wtedy dopiero poznam całkowicie i niepodzielnie cały ciężar szczęścia, gdy danym mi będzie cierpieć za Ciebie, dla Ciebie — byle tylko ofiary te były ci pomocą — sama na ten ołtarz pójdę w radosnym uniesieniu, że idę na szczyt pod najdalsze chmury i nad nie —

Patrz, Cyr, jak to jedno słówko twe rozpuściło wszystkie uczucia jakie tylko w sobie mam; że „piszesz“!

Asystuję więc, nic nieznacząca i mała, zapyleń kwiatu. Oto zacznie owocować!

Na dworze świta; wróble wyćwierkują te słowa moje. Nastaje dzień: sobota! — A choć dziś nie przyjeżdżesz — to dobrze i tak — bowiem do środy... no tak, ta długość dni i godzin, które już od dawna składają się nie z sześćdziesięciu lecz tysiąca minut; — od tej chwili każdą minutę wyssię jak wonny owoc —

Cyr, spodziewam się listu od Ciebie w poniedziałek, a gdyby nie było (jakaż strata dla mnie!) to we wtorek, we środę — — a później nastanie ten dzień środy wypełniony drzeniem i tremą przed wielkim debiutem istnienia mego — przepracuję go — następnie przyjadę do domu, zapewne jeszcze i obiad zjem, i na zegarek co chwila spojrzę — i liczyć będę, a im bliżej, tym silniejsze uderzenie serca — tupot twych kroków we krwi; — — położę się na tapczan i nie spuszczę oczu od ciebie (wprawionego w taką

posrebrzaną ramkę drewnianą) i położę się plecami do góry, to spostrzegę na biurku Cyra, a gdy się odwrócę, to na kredensie zobaczę go też — — Zaskmnę oczy — poczuję Ciebie przy mnie i we mnie — o Cyr!

I w takim to skupieniu leżeć będę, aż przypomnę sobie skokiem, tygrysio, że jeszcze tylko kilka godzin — —

— potem na sekundę z wielkiego wzruszenia pociemnieje mi w oczach, a gdy to przejdzie, to jasność mnie otoczy — zerwę się, umyję, ubiorę — do lustra — do lustra nie popatrzę — nigdy nie lubiałam siebie, a co dopiero dziś; — ale popatrzę do lustra i zobaczę się oczyma Cyra, uśmiechnę się, zaśbyszczą zęby, przymrużą się oczy, włożę, włożę, włożę — palto? kostium? narzutkę? ładną chustkę? mam takie opanki brązowe, lisa? — a jaki kapełusz? — jej! — przejdę przez próg ostatni raz sama — — Cyr! — — do tramwaju i na dworzec (:panie konduktorze, proszę, kiedy, za ile minut nadejdzie pociąg z... dziękuję!) — staję, przechadzam się, stoję — może jednak zapalić papierosa? — ten pociąg lubi się spóźniać — — wtem ruch, wrzawa, — wstrząs — staję przy rampce — wychodzą — wychodzą — wychodzą — — oczy moje tańczą, oczy moje zataczają się — o! o! — jesteś — Cyr — — o Cyr!

dzień odpoczynku

I przeszła sobota i mamy już niedzielę (— po niedzielę — wtorek — środa; środa!!! — za tydzień? czy za dwa? — więc kiedy?) i jest po nocy





długiej i ciasnej — i minie ten dzień — i nastanie drugi dzień — i nastanie drugi dzień i trzeci, aż po tę błogą wigilię wielkiego dla mnie dnia! — Tył miałam świąt w ostatnich czasach — świąt prawdziwych, nie kalendarzowych, mój Cyr!

Niedziela: dzień spokoju, wypoczynku, właściwie dzień zastoju — ale nie u mnie, nie! Stagnacja: to dzisiaj pojęcie dla mnie abstrakcyjne! — Myśli, nieprzerywane stukotem maszyny, korespondencją partyjną, tłumaczeniem z kilku języków — myśli te, jako że dzisiaj wolne od trudu o zarobek na chleb powszedni, myśli te dzisiaj wyłącznie do ciebie należą. — Niema mnie w domu dla nikogo; dziś jestem z tobą, do ciebie mówię — do ciebie się uśmiecham, do ciebie się modłę — — gdybyś wiedział jak ja potrafię celebrować takie nabożeństwo! — — I mam przeświadczenie, że wyproszę dużo rzeczy ważnych, z istnieniem najściślej związanych. I gdziekolwiek przebywasz, cokolwiek w tej chwili robisz — wiem, że o mnie pomyślisz w twój sposób, twoją metodą, systemem Cyprjana Fałna! I tak mi się rozkosznie dzieje w tym bezgraniczu pomiędzy gałką oczną a powieką! To jest świat! wszechświat! — I w tym to świecie w chwili tej nie mam ciała, lotna jestem, unoszę się ku tobie i z tobą już teraz — jeszcze wyżej! — Bezbrzeżne przestworza, chłodne i mroźne! Płyniemy — każde z nas to skrzydło — a zaś myśl twoja jest motorem; dobry to motor. Płyniemy przestrzeniami i czasem wszelkim — od dziejów cieplonych zatok, kędy ulął się pierwszy zarys mózgu — aż po dzień dzisiejszy: straszliwy, kąśliwy, zły, szczę-

rzący zęby: a to są bagnety, a to są armaty, to jest
ołów karmiący głodnych — — —

Wieczór zapada (ileż tak godzin przemedyto-
wałam?! —) mój Cyr — — i ty nie jesteś jeszcze
znużony mną i moją miłością? — Co będzie w nocy?
czy zechcesz przy mnie zasnąć, abym i ja oczy, tak
ciebie żarliwie wypatrujące, przymknąć mogła? —

Uśnij Cyr w moich ramionach — przytul się —
chłodno ci? — przykryję; — ciepło ci? — odchyle;—
o Cyr — srebro włosów twych rzuca błyski jasne
wśród nocy.

Oddech twój odrobinę nierówny — ułóż się
wygodnie — aby ci tak dobrze było, jak jeszcze ni-
gdy w twym ciężkim życiu.

Odsunąć się? — o, przysunąć się? — jak? —
podsunąć się? — Dobrze, mój Cyr —

Twoje usta na moich —

Serce twe na moim —

Twoje łono na moim —

Ręce twe obejmują plecy moje —

Twoje plecy oplątam rękoma moimi —

Uda twe na moich —

Ty we mnie, o Cyr!

Ja w tobie, ja twoja — — — imię moje:
Maura — —

Rozżarzona jestem, płomienie buchają we mnie
— nie spalam się, nie; — to pochodnia wieczysta —
całopalenie nieustanne — —

Nie mogę pisać.....

później

Tak już pachnie w mym pokoju twoją obecnością — moje ty oczekiwanie, na które uważam, aby mi w całości zostało, aby nigdy nie przysło, by zawsze tak świeże i tak krągłe było jak kropla rosy porannej: cały świat! — — Tak tobą wypełniona jestem, że niema luki w tym świetle na żaden cień zmierzchu.

poniedziałek (tak mówią!)

I nic to — powiadam i twierdzę! — że w tym dniu wiosennym i kwietniowym deszcz pada i pada — i zimno i mokro — nie ima mnie się ta wilgoć, ani nie wzruszają spłakania chmurne; — w dniu mego wniebowzięcia nic co smutne i smętne niema do mnie dostępu! Obwarowana jestem murem miłości; apoteoza życia i nieśmiertelności.

A ty deszczu niemiły, przestań się szastać, zastanów twój bryzg, usuń się na bok, — w szpalerze stać muszą (i chcą!) gwiazdy z półukrytym księżycem na czele! — Zbierz twe szatki-manatki-chmury i: — powiem ci po naszymu: odwal się! — Czy ty to rozumiesz? — przyjeżdża wielki dygnitarz: poeta!

Ale ten deszczyk to świnka — przekorny, niegreczny, krnąbrny. No, czekaj ty, czekaj! — Zmienię się (to tak łatwo!) w dziecko paroletnie; dzieciom wszystko łaskawsze. I teraz: — entliczki, pentliczki, zielone stoliczki — ; —: trawko moja spłakana, sprana niemiłosiernie dwudniowym, nieproszonym deszczem, otrząś się! Cyr przybywał — listeczki

akacyjne, gałązeczki glogowe, zbierzcie się — ziemio-mamusi, błagam, usłysz, wysłuchaj! — dobrzy bądźcie wszyscy! — najbardziej udane dziecko wasze przybywa z wizytą: Cyr się zwie!

c. d.

Ten pociąg, który ciebie przywieść ma — huczysz, dzwoni we mnie — bucha całą siłą pary — wrze! — a ja tylko dokładam, dokładam, do-kładam (tyle, wiesz, znalazłam tego paliwa!) — byle prędzej, już — tuż, już—tuż, — Cyr — Cyr — już—tuż: wsie — miasta — wsie — miasta — Cyr — Cyr — Cyr —

Dzień z wielu dni

Straszny dzień! Któż mógł przypuścić, że to się stanie. I czy to przyśpieszy? czy nędza jeszcze większa? —

Mówią, że we czwartek będzie bardzo ciężko.
Dowiedziałam się o wszystkim w biurze — wiedzą...
Lękam się i trwożę!

Nie przyjeżdżaj! Zaklinam cię nie przyjeżdżaj!
Będzie krew! Wiem! Będzie krew! widzę ją, czuję!

16 h. 45. m.

Nadszedł twój list; więc musisz przyjechać?
I nie chcesz, żeby o tym mówić? — Nie będę.
Rozumiem! — Lecz wiem jedno: chciałabym, abym

cię teraz miała w sobie, abym cię nosiła w sobie,
w siódmym miesiącu!

Tak byłoby lepiej; tak byłoby słodko we mnie —
i — spokojnie — ; i bylibyśmy zespoleni w nieroz-
zerwalności — aż ze wzruszenia mdleją mi myśli, na
ułamek sekundy tylko; już jestem znowu —

godz. 23-cia.

Więc we środę — więc o godz. 21.26; będę
na ciebie czekała; będę ci towarzyszyła w podróży —
na całej linii —

Pamiętaj: balast dla mnie! — ty jesteś lotem.
(aha; będę miała auto; wiesz, stąd... czarne —)

n o c

Przebudziłeś mnie, mój Cyr; — Cyr, o Cyr! —
najdrogocenniejszy, cudnie przejaskrawiony, śnie złocisty,
woni balsamiczna, smaku rajska, odrodzenie me,
zmartwychwstanie me! — przebudziłeś mnie w go-
dzinę po północy — wyrwałeś mnie ze snu i zostałeś
ze mną.

Leżałam na wznak odrzuciłam ramiona za wierz-
głowie, oczy przymknęłam i twoją byłam; rozkosz
niepojęta.

Jakże to powiem?

Wierzę, że zaznam takiej błogości, jakiej ani
Leda, ani Semele, ani Psyche, ani Afrodis nie miały.

I to wnet, i to już, w kwietniową noc.

Dobrze już z tym żyć, a może lepiej byłoby
z tym umrzeć — ? — Weźmiesz ze mnie tyle, ile ci

potrzeba będzie, weźmiesz bezustannie — nie wyczerpie się źródło zachwytu! — Będziesz brał powoli, w miarę twej potrzeby twórczej, pozwolisz i mnie skosztować odrobinę bezczasu —; wtedy to treść, cel i pasja mego życia będzie wyczerpana.

Wierzę też, o Cyr, że podolałam wielkiemu zadaniu odbłąkania się i odnalezienia. Nareszcie w jesieni życia! — o, ładna to jesień, soczysta, dojrzała, pachnąca! — taki cud! taka wiosna! — powiedz! taka wiosna! —

Jak sad bogaty takie me serce; — istny przepych, jedna wspaniałość drugą przegania, przerasta, przewyższa.

Będę to pielęgnowała! — od skwaru uchronię, w czas ulewy okryję — pieczę otoczę — macierzyńską, wiesz.

Razem zbierzemy te plony, to będzie winobranie upajające! A w zimie — w ciepłym zaciszu domostwa piecowego, zażywać będziemy własności naszej w spokoju, w wygodzie, w podzwaniającej krańcami ciszy i radzi będziemy, że wszystkim wokoło dobrze jest i oczy nasze powiedzą sobie: dobrze było żyć, j e d n a k dobrze... d o ż y j e m y!

A gdy (— razem oczywiście! —) spać będziemy, to na dobranoc usta nasze wycalują to zadowolenie, któremu w inny sposób zaświadczyć nie sposób, a już wypowiedzieć całkiem niepodobna...

A skoro wypadnie nie przebudzić się więcej, — to: nie żyło się daremnie, nie marnotrawiło się darów, celowo się gospodarzyło i zostawi się przecież coś, i nie pośledniego, dla wygłodzonych, smaganych.

cierpiących za winy tych, co mieli a dawać nie chcieli
i za tych, co dawać chcieli a nic nie mieli...

Widzisz, nastał poranek istnienia mego: odbła-
skiem jest przed tobą, wszystko przez ciebie! — bo,
gdyby nie było słońca, to przecież nie byłoby świa-
tła, i nie byłoby tego pyłu zwiewnego, jakim była
Maura przed epoką Cyra Wielkiego.

W minimum lat moich ty jesteś maksimum ży-
cia! — Nasypałeś do pustego worka tyle złota, na-
lałeś do próżnego naczynia tyle wina najprzedniej-
szego! — Tak to zapewne czuł się Sokrates ze swą
mądrością i Krezus ze swym bogactwem; jenom ja
od nich szczęśliwsza, więc i bogatsza i mędrsza!

O liebe, alte, olympische Götter, versucht mich nicht!
Cyr ist kein Polykrates, Cyr ist Leben,
das dringend notwendige Leben, das lang erheischte
Licht!

O Götter!
Gönet mir, die euch liebt und ehrt, gönnet mir im
Namen
der erwartungsvollen Menschheit, gönnet mir eueren
Sohn.

O, Cyr!

— — — — —
— jak widzisz ani słowa o t y m!
— lecz to tkwi jak cierń! — boli! — i to jest
straszne

— — — — —

ultimo

Jeśli ma cię to dojść, Miły mój, — choć poco

właściwie? — to muszę to gadulstwo moje zamknąć i wysłać pocztą lotniczą.

Dziś będzie od ciebie list lub telegram.

Teraz powiem tobie: Cyr, ciebie Kocham! Kocham, jak nigdy i jak nikt! Do ciebie należałam całe życie, dziś i wiecznie tylko do ciebie należeć będę.

Wreszcie chciałabym jeszcze nadmienić (tak sucho, sprawozdawczo), że dni i noce moje wydzwaniają czas, godziny i minuty, w których każda sekunda jest tobą, o Cyr!

Zrana poderwało mnie z tapczanu, wyskoczyłam do okna — a tu małe wiśniowe drzewa w perkach uroczych, a tu stada wróbli po dachach wiecujące —, że wiedzą, wiedzą, wiedzą, i że się cieszą, cieszą, cieszą, że Cyr, Cyr, Cyr — i że Maura —, i że tak kwitnie wiosna, że pachnie, że cud, że cud, że cud — —

p. s.

Gdy zamilknął odgłos syreny fabrycznej, ogarnął mnie przerażający niepokój! — Zmiłuj się! Uczyn tak, abym, kiedy do pustego domu wrócę zastała wieść o tobie; Cyr mój, czy słyszysz wołanie moje? Ktoś wszedł. Nic.

— I już znowu jestem skupiona, zwarta w skurczu niepokoju! — Co to znaczy? co to być może? — Okrucieństwo!

Nie przyjeżdżaj!! — Jestem żywołem! żywołem wołam do ciebie! — Ciężar tych dni będzie straszny; zmiążdży!!

Drugi sygnał gwizdu! — Odrobinę lżej, ale zmora nie znikła, spełzła tylko. — Cyr, ratuj, podnieś mnie, trzymaj mnie, o Cyr! Ginę! Tonę! —

Umieram z tęsknoty — i przed czymś ratować cię chcę! — przed czym? — Cyr! Cyr! — Halo Cyr!!! — nie słyszysz mnie! oh — nie, nie, nie! — nie mogę więcej!

Maura.

P. S. — oto spójrz: już krew! i jeszcze będzie; i potem jeszcze! — rząd wojska i kleru — cóż mogło nas spotkać gorszego! — oto i rezultaty!

„Niepodobieństwem jest zwalczać ideę sprawiedliwości społecznej świata pracy bez wyzysku i panowania klasowego“. To rzekł Sinclair ale nie ten noblista; Upton.

— Junta! Junta!—O, Cyr! co nas jeszcze czeka...

M.

— — — — —
W dzień przed definitywnym wyjazdem wykończył Fałn książkę. Obliczenie (no, doliczywszy te zwłoki i „przecząsy“) precyzyjne. Radował go ten dowód, to, że mechanizm jest skrupulatny i „na sekundę“; jak nieseryjny zegarek szwajcarski „do jednej ósmej sekundy“.

Teraz dopiero naszło nań znużenie bezgraniczne! — tylko leżeć — leżeć — leżeć: — nic nie czytać, nic nie wiedzieć, nic nie myśleć! — — odpocząć! — Słowo to pod przymkniętymi powiekami było jak stukot kół wagonowych, lecz już p o w r o t n y c h — wraca już, wraca — — od—po—cząć — od—po—cząć — — Stukot kół był jak szybki puls przerażonej krwi.

Ostatniego wieczoru poszedł z Wisią do lasu.

Było pogodnie i chłodno. Po górach przesuwał się nikławy odblask zachodu; oglądało się słońce;

dołem mglisto i sino. Na starych olchach czerniły się wronie gniazda; w gałęziach mrowiło czarne, kłóśliwe i strachliwe krakanie.

Weszli powoli w głąb lasu na rozległą polanę wrzosową; szare, zeszłoroczne wrzosy; płaszczyna sucha i obumarła; pośród niej jasnozielone fontanny dąbków, brzoź i osiczyn; wierchem rozległe sosny i daleki przeciągły szum wiatru. Tu na polanie ciszyzna.

Usiedli na wystającej pośród mchu skale; jakby na odsłoniętej, próchniejącej kości żebrowej ziemi. Dookoła zapach wilgotny; pleśnielizna; wrzosy na późnym przedwiośniu szeleszczą obumarle; jeszcze jesień zakonserwowana zimą.

Wisia była milcząca; ważyła decyzję; zawsze tak; sama.

Cyprjan roztrzęsiony zmorą wyjazdu, rozluźniony znużeniem śmiertelnym, przelamany dziejami posępnych dni i upiornych nocy; zawsze tak; sam.

Kiedyż to? — nieledwie kilka jeszcze lat temu przemawiał do niego leśny szum wiecznościowym wiewem, mową międzyplanetarną, a wewnątrz żywiczne lasu melancholijnym uśmiechem: istnieniem, trwaniem, mijaniem. — A dziś? — przytłaczające osamotnienie i nędza bytowania wszelkiego. Życie jest złowrogim darem śmierci. Wszystkie chwile są umiarem. Tworzymy, kochamy, walczymy w przerwach agonji — tym jest życie. Tragiczna świadomość ludzka załamuje ręce, cierpi i krzyczy — i ten krzyk i cierpienie uważa za coś wielkiego i ważnego; płacze, zawodzi i żali się; komu? — tej złowrogiej niemości, która ją otacza? — nicość bezwzględna i wie-

czysta, w której rozplywa i topi się wszystko: gwiazdy, ziemię, człowiek, pleśń, żywioł wszelki; w obliczu jej bezcelowa jest wszelka wola życia; jest grymasem śmierci; ta wola uludna i śmieszna. Wreszcie jest to jedno i to samo — życie — śmierć —: niepokój nicości, która go likwiduje szybko; dreszcz, który mija.

Siedzą oto pod dalekim szumem te dwie obce sobie istoty; cóżby rzec? — wszystko jest tak obojętne; — mówi: — biedni jesteście, Wisiu, bardzo biedni —

A ona milczy.

I znów nastęcza się Cyprjanowi w tej nacieraającej z bliska i z daleka grozie niepohamowna żądza, kurczowy głód spokoju —:

— trzeba o tym raz jeszcze pomyśleć; Wisiu; przecież mogłoby być tak, że spotykamy się nanowo, jakbyśmy przedtem nigdy — — przeszłość? — każdy dzień jest i może i powinien i musi być początkiem —

Wisia płacze; głos jej drży jęśliwie:

— trudno przeszłość przekreślić — — i cóż za egzystencja człowieka? — jaka gwarancja na przyszłość — —

— tak, no, właściwie — chociaż...

Wisia płacze.

Po chwili Cyprjan pełen cierpkiego poczucia straty czasu i zawstydzającej anemii słów —:

— do, do prawd, uważasz, do prawd dochodzi się przez klęski tylko, często przez krzywdy, też; jedyna wiedza i taki, wiesz, preceptor! — — Wisiu, wróć i przekreślmy wszystko — tak, żeby nawet świadków żadnych — więc ludzie, meble, przed-

mioty — Wisiu — we wszystkim co nas otacza im-
pregnuje się rozterka i żalność ludzka —

Ona potrząsa głową, że nic się tu już zrobić
nie da; nic.

A on perswaduje potocznie:, że, prawda, chło-
piec już dorosły, Jurek, prawda, dziewczynka do
szkół, Hanka, gdy, to mogą razem, stacja nie stan-
cja — nie o to w tej chwili idzie, to się załatwi, to
się uczciwie załatwi, prawda.

Ona wtula zaplecione dłonie między kolana.
Nakiwuje się; wiatr mierzwi jej nieporządne, strą-
kami opadające włosy; dużo już siwych nitek.

Cyprjan po chwili:

— i tak myślę, że wybudujemy tu, właśnie na
tej polanie pod starymi sosnami dom nieduży —
izba na dole, nad nią pracownia i dwa pokoje, twój
i mój — i tylko my — — odnajdujący się codzień,
co godzina — w słowie i milczeniu — — ziemia, las,
zmiany pór i myśli z ziemi rosnące, coraz wyższe,
coraz rozleglejsze, wszystkim potrzebne i użyteczne;
pożywne myśli; — aż wyrośnie z tego naszego
czasu na miarę globową zamierzona mądrość abso-
lutna: dobroć —

Mówił to szybko i z ciepłem przekonania,
przewidująco; bardzo pragnął tego o czym właśnie...
niepostrzeżenie jednak pomotały się myśli i uwi-
kły w lepką strukturę tego domu, o którym wła-
śnie... jeszcze raz wrócił: rozkład izb, żeby na bi-
bliotekę dobre miejsce, kształt zewnętrzny, wejście,
okna i drzwi; — odżyła na moment, stale przycza-
jona chęć (manja) budowania, identyczna (w tym
samym miejscu w mózgu rodziły się te pożądlivo-

ści) ze zwalczaną nostalgią za nowizną erotyczną; — w tej chwili podszewką myśli wiedział o tym, prze-
to....

Mówił:

— z izby centralnej, Wisiu, z tej, wiesz, gdzie książki — stoły sosnowe, dwa powiedzmy, dokoła wygodne, niewymyślne krzesła —

myślał:

— przecież nory zwierzęce, jaskinie mieszkalne nie są niczym innym jak anamnezą bezpiecznego łona matczynego; dalszy ciąg —

mówił:

— z tej izby pójdą schody do górnych pokoi, olbrzymie okna, szklane ściany na wschód i południe — a tu są, proszę, choćby i teraz, spójrz tylko — tak, tu są perspektywy! dalekości! — ziemia jest tu tak piękna —

myślał:

— domy? — zwłaszcza te dawniejsze, no i chałupy dzisiejsze chłopskie — to przecież jasne i wyraziste: świetlica macicy z pochwą sieni —

mówił:

— i to będzie nasz schron, dożyjemy tu, Wisiu, dni naszych końca — bo, po tylu latach? zrywać? to tak, jakby ktoś wycofał nagle z banku swe ćwierćwiekowe oszczędności — to oznacza stratę, nas na nią nie stać, mnie w każdym razie nie —

myślał:

— oto ideał mieszkania: ów robak, iks razy mniejszy samczyk od samiczki, mieszkający przez całe życie w jej pochwie —

mówił:

— zobaczysz Wisiu, jeszcze będzie dobrze.
Wisiu —

myślał:

— to wszystko tylko maltretacja siebie i jej —
naco się to wszystko zda? — duszę się w siódlach
natręctw —

Nie rzekł już nic.

Oczywiście; tym dwugłosem (w istocie był to
trójgłos, czwórgłos; więcej) pętane zdania nie mogły
przecież być sugestywne; nie przekonywały; nie prze-
konały; — odrzekła —:

— za późno —

Lecz nie zrezygnował; w to co mówił wierzył;
więcej: pragnął realizacji swych słów (czy właśnie
swej wiary); tak to było.

Nagle pojął, że we wszystkich jego miłościach
tkwił zawsze moment odstręczający: zaborczość
pochwy. To odrzucało zawsze. — Tutaj także (stąd
asocjacja i stąd też to nagłe pojmowanie) wciąż się
zdawało, że „za późno“, a jednak musiało być „nie-
zapóźno“ — jeśli się wogóle przeżyć, jeśli się wo-
góle żyć chciało; — żyć to znaczy: tworzyć, a two-
rzyć to znaczy wyczarowywać wcale krasną i czer-
stwą złudę przesunięcia terminu śmierci (identycz-
nej z końcem świata) po tak zwaną, do usług, wiecz-
ność; udostojnić śmierć; o, to właśnie; — kiwnąć
śmierć! nakichać na wszystko inne!

Zapragnął bardzo, żeby i ona uwierzyła, żeby
zechciała, — lecz już słów mu brakło podgrzanych,
wzbudzających zaufanie; — więc już tylko na zgoła
gospodarską miarę (żeby jednak trafić!), że przecież
wszystkiego żal i szkoda, i tych lat tylu wspólnie

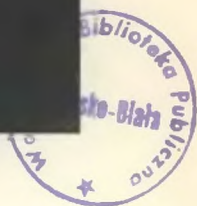
i tak mozolnie przepracowanych nad wydobyciem się z nędzy i gruzów, że i finansowo trochę lepiej i dobytek jaki taki, i długów coraz mniej — miałyby się to wszystko zmarnować? — pomyśl — i to, że przecież do nikogo nie wracał — do niej tylko, do niej jednej! — a to ma swój sens i znaczenie ma — Wisiu!

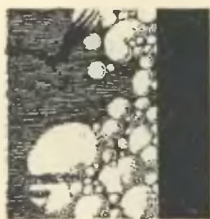
Lecz w niej dzika zaborczość i gwałt przyćmiły wszystko; była daleko poza jego myślami; zbliżał ją do nich już tylko gniew, niechęć i obrzydzenie.

— nic, nic, nic — wszystko za późno — — I ciśszej w siebie wmamrotane: — oszustwo — kradzież — zbrodnia — — Już tylko tak — i tylko tak. Koniec.

Zapadł mrok.

Od moczarów i zalewisk podgórskich pełzała nieunikniona noc.





tak ten orzeł wyleciał z lasów, które w dole zieleniały gęsto jak mchy — rósł na tym prostopadłym locie — i oto już rozpostarty i groźny drży przed mijającym go samolotem, do którego zwrócił się piersią i spodem wyżłobionych skrzydeł: piękny, zuchwały, oburzony —

Zalśniły okna i blaszane dachy lotniska — samolot wirażem szuka miejsca dogodnego opadu.

To było rano tego dnia; pogodne rano i godziny czyste i białe, górą niebieskie, dołem już niepokojąco zielone, pełne szumu krwi i rośnięcia — ponad ilastą, suchą ścieżką wijącą się pośród ozimin i wyorzysk, od białego lotniska ku leśniczówce pachnącej razowym chlebem pieczonym na żywicznych szczapach.

Odpoczynek; wierzchem; — spód bardzo rozdygotany i pełen niepewności i tego niepokoju, który poprzedza wybuch lub zimny chłód nadchodzącej ostateczności. Bo, że do lipca to wytrzyma — najdłużej! — to pewne! I wtedy pójdzie ostatnia rozgrywka — wielka walka frontów — na tym skwar

nym odcinku Europy — decydująca na wiele najbliższych lat — ; — straszna rozgrywka, bo dno świadomości podudnia echem religijnych zmagañ — bo czasy takie: bankructwa i nowego dorobku etycznego; to jest najważniejsze, do tego sprowadza się wszystko; materialistyczny pogląd na świat to właśnie wstająca w nagłości i niecierpliwości religia. I już wątpliwości nie ma..... A tamte okopy? — ostatni etap szaleństwa: za wszelką cenę! — lecz ta cena jest już bez jakiegokolwiek wartości — — I: do brzeby było w takiej obrosłej wysoko szumiącym lasem leśniczówce — — pewnie, pewnie;—tyle tylko, że nie można, że nie wolno, że już nie można, że jeszcze nie wolno — — a taki właściwie winienby być eksodus człowieka: kontemplacja i zachwyt —: oto dwa szyfrowe hasła, które otwierają bramę krajiny ostatniej — — może nadejdzie ten czas; trzeba go skłonić, aby nadszedł, aby nadszedł jaknajprędzej — —

Rano.

Południe.

A wieczorem:

lokomotywa płuła soczystą zieleń, jasną i niezapyloną; rozpryskiwały się na boki niskie porosty pól żytnich i pszenicznych, opalone łysiny wyorzysk, i znów gęstniejące w napierającym mroku konicze i łąki; — gromadziły się dopiero na widnokręgu i olbrzymim, rozległym zakolem wracały w ustawicznym powrocie! krajem toru pienił się wczesny puch ostromlecza wydmuchany koszącym prądem.

Cyprjan stał w kurytarzu przy oknie. Z zacięciem patrzył na odmienny krajobraz. Tam,

w Polsce, ziemia naga jeszcze i zawilgła —; przypomniał sobie najwcześniejsze kwiaty: na grubej, niskiej łodyżce parasolik żółty: podbiał —

Pociąg przemknął właśnie przez obszar deszczowy; strużą się jeszcze krople na szybach i nagle, skrętnie opadają w dół; żywe, szklane, plazmiczne istoty.

Rozrzucone domy kamienne, płaskie: posępna czerń okien i drzwi; rzadkie skupiska: miasteczka, wsie. I jedno uderza: cisza, bezruch, bezludzie; czasem wymgli się z jamy okiennej stara twarz — znika natychmiast. Jeno pogłos pędzącego pociągu przebiega szybko, chrzęszcząca, kosmata tarantula, poszorstkich ścianach i płaskich dachach. —

A potem już od widnokręgu górzystego po widnokrąg płaski jakby w dół opadający — lany młodej kukurydzy strzeżone przez zagaje akacjowe. I już bez domostw. I już bez ludzi. Mijane stacje są samotne, bez zaplecza przynależnych miast; są własnością ziemi zdobytej przez kukurydziany zabór.

Teraz słońce! -- skośne i bardzo promienne.

Na wschodzie przyległy do siebie obłoki: olbrzymia miłosna para; — leżą od wschodu po środek południa wtopieni w siebie twarzami i całymi postaciami, spleceni zwarcie ramionami i nogami; — złoci i różowi; umierający dzień rozpuszcza kontury obłocznych ciał. — Przypomina się obraz Maksa Klingera: syrena i tryton; co tam jest morzem tu jest niebem — i też tak: zielone i modre.

Z mijanych w tej chwili zalewisk, bajor i stawów rozgłasza się radosny rechot żab; — pierwszy

raz w tym roku; i znów: tam jeszcze śpią w mule
wzdęte i śliskie.

Pociąg sapie i drży — pod górę tak się pnie
skalistą, stromą. Olbrzymie zwały głazów; przepa-
ście; skośne piargi — — tam w dole wije się syczący,
skrętami sinymi pobłyskujący wąż rzeki; stąd zmi-
jowy, wąski; struga.

Wiadukty; tunele.

Obrzydliwy, przygniatający mrok.

I nagle tak obco, daleko i obco — — dokąd?
po co?

Niepokój dni przedwyjazdowych i pierwszych
godzin podróży, złagodzony i odprężony południem
i rytmem pulmanów — nanowo zatelepał Cyprjanem.

Wrogość we wszystkim i skazaństwo nieod-
parte.

Właściwie szkoda wogóle myśleć; wszystko
jest zadecydowane; bez odwołania.

Skoczyć na łeb na szyję — załatwić co jest do
załatwienia — zrobić — skończyć — wrócić — ?...
rozpocząć na nowo; prowadzić dalej... bo... no, bo
niema powrotu, i być nie może.. chyba, że...

O tę odrobinę jasności tylko idzie, o to tylko,
aby przecież było lepiej... tobie, mnie, i — wszyst-
kim — —

Pociąg wysunął się z tunelu ostatniego — dyszy
pod górę — pełnić w dogorywającej zerczy — już
i w ślepotcie rozwleczonej po całej niewidnej ziemi —

Powoli myśl o Maurze zasłania wszystkie bliż-
sze i dalsze plany; — ona to ten rezultat pierwszy —

Siódma — ósma — dziewiąta — — jeszcze dwa-
dzieścia sześć minut — a, że spóźnienie — więc czter-

dzieści pięć — więc przed dziesiątą — — hojdają się i odchylają chwytki węzłowe przy abażurze — ciemne, ruchliwe, jak pszczoły na uwięzi — za nimi klosz błyszczącej lampy — — czy na peronie będzie? czy przy wyjściu? — — minuta za minutą —: dziewiąta czterdzieści, czterdzieści jeden, dwa, trzy, cztery, pięć, sześć, siedem — —

Łuna popielata — gwar stłumiony — — to już będzie — —

Walizka, płaszcz, laska — żeby czegoś nie zapomnieć — bilet przygotować — tak, no toby było; — — idzie przez olbrzymi, niemy dworzec — powoli — — serce tłucze się jak opętane! — — na ostatku; — schody w dół — długie podziemie betonowe — pogłos mnoży stukot kroków przez dwa, przez cztery, przez sześć — cała przestrzeń tej beczki posiatkowana algebrą — — teraz strzała: na prawo! — schody — pod górę teraz — — wyjście; — na końcu kurytarza zwężone dwoma szklanymi klatkami wyjście; wśrodku przegroda — po jednym, po jednym, powoli, nie pchać się — —

Cyprjan idzie ostatni; wszyscy go wyprzedzili; pomiędzy cwałującymi pasażerami a nim uczyniła się przerwa; przestrzeń pusta. Tu on — a tam, przy tej przegrodzie — pocóż się było siebie pytać? — przecież wyraźnie pisała: przy barierze; — już widzi! kolor zielony! — idzie jeszcze wolniej, nogi stają się ociągliwe; głowa zaś podniesiona — tak jakby nie dostrzegał, nie starał się, nie potrzebował dostrzec; — oddał ręce wyciągniętej z prawej klatki bilet — — — teraz stoją twarzą w twarz. Patrzą na siebie jakby w lustra, w lustra naprzeciw siebie usta

wione — więc w siebie i w nieskończoność zarazem; nawet zarysy ich głów stały się jakieś podobne, identyczne nieomal; na tę jedną chwilę.

— Maura! —

I najpierw:

— otoś ty...

A potem wzruszenie nagle, oniemiające — i ani słowa więcej.

— Maura! —

Odpada wszystko ugniatające, depresje i niepokoje, jakby się sadze zsuly; jasno; nowe życie! — o tej przedpółnocnej godzinie; bo za dwie godziny pocznie się dzień inny —

Siatkówka migawkowo notuje — i natychmiast się wydaje, że nakrywa się rzeczywistość z wyobrażeniem —: wysoka, szczupła; prawda?, niezwykle zgrabna; małe nieco wydęte wargi, bardzo czerwone, ciemny karmin; nos wąski; ruchliwe nozdrza, mocno wykrojone; wyraz nieco wyzywający i nieobecny zarazem; mówi się: dumna; ale to nie to. Kostium — więc jednak kostium? — zielony i mały, toczkowy kapelusz też zielony. — Ptak, ptak — jakiś gdzieś widziany w odległym ogrodzie — szczupły, wysoki, zielono-pióry — — albo: jest taka roślina w wąwozach naszych gór — — ech! — porównania! pal diabli! — bo też wszystko się przeinacza przez te olbrzymie ciemne oczy pod sitowiem rzęs — — jeszcze: górna warga pokryta niebieskawym cieniem —

Ujęła jego dłoń i przycisnęła do piersi; bacznie patrzą sobie w oczy; lecz z uśmiechem.

Tak idą ku wyjściu. Przyświeca im, jak księżyc teatralny, zegar; świetlistą tarczę przecinają czarne

wskazówki; większa skacze co minutę; drży przy tm przez chwilę.

Przed dworcem — niski, długi budynek z kamienia, i filary proste, bez kapiteli, też z kamienia — taki widać kamienny styl tego górskiego kraju — przed dworcem więc, a już po drugiej stronie, ku miastu zwróconej stronie, przystanęli chwilę; podjeżdża małe, czarne, lśniące, jakby wodą zlane, auto.

A oni przytuleni do siebie; ona patrzy wciąż na jego profil; uczy się go na pamięć; uczy prędko, dokładnie — do egzaminu — już, już ją wyrwą — trzeba umieć!

— jedziemy? —

Przymrużyła oczy; znaczy: przytaknęła.

Już otworzył lśniące drzwi — prosi, żeby wsiadła; więc wsiadła. — W tym momencie spod pobliskiego filara, spod cienia — wysunął się szybko mężczyzna; czarne palto z jakąś dziwną pelerynką; kapelusz nisko na czoło nasunięty; nieznacznie podniósł lewą rękę: pięść. I Cyprjan.

— towarzyszu Cyprjanie, dobrze, że już jesteś; jutro o siódmej krótki miting i zbiórka w domu Z. R.; hala —

— będę —

— cześć towarzyszu —

— siadajcie z nami —

Nieznajomy już wsiąknął w cień.

Na krańcu rozległego placu, u skrzyżowania ulic stał policjant; — teraz odwrócił się twarzą do dworca.

Auto ruszyło szybko.

Ulica za ulicą — niezrozumiała gmatwanina —

zwyczajne europejskie dzielnice — dopiero później domy niskie, jednopiętrowe, rozłożyste, z podcieniami dookoła, okna romańskie — teraz place jakieś — skwery — piramidki topól, głogi koliste, dużo tuj — i znów ciemno — uliczki puste — tu i tam strażkonna — lub piesza — po dwóch — w kaskach starych.

Już się aż ręce zapociły od uścisku.

Wiadukt. Na prawo wysokie, zwisające złomy skalne, na lewo kamienna szeroka bariera — z dołu szum drzew, których chwiejne czuby zaledwie przerastają parapet bariery; auto zwalnia; powoli jedzie pod górę; na pierwszym biegu. Zakręt i górską drogą nagłym wysokim skokiem wpada w nową dzielnicę miasta: szpitalna, fabryczna, robotnicza. Tuż u wylocie wiaduktu olbrzymie budynki, kompleksy domów — zakolami —

— to szpital powszechny — ten budynek na prawo szpital zakaźny — tamto szpital dla dzieci —

— a tamta brama? —

— to smętarz —

— to tu? —

— no tak; ale to co jutro, to wszystko inaczej, cały pochód pójdzie, to już wiadomo, choć i sprzeciwy będą, na ten drugi smętarz, przez całe miasto —

— no tak —

Wyspinało się auto. Teraz znów równo. I jaśniej —

— pełnia dogorywa od kilku dni —

Niski, ciepły jej głos.

Gmachy.

— to prosektorium; tam w głębi zakład ginekologiczny —

— takie to miasto? — szpitalami wita i smęta-
rzem —

— tu na prawo koszary —

Uśmiechnął się; wszystko do maści.

Stop.

— proszę; — auto zaczeka, pojedziemy do...

Dom przed którym się zatrzymali, willa raczej, taki właśnie autochtoniczny, z krużgankiem podcieni wokół piętra niskiego —; przed domem ogródek — dwie tuje za żelazną furtką; przy bramie latarnia żelazna. Naprzeciw znów taki olbrzymi gmach; nie pyta, to widać, że to szpital; nawet czuć w powietrzu lizoform czy coś takiego.

Maura stoi na drugim schodku przed bramą. Cyprjan przed nią — twarze ich są prawie na jednej wysokości. Przechylił się ku niej, ku tym małym wydętym wargom, czerwonym (...same one są sztandarem...) — ucałowała go mokrym wnętrzem ust — dotknął wargami zębów; duże, równe... odmienne...

Odsunął się; uśmiech obcy nieco, wymuszony; ten jego uśmiech.

Weszli.

Na parterze; na prawo; kilka pokojów — komnatki raczej — sklezione; okna romańskie. W dwu przyległych izbach tapczany; już zasłane; mebli nie-
dużo; najpotrzebniejsze; mimo to wrażenie ciasnoty. Wszędzie kwiaty; dużo; w wielkich flakonach; to stąd; —: konwalie, bratki, tulipany — duży pęk

barwnych tulipanów — na wysokich, giętkich łodygach — odchylają się ze szklanej czary i kłonią ku stołowi —

Rozgląda się ciekawie. Barwnie. Chusty haftowane, makaty, kilka obrazów: port: duże, wysokie, piętrzące się domy, ruchliwa powierzchnia wody, bardzo kolorowe, konturami obwiedzione; to wklisza się w pamięć. Wszystko migawkowo, bo przecież: Maura! — Tu i tam lśniący kryształ; kołdry wspiane, połyskliwe, jak z róż, są tego koloru poziomkowego kremu. Fotografie...

— wszędzie cię tu mam — o, Cyr —

Istotnie. Nad tapczanem, na biurku, na konsoli i jeszcze, i jeszcze — jedne wiszą, inne w zmyślnych ramach: szkło i alabaster —

— gdy chodzę, gdy stoję, gdy leżę niespokojna i drżąca cała — gdzie się zwrócę mam ciebie, Cyprjana Fałna — o, Cyr —

— więc: Cyr? — tak to wymawiasz —

— pisałam —

— słucham jak wymawiasz, jak to brzmi w twych wargach, w twych dziewczęco namaruszonych wargach —

Nie usiadł jeszcze.

— chcesz się umyć? — proszę tutaj — przebierz się? — ja tak —

Duża łazienka; pokój spory; z wanną taką co to po schodkach; pachnidła, kremy, wody kwiatowe; ręczniki i prześcieradła z dużymi, jaszkrawymi szlakami —

Poprzez plusk i szum wody słyszał krzątania

się, otwieranie szaf i wciąż to, jak świergot rannych ptaków: o Cyr — o Cyr — o Cyr — — —

Umyty i odświeżony (— o ileż zwawsze samopoczucie! —) wszedł do jej pokoju. Stała właśnie przed lustrzaną szafą; naga; — — bardzo zwinnie zbudowana; gronostaj; i egipcjanka — owa tancerka egipska Piglheina? — nie! tak ku niemu zwrócona — a głowa ku lustru profilem: lutnistka egipska z malowideł nagrobnych osiemnastej dynastii — —: szeroka w ramionach, węższa w biodrach, piersi dziewicze, lecz dopełna rozwinięte, w ciemno obrysowanej otoczy wysoko wzniesiona sutka, blada — blada, bo te wargi takie czerwone —; i pobrzękują jej ręce branzoletami — — przynuca gardlanie jakąś ludową pieśń —

Podszedł ku niej wciągając szybko rozdętymi nozdrzami powietrze — pachniało jej nagą, zwierzęcą urodą; — pierwsze spotkały się ich ręce — — w uściskach i wycalowaniach przymdlało jej ciało, rozluźniło się miodnie.

Już leżał obok niej; — jeszcze jej nie chciał brać; chciał się wzrokiem nasycić, napatrzeć; kładł ją na wznak, obracał na brzuch, gładził jej kark i plecy, przypadał do krągłych, gładkich pośladków, chłopiących i zwartych, ocierał o nie twarz jak kot, z zachłannością. Dbała była, powolna; pojękiwała w sobie: — o, Cyr — o, Cyr —

„Andaluzyjka“ — wyafiszował nagle mózg; — i „tylko obrazy i aluzje, katalog „dzieł sztuki“, — zmęczenie“ — zaklął, bo zrozumiał, że zaniepokojona świadomość ratuje się tysiącem sposobów —

a, co najgorsze, automatyzmami, natręctwami — —
an—da—lu—zyj—ka — —

Płeć jest w tej chwili zaalarmowana. Oto już
zwinna i gibka, wysportowana, jędrna — wyginała
się Maura w łuk i wysoko podawała jego ustom swą
kobiecość; — całował ją, a ręce jego pełne były jej
piersi. — Wreszcie zapadli w siebie z krzykiem,
z przerażeniem — przejęci i zaskoczeni odkryciem sie-
bie wzajemnym od głów do stóp; — wyzwolenie ciał
było ciche i skupione, — gładził jej włosy i spocone
czoło; — leżała bez ruchu, rozdygotana i drżąca.

I znów usłyszał — jak w chwili przywitania:

— otoś ty... — resztę wymawiały wargi ruchem
samym, bezsłownie; wreszcie wydęła je jakby wzgar-
dliwie i roześmiała się głośno.

Odrzekł tej całej grze mimicznej:

— Mauro — do dziś obca, a już swoja —
Mauro —

— o, Cyr — o, Cyr — o, Cyr — o, Cyr —

Od szeptu po krzyk wysoki wyrzucała z gardła
to hasło swego miłowania — od ćwierku po alarm —

Bransolety na rękach dodzwaniały rytmicznie.

Pierwotnie: taniec i śpiew — gest i tan — —

A tam gdzie go zaprowadziła w jakiś podwin-
niczny zakamarek przedmieścia — pod lampą oświe-
cającą wijące się metalicznie po kracie drewnianej
pnące i liście — w tej egzotycznej — „u nas przy-
mrozki jeszcze“ — altanie: jakże smakowało wino!

— jakie pijesz? — jakie dziś chcesz pić —?

— jak twe usta, z kroplą rubinowej rozkoszy

na dzień —; i oddalnie nieco: — czerwone jak to, co
dziać się będzie, co się zaczęło już —

— ani słowa teraz! — jutro wszystko, za kilka
godzin, przecież... sam przecież chciałeś, tak chciałeś,
aby nie... Razem pójdziemy, jutro jest świata, noc
dzisiejsza nasza — przeto tak urządziłam, aby nasza
była, bez snu, bez rana —

Tedy mówili sobie o sobie, o swych młodo-
ściach, tragediach — i o sobie wciąż, dzisiejszych, tu
siedzących, nabrzmiałych tęsknotą tyłu miesięcy, gdy
ustami i dłońmi, piersiami i płciową pokusą były
ich listy szerokie.

— to niesłychane, o Cyr, to wielka wygrana
życia, moja wygrana, to wielki los — spotkanie nie-
bywałe —

Mówi wersetowo.

— mógłbym rzec: moja wygrana, lub wspólna;
— prozaicznie (Cyprjan).

A ona:

— jesteś jak drzewo żywota, rodzisz słodkie,
pożywne owoce — karmisz nimi Maurę —

Zląkł się na moment, że powie „twoją“; uraz
do zaimków dzierżawczych, natrętnych w takich sy-
tuacjach. Lecz nie. To dobrze. Więc rzekł:

— z pustymi przychodzę rękami, chcą być
pełne ciebie —

Brzękły przeciągle podniesione kieliszki; — są-
cza w siebie drobnymi łykami żywy, ciepły, mocny
sok ziemi.

Maura nachyla się i cofa — nachwiewa się mo-
dlitewnie, muezińską, pierwotnie też. I porusza so-

czystymi wargami; jakby ssała niewidzialne źdźbło trawy.

Cyprjan kończy zawiłą, nieskonkretyzowaną myśl; nie wie, że mówi:

— a to...

— co Cyr, co? — jakże cię strasznie pragnę —

Więc odsuwa Cyprjan kieliszek ku środkowi stołu, wygładza serwetę i przechyla się ku jej głowie wspartej na rękach — ujęły dłonie twarz jak klosz z kwiatami —

— rozkoszą jesteś, andaluzyjką płomienną, po myślałem: andaluzyjka, więc niech tak będzie; pu-
stynna? nie wiem, wyrosła z tych wzgórz i skał —
jest w tobie dawna psalmowość, czyby to imię twe,
Maura, zaważyło? — — bo widzę cię giętką jak da-
masceńska stal — i ręce te ponad beduińską watahą
roztrzepotane widzę: Jehowa czy Akbar Allah —
demiurg — — nagle samotniejsz i przycichasz —
stoisz na wzgórzu skalnym, a u stóp twych płynie
leniwy, słońcem stopiony Cyprjan — rzeka okrą-
żająca świat — wpływa w wieczność —

— o Cyr — gospodarzy zaległościami uczuć po
kobiecemu. — Ja gdy sobie wypracuję — zawsze
tylko, żeby wyjechać, myślałam, żeby wyjechać, żeby
wolną od wszystkiego, pełną być — u dalmatyńskich
wybrzeżu na Adriatyku są małe wyspy — i na jedną
z nich z tobą — — no, myślałam — lecz jakże to
dzisiaj zrobię, gdyś ty, Cyr, do mnie przyjechał,
gdyś ty —

— odwiedzę cię tam w białym domu, z rozwar-
tymi podcieniami, dom biały o płaskim dachu —
kiedy kwitną pomarańcze? kiedy dojrzewają? — —

Twoje zdrowie pani kwitnącej wyspy — — Mauro — —
— twoje, Cyr —

Zadzwończyły kieliszki trącone; cyprjanowy skur
knął żałośnie jak szczenię, — pękl —

— to na szczęście, Cyr —

— tak sądzisz —

— cygańska wróżba —

W żyłach ich falowała krew zmieszana z wie
nem — — przyływ — odpływ —

Dokoła było cicho i rozległe; świat wielki po
tę drewnianą kratę porosłą winem — odgraniczającą
od wszystkiego i nazawsze — świat jak wewnątrz cie
plej dłoni — świat jak kolebka pachy, w którą wtula
się lebek dziecka; więc ufnie.

Słowa jej teraz są jakby naprzekór tej ufności—
czy odczytane długim spojrzeniem w jego źreni
cach — ? —:

— no tak, to już wiem — ty nie kochałeś i nie
kochasz nikogo i niczego prócz poezji i brzasku dnia
jutrzejszego — to jesteś ty —

— tak — potwierdził — istotnie nie pora na
zaprzeczenia —

— i nie zaprzeczaj, bo to jedno cobyś mógł
powiedzieć: pleć — lecz to ani ja, ani owa, ani tam
ta — my całkiem czego innego chciałybyśmy od cie
bie — a ty nas tylko jako zapęd twoich motorów
życiowych —

— tak —

— z tobą spalamy się nagle i niebezpiecznie
jak benzyna, opuszczone przez ciebie wietrzejemy
jak benzyna —

— tak —

Zamilkli.

Od wschodu wiał wiatr już podbity snem korów — delikatną luną płonących daleko zórz.

Zieleniał i blado niebieszczył się świt, gdy wracali do domu; — teraz zauważył, że była w sukni: cytrynowo-żółtej, tylko krawatka i wstążka na kapeluszu były bordo z odcieniem fioletu; a jej wargi czerwone —

Szli powoli trzymając się za rękę.

W pewnej chwili uśpione spłoszenie:

— piąta — jeszcze dwie godziny —

— tak, dwie godziny jeszcze —

Ostry na czystym, polerowanym powietrzu świt chodził po dachach i zaglądał do kominów.

Na zbiegach ulic spotykali policjantów — po dwóch — w bojowych kaskach —

— strach ich uzbroił —

Teraz już minęło; noc, altana, wino — przeszłość daleka; wieki leżą jak śpiące lwy po obu granicach życia ludzkiego. I bzdurzy się natrętnym szerszeniem: koniec świata! — Koniec świata to koniec życia. Co minutę, co sekundę jest koniec świata; i początek; wszystko inne jest na przecięciu tych dwu z pasją bez ustanku siekących w siebie ostrych strun.

Nerwy napięte do ostatnich granic; za każdym dotknięciem myśli dźwięczą złowrogo; dają znać. Pod dygocącymi płytami kamiennego chodnika słychać wezbrany szum wzbierających wód.

Nad kondygnacjami dachów kołowały białe







gołębie — w skośnych, zwinnych zawrotach lśniły jak żywe srebro.

Na jeden okrucz sekundy rześkość przedzianna zamigotała wizją Arkadii — było to jakby drzenie kropli rosy zanim się stoczy z liścia — ; — mijali ulice, mosty, dziwaczne przejścia wśródskalne, schody strome, parki, ogrody; — przy jednym przystanęli chwilę; na zielonej łączce w chłodnym cieniu łuszczących się platanów i liriodendronów pasły się dwie sarny; podniosły głowy i zwróciły duże, wilgotne oczy na Maurę i Cyprjana; liryzm; i wtedy ta Arkadia: w sarnich oczach: szuwały: Pan grający na sirinks.

Szli kamiennym cieniem.

Przed nimi żółte w tej chwili niebo — i była Maura w sukni przewidzianej jak strzęp tego nieba opadłego w miasto; muza spotkana o świcie. Cierpki smak ósemki na podniebienu; nic więcej.

Poza tym szum w głowie — jakby odległy poza widnokrzęgam wodospad. Mózg suchy i parzący. Gorący piasek.

W domu rozebrali się szybko i położyli obok siebie nadzy i chłodni.

Uśmiechały się usta; oczy były dalekie i posępne. Niewypowiedziane słowa krążyły wokół nich; słyhać było ich szelest cikliwy i drażniący. — Na dnie obojętnych zdań i miłosnych szepców drżał coraz bliżej następujący niepokój; — wyczuwali to wzajemnie, przykładając ucho do swych piersi... dygotała ziemia — podudniała dalekim pociągiem — mo-

sty — wiadukty — stromość — opad — kołatają sygnaly — już ten pociąg z ostatniej wyjechał stacji.

Pieścili się niedospanie, gorączkowo, gniewnie. Mozolili się i gwałtownym pożądaniem doganiali droczącą się z ich wnętrzościami rozkosz.

— mocno, mocno mnie trzymaj — opasz biodra rękami —; rozkrzyżowała się na powietrzu, cała wtył podana wyprężonym łukiem; — zwisła na tym pasie ratunkowym jego zaplotu. Rozgorzała.

— walkirio —

— o, Cyr —

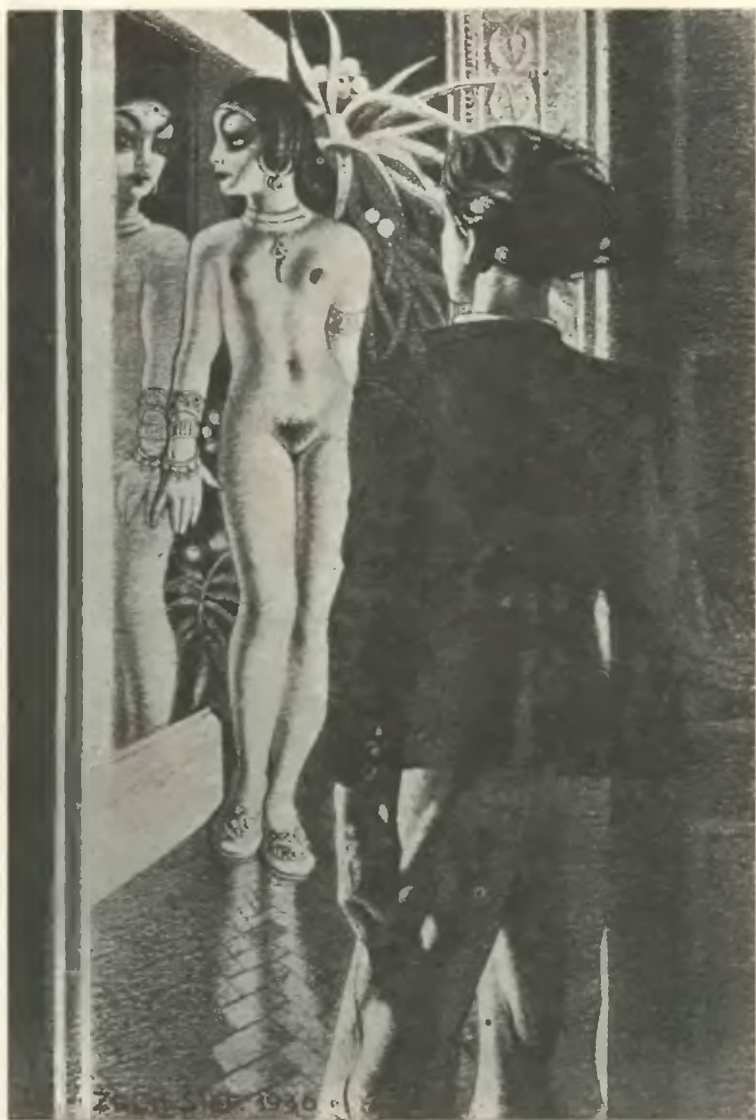
Przetoczył się nad nimi — jak nagła wiosenna burza — tentent kopyt purpurą barwionych — rytm wzburzonej walkirycznej posoki.

Leżeli objęci ciasno.

Prądy i wiry układały się w żyłach w nurt spokojny; przybrzeżny prawie. Słodkie odurzenie głądziło skórę. W skroniach łomotało i kowadliło się bezmierne znużenie; ach — spać — spać! — odespać miesiące i lata niedospane!

Za oknem ćwierkały klótlive wróble.

Z tapczanu widać było ponad małymi sadami rozkwiecionymi: różowo i biało, pośród których wspanily się sinawo domy niskie i rozległe, wysoką, kwadratową wieżę romańską — wpierała się w firmament niebieski już teraz pełny i przejrzysty. Na widnokręgu barykada gór — przez półprzymknięte powieki, przez deszcz rzęs realizuje się widmo Kaukazu — one to, one — niebotyczne góry, które nie są niczym innym jak tylko męką ludzką, kamiennym wycierpieniem za tę iskrę zbawczego ognia skradzioną bogom, aby ludziom było jaśniej i cieplej... Po



1936

Wojewódzko Biblioteczna
Białsko-Biał
*

nał górami wiatr gna na północ samotną czarną
chmurę; kształt jej przypomina orła... przed chwilą
rozpostarty i groźny drżał przed mijającym go sa-
molotem — piękny, zuchwały, oburzony... a teraz
znikł — i z piór pogubionych, zapewne z tych piór
rozrodziło się stado wróbli wiecznie ćwierkających
tuż przed oknem... kłócą się, doskakują, zaperzają
...jakieś swoje sprawy, wróble sprawy... otrzepują
puch kwiatowy — opada jak śnieg w północnych
krajach — jak śnieg...; błoga minuta odprężenia i od-
sunienia wszystkich myśli poza krąg, który jak duże
koło młyńskie obraca się w rozpryskach i szumie
szklanym wody... koło młyńskie za cztery reńskie...
Wokół miarowego stukotu utworzyła się z rozbitej
wody, z bełtowizny ruchliwej, wielobarwna mgła,
z poza której nie widać dnia i jego trosk. Mgła co-
raz obszerniejsza, stukot coraz cichszy — miarowy—
kojący — szum — — — a — spać — —

Wstrząs nagły!

Trzykrotne pukanie do okna — tam — w fron-
towym —

Więc to już?

Zaraz!

Pośpiech — prędko —

Przed wyjściem, u drzwi już, uścisnęli się. Była
błada i drżąca; zbladła nagle, jakby kto świecę
zgasił —

— nie trzeba, Mauro, nie trzeba —

Był wysoki poranek wiosenny, gdy wyszli na
ulicę.

Tamci już czekali; czterech; komitetowi.

Przeprowadzali zaułkami i bocznkami.

Ze — na wszelki wypadek, że tak lepiej, bo...

Wszystko zresztą już było jasne.

— bo istotnie, strzał z za węgła zadecydował —

Mówi ten wysoki, chudy, przygarbiony; wykaszluje słowa razem z płucami —:

— bylibyśmy się wtedy rozeszli, czemu nie, choć rozgoryczenie było duże, no bo cóż, bez niczego, z pustymi rękami — nie? — komisarz tyle, że powiedział, że jak się nie rozejdziemy — a kręgiem staliśmy na wale, może nas było ze trzystu — tam na placu powiedział, że będzie zmuszony użyć broni i wskazał — jedni mówią że na szablę, drudzy na rewolwer; stałem z tyłu nie widziałem; my z wału wołamy: pracy! chleba! pracy! chleba! — Dowódzca wycofał się i nicby nie było; byloby się rozlało po kościach; ale ten drugi skurwisyn, wiemy dobrze kto, numer jego znany — nadjechał, wiecie, i z za węgła do gromady bezrobotnych — rewolwer i trach-trach-trach — cały magazyn w nich! osiem kul! — he, to się wi! — Wtedy to ten jeden padł; lżej rannych było też kilku. Ale ten jeden; chłop młody, dwadzieścia pięć lat — przez szyję, na durch; — powiadali wtedy, że gdyby zaraz pomoc, byłby się wyliżał; wyszedłby; ale tak to się wykrwawił do ostotka —

Zakaszłał się, aż zsiniał.

Drugi towarzysz; szeroka, wygolona twarz; koszula wiśniowa; czarny krawat; sepleniąco:

— zgłaszali się, bo to i brat mój też, po tę robotę przed wielkanocą pierszy raz; powiedziano im, żeby se przyszli po wielkanocy; no to wtedy po-



szli; — przez te dni wielkiej wyżery burżujskiej mieli na święcone ciepłą wodę, tę tam prawie mieli wszyscy, skórki z chleba jak trafiło, też, oskrabiny w śmieciach wypoźbierane; robotnicy sezonowi, wiadomo, tym najgorzy; — a gdy po tej, prawda, wielkanocy przyszli znowuż, po swym prawie, to, no — jak towarzysz powiedział — z za węgla cały magazyn, nie żałował, nazrej się bracie —

Tępy gwizd; — cichym na palcach biegiem skręcili w pierwszą uliczkę na prawo; — rozprószyli się, żeby nie sześć osób; podejrżane. — Maura wzięła Cyprjana pod rękę — tak sobie idą wolno — uwiesiła się mocno — z bumlerki ewentualnie, w ogóle; — a tamtą ulicą, którą opuścili, maszeruje szybko oddział uzbrojony; — obejrzała się Maura —: maszyna nowy —

A potem znów razem.

Jedni idą przodem — dwu — na dwadzieścia kroków — a drudzy przy Cyprjanie i Maurze.

Teraz znów mały, szczupły blondynek; oczy trochę skośne, bystre, świdrujące —:

— u tego co go zabili (— ciągle tylko o tym, to co dziś to się samo przez się rozumie; musi! —) — bieda była jak jasna cholera; żonaty; ze dwa lata temu się pobrali — dziecko mieli; głód, zima, opału z nikąd; to ona pieluszki suszyła na własnym cieple; obwiązywała się nimi, albo leżała na nich; — a potem tak się im to już zaczęło, że ani co do gęby włożyć; jej też pokarmu brakło; z czego; — no i podrzuciła dziecko; wykryli, wiecie towarzyszu, no i do aresztu wyrodną matkę.

Czwarty; smagły, prawie cygański, brwi zrosnięte nad nosem; pośpny —:

— siedzi dotela; dziecko zabrała do siebie ciotka, niby siostra matki; pójdą dziś za trumną —

Zamilkli; uliczka pod górę, stroma, wąska.

Po chwili rozszerzyła się w nieregularny wielobok. Na przeciwnym krańcu placu budynek: garaż olbrzymi, dworzec — podłużny, półkolistym dachem nakryty; blacha; okna gęste, wysokie, ramy żelazne.

— to tu —

Już zewsząd schodziły się gromady, po czterech, dziesięciu, dwudziestu i więcej; — im bliżej hali tym gęstsze masy; w obrębie zabudowań zwarty tłum. Wewnątrz miting, odprawa raczej; dyspozycje.

Cyrjan żegna się z Maurą; — miała swój przydział w sekcji przedmieść; — spotkamy się; lecz jak, gdzie? — w tej dziesięcioletniej masie? — w tych godzinach, z których każda waży za dwie, za rok, za wiek — ? — będziemy się szukać; zawierzmy instyktowi — —

— Cyr, jedyny Cyr — wstrząśnięta jestem do głębi; gorąca noc, w której wypiekł się chleb dzisiejszego dnia, chleb ku pożywieniu wszystkich — — idź już Cyr — — błogosławiony, który staje po stronie sprawiedliwości! — idź —

Wszedł na podium.

W olbrzymiej hali głowa przy głowie.

Cisza.

Na stole prezydyjnym czarna trumna; czarna bez jakichkolwiek znaków i emblematów; naga.



W niej zwłoki tego, który głodem trzew wołał: chleba, a głodem rąk: pracy. Zabity strzałem z za węgła.

— poniesiemy go przez całe to złe miasto, nie tą krótką ptasią trasą wskazaną przez zatrwożoną władzę, władzę dzisiejszą; — poniesiemy go przez przedmieścia i długie ulice sytych; popłynie wysoko ponad głowami jak czarny krzyk; — jego miejsce tam, gdzie wola towarzyszy wskaże. — Syci, nagrzeni, zdrowi — zamykajcie okna! — kryjcie się i zasłaniajcie okna i oczy; aby wam ich wstyd nie wypalił; — lub raczej wylęgnijcie do okien i na balkony i błogosławcie nowemu porządkowi rzeczy, który oto pod trumiennym sztandarem wkracza na ziemię przemocy, ziemię nędzy i głodu, ziemię poniewierki i kłamstw! — W średniowiecznym tolekańskim mieście, nakrytym niby ołtarz w wielkim poście, ponurym całunem konsystorskim, rozpoczęło się to — oto data: marzec! — dziś w tym tu górskim mieście, rządzone przez wojennych podżegaczy, poprowadzimy dzieło dalej, dodamy datę drugą: kwiecień! — Towarzyszki i towarzysze: powaga i spokój! Osiemset naszej milicji dbać będzie o porządek; wola i siła! — nie skuszają i nie omamią nas prowokacje. — Żegnaj towarzyszu! — spotkał cię zaszczyt wielki, oto historyczne zwłoki twe po życiu twardym i głodnym stają się symbolem wyrównania sprawiedliwości — zwiemy cię sztandarem bólu i poniewierki — gdy spełniesz z ramion naszych w smętarny dół — będziesz hasłem wyzwolenia! W pokolenia trwać będziesz! — Towarzysze! — ruszamy! — i ty czarna trumno z nami! —

Minuta milczenia.

Po Cyrprjanie Fałnie przemawiał młody poeta robotniczy, towarzysz Andrzej: diabli gejzer. Płonący wichur objął halę — parzył — ośpieiał.

Las podniesionych pięści: pożegnanie.

Z pierwszych stojących rzędów wysuwa się młoda, pysznie urodziwa dziewczyna — w czerwonej bluzce i spodnicy czerwonej — płomienna cała, ogniowa prawie — duże, jarzące ślepia — pełne, krwiste wargi — rosła, smukła, strzelista — ciemno-rude włosy jak ledwo przygasły stop żelaza, roz-wichrzone; — — pęk czerwonych goździków kładzie na wieko; — odłamuje jeden, podaje Cyrprjanowi:— i wam towarzyszu —

(— przypomnienie odległe — ten kwiat — Marysia — słoneczny dzień — drewniane rumaki cwałują, pędzą, lecą w przestrzeń, w przyszłość — tę właśnie dokonywującą się, dzisiejszą przyszłość —)

Pochód rusza.

Wznosi się trumna.

Cyrprjan i ten wysoki, komitetowy, co to opowiadał o zmarłym — w pierwszej parze; w dalszych towarzysze, koledzy zmarłego.

Wysoko rośnie trumna na barkach ludzkich.

Tuż przed nią, z rozwiniętym czerwonym sztandarem, bez emblematów, bez napisów — jeno tak jakby płótno w krwi zanurzone — idzie ona, ta, co te goździki; — zwarte, młode, sprężyste nogi, wyskoczłuczone biodra, wyrasta z nich grzbiet prosty i giętki, naga, opalona szyja wiąże go ze strzechą włosów, — a giowa podniesiona, — a sztandar na



stanowczym wyciągu rąk — hieratycznie, z poczuciem, że ważne —

— kto ona, kto to — ? — tak pyta, a myśl samowolnie skrada się z refrenem: „to właśnie ty...”

— to sekretarka z sekcji czytelń — mówimy na nią: towarzyszka Ursa —

— towarzyszka Ursa —

Trumna wypłynęła na zatłoczoną jak okiem sięgnąć ulicę; — długie szeregi delegacji z wieńcami i sztandarami; przed nimi dziesięcioletni orszak.

Rozpoczął się wielki, historyczny pochód.

Rytm idących normował stukoty aparatów telegraficznych roznoszących wieść na wszystkie świat.

—

Chwila zatrzymania.

—

Na latarnię wdrapał się robociarz z oznaką miłicji na ramieniu. — Woła, namawia, krzyczy —: towarzysze! nie zmieniajcie trasy! Zaklinam! — Krew się poleje! — Wracajcie!

Tłum odpowiada: nie! precz!!

Z tej samej latarni znany działacz komunistyczny wrzeszczy do ochrypu: — towarzysze! — jesteśmy przed wielką, solidarną, jednolitofrontową akcją pierwszomajową! Nie pozwólmy na jej udaremnienie! — Wracajmy —

Lecz już wiedział, wszyscy wiedzieli, że wszelka mitygacja na nic; — nie dokończył swej mowy.

Tłum odpowiedział lasem pięści i grzmotem: nie!

—

Pochód rusza.

Nieprzeliczone masy cofają się z jezdni na chodnik.

Czoło pochodu — trumna — wieńce —

Podniesienie pięści.

Milczenie.

—

Po wejściu na szeroką kumiejską arterię — pierwszy zator zahamował pochód —

Krótkotrwały męt — razy gumowych pałek —

Pierwsze strzały rewolwerowe —

Pierwsze jęki —

Pierwsza śmierć —

Zakotłowało się w tłumie; ci z trumną przystanąli chwilę; w tym momencie podbiegł zdyszany robotnicarz, ze straży, szarpnął Cyprjana za rękę —: zmykajcie towarzyszu, kryć się, to nie przelewki — w trumnę będą prac — wyjście potrzebni — — odebrał Cyprjana przemocą, sam ramieniem podsunął się pod trumnę.

Teraz Cyprjan idzie z towarzyszką Ursą —

Idą razem —

—

Ukryty w suterynie, na skrzyżowaniu ulic, karpin maszynowy zarechotał nagle i prędko; szczeknęła i żwaka teraz z przerwami; stuknęły kule o deski trumny; — jeden z niosących ją obsunął się na ziemię; — natychmiast zastępuje go inny — pierwszy z brzoza, idący obok —

—

Ludzie zaczęli padać masowo.

—

Barykada!

Zatarasowała ulicę ławami ze skweru, autem ciężarowym, przewróconym tramwajem —

— — z motorniczym rozmawiać nie wolno — —
proszę z przesiadką na dwójkę — — zda się, już
nigdy nie będzie normalnego dnia jazdy z przesiadką
lub bez —

Z poza osłony prażą tamci gęsto — ; — ślepa,
zła siła; pomyłka dziejów; rzuceni tu wychlustem za-
chłanności o władzę, o posiadanie, o stan posiada-
nia; — ta zła, fatalna siła rzuciła tu synów przeciw
ojcom, braci przeciw braciom; — okrucieństwo:
wielka tragedia ludzka.

Krzyk — płacz — — pochód przystanął —

Cisza straszna —

Nagle porwał się przedni łom konduktu: na
barykadę! — — pędzą — wyrrywają z bruku kamie-
nie — pędzą — coraz bliżej — — Salwa! — padły
trupy robotnicze, zaścieliły ulicę; — niema czasu na
usuwanie towarzyszy! Poprzez nich! — Raptownym
skokiem zdobywa tłum barykadę; — wycofuje się
przeciwnik; — usunięta przeszkoda — pochód ru-
sza —

Gniew i złowrogość płonąca — — Dlaczego?
zaco? — Boją się trupa? — tej małej, biednej trumny
się boją? — o cześć wam panowie! — Z ust do ust
podaje się wiadomość — niedowiary! —: rozkaz
padł tam z gmachów rządowych —: „stłumić twardą
ręką!“ — kogo? — swoich? — jak wrogów, jak na-
jeźdźców? — co stłumić? — głód?, nędzę?, bezro-
bocie? — przekonanie, że świat pracy zapanuje pier-
wej czy później — tu tam, powszędę — ? — więc
to tak? — Zobaczymy! — Naprzód!!

Więc prą naprzód.

Cyprjan widzi tylko plecy i głowy — w samym jądrze huraganu — — Dokoła domy głuche i ślepe;— idzie olbrzymi kondukt — jakoby pogrzeb przeszłości — jakoby hasło i upomnienie —, a ponad nim wzniesiony na wietrze, rozlew żywej krwi, ten sztandar! — i kształt trumny czarnej; — — upewniono się dokładnie, nie powstanie już trup! po śmierci zastrzelony ponownie, — wielokrotnie —

—

Teraz się zaczniesz!

Znów napierają; — rechot karabinu maszynowego.

Czoło pochodu rozpierzchno się w gardziele bocznych ulic. Zewsząd suchy brzęk rozbijanego szkła.

Biegniesz nowy zastęp.

Na czele szalencie, twarz bladoszara jak papier gazetowy; porowata skóra; szczerzy zęby; oczy nalane po brzegi okrucieństwem. A tam już łomocą po łbach i piersiach robotniczych kolby rewolwerów, pałki walą w czaszki i szczęki. — Wrywa się jeden z zastępu, podbiega do młodej osiemnastoletniej dziewczyny, delegatki, wraz z towarzyszkami wieniec sosnowy niesie — — chce jej go wydrzeć — ona broni — sama — reszta umknęła — sama — — szarpie ten wieniec nieszczęsny, tarmoszą i rwą — ona nie puszcza, krzyczy! — sypią się i rozlatują gałki i chojarki jak pierze walczących ptaków — ostaje kusa, naga obręcz i o nią! — okłada napastnik dziewczynę pięściami i pałką — ona krzyczy! krzyczy: ra—tun—ku! ra—tun—ku! — wtedy on wy-

rywa z futerału rewolwer i w te otwarte, przerażone usta strzela! — Zapadła młoda strzaskana głowa w śmierć; bluznęła krew. Z życia ostał krzyk tłukący się ostatkiem sił po ścianach ulic.

Towarzyszka Ursa woła: zbrodniarz! zbrodniarz!

Zakotłowało się w tym piekielnym miejscu.

Tymczasem szalenciez dobiegł do trumny — szablą tnie deski — z poza wyszczerzonych zębów wzbierają i pękają słowa — jakby do żywej osoby — masz! masz! masz!

Teraz dopiero napiera zmacony tłum, ten z poza trumny, dalszy — bójka wręcz, masakra — —

Trumna znów płynie nad głowami wielką ulicą śródmieścia — przed nią znak żywej krwi wysoko wzniesiony.

—

Pochód na Golgotę.

—

Już nowi towarzysze niosą trumnę; giną jeden po drugim; trumna zestrzelona jak sito — pełna białych odłupañ i drzazg — ledwo się trzyma deska deski — przednią ścianą wypadła — — wystają chude, trupie stopy w dziurawych skarpetkach.

—

Szarża!

Do infernalnej symfonii pogrzebowej dopada zdyszany chrup i nierówny spłoszony stukot kopyt.

Natężone milczenie podniosło się jak wzrastający grzmot w eszalały wrzask, w burzę zmieszanych głosów, w nawałnicę gniewu, w krzyk pomsty, w rozpacz ostatnią:

— więc tak —?— więc szczuty brat na brata?—
więc własny kraj? — własny karabin? — własne
kule? — — wolność —?— ojczyzna —?— i zaco?
zaco? zaco? — za głód? za nędzę? za ponie-
wierkę? —

Szarża konna odpadła od tego gniewu jak od
stromej skały.

—
W bocznej ulicy nastęczył się oczom płochli-
wie wóz pocztowy — bez miejsca i bez celu, ogłu-
piały, otumaniony, poza czasem niejako — — listy
wybierać, teraz listy wybierać — dla kogo — —
czyż jest coś ważniejszego w tej chwili nad to zawar-
cie i spięcie — nad ten pochód pogrzebowy ludzko-
ści — ulicą świata — pochód z stuleci w stulecia idą-
cy —?— któż pisze na adres historii, któż czyta
w dziejowy ruch wciągnięty —?— a ci bez ruchu —
leżą na pasie łąki — snopy śmierci — i nie po-
wstaną nigdy — — listy — listy — listy — — Zsy-
puje się na nie skrzący brzęk rozbijanego szkła.

—
Szeregami idzie głuchy pomruk: znów bary-
kada!

Porządek — równo — bez zamieszania —

Iść!

Padł strzał!

Niesione na rękach za trumną ojca, roczne
dziecko zwiesiło nagle główkę. Z czoła jego wyro-
sła bulgotliwa malina — zbyt żrała — stopiła, rozlała
się po białych, chudych policzkach.

Golgota.

—

Znów ten rechot karabinów; obmierzły. Pac —
pac — pac — pukają kule w trumnę i w serca niosą-
cych; — podsuwają się nowi, i dalsi, i wciąż.

To musi być dokonane; dokładnie zrobione.

Donieść trzeba, żeby tam nie wiedzieć co!

Musimy!

—

— z wami idę towarzyszu Cyprjanie — mówi
towarzyszka Ursa — to ładna rzecz, i to ważne —

— ty, towarzyszeko w tej sprawie ładna jesteś
i ważna —

Spojrzał na nią.

Uśmiechnęła się.

—

— mówią, że to już ostatnia barykada —

Padło hasło: — milicja przodem! — bronić
trumny!

— akademików kryć! —

— my tu, robocjarze, zginiemy, ale wy musicie
przeżyć i wyjść cało! —

— zaharowani na śmierć, daliśmy wam wiedzę,
od ust odejmowaliśmy aby tylko wy, synkowie, —
szkoły, książki, czesne; — dopomnicie się i o krzyw-
dę każdą i w sobie ten zapal, który nas, waszych oj-
ców... nowy ład — wy! Upragniony dzień — wy!—

Chcą tę umiłowaną młodzież wepchnąć do bram;
bramy zatrzasknięte — domy głuche, ślepe, martwe,
złe — — ech! gdzież te poety miłego „domy anty-
państwowe“ — to tylko te tam na dalekich przed-
mieściach! — Więc każdego akademika otacza kor-

don gęsty robotników, jak pszczoły pokrywają matkę, — przez tyle piersi nie przejdzie kula do was, ugrzęźnie w piersi ostatniego — lecz ty inteligencje chłopsko-robotniczy żyć będziesz! — abyś działał, abyś był, abyś świadczył, — pamiętaj!!

Świst kul — grad gęsty — — na ziemię! —
Przypadają szeregi do bruku; — tylko ci z trumną przyklękają — — — I nagły zryw i krzyk i komenda wspólna: naprzód!!

—
Otoczenie Cyprjana jest gniewne i opryskliwe — :

— czemu się, towarzyszu Cyprjanie, nastawiacie — ? —

— do diabła tu z wami —

— won do tyłu! —

— ta tak leść przed samą trumną — na celu gwerów! — psiakrew! —

— teraz będzie ostro —

I towarzyszka Ursa płonie i podbiega; burczy:

— kryjcie się tam za trumnę! —

— a czy wy, towarzyszko, też się wycofacie?—

— ja? —, dziwi się ona, — ja?, skądże ja? —

I rozchyła nadąsane nieco wargi i odsłania lśniący rząd zębów z wydatnymi, ostrymi siekaczami —

— no więc —, odparowuje Cyprjan, — czemu się mnie czepiacie, widzicie... Tu odchylił się raptownie i instynktownie — bliska salwa grzmotnęła w sam środek gęstwy ludzkiej.

Powszędy rozległy się krzyki, jęki i rzęzenia.

Kula drasnęła go w policzek poniżej ucha; nic ważnego; drobiazg; — lecz tuż za nim trzech niosą



cych trumnę padło; — odrazu podsunęli się inni pod zachwiane brzemie; — teraz już trzeba było rękami rozklekotane deski przytrzymać — i było, iż kula przebiła podtrzymującą dłoń i naznaczyła ją stygmatem — ; — ktoś zrywa z szyi krawat — i drugi — i trzeci — węźłą i bandażują trumnę, żeby się nie rozpadła zanim nadejdzie jej czas.

—
Cyrprjan już wie, teraz wie, teraz wie wszystko; padło to weń jak promień słońca przez szparę w okiennicy. — I jeszcze to nagłe pytanie zakolało się raptownie jak niespodziany przestrach: gdzie Maura? — dobrzeby było ucisnąć jej suchą, gorącą dłoń! — Ogląda się pośpiesznie; szukać w tej masie! — może... później; — — „później“ — takie słowo doniczego nie zdatne — — przecież już teraz wie, teraz nareszcie zna wagę słów — — nie wiele tych ważnych; dwa.

—
Przedni rój milicji forsuje barykadę; ostatnia; usypana ze zwałów wrytego bruku, cegieł, tramów i desek; w tym miejscu buduje się dom; stąd materiał; rusztowanie i wszystko inne. Z obu krańców tyralierka szczeka w tłum. — Środkiem — to znów ten szaleniak! — pędzi na czele roty — robią wypad. — Biegną na bezbronnych z rewolwerami, szablami, pałkami. Zwarły się obie fale ze sobą; — bezbronni nacierają masą; — braknie amunicji, aby wszystkich wystrzelać.

Walka.

Przed trumną robi się nagle pusto; — duża pusta przestrzeń zamieciona trwogą — głucha i przycza-

jona — w pośrodku niej ci niosący ten śmiertelny ciężar — przed nimi Cyprjan i Ursula. — Trwa to chwilę — a moment to z wszystkich najgroźniejszy, opustoszały, wydany na łatwy łup śmierci; — wloką się ułamki sekundy jak wory piasku po kamieńcu.

Na ten to wydmuchany plac wbiega wypłoszony i zdeorientowany młody człowiek z wieńcem, od jakiejś delegacji więc; akademik; po czapce; wieńiec ma przewieszony przez kark, a wieńiec ten jest ciemny, suchy, od dołu kolczasty, z głogu; kilka wpiętych, pomiętych już i opadających róż czerwonych i szarfa; w strzępach. Za nim ten bladoszary szaleniec, co trumnę siekł. Dopada akademika, chwytając za wieńiec, szarpie, zedrzyć go chce; a łapy ma w rękawiczkach; może; — pięścią wali chłopca w szczękę. ten zachwiał się pod razem; teraz rzuca się szaleniec na niego — oburącz włacza kolczasty wieńiec w kark i twarz niosącego; ten pada; tedy klęka mu na piersi i orze ostrymi kolcami po twarzy; rozdrapuje i harata — i — szuka oczu, tych przerażonych młodych ślepi — aby w nie wbić kolce — — psiakrew!

Dobiega Cyprjan i wali pięścią to pastwiące się zwierzę, między oczy! raz! drugi! — i wrzeszczy: puść, bydlę, bydlę, puść! — i raz jeszcze przez tę obwisłą kacią mordę — aż odpadł, aż się potoczył.

Cyprjan zdejmując prędko i ostrożnie wieńiec z szyi chłopca pyta przerażony:

— oczy? oczy? —

— widzę — nie, nic — dziękuję —. Z całej twarzy sączy się krew jak drobnym sitem; setki tych ukąszeń.

Tymczasem robotnicy sforsowali barykadę; cī z awangardy; pod naporem mas ustąpił przeciwnik; wyparty.

Ktoś nagle krzyczy:

— gdzie towarzyszka Ursa? — gdzie Ursa? — ludzie! —

A to tam w gęstym, ciemnym rojowisku widać czerwony sztandar — cały nachwiany i dygocący — raz wyżej, raz niżej — we wszystkie strony. Groś mada robotników pędzi tam w to kotłowisko; Cyprjan z nimi; — — rozgrywa się błyskawiczna walka — przeciwnicy zczepieni z sobą tarzają się po bruku, walczą i bronią się nogami, rękami, zębami. Trzech tamtych obłągił Urzę, — tarmoszą, rwą, biją porwali na niej bluzę i koszulę — zwinnymi ruchami bronj się, i drzewcem, po które raz po raz sięgają, żeby ten sztandar uchwycić i zedrzyć; znieawidzony; tak ich uczono, że znieawidzony. — Towarzysze przybiegają z pomocą — nacierają z impetem — — wyrwali dziewczynę, uratowali! — posiniaczoną i srogo pobitą, lecz żywą, całą, wyiskrzoną w ślepiach i uśmiechniętą; — naga do pasa, ale niema czasu na żadne wstydy i certolenia; — sztandaru z rąk nie puściła! — broniła się przecież tym drzewcem — chcieli jej, chcieli wyrwać! — nie dała! a, nie dała!!

Po krwawym kotłowisku zostały pod ostrym dniem trupy — tych i tamtych —; zgodnie; bratersko już teraz; zjednani.

—
Na barykadę! Teraz! Prędszej! — Rozwalić się jej nie da żadną miarą — ani tyle, żeby czwórkami

orszak przepuściła. — Sforsować, przejść przez nią trzeba; — milicja nawołuje do porządku — i, żeby bardzo prędko — nim się tamci znów zbiorą i opamiętają, żeby już chociaż trumna po drugiej stronie — —

Cyprjan i Ursa biegną za innymi.

Ci z trumną powolniej bo się to wszystko leśdwo kupy trzyma.

Przewaliło się czoło pochodu — rozlało po szerokiej ulicy.

Barykada stroma i wysoka.

I oto staje na niej Cyprjan.

Spojrzał cokoła; — teraz dopiero mógł ogarnąć całość: przed nim i za nim ulice i place natłoczone — zda się aż po te skalne góry — stamtąd jakoby właśnie rwie spieniony, rwący, gniewny zalew — olbrzymia masa ludzka — wezbrała ulica główna i wezbrały dopływy ulic bocznych — dziesięć tysięcy — dwadzieścia tysięcy — trzydzieści tysięcy — może więcej — napewno więcej —

Śpiewają — —

Hymn rośnie i nabrzmiewa burzą, gniewem, pomstą i zwycięstwem —

A dzień jest jasny i słoneczny; w zamkniętych oknach żarzy się odblask tej godziny, tej wielkiej godziny chrzczonej obficie krwią ludzką.

Śpiew krzepnie i potężnieje — odrywa się od płuc i warg — ponad głowami płynie nurtem rwącym — i samoistnie żyje na powietrznym szlaku —; — dwoma rzekami wpływa dzień ten w morze dziejów.

Odpomina się Cyprjanowi owa przestrzeń ciemna, jądro nocy — tylko huczący wicher przewala

się po gęstym, smolnym powietrzu — olbrzymi reflektor wyświetla drogę, na którą z głębin mroku nadciąga orszak rozśpiewany, olbrzymi orszak ludzkich i zwierzęcych postaci:

— Dionizos! — Eu-ój! — Dionizos!! —

Na nasyp barykady gramoli się z trudem — jak żuk dwunastonożny — czarna trumna — ona: przewodnik, i ona: manifest, i ona: rozkaz!

Z dołu krzyczy ktoś ostro i gniewnie:

— towarzyszu prędko! — nie zatrzymujcie się — — obsadzili dachy i balkony! — prędko! —

Równocześnie usłyszał samotny wysoki trzask. Raz! Trzask ten uderzył go w pierś znienacka, gwałtownie. Zdziwił się — co się stało? — — Chciał zejść, zawahał się — czy naprzód? czy wrócić? — Podniósł rękę by dotknąć tu koło serca właśnie — ręka zwisnęła bezsilnie — — Zachwiał się — osunął na kolana — padł na wznak — — jęknął — — Oczy nieprzywarte przyłgnęły do chmur i dalekiego błękitu — — na okrucieństwo sekundy wydało mu się, że pałczy z wysoka w dół na olbrzymią niebieską misę po której dnie snują się płaskie opary — lecz zanim ten obraz utrwalił się w świadomości wszystko wróciło na swoje miejsce — ach, więc pogoda, te chmury to nie na deszcz... i dobrze tak leżeć... teraz dopiero czuje jaki strasznie zmęczony... spać... chwilę spać — — Serce bije nierówno, zrywa się w gwałtownym trzepocie, to znów zwalnia — ustaje — — ale nie boli nic... nic nie boli... Raptowny niepokój i lęk! — zerwać się — uciec stąd!... przemija... i znów spokój... chwilę poleżeć... wszystko przejdzie...

Przymknął oczy; raził je blask prostopadłego dnia.

Tak... wszystko przejdzie... jak i to przeszło... ale co? ...no, jak i to życie...

Z trudem przypomniał sobie to słowo; równocześnie odniósł wrażenie, iż nagle schudł i wydłużył się; nie było to uczucie nieprzyjemne; zadziwiło tylko... więc: życie — młodość — miłość — poezja... poezja, to właściwy sens wszystkiego... treść... trwałość... ona jedna pozostanie, poza wszystkim, poza mijaniem — — — Zaniepokoiła go nagle myśl, że przecież rękopis, cały, gotowy — trzebaby przepisać... to już wszystko Wisia załatwi — — — Uspokoił się... ona to potrafi przeczytać... zawsze tak do niczego pisał... i z kaligrafii zawsze niedostatecznie — — — Więc właściwie dobrze wszystko, bardzo dobrze... poeta przy robotniku... za życia i po — — — znów tak trudno wygrzebać z pamięci to słowo!... i po śmierci... to najwłaściwsze miejsce, jedyne...

Otworzył oczy; poszarzało znacznie.

Trumna na sześciu ramionach — stała na barykadzie — tak wysoko — tak bardzo wysoko — triumfalnie! — I dojdzie... i dojdzie... i oni dojdą gdzie trzeba... Ze znacznej odległości jeszcze lecz już całkiem wyraziście wsącza się w świadomość nieustający szum spadających ze skał wód — — daleki jeszcze, jakby echo raczej — lecz odtąd trwać już tak będzie raz słabszy raz silniejszy — szum nieustępliwy; muzyczne tło tych wszystkich godzin.

Z całego życia odpływającego szybko i niewstrzymanie poczyniły się teraz olbrzymie prostokątne klisze — tu od barykady sięgają po ten błękit

daleki — — a są już nie odpomnieniem rozwlekłym i szczegółowym, lecz skrótem, akordem syntetycznym; ukraca się czas; niewiele go już zostało. Odwracają się te utrwalone klisze jak karty olbrzymiej księgi — poprzez miasta, ulice, domy — poprzez góry, rzeki, krajobrazy — poprzez zdarzenia mało ważne i decydujące — poprzez dzień dzisiejszy, poprzez tę trumnę — poprzez twarze — twarze — twarze — — poprzez tę wielką pieśń, która jest melodią śpiewającej wkoło słońca ziemi — muzyka i poezja są jej okruczem —;— karta za kartą; — przesuwają się z ledwo słyszalnym szelestem, takim, jakie wydaje dotknięcie palcami matowego szkła; — karta za kartą —: pejzaże, drzewa, kwiaty, tytuły książek — —

...Balbina — cisza miesięczna — szelest drżącego w jej srebrnych oczach lasu nad wrzosowiskiem;... Marysia — w zapadłej kuźni zadźwiękło kowadło;... pani Kle: „gdy siwizną przyprószy nas wiek“, dzień był złoty od kaczeńców, w zalewiskach powiosennych płukały się chmury jak białe kaczki.....

...Wisia — gwar nagły; zmiłknięcie; a potem jednostajny, swojski, jak oddychanie, szmer potoku; ...pani Ho — mroczna głęb sceny wszcz i wzdłuż — — karta za kartą —

Przez przymrużone powieki, przez omgloną tęczę wilgotnych rzęs, widać tę trumnę coraz wyższą — już ponad domy podniesioną — ponad dachy — wysoko —

— — Z poza niej mgłą się dwa obłoki: — blada, zwarta twarz Jurka i zapłakane, dżdżyste oczy Hanki—

uśmiecha się ku tym obliczom bliskim — żegna — —
i tak straszny żal, że nigdy — — — obłoki odpły-
wają — zachodzą za trumnę — —

I — znów ten szelest matowy i mięki — jak
głos pełnego lata, gdy mucha trąci skrzydłem strunę
uśpionych skrzypiec —: jedna karta wraca.... Irka....
olbrzymie lustro Świtezi, nachylone nad nim sosny,
czesze je wiatr.... i poraz drugi pani Ho: „miedza
wieczna się zbliża u rozstajnego krzyża“ — kolum-
nowa mądrość — ; — karta:Miłanarcyz w lu-
fie karabina, robotnicza wiosna i kształt dotykalny
podkowy: w otworach na hufnale grudki ziemi
i pyłu z drogi kamienistej — i to wzrusza najgłę-
biej do dna istoty — a ten szum odległy to w tej
chwili szum starego dębu u stóp którego leżała ta
podkowa — — —

Olbrzymieje, rośnie trumna na długość miasta
i na szerokość — unosi się nad miastem — z bark
ludzkich się podniosła — wyciągają ku niej ręce —
a twarze ich płoną ekstazą — — a ona zasłania niebo
i słońce — dlatego jest tak ciemno, ciemno i coraz
ciemniej — — —

Karta —: szelest jej tak dobrze znany, tak bli-
ski, tak przecież niedawny — choć już nie liczy się
czas — Maura — usta jak sztandar — marsy-
lianka — — o, tak —

— *allons enfants de la patrie* —

— jeszcze! jeszcze!

— *allons enfants de la patrie* —

a ponad i zbliżka, dotykalnie, tuż:

— *wyklęty powstań ludu ziemi* —

Miesza się i płacze wszystko — i coraz ciemniej — noc prawie.

Melodie zachodzą obrazami jak bielmem, obrazy śpiewają jak słońcem zbudzone ptaki.

To jedno wyraźniej:

— *dziś niczym, jutro wszystkim my!*

Trumna powoli opada, obniża się i nakrywa sobą jak nagła noc — całe miasto —

— *dziś niczym, jutro wszystkim my!*

Przedarły się mroki.

Pojaśniało.

Nad umierającym Cyprjanem pochyła się towarzyszka Ursa; ręce jej śpiewne i żywe; harmonijny, dziewiczy tors wyrasta z czerwonej spódnicy; wysokie, młodziutkie piersi; włos ognisty, rozwiany. Przykłęka:

— towarzyszu Cyprjanie! — towarzyszu Cyprjanie — —

Chce jej odpowiedzieć, że to nic, że bardzo dobrze — i, że jest coraz lepiej — i tak jak właśnie ma być — tylko, że zmęczenie duże, i spać — spać — zdrzemnąć się choćby na chwilę —; — i chce przytomnie potwierdzić, że wie, że ją widzi, że ona klęczy przy nim i taka jest piękna, taka piękna! — w lewej ręce trzyma czerwony sztandar — prawą położyła mu na czole; — wie, wie to wszystko — i jest dobrze; jest coraz lepiej —

Uśmiecha się do niej.

Z pamięci wciąż bardzo czynnej wyplątały się dalekie słowa — — to było wtedy, gdy się poznali z tym młodym poetą i wypili na ty: Cyprjan, An-

drzej — — on taki właśnie młody — i półczwarta roku w więzieniu — czyste ma oczy, i człowiek taki, — tak to on, napewno on; — nikłym, ledwo widocznym ruchem głowy prosi Cyprjan, żeby się przybliżyła; zrozumiała; — jeszcze bliżej! — Uśmiecha się ku jej bliskim, lśniącym oczom — i szeptem cicho, z trudem, z przerwami — — słowa są jak szelest czesanych włosów, gęstych, rudych włosów —:

— to właśnie ty towarzysko —

Przyłożyła ucho blisko jego ust — i jeszcze raz dosłyszała:

— to właśnie ty.....

I jeszcze z mozołem, z wielkim mozołem podniósł nieco dłoń i wystukał palcami powoli takt pieśni: ...bój to będzie ostatni...

Tedy towarzyszka Ursa nachyliła się nad nim jeszcze bliżej i ucałowała go w usta — — poczuł smak jej młodych, zapalczywych warg — — ostatni pocałunek ziemi — — i w pięknym doprawdy kształcie zegnała się ziemia z poetą — w kształcie dziewczęcego torsu wyrastającego z czerwieni — — —

Kątaami warg zaczęła się przesączać krew — — nikłą lecz szybko toczącą się strugą — — niedawne wargi towarzyszki Ursy miały już zapach i słoność krwi — — —

Rozwarł szeroko oczy — jest bardzo jasno i bardzo wyraźnie, jak na scenie przy pełnym świetle ramp i reflektorów — — — pochód minął barykadę — — zdąża do celu — —

Wokół niego, na tym niebezpiecznym cyplu, stoi zwarta, mgląca się konturami, gromada to

warzyszy — ; — zdjęli kapelusze — trzymają je nieporadnie przed sobą, oburącz trzymają — — — czemu milczą? — czemu nie śpiewają? — — miłszeby to było, niż ta w ich dobrych oczach troska i żalność serdeczna — — i poco? poco? — przecież dojdą! przecież dojdą! przecież muszą dojść!!

Towarzyszka Ursa odrywa z drzewca czerwony sztandar — powoli nakrywa Cyprjana od stóp po szyję. Cyprjan czuje wzmagający się chłód, sztywnienie i zapadanie się nagle — siniejąca mgła zasłania widzenie, lecz jeszcze słyszy, słyszy wszystko poprzez napierający coraz bardziej ogłuszający szum olbrzymich wód — —

Towarzyszka Ursa staje na kamieniu, na najwyższym wzniesieniu barykady — jest zmaterializowanym głosem ziemi, pieśnią, hymnem — — przykłada dłonie do ust i skanduje silnie, dobitnie, potwoli — poprzez wrzawę ulicy i szum wód —:

— towarzysz Cyprjan padł na barykadzie —
Zasłyszeli.

Bliżsi dalszym podali wieść żalną — przebiegła szybko długie szeregi — —

Pochód przystanął — — wszyscy zwrócili się ku barykadzie, gdzie ten, o którym te słowa głoszono, leżał pod czerwonym sztandarem.

Cała przestrzeń od wschodu po zachód nalana była modrym, słonecznym dniem.

Towarzyszka Ursa podniosła lewą pięść wysoko — rozległą ulicą wszerz i wzdłuż wyrósł nieprzejrzany las pięści — —

Cisza.

Z odległej wieży bije zegar — melodyjnie
i dźwięcznie jak tony trzcinowej sirinks przesiane
przez słońcem osypane łozy —

Raz — dwa — trzy — cztery — — — — —

Ostatni błysk — ostatni dźwięk — ostatnie
słowo świadomości — :

— dzie—wią—ta —



*Pisałem od 21 kwietnia 1936 r. do 29 marca
1937 r. w Gorzeniu-Górnym.*

DO CZYTELNIKÓW!

Przez cały okres żmudnych i obfitych korekt byłem ciężko chory. Bóle uczą pobłażliwości; błędy (nie tylko drukarskie) wydają się mało ważne; rozum, czym innym zajęty, bagatelizuje je.— Dla czytelnika nie jest to wygodne. — Zawsze starałem się robić korektę sumiennie i skrupulatnie. Tym razem sporo błędów i usterek uszło z życiem; upiekło się im. — Bardzo Was za to przepraszam. Zamierzałem dodatkowo umieścić tu errata, owe „poprawić należy;“ w rezultacie uznałem za stosowne nie robić tego. Liczę trochę na nieuwagę czytelników; uważni sami się w błędach zorientują. — W drugim wydaniu wszystkie dostrzeżone błędy skoryguję. Przyrzekam.

E. Z.

*Gorzeń-Górny
28. X. 1937.*

